ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO - LITERACKI

WROCŁAW

ROK 4 LIPIEC - GRUDZIEŃ 1950 NR 3 – 4

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO - LITERACKI

WROCŁAW

ROK 4 LIPIEC – GRUDZIEŃ 1950 Nr 3-4

Rękopis otrzymano 25. X. 1950 Nakład 2.000 egz.
Druk ark. 17¼ ukończ. 5. V. 1951 Papier dzieł. żeberk. kl. V, 70 × 100, 80 g.

Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Wrocław, Piotra Skargi 3/5. Zam. 3703/50.

F-2-11111

STANISŁAW KULCZYŃSKI

MOWA INAUGURACYJNA

Rok akademicki 1950/51, który otwieramy dzisiaj, będzie szóstym rokiem istnienia naszych zjednoczonych uczelni akademickich we Wrocławiu.

Rzuciwszy okiem na pięcioletnią przeszłość naszej pracy, na niezmiernie trudne początki i imponujący rezultat dzisiejszy, na dzisiejszą naszą rolę w kulturze Śląska, na naszą pozycję w koncercie polskich uczelni akademickich i polskich ośrodków naukowych, nie podobna oprzeć się pewnego rodzaju uczuciu dumy, ale też nie podobna nie postawić sobie pytania, gdzie leżą przyczyny, które uczelnie nasze wyniosły z nicości na wyżynę jednego z czołowych ośrodków nauki w Polsce.

Aby na to pytanie odpowiedzieć trafnie i nie zagubić się w niebezpiecznym uczuciu samozadowolenia, trzeba wyjrzeć za mury naszych zakładów pracy i rzucić okiem na to, co się dzieje dokoła nas.

Wyrósł w ciągu pięciolecia z głębokiej ruiny Wrocław, wyrósł polski Śląsk, powstała nowa Warszawa, dźwignął się zniszczony przemysł, rozwinęły się szkoły, uczelnie akademickie zaludniły się trzykrotną liczbą młodzieży, poderwał się do życia zraniony naród, w bezprzykładnym wysiłku pokonał spiętrzone przed nim trudności i wkroczył na drogę rozwoju w tempie, jakiego nie notują jego dzieje.

Pojawiła się w Polsce siła o nieprzeczuwanym potencjale, siła, która okazała się mocniejsza od wojennych zniszczeń i strat, siła zdolna nie tylko je zlikwidować, ale i nadać rozwojowi narodu przyspieszenie pochłaniające wiekowe zaległości i wiekowe opóźnienia. Siłą tą jest Polska Ludowa i nasza wspaniała klasa robotnicza, która na swoje barki wzięła ciężar odpowiedzialności za losy narodu. W oparciu o tę siłę nabrały nasze wysiłki wielokrotnego potencjału, którego rezultaty oglądamy dzisiaj.

Ze złączenia naszych sił z wysiłkiem Polski Ludowej, z mocnego zespolenia naszego trudu z trudem narodu wyrosły nasze szkoły akademickie. Ziarna naszego posiewu kiełkują daleko poza murami naszej uczelni; w murach jej tkwi wysiłek nie tylko nasz, ale i potężny wysiłek narodu budującego nową Polskę.

Jedność naszych wysiłków z wysiłkiem Polski Ludowej, zawiązana u samych początków istnienia wrocławskich szkół akademickich, jest nie tylko podstawą, na której oparła się nasza pięcioletnia przeszłość, ale i platformą, na której budować będziemy naszą przyszłość.

Polska Ludowa znalazła drogę do socjalizmu. Na tej drodze zdobyła dotychczasowe osiągnięcia i na tej drodze buduje wizję swojej przyszłości.

Socjalizm to nie tylko władza w ręku robotników, to nie tylko sprawiedliwość społeczna i pokój międzynarodowy, socjalizm to między innymi planowa budowa materialnych i kulturalnych podwalin przyszłości.

Rok bieżący to pierwszy rok planu sześcioletniego, który ma wydźwignąć Polskę na poziom produkcji bliski przedwojennym Niemcom i przewyższający poziom produkcji Francji. Jakież są widoki na zrealizowanie tego niezwykle śmiałego zamierzenia?

Jesteśmy uczelnią akademicką. Nie wypada nam mówić o planie sześcioletnim inaczej, jak z miarą naukową w ręku i krytycznym ostrzem doświadczenia w rezerwie.

Plan sześcioletni obiecuje nam średni roczny przyrost produkcji o 25%. Oznacza to $2^1/_2$-krotne zwiększenie natężenia produkcji po 6 latach pracy. Efektywną osiągalność tej skali przyrostu produkcji potwierdzają trzydziestoletnie doświadczenia Związku Radzieckiego. Natomiast prowadzone od lat roczniki statystyczne stwierdzają, że pokojowy przyrost produkcji w najlepiej prosperujących krajach kapitalistycznych wynosi od $2^1/_2$ do $3^1/_2$%. Oznacza to, że przyspieszenie produkcji opartej o gospodarcze metody socjalizmu jest 7—10 razy większe niż przyspieszenie produkcji w najlepiej prosperujących krajach kapitalistycznych. Znaczy to, że wraz z ustrojem socjalistycznym włączona została w gospodarstwo polskie siła motoryczna 7—10-krotnie przewyższająca siły motoryczne Polski kapitalistycznej. Miażdżąca przewaga szybkości, wynikająca

z przestawienia naszej gospodarki na planową gospodarkę socjalistyczną, pozwala nam w ciągu jednego sześciolecia prześcignąć kraje o poziomie produkcji dzisiaj dwukrotnie wyższym niż w Polsce, a w ciągu trzech sześcioleci doścignąć kraje, których poziom produkcji jest dzisiaj 10 razy wyższy niż w Polsce.

Plan sześcioletni stwarza wizję Polski bogatej i kulturalnej w tak bliskiej przyszłości, że byłoby hańbą i błędem nie do przebaczenia, gdybyśmy opóźnili jego wykonanie przez zaniedbanie któregokolwiek z jego założeń. Plan sześcioletni jest ścisłym rachunkiem możliwości, opartym o napięte jak struna, ale realne założenia. $2^1/_2$-krotny wzrost poziomu produkcji osiąga on nie przez $2^1/_2$-krotne zwiększenie wysiłku pracy, ale przez uporządkowanie, zdyscyplinowanie i koordynację pracy i przez jej racjonalizację. Jego imponujące przewidywania oparte są o założenia socjalistycznej planowości i racjonalizacji pracy.

Obydwa te założenia planu sześcioletniego nakładają na nas i na nasze uczelnie doniosłe obowiązki.

Jesteśmy wychowawcami kadr ludzi, którzy włączać będą swoje wysiłki w wielkie procesy produkcyjne przewidziane planem. Wysoki poziom ich wiedzy i sprawności zawodowej zależy od naszego wysiłku i wysiłku młodzieży.

Koordynacja i dyscyplina pracy wymagają zaufania do socjalistycznego systemu pracy, a więc wysokiego poziomu ideowego kadr, wymagają rozumu, entuzjazmu i charakteru w przezwyciężaniu defetyzmu sączącego się wszystkimi szczelinami połamanego i porzuconego, ale gotowego jeszcze ciągle do dywersji ustroju wczorajszego.

Racjonalizacja pracy, stanowiąca drugie założenie leżące u podstaw planu sześcioletniego, nakłada na nas jako na ośrodek naukowy dalsze zobowiązania. Racjonalizacja pracy jest powołaniem nauki. Jest ona bowiem wynalazczością, jest nauką samą. W wysokim poziomie twórczości naukowej, warunkującej postęp techniczny, kryją się nie tylko możliwości potrzebne do wykonania planu, ale i możliwości do jego przekroczenia.

Plan sześcioletni kryje w sobie apel do nauki polskiej o nawiązanie współpracy z bezpośrednimi czynnikami produkcji, o podparcie rozwijanych tam ruchów racjonalizatorskich i nade wszystko apel do uczonych o dźwignięcie twórczości naukowej

w górę i wszerz w interesie ożywienia i usprawnienia pracy i ulżenia masom pracującym w ich trudzie produkcyjnym.

Nauka polska może osiągnąć wyższy poziom i szerszą bazę twórczą przez przyswojenie sobie socjalistycznych metod pracy zespołowej, przez podbudowanie dotychczasowego wysiłku uczonych metodami pracy skoordynowanej i kierowanej zbiorowo przez naszych najlepszych przodowników nauki. Problem zaszczepienia w nauce metod pracy kierowanej i świadomej swych ogólnych celów jest naczelnym zagadnieniem zbierającego się w roku 1951 kongresu nauki polskiej.

Uczony polski ma świetnie zapisaną kartę jako odkrywca, jako indywidualny twórca, jako uczestnik budowy tego wielkiego gmachu, jakim jest nauka.

Uczeni polscy natomiast nie nauczyli się dotychczas patrzeć na naukę, a nawet na własną dziedzinę nauki, oczyma budowniczych ogarniających całość, czuwających nad kierunkiem budowy, troszczących się o jej przeznaczenie i sterujących prawidłowym jej postępem. Dlatego uczony polski wydobywa z siebie wspaniałe niejednokrotnie wyniki, natomiast uczeni polscy nie wydobywają ani z siebie jako zespołu, ani z kadr swemu wychowaniu powierzonych tego efektu, jakiego wymaga chwila i na jaki nas stać jako naród, który w dziedzinie nauki wykazał niepospolite uzdolnienia.

Robotnik nasz może służyć za przykład, jak przez planową organizację pracy, przez poddanie się socjalistycznej dyscyplinie wysiłków, przez rozumną ich koordynację można nadać produkcji dziesięciokrotne przyspieszenie. Robotnik osiąga ten wspaniały wynik nie rezygnując ani z prawa do wypoczynku, ani z prawa do ośmiogodzinnego dnia pracy. Wobec ciążących na nim niezmiernie doniosłych zadań i obowiązków produkcyjnych zajmuje postawę pełną odpowiedzialności, a zarazem wybitnie racjonalną.

Uczony nasz podwaja i potraja wysiłki pracy, pracuje niejednokrotnie bez wytchnienia, daje nam nierzadko przykład wysokiej osobistej postawy moralnej w obliczu nałożonych nań zadań, uchyla się natomiast uparcie od racjonalnej, niosącej dziesięciokrotne przyspieszenie pracy zbiorowej, rozumnie zorganizowanej, zajmuje postawę irracjonalną, jakkolwiek obowiązek racjonalnego myślenia o stylu własnej pracy jest —

zdawałoby się — o wiele bardziej obowiązkiem uczonego niż robotnika.

W obliczu zbliżającego się kongresu czas na przemyślenie tego zagadnienia, jeżeli na kongres nauki nie mamy pójść z pełnymi rękoma dorobku osobistego, ze świadectwem wysokiej osobistej postawy moralnej, a jednocześnie z białą, nie zapisaną kartą w dziedzinie naszej świadomości i moralności społecznej.

Lat temu pięć rozpoczęliśmy budowę naszych uczelni, zaczynając od zbombardowanych i zniszczonych przez pożar ruin. Po raz drugi w historii naszego pokolenia budujemy na zgliszczach. Dwa razy w historii naszego pokolenia wyścig pomiędzy pokojem, który buduje, i wojną, która burzy, wygrany został przez wojnę. Nie możemy dopuścić, aby toczący się po raz trzeci wyścig pokoju i wojny skończył się klęską pokoju.

Aby wygrać wojnę, trzeba mieć za sobą masy ludzkie i przewagę produkcji. Aby wygrać pokój, trzeba mieć to samo. Siła bowiem jest pewnego rodzaju iloczynem mas i produkcji. Obóz pokoju wygrał bitwę o sympatie mas. Toczy się obecnie walka o przewagę produkcji. W walce tej obóz pokoju ma za sobą znakomitą, bo dziesięciokrotną przewagę przyspieszenia, zdolnego w krótkim czasie nadrobić wszelkie zniszczenia, zapóźnienia i zaległości. Przyspieszenie to zawdzięcza obóz pokoju socjalistycznemu i tylko socjalistycznemu systemowi pracy. Nauka, która z tego systemu organizacji pracy korzystać nie zechce, skazana będzie na wleczenie się z rosnącym opóźnieniem za zaawansowaną nauką obcą, bez widoków jej doścignięcia. Nauka taka będzie siłą straconą dla pokoju w jego wyścigu z wojną. Nauka taka będzie siłą bez znaczenia dla społeczeństwa walczącego o swoją przyszłość. Przeszłość nauki polskiej, tlące w niej iskry, buchające od czasu do czasu wspaniałym płomieniem, usprawiedliwiają wiarę i nadzieję na całkiem inną, godną i potężną rolę nauki w nowej Polsce, stającej do walki o nową rzeczywistość, w Polsce, która w obliczu gromadzących się zdarzeń nie chce powierzać swej przyszłości przypadkowym losom, ale los swój chce wykuwać przemocą, odwołując się do wszystkich swoich sił i wszystkich swoich nie wyzyskanych rezerw energii.

Twierdzę, że takie nie wyzyskane rezerwy sił tkwią jeszcze w nauce polskiej. Nie przemawia mi do przekonania tłumaczenie, że uczony nasz jest przepracowany i przeciążony, że sze-

regi jego są zdziesiątkowane i niezdolne wydobyć z siebie większych efektów.

Klasa robotnicza Polski powojennej nie była ani liczniejsza, ani bardziej wypoczęta, niż klasa robotnicza Polski przedwrześniowej, a jednak znalazła w sobie rezerwy i to jakże potężnych sił, rezerwy sił, które dzisiejszej gospodarce polskiej nadały dziesięciokrotne przyspieszenie. Znalazła je w energii, która ulegała rozproszeniu na bezrobocia, na strajki, na nieskoordynowane i niepotrzebne wysiłki, na niekarność pracy i jej bezplanowość. Znalazła je w energii, której nie umiał skupić wczorajszy ustrój pracy.

Dokładnie takie same rezerwy marnującej się energii tkwią w nauce polskiej. Tkwią one w nie skoordynowanych i bezcelowych wysiłkach, w nie wyzyskanej energii pracowników czekających na kierowniczą inicjatywę, w marnujących się kadrach nauki i w ich entuzjazmie, gaszonym na bezdrożach nie pokierowanego wysiłku.

Nie zmobilizujemy tych rezerw, jeżeli nie przyswoimy sobie socjalistycznych metod pracy. Nie zmobilizujemy tych rezerw, jeżeli będziemy się wysilać, a nie nauczymy się naszych wysiłków całkować, całkować w skali i obszarze naszych zakładów, naszych instytutów, naszych ośrodków naukowych i w skali ogólnonarodowej. Nie zmobilizujemy tych rezerw, jeżeli nasza własna twórczość przysłaniać nam będzie troskę o twórczość narodową. Nie zmobilizujemy tych rezerw, gdy nie nauczymy się patrzeć na naukę nie z jej wnętrza, ale z zewnątrz, ze społecznego układu odniesienia.

Trzeba, aby uczony, zapatrzony w swoją własną, indywidualną twórczość i twórczość swego najbliższego otoczenia, przestał się upajać przeświadczeniem, że jego praca jest społecznie pożyteczna. To samo mógł przecież o sobie powiedzieć także robotnik pracujący w kapitalistycznym systemie pracy. Trzeba, aby uczony zrozumiał, że jego brak zainteresowania dla uspołecznionego systemu własnej pracy jest społecznie szkodliwy, gdyż nie pozwala z nauki narodowej wydobyć tego potencjału energii, jakiego żąda od nas chwila, wymagająca najwyższego napięcia sił potrzebnych do walki o najwyższe nasze cele, o pokój i przyszłość narodu.

WACŁAW BOROWY

O DZIENNIKACH MŁODZIEŃCZYCH ŻEROMSKIEGO [1] (1882 — 1883)

Wiadomość o dziennikach Stefana Żeromskiego nie jest nowa. Opowiadali o nich niektórzy znajomi pisarza, w druku ukazała się w książce St. Piołun-Noyszewskiego — *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*, 1928, gdzie czytamy o „pamiętniku", notowanym „codziennie" (s. 109), i o tym, że „pamiętniki kreślone [...] piórem bezwzględnej szczerości, pisane były tylko dla siebie" (s. 4). Stamtąd też wiadomo było, że „Pamiętniki swe autor *Popiołów* pisał krótko i tylko w latach młodzieńczych" (s. 4), że „jest ich zeszytów kilkanaście, kreślonych z młodzieńczym entuzjazmem i ogromną, zwykłą Żeromskiemu starannością zewnętrzną. Są tam i próby literackie i uczniowskie, pełne idealizmu erotyki i powklejane listy" (s. 4). Stamtąd też pochodzi wiadomość (s. 113), że dziennik swój Stefan Żeromski w latach późniejszych pozostawił w Kielcach czy w Kieleckiem, przypuszczalnie pod opieką macochy (zob. list pisarza tamże cytowany na s. 114), że „przez lat dziesiątki oparł się on zniszczeniu", przechodząc niewiadome koleje (s. 113), aż wreszcie wypłynął z zapomnienia na pewnej pensji żeńskiej w Kielcach, gdzie się stał lekturą dorastających dziewcząt. Dzięki interwencji Noyszewskiego i p. Marii Albrechtowej (s. 114) pisarz odebrał stare zeszyty „z rąk tak mało dyskretnych", „rąk iście kieleckich", jak półgniewnie, pół-

[1] Tekst niniejszego artykułu oparty jest na brulionowym szkicu odczytu, wygłoszonego przez W. Borowego dnia 22 V 1950 r. w Tow. Nauk. Warsz., Wydz. I — o dwóch pierwszych tomikach *Dzienników* St. Żeromskiego, które W. Borowy w ostatnich miesiącach swego życia przygotowywał do wydania krytycznego. Redakcja obecna, powstała na podstawie owego brulionu, zachowuje świadomie „mówioną" formę odczytu. — *Jerzy Kądziela.*

żartem pisał dnia 30 grudnia 1912 r. (bo wtedy rzecz się działa). Taka jest *Wahrheit*, którą wyczytać można u Noyszewskiego, przymieszana u niego z jakąś dozą *Dichtung*, o czym zresztą ostrzega jego styl. „Witał je" (dawne pamiętniki) — czytamy u niego (s. 4) — „wielki pisarz z rozrzewnieniem, jak wiernych, powracających przyjaciół". Pisząc swoją książkę, Noyszewski nie miał pamiętników do dyspozycji i nie podał wiadomości, co się z nimi stało, acz miał wiadomość, że pisarz „pamiętnika, po odebraniu z Kielc, nie zniszczył", a tylko „wyrwał zeń niektóre karty, których nie chciał nikomu przekazywać" (s. 114); informował tylko, że „dzisiaj są [one] z natury rzeczy niedostępne" (s. 4).

W r. 1947, kiedy można było przypuszczać, że pamiętniki Żeromskiego, jak tyle innych rękopisów i książek w Polsce, poszły z dymem, dostałem od kogoś (już dziś nie pamiętam, od kogo) wiadomość, że cały ich zbiór znajduje się w Dziale Rękopisów Bibl. Narodowej. Rzeczywiście, kiedym się tam zgłosił, pokazano mi 14 tomików formatu małego zeszytu szkolnego, ale dosyć grubych, oprawionych w liche, zniszczone, czarne płótno i zapełnionych starannym, kaligraficznym, tak pamiętnym każdemu, kto się z nim zetknął, pismem Żeromskiego. Pewnych etapów historii rękopisu nie podobna było wtedy ustalić. Było rzeczą jasną, że wpłynął do Bibl. Narodowej w czasie okupacji niemieckiej, ale bez żadnego śladu w zachowanych aktach i inwentarzach (co w warunkach okupacyjnych nie było dziwne). Potem najoczywiściej był z innymi wybranymi zasobami Biblioteki Narodowej wywieziony — bodaj do Austrii — i po skończonej wojnie *via ZSRR* wrócił na dawne miejsce. Ówczesna dyrekcja Biblioteki Narodowej nie wyobrażała sobie, żeby rękopis nie był własnością instytucji. Wobec tego zwróciłem się do niej z prośbą o umożliwienie mi naukowego opracowania dokumentu, ewentualnie przygotowania go — w całości lub częściowo — do publikacji. Dyrekcja wyraziła na to zgodę na piśmie, a ustnie zgoda ta została potwierdzona przez nowego dyrektora Biblioteki Narodowej. Na podstawie tej aprobaty przystąpiłem do pracy.

Z postępem dopiero normalizacji życia w Warszawie ujawniły się brakujące ogniwa historii. Okazało się, że dzienniki Żeromskiego znajdowały się w rękach najbliższej rodziny pisarza i przez nią zostały za okupacji w Bibliotece Narodowej zło-

żone, ale tylko w charakterze depozytu. Dyrekcja, stwierdziwszy to, poprzednio wydaną mi aprobatę naukowego opracowania i publikacji zawiesiła. Sprawa ogłoszenia dzienników została uznana za dyskusyjną, bo sam autor, jak się okazało (nie przewidując techniki przyszłych wojen i rozmiarów ich zniszczeń), wyrażał przekonanie, że tekst ten nie powinien być ogłoszony przed upływem półwiecza od jego śmierci. O tym zastrzeżeniu pisarza mówi i Noyszewski (s. 4). (Analogiczną granicę wyznaczyli w swoim czasie — o wiele lat wcześniej!—Goncourtowie dla publikacji swoich poufnych *journaux)*. Wszelako od spadkobierczyń poety uzyskałem zgodę (za którą jestem im wdzięczny) na przedstawienie w zamkniętym gronie naszego Wydziału charakterystycznych wyjątków z opracowanych już częściowo pierwszych dwóch tomików i uwag, jakie mi ta lektura nasunęła.

*

Mamy przed sobą dwie niedużego formatu, ale pękate książeczki, obejmujące zapiski z roku szkolnego 1882 — 1883 (ściśle: od 19 V 1882 do 1 IX 1883). Takich książek używało się w gospodarce folwarcznej na podręczne zapiski: na tymczasowe obliczanie krescencji, omłotu zboża czy na kontrolę obory. O zupełnie odmiennym przeznaczeniu tych tomików ogłaszały już wstępne karty. *Verso* pierwszej w pierwszym tomie czytamy po grecku wypisaną dewizę Sokratesa: Γνωθι σεαυτον! Bliższy autor patronuje stronicy frontowej:

> Dzienniczek taki będzie jakby stróżem każdego kroku, będzie rozwijał myśl i kiedyś w starości przedstawi obfity materiał do zaczerpnięcia i przypomnienia tysiąca faktów z szczęśliwych lat młodości. (Motto z lekcji A. G. Bema).

I oto pierwszy nurt „dzienniczka" (taki zdrobniały tytuł noszą wstępne karty obydwu tomików): stosunek pomiędzy uczniem a nauczycielem — niezwykły uczeń i niezwykły nauczyciel! Żeromski kończy 14 X 1882 r. osiemnasty rok życia. Zapóźniony w nauce gimnazjalnej (bo i pierwszą i drugą klasę powtarzał), przechodzi dopiero do klasy szóstej; mimo zewnętrznej pilności (siedzi na pierwszej ławce i w ciągu roku jeden tylko dzień nauki opuszcza), ze względu na wiek swój niezbyt dobrze jest widziany na ogół przez nauczycieli, przez niektórych zdecydowanie źle; rzeczy-

wiście, w kilku ważnych przedmiotach szkolnych nie wykazuje szczególnych postępów, zwłaszcza w matematyce: i z algebry i z geometrii w cenzurze kwartalnej ma dwójki; w innych przedmiotach posuwa się ze zmiennym szczęściem, ale na ogół nieźle; pod koniec roku jednak do niedostatecznych wyników w matematyce dołącza się dwójka z łaciny (może rzeczywiście wskutek uprzedzenia nauczyciela) i okres, tak obiecująco zaczęty, kończy się fatalnie — odmową promocji i koniecznością powtarzania klasy szóstej (kiedy już dziewiętnasty rok życia się zaczął). O losy tej promocji czytelnik „dzienniczka" mógłby się zawczasu niepokoić, bo raz po raz spotyka zapisy świadczące o małym zainteresowaniu czy zniechęceniu do nauki szkolnej. Przyszła chluba szkolnictwa kieleckiego raz po raz na lekcjach czyta książki (dobre zawsze, ale z okazją nie związane) albo pisze własne utwory.

Ale to nie dotyczy lekcyj Bema: historii i języka polskiego. W tych przedmiotach jest uczniem celującym, prowadzi szerokie uzupełniające lektury w ich zakresie, notuje tematy poszczególnych lekcyj, tak że dziś — na podstawie tych zapisek — cały program Bema można rekonstruować. Ale tu działało nie tylko zainteresowanie dla przedmiotu. Działała także indywidualność nauczyciela. Wstęp do dzienniczka jest poprzedzony „kilku wspomnieniami [...] z lat dzieciństwa". Oto naczelne tu zanotowane wspomnienia z trzeciej klasy gimnazjalnej:

> Profesorem języka polskiego naznaczony był wówczas p. A. G. Bem. Od pierwszej lekcji jego, od przeczytania przez niego *Maratonu* Ujejskiego inna epoka, inna era zaczyna się w życiu moim. Odtąd to zacząłem rachować godziny między jedną a drugą godziną jego lekcji...

A oto czwarta klasa:

> Znów mój ukochany profesor na katedrze, znów czyta... ach! czyta, czyta, porywa tym swoim głosem, za którym poszedłbym choć w piekło...

Klasa piąta:

> Porzuciłem wszystko, opuściłem się zupełnie w naukach, gdym usłyszał płody nieśmiertelnych mistrzów naszych, deklamowane przez ukochanego mojego profesora. Cały poświęciłem się tym dwu tygodniowo godzinom, wyczekiwałem ich, Bóg wie z jaką niecierpliwością — i cóż powiedzieć o tym, czym było każde słowo dla mnie, wyrzeczone przez p. Bema?! On był moim ideałem — wyrocznią.

W klasie szóstej stosunki jeszcze się zacieśniają. Uczeń zaczyna ogarniać obszary erudycji nauczyciela, a nauczyciel najwidoczniej zdaje sobie sprawę coraz wyraźniej, że ma do czynienia ze zdolnością, która wymaga właściwego pokierowania. Wie, że Żeromski pisze i traktuje to poważnie. Oto co notuje Żeromski:

> W tymże dniu byłem w domu pana Bema [...]. Mówił mi dużo, dużo, o stanowisku poety w dzisiejszych czasach. Słowacki i Mickiewicz już byli — mówił — trzeba więc albo im dorównać, a nawet przewyższyć ich, bo poeta powinien i musi być koniecznie pierwszym, bo drugim mu być nie wolno i drugim być nie warto!
>
> (26 VII 1882)

Zainteresował Bem ucznia historią sztuki, źródłami historycznymi, *Rukopisem Kralodvorskym* Hanki, zachęcał do tłumaczenia. Zadziwia go wiadomościami (o tym np., że wspominany w rosyjskim podręczniku historii poeta Firdusi właściwie się nazywał Firdehsi i że to wykazał nasz rodak, Józef Kowalewski). Bem ma wtedy lat 34, zasila swoimi studiami, sprawozdaniami i tłumaczeniami naczelne periodyki okresu, a przy tym — nauczyciel z powołania — przeżywa złoty okres zapału pedagogicznego. Ocenia to uczeń. Oto kilka charakterystycznych zapisów dzienniczka:

> Wieczorem przepisywałem sobie ze starych kajetów zrobione jeszcze w klasie czwartej i piątej notatki ze stylistyki i literatury, dyktowane przez pana Bema. Chciałbym zebrać razem całą pakę zasad i poglądów na polach wyżej wspomnianych, wygłaszanych przez pana Antoniego Gustawa, aby po ukończeniu, da Bóg doczekać, klasy ósmej sformować z nich jedną, harmonijną całość. Bądź co bądź będzie to praca dosyć ważna. Postaram się wypełnić ją przykładami i definicjami, mogącymi ułatwić zrozumienie całości.
>
> (4 X 82)

W zapalczywej osiemnastoletniej głowie powstał plan, który sam Bem zdołał zrealizować dopiero po siedemnastu latach w *Teorii poezji* (Petersburg 1899). Bem ocenia zdolność i pracowitość ucznia:

> Pan Bem, przesłuchawszy kilkunastu moich kolegów, zwraca się do mnie i mówi: Panu mogę postawić stopień bez pytań i stawia mi celujący.
>
> (13 X 1882)

Nie zraża Żeromskiego surowe weredyctwo nauczyciela. 3 X 1882 słyszy od niego: „Переводы ваши не удовлетворительны“ i przyznaje:

> Sam czuję nieudolność tych tłumaczeń, gdy porównam je z tłumaczeniem nawet Zaleskiego, choć tamte nie uważane są wcale za wzorowe.

Zżyma się, kiedy Bem oświadcza wobec klasy, 17 X, że Żeromski „pisze źle, jak pod względem gramatycznym, tak i stylistycznym“. Dodaje:

> Bóg wie, ile mi ta lekcja sprawiła boleści! Miłość własna moja z najdotkliwszej strony zadraśniętą była, przyznaję [...]. Ale mniejsza już o to! cierpieć trzeba, to trudno!

Wrażenie stopnia celującego bez pytania jest potężne:

> Boże mój, Boże! Jakże ja muszę pracować, aby tej jego ufności, położonej we mnie, nie zawieść! Tak i do grobowej deski trzeba tak żyć i tak pracować, aby nie zawieść nadziei mego prototypu profesora. [...] Bóg tylko chyba, co mię na wielkiego człowieka wyprowadzić pragnie, postawił mi na drodze życia taki drogowskaz!
>
> (13 X 1882)

I oto jesteśmy na głębszej wodzie dziennika. Bo oczywiście głównym jego celem nie jest dla pisarza upamiętnienie drobnych wydarzeń, ale zastanowienie się nad własnym życiem, rozmyślanie o jego powołaniu, utrwalenie ważnych postanowień, analiza uczuć i konfliktów wewnętrznych. Uwydatnienie poszczególnych nurtów jest tu, oczywiście, trochę sztuczne. Jest jednak w pewnym stopniu pomocne.

*

Już tych kilka zapisów starczyć może za dowód, że mamy tu do czynienia z dziennikiem wybitnie lirycznym. Ale równocześnie dziennik ten daje świadectwo swojemu autorowi jako naturze systematycznej, mającej zmysł szczegółów realnych, lubującej się w dokładności i porządku. Dowodzą tego zwłaszcza te ustępy, które składają się na n u r t s z k o l n y dziennika (że będę kontynuował system upraszczających wyodrębnień). Już z początku roku szkolnego (13 IX) notuje Żeromski w dzienniku spis kolegów — naprzód ogólny, potem według

uzdolnień i upodobań. Nieco później (9 XI) robi spis profesorów, który jest dla nas pouczający — dużo wśród nich Polaków.

Oto trochę zapisów czysto szkolnych:

> Na lekcji religii opowiadałem o rozszerzeniu pierwiastkowego Kościoła, mianowicie o działalności św. Pawła. Mówiłem dobrze, zdaje się, że dostałem 4. Mówiłem też i z łaciny i dostałem — 2. Sprawiedliwie, bardzo sprawiedliwie, bo wczoraj uczyłem się tylko religii i greckiego, o łacinie zaś nie pomyślałem nawet.
>
> (26 IX 1882)

Szkoła kielecka nie była jeszcze „rusyfikatorską katownią dusz polskich“, jak ją przedstawia (s. 81) w swoim kliszowym języku Noyszewski. Miała się stać czymś takim dopiero. Zmiany pozwala nam śledzić dziennik.

> Po zniesieniu kilku ze świąt katolickich, kazano nam obchodzić święta prawosławnego obrządku. Dziś właśnie przypadł jeden z dni takich — świętujemy więc.
>
> (27 IX)

Ale Bem uczyć może historii stosunkowo swobodnie:

> W nocy od 8 do 1 pisałem ćwiczenie polskie pt. *Władysław II i Mieczysław III Stary — dwie pokusy samowładcze w rodzinie Bolesława Krzywoustego*.
>
> (9 X)

Bezpodstawne krzywdzenie uczniów — Polaków już się jednak zaczyna:

> ...pan Bem zawołał mię i powiedział pod sekretem, że jeden z profesorów, mianowicie pan Matulewicz, profesor łaciny, zrobił to, że postawiono mi 4 ze sprawowania. Jedynym powodem do tego było to, że panu M. nie podobał się „ponury wyraz mej twarzy“, z czego szanowny profesor przyszedł do wniosku, że muszę się źle prowadzić.
>
> (25 X)

Niemniej charakterystyczny jest incydent z jasnymi spodniami:

> Stoję ja sobie na korytarzu, gdy wtem pędzi dyrektor. Nie obejrzałem się jeszcze, gdzie by uciec, gdy wtem ten postrach nas wszystkich wpada na mnie i... wymyśla mię; o co?... O to, że noszę jasne spodnie. Śmiać mi się zachciało — i uśmiech jakiś szyderczy wydostał mi się na usta. Zauważył to dyrektor i wpadłszy nagle na mnie powtórnie woła: Я г ы ввасню, я гас выгоню! если вы будете смеяться над директором!
>
> (17 XI)

Rychło jednak stosunek do polskości zmienia się na gorsze. Następuje zmiana programu języka polskiego:

> Ha! Głaskają nas moskiewscy bracia! Dziś na przykład wchodzi p. Bem na lekcją polskiego i ogłasza postanowienie kuratora: z języka polskiego mamy na każdą lekcją tłumaczyć wyjątki z wypisów Dubrowskiego (części trzeciej). Co się zaś tyczy literatury — to ograniczać się ona ma konspektem, który układać mają uczniowie z wykładów profesora. Profesor zaś ma opowiadać uczniom po rosyjsku treść dzieł autorów polskich. Profesor mówić powinien po rosyjsku na lekcji koniecznie. Główną część ma stanowić tłumaczenie, a podrzędną tylko literatura. Nędznicy, szelmy!
>
> (24 XI)

Wykonanie tych zmian kilkakrotnie kontroluje dyrektor na lekcjach A. G. Bema. Jedynie jeszcze na lekcjach religii rozbrzmiewa język polski, a ks. Czerwiński, prefekt gimnazjum, odważnie mówi o współczesnych „Julianach Apostatach" (4 XII).

Z uciskiem narodowościowym łączy się ucisk religijny w szkolnictwie zaborczym. Charakterystyczny jest tu opis wydalenia pierwszego unity ze szkoły:

> Dwa tygodnie temu wypędzono z gimnazjum ucznia klasy piątej, Adama Ulanickiego, za to, że jest unitą. Dyrektor wszedł do klasy i zawołał: Уляницкий! или идите на урок Закона Божия пр православному обряду, или вон из гимназии. В русском государстве следующия религия: православная, католическая, еврейская магометанская, лютеранская и протестанская вообще — но никакой униятской религии нетъ! Если хотите, можете себе поезжать в Австрию, но здесь для унията места нетъ! Biedny chłopak zabrał książki i poszedł — napisał list do rodziców, co ma robić, a gdy ci dali mu odpowiedź, by się nie ważył przechrzcić — pojechał do domu.
>
> (14 XII)

Oprócz tego jest w dzienniku wiele spostrzeżeń dotyczących zwykłych spraw szkolnych, takich jak imieniny profesorów (18 XII Czarneckiego i 13 VI — Bema), zakaz dyrektora deklamacji na koncercie filantropijnym (12 XII), koncert amatorski w dniu galówki (10 III), piękne czytanie komedii Gogola przez Naruszewicza, nauczyciela języka rosyjskiego (31 X), orkiestra uczniowska (1 XI) oraz opisy incydentów na lekcjach geometrii (11 II), łaciny (11 II) i w kościele (1 II i 4 IV), a przede wszystkim własnych niepowodzeń w rozmaitych umiejętno-

ściach szkolnych (22 XII, 17 III, 18 IV, 16 V). W rocznicę zaczęcia dziennika (19 V 1883) pisze Żeromski: „Nadzieja nawet zniknęła“ [na promocję]... Ma poczucie ogólnego osamotnienia. Ojca tyle razy zasmuconego raz jeszcze trzeba zasmucić! Matka w grobie. Bem niekontent...

Zamyka drugi tomik lista nowych kolegów i nowego zespołu nauczycielskiego.

Wobec zniszczenia Archiwum Oświecenia i tylu archiwaliów prowincjonalnych, dziennik Żeromskiego jest dokumentem wprost bezcennym do historii szkolnictwa w Królestwie Polskim w ostatniej ćwierci XIX wieku. Mało szkół polskich jakiegokolwiek okresu może się wykazać dokumentami tak (przy autentyczności) barwnymi i żywymi. Podobnie mało nauczycieli polskich mogłoby się wykazać takimi uczuciowymi monografiami jak A. G. Bem w tym dzienniku.

*

Obok nurtu szkolnego łatwo wyodrębnić w dzienniku n u r t k i e l e c k i. Oto mamy tam relację o przyjeździe do Kielc magnetyzera (26 V 1882). Często wspomina pisarz o koncertach (Friderici-Jakowicka, 22 IX), przedstawieniach teatralnych (nawet *Halka* jest wystawiana 14 IV) i gościnnych występach Wincentego Rapackiego (m. in. w *Kupcu weneckim* Shakespeare‘a 8 V 1883) i innych artystów. Znajdujemy tu opis wieczorów towarzyskich i zabaw, spacerów na Karczówkę i spotkań w parku miejskim. Znamienna jest notatka o jednym z kolegów Żeromskiego, który nosi książki patriotyczne robotnikom litewskim, zatrudnionym przy budowie kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Jest Żeromski świadkiem przemianowania kolegiaty kieleckiej na katedrę i ingresu biskupa Kulińskiego (17 VI 1883) i opisuje to zdarzenie szczegółowo.

Ponadto w dzienniku spotkać można charakterystyki różnych wybitnych postaci z miasta i przyjezdnych. Np. biskupa Wnorowskiego, byłego wygnańca do „Wielikawo Ustjuga“; Mariana Troczewskiego, który szukał szczęścia w głębi Rosji i tam — wskutek zmiany warunków — ociemniał (16 VI 1883). Albo dr Romuald Łatkiewicz, „przybyły [...] z Baku kaukaskiego“ (19 VIII 1882). Znajdują się tam także charakterystyki rodzin kolegów i nauczycieli. Wiele jest przelotnych, krótkich

opisów spotkanych osób. Odznaczają się one na ogół wielką trafnością, np. poznana w czasie świąt „panna Apolonia [...] dosyć przystojna, lecz nadzwyczaj romansowa dama. Ściskała mnie za ręce przy pożegnaniu, aż trzeszczało“ (21 XII).

Wspomina też kilkakrotnie swoje wizyty w księgarni Goldhaara, w której m. in. herbarz Niesieckiego znaleźć można (18 XI). Kilka ustępów jest poświęconych G a z e c i e K i e l e c k i e j, do której młody literat kołace ze swoimi nowelami, listami otwartymi, przekładami. Jej redaktor, Stanisław Sienicki, okazał się bardzo krytyczny w przyjmowaniu tych utworów, ale młodego autora nie zniechęca; owszem, proponuje mu przysyłanie korespondencyj. Żeromski zaś dziwi się (5 XI), że redaktor śpi jeszcze o godzinie dwunastej.

*

Trzymając się przenośni nurtów pamiętnikowych obok nurtu szkolnego i kieleckiego można wyodrębnić — równie obiektywny jak one — n u r t c z y t e l n i c z y. Dziennik Żeromskiego jest w części lirycznym, ale w całości bardzo rzeczowym dziennikiem lektury i pierwszorzędnego znaczenia dokumentem literackiego wychowania pisarza.

Najdawniejsze jego wspomnienia są złączone ze wspomnieniami czytania:

> Od dzieciństwa, od lat ośmiu wieku mojego zapamiętałem treść *Córy Piastów*, którą matka czytała. Dziś jeszcze jak na jawie widzę śp. matkę moją czytającą, słyszę — zda mi się — głos jej drżący...

Ze znalezionego starego pamiętnika Żeromski robi sobie dłuższe wypiski (4 IX 1882). Ogromne wrażenie wywiera na niego lektura *Grobu Agamemnona* i innych rzeczy Słowackiego (5 IX). Ze Słowackim miesza się Draper *(O rozwoju umysłowym Europy)* w tłumaczeniu Korzona. Czyta wiele powieści Kraszewskiego, m. in. *Dziś i lat temu trzysta*, *Łza w niebie*, *Szaławiła*, *Podróż do miasteczka*, *Sfinks*, *Powieść bez tytułu*. Jednego dnia (5 X) przeczytał Sztyrmera *Frenofagiusz i Frenolesty* i *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego. Sąsiedztwo innych lektur jest też raczej przypadkowe: Jokai — *Czarne diamenty* (30 IX), Syrokomla — *Margier* (7 X), *Dumki* Szewczenki (9 X), rozprawy Libelta (m. in. *O odwadze cywilnej*, 26 X),

Wspomnienia lat ubiegłych Goczałkowskiego (28 X), artykuł rosyjski o powstaniu 1831 r. w Историческом Вестнике (30 X), rosyjska rozprawa o Słowackim (31 X). Oto ich (niekompletne) zestawienie z jednego miesiąca.

Przy niektórych lekturach nasuwają się Żeromskiemu uwagi krytyczne. Po przeczytaniu *Murdeliona* Kaczkowskiego (po rosyjsku) notuje:

> Coś nienaturalnego, coś strasznie niewyraźnego w powieści tej i nic więcej. W ogóle myśli żadnej wydatniejszej nie dostrzegłem.
>
> (6 XI)

Doktryny ultramontańskie ks. Stojałowskiego — to „przecudna broszurka" (10 XI). Po lekturze Krasińskiego, zwłaszcza *Agaj-Hana*, pisze (14 XII): „Odurzony jestem i nieswój. Czuję małość moją!" W dzienniku znajdują się potem ogromne wypisy z *Nieboskiej komedii*, ze *Snu Cezary*, z *Irydiona*, a przede wszystkim w całości niemal przepisane *Psalmy*.

Faust pisarza nie zachwycił; pisze o nim (22 I):

> Nie zachwyciło mię to [I cz. *Fausta*] jednak tak, jakem się spodziewał. Jest tam poezji wiele, prawda, ale jest i szyderstwa, krytyki, bajki i chęci wykazania erudycji wiele.

Czyta potem *Niewiastę polską* Wójcickiego, w której szczególnie zachwycił go „wyjąteczek z Karpińskiego" (25 II). Z tomu Gogola, który pożycza od kolegi, wyróżnia fantazję pt. Утопленица. Swój zachwyt po przeczytaniu pierwszych nowel Sienkiewicza tak wyraża (28 II): „Czytałem — nie, ja pożerałem te cudne powieści, tę poezję cudowną... [...] Jestem, jak oczarowany!" Zachwyt ten nie słabnie z biegiem czasu. 19 III czytamy:

> Po przyjeździe czytałem *Janka muzykanta* Sienkiewicza. Później *Stary sługa* i *Hania*. Od zmysłów odchodziłem, doprawdy, w zachwycie. Cóż to za geniusz! *Hania! Hania!* — arcydzieło!

Następnego dnia czytana powieść Eksteina *Klaudiusze* (tłumaczona przez Jadwigę Zeitheim, stryjeczną siostrę macochy) wywołuje uznanie dla erudycji autora, ale „ani w setnej części nie sprawiła [...] ta trzytomowa powieść takiego wrażenia, jak powiastka Sienkiewicza". *Historia rewolucji w r. 1794* Zajączka spotyka się z przychylną oceną za „bezstronność, patriotyzm bez uniesień" i kierunek republikański

(12 V 1883). Do Sienkiewicza wraca młody Żeromski często. Z okazji lektury *Listów z podróży* pisze (31 V 1883):

> Sienkiewicz, jak zawsze, zachwyca mię. Co za styl wściekły: raz śmieje się sam z siebie i drugich, a drugi raz tak serdeczną łzą zapłacze, że płakać z nim musisz koniecznie...

Odnalezione w starym pamiętniku wyjątki z dramatu poety angielskiego Chattertona pobudzają go do płaczu (1 VI 1883). 8 VI 1883 znów zachwyca się *Nędzarzami* W. Hugo. Natomiast lektura Słowackiego: *Kordiana, Beniowskiego* i *Ks. Marka* — jest odnotowana bez uwag (21 i 22 VI 1883). *Widma* Orzeszkowej gani, jest to według niego (24 VII 1883) „karykatura wzniosłych idej".

Oprócz książek, które wywołały w Żeromskim silniejszy rezonans, mnóstwo jest oczywiście takich, które chłonął pośpiesznie, odnotowując tylko tytuły. Zestawienie ich może dać nam wyobrażenie o rozległości i różnorodności tych lektur. Czytał więc, poza wymienionymi, jeszcze następujące książki: *Pamiętniki* Leona Dembowskiego, *Franciszek z Assisu* Syrokomli, *Antoni Malczewski* Henryka Merzbacha, *O zmroku* i *Wybrana* Pieńkowskiego, *Kościuszko pod Racławicami* Lasoty, *Zygmunt Ławicz* Orzeszkowej, *Dziecię wieszczek* Heysego, *Poezje* Garczyńskiego i Ujejskiego, *Historia literatury polskiej* Kuliczkowskiego, *Quincunx* Orzechowskiego (w oryginalnym wydaniu z r. 1564), kilka powieści Jokaja, m. in. *Synowie, Człowiek o kamiennym sercu, Czarne diamenty* (trzykrotnie), Falkensteina życiorys Kościuszki, Smilesa *O charakterze* i *Pomoc własna*, Kaczyńskiego *O przyjaźni*, powieści Kaczkowskiego, Dzierzkowskiego (m. in. *Lekarz magnetyczny), Rok 93* W. Hugo, *Polska w pieśni* Deotymy (źródło dłuższych notat), *Dersław z Rytwian* Jeża i inne. Ponadto czytał Żeromski liczne artykuły w pismach (Biblioteka Warszawska, Ateneum, Tygodnik Ilustrowany, Kłosy, Kraj) np. o frenologii, o historii, śledził aktualne polemiki Lewentala z Wiślickim itp.

Intensywność wrażeń czytelniczych Żeromskiego rosła pod wpływem emocjonalnych wartości lektur i ich walorów etycznych. Sam tak o tym pisał: „Bóg zsyła mi książki przez ludzi natchnienia i cnoty pisane" (2 VII 1883).

*

Ciekawszy może od innych jest dla nas w dzienniku nurt twórczości literackiej Żeromskiego. Pierwszy wiersz Żeromskiego, *Na zwaliskach św. Krzyża*, powstał w czwartej klasie. Wiersz ten pokazano Bemowi.

> Za nim poszedł drugi, *Na mogile matki*, itd. i odtąd zaczęła się ta szczęśliwa czy raczej nieszczęśliwa era życia mojego, w której tyle doznałem szczęścia i radości i tyle nieraz rozpaczy i boleści...
> (Wstęp do dziennika)

Wkrótce Żeromski doznaje po raz pierwszy radości ujrzenia swych utworów w druku. Jan Kanty Gregorowicz, literat warszawski pisujący pod pseudonimem Janek z Bielca, a podówczas redaktor Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci, przyjmuje do druku dwa wiersze St. Żeromskiego: *Piosenka rolnika* i *Pragnienie* (z Lermontowa). Inne utwory odrzuca, acz nie bez pochwał. Na nadesłane później dramaty odpowiada listem, w którym radzi młodemu autorowi uczyć się i czytać wiele, ale z pisaniem wstrzymać się jeszcze. A oto wyznanie własne Żeromskiego z tego powodu:

> Wszyscy radzą jedno: i mój ukochany profesor [...], i ten w końcu poczciwy starzec, który raczył spracowaną swą rękę trudzić dla mnie [...]. Ale nie pisać [...] nie mam siły!
> (15 IX 1882)

Istotnie, w następnych zapisach pamiętnikowych znajdujemy ciągle wzmianki o nowych pracach literackich. Przekłada Żeromski *Klasztor św. Urszuli* i inne powiastki Woskriesieńskiego z myślą o Gazecie Kieleckiej, tam jednak zostają odrzucone. Pod wpływem Bema zabiera się do tłumaczeń pieśni lirycznych z *Rękopisu Królodworskiego* Hanki, jednak tłumaczenia te okazują się słabe, co przyznaje Bemowi ich autor: „Nie miałem słownika i kierowałem się tylko rozumem, nie mogło więc nic dobrego się wywiązać" (3 X). Marzy o *Powiastce bez tytułu*, gdzie chce „wystawić los poety" (10 X) i marzenia te rychło realizuje. Przekłada z rosyjskiego *Życiorys Andrzeja Zamoyskiego* Mikołaja Berga i oddaje go do oceny Bemowi; Bem „popodkreślał trochę — niecałe nawet przeczytał" (23 XI). Swój zachwyt dla Tarasa Szewczenki wyraża m. in. tłumaczeniem jego dumki (11 XI). Systematyczny spis dotychczasowych utworów według klas gimnazjalnych (20 XI) wykazuje już 37 pozycji oryginalnych i tłumaczonych.

Niedługo potem powstają nowe utwory: dramat *Popieliszcze*, *Szkic niewyraźny*, recenzja wypisów Dubrowskiego (odrzucona przez Gazetę Kielecką, 11 XII) i inne. Jednocześnie przyrostowi twórczej aktywności towarzyszą rozmyślania teoretyczne na temat znaczenia nauki, wspólnej drogi nauki i poezji (echo poglądów Bema) i wieloma niepowodzeniami wywołane postanowienie pisania tylko dla siebie (14 XII). A natchnienie nie słabnie. Ledwie skończył powieść i dramat, znów pisze „fantazję poetyczną“ *Z cieniów katakumb* (3—10 I). Coraz częściej też zainteresowania Żeromskiego przenoszą się z własnych przeżyć psychicznych na tematykę historyczną. Projektuje stworzyć wielki dramat historyczny *Cola di Rienzi*, „co by imię moje unieśmiertelnił“ (20 I), potem projekt ten przekształca się w trylogię dramatyczną (z *Savonarolą* i *Janem Husem*). Podejmuje w tym celu przygotowawcze lektury, m. in. czyta Cezara Cantù. Rzeczywiście 14 II kończy *Rienziego*, 15 II zaczyna *Savonarolę*, którego kończy 22 II. Obydwa te dramaty ocenia „świetnie“ p. Wielowiejski (1 IV). Zaraz potem (27 II) zaczyna „fantazję poetyczną *Nostalgia*“, którą dokończył 3 III. Równocześnie nie zaniedbuje zabiegów w celu wydrukowania tych utworów. Przesłany do Gazety Kieleckiej artykuł aktualny o teatrze Sienicki odrzucił, „dobrze zrobił“ — komentuje to Żeromski (25 I). Wybór swoich wierszy posyła do Liry Polskiej (23 II), na co otrzymuje grzeczną odpowiedź Lesmana i cztery tomy wydawnictwa.

Szczególnie poważne zadania miał w tym pierwszym okresie młodzieńczej twórczości Żeromskiego — Bem, który najwięcej utworów dostawał do oceny. Zdawał on sobie z tego w pełni sprawę. Otacza Żeromskiego troskliwą opieką, dyskutuje z nim na temat jego utworów na lekcjach i na spacerach, a dla swobodnej pogawędki zaprasza go nawet do domu. Od razu też widzi, że ma do czynienia z talentem. Po kilku próbach mówi o tym wyraźnie Żeromskiemu: „pan będziesz pisał“, ale jednocześnie nalega na zwiększenie pilności w innych przedmiotach:

> Kochany Stefanie! Zajmuj się literaturą, pisz obrazki historyczne — ale głównie ucz się łaciny i matematyki. Nie skończywszy uniwersytetu, poeta nie dojdzie do żadnych celów.
>
> (24 II)

I uczeń, nad wiek rozwinięty, zdaje sobie sprawę ze swych zdolności i szykuje się poważnie do zawodu literata: „Smutek

mię trapi, gdy wspomnę na moją przyszłość; czeka mię praca z pióra... Ale niech i tak będzie" (20 III). Tymczasem zaś czytamy: „Pisałem na francuskim moją powiastkę *Z natury*" (9 III).

Ale nie tylko pozytywistycznymi ideami potrafi Bem karmić swego wychowanka. Oto pod datą 20 III czytamy: „Marzę [...] o nowej powieści mojej, która będzie uwieńczeniem mych respublikańskich zapatrywań się na świat". „Wyprowadzę tam ubóstwianą moją ideę, socjalizm, w całej pełni" — dodaje 1 IV. I mimo że z Bemem nie zawsze jest dobrze (np. 5 IV), jemu to poświęca swoją nową powieść. „Jest to najpierwsza obszerniejsza moja praca, malująca moje dążności i kierunek respublikański, jaki on we mnie rozbudził" (6 IV). Powieść ta pisana była z natchnieniem niezwykłym, rychło też została wykończona i oddana do oceny Bemowi. Dała ona asumpt do zasadniczej ideowej i literackiej rozmowy z Bemem w jego mieszkaniu. Bem ostudza „zapały socjalistyczne" młodego Żeromskiego, wykłada mu minimalistyczny program narodowy, deklaruje się jako akatolik i „cichy wielbiciel" Żelabowa i towarzyszy, gani dewizę z Sienkiewicza („do rządzenia światem i do wywierania potężnego wpływu na całą ludzkość, człowiek najzdolniejszy jest pomiędzy 18 i 23 rokiem życia") i wiersze pomieszczone w powieści, chwali natomiast talent powieściopisarski Żeromskiego, wskazując jednakże na kilka niekonsekwencji w charakterystyce postaci i na brak wykończenia, staranności, choć styl mu się bardzo podoba.

Jednak inne próbki utworów Żeromskiego (zwłaszcza wiersze) trudno byłoby za styl pochwalić. Niepospolita chłonność i mimetyzm stylu — to jedyne określenie, jakie się tu nasuwa. Po przeczytaniu poezji Ujejskiego zaraz mamy wiersz *à la* Ujejski (*Śród stepów Sahary*, 15 III). Poemat wyrażający ideały „respublikańskie" pt. *Sen* pisany jest znów w formie Krasińskiego (14 IV). Liczne wiersze do Heleny i o niej (12, 13, 15, 16, 19 IV, 7, 8, 13 V, 14 VI) są nieraz przepełnione wyraźnymi reminiscencjami z równoczesnych lektur. A systematyczność i tu poety nie opuszcza! Wszystkie wiersze „do Heleny" przepisuje on do jednego kajetu, poświęconego Tomciowi Ruśkiewiczowi.

Kołatanie do Gazety Kieleckiej kończy się wizytą u jej redaktora. Sienicki „przyjął [go] bardzo grzecznie, udzielił wielu rad" (15 IV), prosił o powiastki do przejrzenia i o ko-

respondencje ze Św. Krzyża, gdy wyjedzie na święta, w powieści radził zmienić kilka jaskrawych obrazów. A tymczasem młody pisarz nie ustaje w twórczości. Marzy o dramacie historycznym z czasów Ukrainy (11 V 1883), pisze powiastkę *Antek* (9 V), zbiera wiadomości o spisku Ściegiennego do nowego utworu (20 VII), zaczyna nową powieść „z okolic naszych“, *Fragment z fragmentu* (o r. 1863, — 7 VIII 1883), pisze *Elegię* (8-stopowiec trocheiczny) w dniu 15 VIII 1883 itd.

*

N u r t p r z y j a ź n i i k o l e ż e ń s t w a w pamiętniku nie jest bogaty. żeromski był naturą raczej samotniczą, żył własnymi marzeniami i wrażeniami z lektur. Ale i w tym zakresie spotyka się charakterystyczne wyznania.

Najwcześniejsza jest przyjaźń z Edkiem Łuszczkiewiczem, kolegą szkolnym. Łączą ich długie spacery na Karczówkę, błądzenie po polach i zwierzenia:

> Czy kto może zrozumieć radość, ogarniającą serce, wtenczas, gdy się spotyka serce, które jedno umie zrozumieć to, co uwielbia drugie. Jednego człowieka, co myśli jak ja, co przynajmniej nie wyśmieje? O, to rozkosz, to szczęście prawdziwe.
>
> (19 V 1882)

Niedługo potem Żeromski związuje się bliżej z Wacławem Halikiem, innym kolegą, też piszącym „bajronowskie“ wiersze, którego dokładną charakterystykę zapisuje pod datą 3 IX 1882. Opisuje tam incydent, jaki wydarzył się w szkole, kiedy to Bem na oczach całej klasy podarł zeszyt z dekadenckimi wierszami Halika. Obok tych dwóch przyjaciół często wspominany jest jeszcze Oktawian Bilczyński, kolega szkolny, uzdolniony śpiewak i muzyk. Żeromski chwali kilkakrotnie jego solowe występy w kościele na mszy uczniowskiej.

Z dziennika widać wyraźnie, że Żeromski, mimo iż jest samotnikiem i przyjaciół nie szuka, cieszy się uznaniem i poważaniem wśród kolegów. Kiedy uchwalają składkę na niezamożnego kolegę Łag., Żeromski jest wybrany do zbierania po 15 kopiejek od każdego. Gdy który z nich ma kłopoty sercowe, przychodzi wyspowiadać się Żeromskiemu: „Mnie się spowiawiadają wszyscy, a ja, ja nikomu!...“ (26 XI).

Wkrótce i te nieliczne przyjaźnie z Edkiem Łuszczkiewiczem i Wackiem Halikiem wygasają.

> Tacy dawniej przyjaciele, dziś jesteśmy obojętni prawie nawzajem. O, to nie ten idealny mój przyjaciel, poeta, czysty młodzieniec, kochający piękno, nie! To zepsuty łobuz, dowcipniś, nie, to już nie mój Edek. [...] Halik ma brzydki charakter [...] Jeden tylko Bilczuś, co zawsze moim serdecznym druhem zostaje.
>
> (9 XII)

Nowi przyjaciele pojawiają się ze zmianą otoczenia. Żeromski wyjeżdża na święta do domu i tu poznaje ks. Antoniego Grudzińskiego. „Cóż to za wesoły chłopak" — pisze 23 XII — pokochałem go jak brata. Wykształcony jest bardzo". W okresie świąt wielkanocnych przyjaźń się odnawia. W dzienniku spotykamy znamienne, choć jedyne tego rodzaju wyznanie: „Spiłem się jak sztok dzięki księdzu Grudzińskiemu" (25 III).

Innym człowiekiem, do którego przelotnie zbliża się młody Żeromski, jest kolega Mikułowski.

> Cóż to za poczciwy chłopak. — Sarmata prawdziwy. Silny, a patriota-zapaleniec. Chodzi do Litwinów pracujących przy kolei i rozpowiada im o braterstwie z nami, daje patriotyczne książki. Chłopom podczas uroczystości koronacyjnych otwierał oczy *etc. etc.* Poczciwy!
>
> (22 VI 1883)

O tym jednak, że prawie wszystkie jego zbliżenia przyjacielskie były powierzchowne lub nieudane, świadczy rekapitulacja końcowa. Kiedy bowiem 2 VII 1883 zastanawia się: „Kogo mam przyjacielem?" i wylicza kolejno Bilczyńskiego, bliższych kolegów, p. Bema, p. Karpińskiego — to jednak potem stwierdza:

> ...ale żaden z nich nie jest mną, nie jest drugim „ja". Muszę sobie znaleźć przyjaciela, który by był mi bratem, wodzem, doradcą, pocieszycielem, sędzią.

*

Głębszy w dzienniku jest n u r t r o d z i n n y. Najsilniej przeżył Żeromski śmierć matki:

> Przyszedł dzień 15 sierpnia, [...] dzień dziś dla mnie najsmutniejsze chowający w sobie wspomnienia... Matka umarła!... [...] A ja... a ojciec, mój biedny, ukochany ojciec i dwie siostry zostaliśmy sami, sami nad mogiłą, nad mogiłą ukochanego naszego

anioła... [...] w ciche noce zawsze ulatowałem duchem do tej mej ukochanej mogiły, zarysowanej wyraźnie na horyzoncie życia całego, do tej, co mię z całego rodzeństwa najbardziej kochała [...] O! ona jedna, jedna zrozumiałaby pewno cierpienia i radości biednego jej syna, ona jedna uroniłaby łzę współczucia nad tym, co zawsze szyderstwa ma tylko doznawać.

(Wstęp do pamiętnika)

Wspomnienia matki i szczęśliwego dzieciństwa, ciepła i serdeczności domu rodzinnego, okraszone humorem, spotykamy i w późniejszych zapisach dziennika (22 X). Pisze tam Żeromski m. in.:

Nie wiedziałem wówczas, ile trzeba będzie wycierpieć; żyłem pod okiem istoty, która mię nad wszystko, nad siostry, nad ojca, kochała! Na wspomnienia mojego imienia, gdym był do szkół później oddany, łzy stawały w jej oczach. [...] Chciałaś mi miłością twoją, matuchno moja, wynagrodzić cierpienia, jakie mi serce gniotą, o i jakże mi słodko, że była na świecie istota, co mię nad życie kochała!...

Dalsza rodzina wspominana jest tylko przypadkiem. Wyjątek stanowi dłuższe wspomnienie o dziadku, Stanisławie Katerli, podpułkowniku kawalerii za czasów W. Ks. Konstantego (29 X). Powstało ono na marginesie lektury książki Goczałkowskiego, *Wspomnienia lat ubiegłych*, w której i o „majorze Katerli" znajdują się pochwalne wzmianki. Następnego dnia znów notuje Żeromski o przeczytanym właśnie w Gazecie Kieleckiej nekrologu kuzyna swego, Franciszka Kuleszyńskiego, i w kilku zdaniach go charakteryzuje. Pod datą 19 XI, opisując swoją wizytę u pp. Koczanowiczów, rozmowę z Ludwinią i swoją niezgrabność „na salonie", dodaje krótką uwagę:

Na dobitkę złego przyszli tam jeszcze pp. Sascy (on jest moim bratem ciotecznym), do których czuję szczególniejszą jakąś apatią...

O ojcu wzmianki są częste i obszerne. Obszerna charakterystyka znajduje się w dzienniczku po wizycie ojca w Kielcach (7 XI):

Był mój najukochańszy Tatuś. [...] Coraz to mizerniejszy! [...] Już ani śladu tego prześlicznego mężczyzny, za którym szalały kobiety! Ta twarz tak podobna do wszystkich portretów Jana Sobieskiego, dziś pożółkła już i zwiędła! Och, nie ten to już człowiek, co dawniej! Ani śladów dowcipu, wesołości, od której, pa-

> miętam, gdym był dzieckiem, całe się pokładały od śmiechu towarzystwa! [...] Gdybym ja to miał takie jak ojciec usposobienie! Najboleśniejszy wypadek, najstraszliwsze nieszczęście wywoływało przelotną zaledwie łzę na jego oko, a potem zapomniał, potem się już uśmiechał! [...] To moc, to hart, to bohaterstwo ducha! Skryć boleść w głębi serca tak, aby jej żadne oko, oprócz boskiego, nie dojrzało — oto charakter ojca mojego! [...] Dobroć — dobroć, która przyprawiła go o stratę majątku, dobroć zbytnia względem dzieci, względem służących, względem sąsiadów, względem wszystkich — oto jego przymiot!

Niedługo potem (12 XII) czytamy o ciężkiej chorobie ojca na astmę: „wybladły, chwiejący się, już ledwo, ledwo dyszący!" Podczas rozmowy ojciec — przeczuwając swoją śmierć — każe Stefanowi pamiętać o siostrach. „O siostrach" — pisze wyraźnie Żeromski, nie „o siostrze". A zatem chronologia podana przez Noyszewskiego szwankuje: wszystkie opisane tam zdarzenia z Olesią Żeromską (s. 127 i nast.) nie znajdują potwierdzenia w jakiejkolwiek wzmiance dziennika, pisanego przecież bardzo skrupulatnie w tym samym czasie.

Po feriach zimowych, spędzonych w domu, pożegnanie z ojcem w dniu 14 stycznia 1883 r. jest smutne. Żeromski wyznaje: „Tak mi smutno było — tak smutno — żegnać się z tatusiem. Dziecko ze mnie takie jeszcze..."

Niedługo potem (2 II 1883) widzą się ponownie w Kielcach. Ojciec przyjechał, zaalarmowany przez kogoś nieprawdziwą wieścią, że Stefan nigdy nie siedzi w domu, łotruje się, ma trzy dwójki, bije chłopców itp. Nieporozumienie z ojcem Żeromski głęboko przeżył:

> Najsmutniejszy, najboleśniejszy dzień w moim życiu! [...] Powiedziałem ojcu, że sobie w łeb strzelę! Nie pożegnałem się z nim i uciekłem do domu! Ojciec płakał! Na mnie! Rozpaczy! [...] Dnia tak okropnego nie miałem jeszcze w życiu!

Na szczęście, nieporozumienie to zostało zakończone przebaczeniem i listem pełnym miłości ojcowskiej (6 II).

5 czerwca 1883 r. Żeromski znów wspomina o wizycie ojca w Kielcach. Był on u lekarza, gdzie się okazało, że jest ciężko chory na serce, a nie na astmę, na którą dotychczas był leczony. Wie także o nieotrzymaniu promocji przez Stefana do klasy siódmej. W związku z tym wyrywa się Żeromskiemu takie wyznanie: „Biedny mój ojcze! I ja na ciebie ciskam kamieniem postępowania mojego!... Jakżem nikczemny!"

Będąc już na wakacjach w domu, rozmyśla Żeromski o dawnych kwiatach w Ciekotach (13 VI 1883):

> Jak mało teraz kwiatów w naszym ogródku przed oknami! Pomnę, ile ich było, gdy żyła moja matka... [...] Dziś kwiatów nie ma, bo nie ma szczęścia, a szczęścia nie ma, bo nie ma matki... Ach, czemuż ona nie żyje, czemu? Jakże ja bym był wielkim poetą!

Wkrótce jednak miara nieszczęść miała się dopełnić. Wincenty Żeromski zmarł 23 IX 1883 r. (według napisu nagrobkowego w Leszczynach), a Stefan Żeromski, w rekonstruowanej po śmierci ojca części dziennika, pod datą 23 VIII 1883 pisze:

> To, co kryślę tutaj, miało miejsce już dawno, bardzo dawno... Wówczas żył jeszcze [...] bóg mój siwowłosy na ziemi.

Nota ta najpóźniejsza z omawianej części dziennika (31 VIII 1883) jest bardzo podobna do początku przedśmiertnych zapisek Piotra Olbromskiego: „...poza mną nic już nie ma."

*

G o r ą c z k a s e r c a i i d e a ł y n i e w i e ś c i e zajmują też poczesne miejsce w dzienniku.

Pierwszym ideałem niewieścim młodego Żeromskiego jest Ludwinia Borkowska. O spotkaniu z Ludwinią Żeromski pisze już 3 IX 1882, z wymienieniem nazwiska, ale bez komentarzy, które zastępuje trzykropek. Rychło jednak staje mu się ona bardzo bliska. Dawne rozdźwięki zostają zapomniane i pod datą 7 IX 1882 czytamy: „Dziś dopiero poznałem dokładnie charakter Ludwini. Jakież to poczciwe i szlachetne dziecię!" 8 września otrzymuje od Ludwini różę i wierszyk. Pisze w związku z tym: „Różę zasuszyłem. Poczciwa moja siostrzeniczka!" (podkr. S. Ż.).

Następnego dnia Żeromski pisze na jej cześć dłuższy pean:

> Czy ja ją kocham? Czy to miłością zwać się może — to uczucie nieopisanej tęsknoty, jaką czuję, gdy jej nie widzę? [...] Czy ona się domyśla, jak ja ją uwielbiam? Nie, ja nie uwielbiam jej, ja uwielbiam jakąś atmosferę, ducha, który niekiedy przybiera jej kształty. [...] Nie pragnę wzajemności, nie pragnę niczego, jestem tylko szczęśliwym, ach! bardzo szczęśliwym, kiedy w tak słodkie zatapiam się marzenia.

Podczas dalszego śledzenia tego wątku okazuje się, że Ludwinia regularnie czyta dziennik skwapliwie ukrywany przed kolegami, że robi w nim swoje dopiski (13 IX 1882) i że uznanie jej rad zaczyna poniżej młody pisarz od sakramentalnego: *Fiat voluntas tua!...* Tę samą datę ma list Ludwini wklejony także do dziennika.

Muza młodego poety, tak podatna na wszelkie podniety zewnętrzne, i tu nie pozostała milcząca. Oto co czytamy 9 IX 1882:

> Dziś wieczorem, po długim błąkaniu się około jej okien, napisałem wierszyk *Do Ludwini.*

Silne wzruszenie wywołuje też w Żeromskim widok płaczącej Ludwini:

> Wczoraj w kościele widziałem ją samą: płakała! Ja myślałem, że ci tylko nieszczęśliwi, których duch obleczony w obrzydliwy kadłub Ezopowy... Nie... i ci, którym powiedziano: zachwycaj ludzi pięknością swojego ciała — także płaczą. Biedna, i ona nieszczęśliwa, i jej los, jak mnie, nie dał matki; może to więc była tęsknota za tym duchem opiekuńczym, brak którego nieraz, nieraz wywołuje skądsić, spod serca, serdeczne łzy tęsknoty...

Przez dłuższy czas o Ludwini w dzienniku głucho. I oto dnia 24 listopada Żeromski notuje:

> Wyszedłem wieczorem na miasto — i spotkałem się akurat z Ludwinią. Wiele się, wiele dowiedziałem rzeczy, a najgłówniejszą z nich była ta, że Ludwinia... idzie za mąż! Ach, Boże, Boże!...

Narzeczonym Ludwini był Karol Zlasnowski, inżynier z Suchedniowa, którego zresztą Żeromski polubił od razu za jego inteligencję, oczytanie i takt w obejściu. Z faktem zamążpójścia Ludwini pogodził się młody pisarz stosunkowo łatwo, choć nocy następnej spać nie mógł i przy świetle księżyca ułożył pożegnalny wiersz do Ludwini (25 XI), a w kilka miesięcy potem, dnia 7 II 1883, ujrzawszy jadącą w powozie Ludkę, kłania się z daleka, a w dzienniku zapisuje: „Znów bieda z mym sercem".

Dzień 18 III 1883 (niedziela) i galówka przynosi Żeromskiemu nowe wrażenia, które tak opisuje:

> Szalona mrzonka ogarnęła serce. Wielkie, turkusowe, w śniadej oprawie oczy, włosy długie blond. Helena. Śród smutku i bólu jak anioł mi się zjawiła.

Była to Helena Skierska, drugi ideał niewieści Żeromskiego. Łączyły go z nią jednak zupełnie odmienne stosunki. Nie była

powiernicą i „siostrzeniczką“ młodego poety. Uwielbiana z daleka (ani o jednej rozmowie z nią nie ma wzmianki), spotykana rzadko (18 III, 8 IV, 12 IV), jest adresatką wprawdzie najgorszych, ale licznych wierszy miłosnych, zamieszczonych w dzienniczku. Dodatni wpływ tej miłości tak ocenia sam Żeromski: „Nie wiem, co ze mnie robi to jej kochanie. Stałem się lepszym, cnotliwszym“ (15 IV). Chodzi oczywiście o uczucia samego Żeromskiego, Helena bowiem, mająca wielu adoratorów, nie zwracała na niego baczniejszej uwagi: „Tak więc miłość moja to rodzaj jakiegoś bolesnego śnienia — miłość bez wzajemności...“ (13 V 1883). Jednakże Żeromski nie wyciąga z tego twierdzenia ostatecznych konsekwencji. Przeciwnie, ujrzana w niedzielę (3 VI 1883) na mszy Helena wzbudza znów żywsze drgnienia serca. Pisze w tym dniu, że patrząc na Helenę „przez kilka minut byłem wielkim poetą“. I dalej:

> Myślałem, że ja jej już nie kocham... A jednak ta blada i biała, jest mi tak drogą, jak nic na świecie...

Wreszcie bierze górę zdrowy rozsądek:

> Helena nie jest ideałem natury, społeczeństwa, nie jest ideałem cnoty, jest ideałem moim, indywidualnym. Natchnieniem i cnotą wątpię, czy zdolna jest owić się wkoło mej duszy.
>
> (1 VII 1883)

*

N u r t o b y w a t e l s k i w dzienniku warto wyodrębnić dlatego, aby się przekonać, jak stosunkowo wiele zagadnień tego typu młody Żeromski usiłował samodzielnie przemyśleć. O ile bowiem nienawidzi on zaborców całą duszą, o tyle razi go także „hura-patriotyzm“, narzeka na książki historyczne, które są zawsze tendencyjne, bo albo przedstawiają stosunki polsko-rosyjskie z fałszywego stanowiska urzędowej historiografii, albo — jako zakazane — zajmują się raczej krzepieniem ducha obywateli niż prawdą historyczną.

Rozważa Żeromski często takie kwestie jak: niebezpieczeństwa grożące narodowi, międzynarodowa sytuacja polityczna, położenie ludu. Jego przekonania streszcza świetnie własne zdanie: „Kościół katolicki i socjalizm zbawić nas mogą — więcej nic!“ (13 IV 1883). A program na teraz:

Trzeba nam milczeć uparcie i czekać, aby zaś czasu nie tracić, uczmy się, pracujmy, pokażmy światu, że duch nasz nie umarł jeszcze, że żyjem!

(l. c.)

Nie trudno w tym dosłyszeć echo poglądów Bema i olbrzymiej większości pozytywistów.

Z ideami „respublikańskimi", którym hołdował młody Żeromski, łączy się kult dla Kościuszki. „Czczę go jak bóstwo!" — pisze w dniu 16 maja 1883 r.

Niedługo potem Kielce, jak całe Królestwo i Rosja, były terenem uroczystości z okazji koronacji cara Aleksandra III, w dniu 27 V 1883 r. A oto co o tym pisze Żeromski:

Byłem na paradzie i wówczas, gdy to wszystko bydło wyło: hura! — ja mu życzyłem, żeby spuchł, skisł, zdechł, zaśmierdział się, zgnił! Wieczorem wszyscy poszli do teatru za darmo, ja — chwała Panu na wysokościach — biletu nie dostałem, uniknąłem więc wszystkiego.

(28 V)

Inną ówczesną sensacją Kielc była budowa „Iwangrodzko-Dąbrowskiej drogi żelaznej". żeromski doskonale pojmuje ciężki trud robotników kolejowych:

Byłem rano u kolei. Robi tam ze 60 Litwinów. Gdym się przypatrzył ich pracy, uczułem doprawdy nicość moją w porównaniu z nimi. Gdyby mnie przyszło pracować tak, jakże bym narzekał na los, na Boga, na świat *etc*.

(4 VI 1883)

*

Obok innych wartościowych materiałów, dziennik żeromskiego przynosi nam cenną, bo na gorąco notowaną a u t o c h a r a k t e r y s t y k ę pisarza.

„Byłem zawsze samotnym i ponurym" — stwierdza we wstępie do pamiętnika. A obszerniej rozwija to twierdzenie pod datą 2 IX 1882, uwydatniając rozdwojenie wewnętrzne w symbolach z ówczesnych lektur słowianoznawczych jako walkę *czern-* i *biełboha*.

Czernboh roztaczał swe władanie przez czas pobytu mego w klasie trzeciej i użył za pośrednika do działania kolegę mego N. *Biełboh* panuje chwilami i używa za pośrednika to Edka, to

pana Bema, to księżyca wypływającego spokojnie na niebo, to muzyki, to deklamacji p. Bema, to widoku cmentarza i trumny, to widoku nędzy rzeczywistej, to w końcu widoku... Ach, gdybyż to, gdyby *Bielboh* odniósł zwycięstwo!

Znamienna dla ideałów „respublikańskich“ młodego Żeromskiego jest refleksja nad herbarzem Niesieckiego (18 XI):

Oglądaliśmy [...] herbarz Niesieckiego, gdzie wyczytałem i swe nazwisko. Dawniej byłoby mię to zachwyciło, ale dzisiaj... wszystko mi już jedno.

Bardzo ważne dla autocharakterystyki pisarza są też uwagi, które zapisuje po przeczytaniu *Hani* Sienkiewicza:

Od każdego zawodu i rozczarowania bronię się pesymizmem i niewiarą tak, jak to z nim ma miejsce. Mam ten ścigający mię zawsze przymiot, to upodobanie w rozdrapywaniu ran własnych, w szukaniu i upodobaniu jakimś w tych jego kołach udręczeń; a w ostatku miłość rozumiem tak jak on, szukam tak samo jak on ostatniego na ból serca *remedium* w wyrazie: śmierć. To ja — to ten sam mój charakter!

(19 III 1883)

*

Na oddzielny nurt dziennika składają się: m a r z e n i a, r a c h u n k i s u m i e n i a, u n i e s i e n i a i d e c y z j e. Obrazują nam one intensywność życia psychicznego Żeromskiego w wieku młodzieńczym.

Najwcześniejsze są marzenia o śmierci:

Och, gdybyż to prędzej zaniósł do mogiły, do spokojnego na bezludnym miejscu stojącego kurhanu, pod spólnie złączone struny brzęczące dwu sióstr-brzóz płaczących! Ach, jakże by słodko, jak spokojnie było wtenczas spać samemu pod cichym kurhanem!...

(6 IX 1882)

Myśl o rychłym zgonie powtarza się jeszcze dwukrotnie:

Próżną by była walka z losem! Los mój widać taki, by przejść w ciągu krótkiego mego, jak się spodziewam, życia jak smutny cień nie zostawiający po sobie nic, jeno szyderstwo i śmiech, a nad grobem dostać nagrobek, na którym wielkimi, czarnymi literami napisano: głupiec!

(15 IX)

Dnia 16 IX znów notuje:

> Od dnia 14 września coraz bardziej wzmaga się ból, nieznośny podczas oddechu. Ból ten każe mi przyjść do wniosku, że wywiąże się zeń wielka jakaś choroba, a spoza niej wygląda — śmierć.

Niedługo jednak młody Żeromski podejmuje rozprawę z teorią „losu"; o życiu człowieka decyduje wola i sumienie:

> Gdy coś dobrego zrobię, gdy postąpię tak, jak należy, nie przypisuję tego tej jakowejść [*sic!*] istocie, lecz mówię: dobrze zrobiłem! Gdy zaś postępuję źle, gdy wydarzy mi się coś złego, co jednak wynika z mego niedbalstwa, próżniactwa lub w ogóle z mej własnej przyczyny, mówię: od losu się nie wyłamać, nie ja winienem, winien los (podkr. S. Ż.). Takim sposobem zbywam, zda mi się, sumienie.
>
> (24 IX)

Podobnie samokrytyczny charakter mają refleksje związane z ukończeniem 18 roku życia (14 X 1882):

> Lat ośmnaście przeżyłem i cóż dobrego zrobiłem na świecie? Szyller w ośmnastym roku życia napisał *Zbójców*, a ja? Czy napisałem co, co by godnym było imienia utworu?

Nastroje depresji są coraz częstsze. Wreszcie 2 XI następuje postanowienie samobójstwa. Żeromski traci wiarę w istnienie Boga, szuka pomocy szatana. Żegna się w pamiętniku ze wszystkimi bliskimi, wypisuje dyspozycje, co komu należy oddać po jego śmierci, zamierza napisać listy do ojca, do Bema, Gregorowicza i Matulewicza (nauczyciela łaciny — „z przekleństwem"), rozmyśla o swojej wędrówce duchowej po śmierci.

Następnego dnia czytamy w dzienniku:

> Ha, ja jeszcze żyję! Doprawdy, że nie wiem, jak teraz zdać sobie sprawę z szaleństw dnia wczorajszego. Wczoraj, jednym słowem napadł na mnie obłęd, a dziś jestem przy zdrowych zmysłach, chwała Bogu.

Drobne powodzenia literackie i fama poety wśród kolegów i koleżanek napawają go obawą próżności:

> Rozniosła się o mnie fama po wszystkich pensjach jako o poecie i deklamatorze. Boję się, boję się ogromnie, by nie popaść w próżność. Wiem, że by mię ona zabiła. Trzeba się strzec ogromnie i pozostać skromnym, jak to miało miejsce dotąd.
>
> (11 III)

Kiedy 19 V 1883 Żeromski dowiaduje się, że na promocję „nadzieja nawet zniknęła — została rzeczywistość“, dodaje: „a ja rzeczywistością żyć zupełnie nie umiem“. Znów następuje wylew żalów: „Bóg [...] pogardził mną“, „ojciec tyle razy doznał smutku z mej przyczyny“ a „Bem — niekontent ze mnie: pogardzi mną!“, „Helena Skierska — pogardza mną“, „nie zasłużyłem na tyle cierpień“. I znowu pojawiają się myśli samobójcze, poskromione jednak:

> Muszę być więc wyższym od targających mię boleści — teraz takim nie jestem — trzeba mi się więc odrodzić.

Pracę nad własnym odrodzeniem opiera poeta na kilku fundamentach: Bem pokrzepia go (23 V), Słowacki daje podnietę (19 V), Smiles dostarcza wskazówek (25 V). Praca ta rychło doprowadza do ważkich postanowień:

> Poprzysiągłem sobie, że nigdy w samobójstwie nie będę szukać na cierpienia ratunku. [...] Czyż ziemia nie warta, by żyć na niej? Czyż ona nie piękna? [...] Gdy mi przyjdzie myśl o samobójstwie, pójdę do szpitala, do lepianek nędzarzy — napatrzyć się na pracę, nędzę, wysiłki nadludzkie i na głód! Tam się ucz, tam patrz, a nie upadniesz!
>
> (7 VI 83)

Obiektywnie trzeba dodać, że obok tych wzniesień są i upadki, znów w depresję pogrążające (np. dzień 21 VI 1883), ale znów ludzkim trudem przezwyciężane.

*

R e l i g i j n o ś ć Żeromskiego w tym okresie jest silna, choć naiwna w formach (np. wiara w interwencję Matki Boskiej w sprawach osobistych, w tym wypadku przy zdawaniu lekcji, 29 IX 1882). Dowodzą tego „zwykłe modlitwy“, o których pisze dnia 12 IX:

> Rano, jak zwykle, idę do kościoła, na zwykłe modlitwy do Najświętszej Panny i Anioła-Stróża za ojca, za duszę matki, o natchnienie i sławę, o zamiłowanie w pracy i za L.

Żeromski ma głębokie przekonanie o sile i skuteczności modlitwy. Kiedy się kaja, że dotąd literatura i poezja kazały mu „zapomnieć o wszystkich innych naukach“ (23 IX), dodaje zaraz: „Za sprawą mej królowej Marii w niebiosach przejrzałem! Zobaczyłem naukę, poznałem, czym ona dla człowieka“.

Z powodu lektury myśli Sokratesa w *Memorabiliach* Ksenofonta notuje sobie własne rozmyślania o Chrystusie:

> Spotykam tam prześliczne na każdym kroku Sokratesa myśli o Bogu, o astrologii jako nauce bezmysłej [*sic!*] i wiele, wiele tych myśli, poloty których pogańskiego filozofa podnosiły aż do prawd religii Chrystusa. Każda taka myśl coraz bardziej zbliża mego ducha do nóg boskiego Zbawcy! Boże mój, Panie mój! umocnij mię, niech zamrę dla świata, byleby tylko żyć i karmić się nauką, a nigdy nie wyczytać nic takiego, co by mię przeciwko Tobie usposabiało, co by od nóg Twych, od podnóży Twojego Krzyża odtrąciło.
>
> (22 IX)

Kiedy indziej (23 IX) zapisując w dzienniku — jak zwykle systematycznie — „porządek dnia", zaczyna go tak: „Rano o 8$^1/_2$ w kościele [Św. Trójcy] pod chórem", a kończy: „czasem za sprawą Marii wyleję trochę uczuć na papier — i oto dzień mój teraźniejszy".

Nawet w przygnębieniu — pod koniec roku szkolnego — kiedy mu się zdaje, że wszyscy nim pogardzają, znajduje ucieczkę w modlitwie do Matki Boskiej — wierszem (13 i 14 V 1883).

Zdumiewająca jest siła tej religijności. A zważyć trzeba, że jest to religijność nie podtrzymywana przez rozum, bo przecież Żeromski czyta wtedy Drapera; nie podtrzymywana przez kochanego mistrza, bo Bem w rozmowie z nim deklaruje się jako nie-katolik, może nawet nie-chrześcijanin; nie podtrzymywana wreszcie przez kolegów. Na to, że była dziełem matki pisarza, nie mamy dowodu. Czy był to katolicyzm polityczny? — Jest w tym okresie Żeromski jego zwolennikiem, ale to przecież nie tłumaczy wszystkiego. W świetle I i II t. dziennika charakteru uczuć religijnych młodego Żeromskiego nie da się w całości wyjaśnić. Można wskazać tylko na to, że szczególnie silnie przemawia do niego religia z akompaniamentem swojej poezji: „Najpiękniejsza pieśń w naszej poezji — to pieśń *Święty Boże*" — notuje 24 VI 1883, a 15 VII 1883 znowu pisze: „niecierpliwie wyczekiwałem tego anielskiego *Święty Boże!...*"

WACŁAW BOROWY

CONRAD KRYTYKIEM POLSKIEGO PRZEKŁADU SWOJEJ NOWELI „IL CONDE"

1

W listopadzie 1922 r. w numerze 14 Przeglądu Warszawskiego (który wówczas redagowali: W. Borowy i S. Kołaczkowski) ukazało się dokonane przez Piwińskiego tłumaczenie noweli Conrada *Il Conde* (wyjęte ze zbioru „sześciu opowiadań" — *A Set of Six* — ogłoszonego w r. 1908). Polskim zwyczajem, tłumaczowi zrobiono odbitkę jego 16-stronicowej pracy i Aniela Zagórska, kuzynka Conrada i dysponentka jego praw literackich w Polsce, a przede wszystkim wielka entuzjastka jego twórczości, która o niczym bardziej nie marzyła, jak o zbliżeniu swojego wielkiego krewniaka z życiem literackim polskim, posłała mu jeden z egzemplarzy tej odbitki. Conrad przeczytał, podziękował i do podziękowania dołączył jakieś uwagi. Już nie pamiętam, czy z inicjatywy swojej, czy Piwińskiego, korespondentka poprosiła go o więcej. W odpowiedzi Conrad odesłał odbitkę z pewną — nie bardzo zresztą znaczną — liczbą notatek, wypisanych na marginesach i na osobno dodanej kartce. Odbitka ta, podarowana przez adresatkę Piwińskiemu, stała się jedną z najdroższych jego pamiątek i stale leżała w teczce na jego biurku. Po jego śmierci przeszła razem z jego książkami na własność *Korbutianum* i znalazła się wraz z nimi w domu przy ul. Brzozowej nr 12. Tam po powstaniu w r. 1944 omal nie spłonęła. Na szczęście Julian Krzyżanowski zapakował ją zawczasu do skrzyni, którą wysłał do Biblioteki Zamoyskich. Tam ocalała i wyszła na jaw po przewiezieniu skrzyni do Biblioteki Uniwersyteckiej. Dodać trzeba, że na rok mniej więcej przedtem reprodukowano ją w kilku tzw. fotokopiach i jedna z tych fotokopij (wywieziona poza Warszawę) również się zachowała.

Miło mi było słyszeć od Ciebia, że p. Piwiński przyjął moje uwagi tak po przyjacielsku. Pozdrów go odemnie i proszę powiedz ~~więc~~ mu że czytanie jego przekładu było prawdziwą przyjemnością.

IL CONDE.

~~(OPOWIADANIE PATETYCZNE)~~[1].

(Książę Dobrego Towarzystwa).

Vedi Napoli e poi mori

Po raz pierwszy zaczęlismy ze sobą rozmawiać w Muzeum Narodowem w Neapolu, w parterowych salach zawierających przesławną kolekcję bronzów z Herculaneum i Pompeii: ów cudowny legat sztuki starożytnej, którego subtelna doskonałość została dla nas zachowana dzięki katastrofalnej furji wulkanu.

Zwrócił się do mnie pierwszy i powiedział kilka zdań o słynnym Hermesie Spoczywającym, którego właśnie oglądaliśmy ze wszystkich stron. Mówił bardzo dorzecznie o tem naprawdę zachwycającem arcydziele. Nic, zresztą, głębokiego. Jego dobry smak był raczej wrodzony niż nabyty przez wykształcenie. Najwidoczniej oglądał w ciągu swego życia wiele rzeczy pięknych i umiał je cenić; obcy mu był jednak żargon amatora czy *connaisseura* — owej klasy ludzkiej, zaiste, godnej nienawiści. Mówił jak człowiek światowy, istotnie inteligentny i prawdziwie po wielkopańsku naturalny.

Od kilku dni znaliśmy się z widzenia. Mieszkając w tym samym hotelu — pierwszorzędnym, lecz nie krzycząco modnym — zauważyłem go niejednokrotnie w przedsionku hotelowym jak wchodził lub wychodził. Widziałem, że jest tu dawnym i cenionym gościem. W uszanowaniu, z jakiem kłaniał mu się właściciel, wyczuwało się serdeczność, która znów, z jego strony, była przyjmowana z niewymuszoną uprzejmością. Służba nazywała go *Il Conde*. Byłem właśnie świadkiem sprzeczki o parasol męski — przedmiot z żółtego jedwabiu z białą podszewką — pozostawiony za drzwiami sali jadalnej i znaleziony przez lokai. Nasz wygalonowany złotem odźwierny poznał ów parasol

---

[1] Niniejsze „opowiadanie ~~patetyczne~~" jest szóstym z rzędu i ostatnim utworem z wydanego w r. 1908 zbioru nowel Conrada p. t. *A Set of Six* (Londyn, Methuen & Co.). Na czele tego zbioru umieszczony jest jako *motto* następujący wierszyk (*Nursery Rhyme*):

Les petites marionnettes
Font, font, font,
Trois petits tours
Et puis s'en vont. —

oraz dedykacja: *To Miss M. H. M. Capes.*

Korekta Conrada

Nowela *Il Conde* zajmuje w ciągłej paginacji tomu P r z e g l ą d u W a r s z a w s k i e g o stronice od 217 do 232 włącznie.

Już na stronie 217 w egzemplarzu konradowskim (że tak go, dla wygody, nazwę) znajdujemy dwie korektury. Dotyczą one samego tytułu opowiadania: w wyrazie *Il Conde* przekreślił Conrad literę *D* i zalecił:

— zastąpić *D* literą *T* wszędzie,

do całkowitego zaś usunięcia zakwalifikował podtytuł: *Opowiadanie patetyczne.* Motywację tego *deleatur* znajdziemy w dalszych uwagach. Co się tyczy zamiany dialektycznej neapolitańskiej postaci wyrazu tytułowego *(Conde)* na ogólnowłoską *(Conte)* intencyj Conrada można się tylko domyślać. Prawdopodobnie rozumiał, że polska publiczność czytająca i uświadomiona literacko na ogół mniej jest obyta z włoszczyzną niż angielska i dlatego „efekt" zastosowania dialektu będzie wśród niej chybiony.

Następną uwagę znajdziemy dopiero na s. 219, gdzie mowa o Rzymie. Słowa charakteryzujące bohatera: *he had no affairs of the city to call him away* itd. przełożył Piwiński na polskie: „nie miał w mieście żadnych interesów". Conrad zaproponował w „mieście" duże *M*, co prawda dyskretnie, bo ze znakiem zapytania, ale z motywacją: w postaci łacińskiej *urbs*, przypomnianej w nawiasach. Sam wniosek korektowy jest sformułowany sposobem angielskim: przez skrót *cap* (tj. *capital letter)*.

Na s. 220 tłumacz przełożył angielskie *I had to leave Naples in a hurry to look after a friend who had fallen seriously ill in Taormina* nie bardzo szczęśliwie słowami: „musiałem w pośpiechu opuścić Neapol, aby z o b a c z y ć s i ę z p r z y j a c i e l e m, który poważnie zachorował w Taorminie". Conrad wprowadził tu trafną poprawkę: „aby o d w i e d z i ć p r z y j a c i e l a" (podkreślenia moje, jak i wszędzie dalej, gdzie nie zaznaczam, że jest inaczej).

Na s. 221 Piwiński *somewhat emphatic English* nazwał „cokolwiek p r z e s a d n ą angielszczyzną"; Conrad zaproponował — ze znakiem zapytania — poprawkę: „d o b i t n ą". — Nieco dalej — w wyrażeniu: „z wyrazem c z u j n e j uprzejmości" (mającym oddawać angielskie: *with alert urbanity)* —

poprawił przekreślone (a tutaj wyodrębnione kursywą) słowo na „o ż y w i o n e j" — już bez znaku zapytania.

Na s. 222 nasunęły się Conradowi uwagi dłuższe niż gdzie indziej. Nie mógł ich już zmieścić na marginesach, podkreślił więc tylko niebieskim ołówkiem trzy zakwestionowane wyrażenia i, oznaczywszy je cyfrowymi odsyłaczami, rozpisał się nieco obszerniej na dwóch stronicach kartki papieru listowego małego formatu, 13 × 10 cm.

Pierwsza uwaga dotyczy oczywistego błędu Piwińskiego, który angielskie *wondering what he had been up to* przełożył jako: „pragnąc zgadnąć, czym on właściwie był dotąd". Uwaga druga odnosi się do „myśli o jakichś więcej lub mniej niehonorowych kłopotach", którym to wyrażeniem Piwiński oddał słowa oryginału: *all idea of some more or less disreputable scrape*. Uwaga wreszcie trzecia wiąże się ze zdaniem dalszego ustępu, które brzmi po angielsku: *I wished him to understand that I was not likely to hold him to that offer, if he thought better of it later on*, a które zostało przez Piwińskiego przełożone (zdecydowanie źle) jak następuje: „Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie pragnąłbym doprowadzać go do tej ofiary, jeżeli o całej przygodzie będzie mu później lżej myśleć". Tekst uwag konradowskich brzmi jak następuje:

str. 222 1
text: ... *what he had been up to*
idiom = gdzie to on wlazł
probójąc [*sic*] zgadnąć, co się właściwie stało
——— „ ——— w co on się zaplątał ?
najbliższe oddanie może by było: ?
pytając siebie *(wondering)*, w jaki sposób
on się mógł skompromitować.

koniec tegoż paragrafu: proponuję 2.
emendację:
...wszelkiej myśli o *jakiejś więcej lub*
mniej hańbiącej awanturze [podkreślenie Conrada]

p. t. o.

[tj. *please turn over:* angielska formuła, zamiast: *verte;* tutaj bowiem kończy się stronica; następuje jeszcze strzałka i liczba 3.]

?

że nie mam zamiaru trzymać go [u góry nad dwoma ostatnimi wyrazami dopisane w nawiasach: (wymagać)] za słowo [te dwa wyrazy Conrad później przekreślił i napisał nad nimi:

do tego zwierzenia], jeżeli po namyśle osądzi, że niepotrzebne.

(...*thought better of it etc. etc.*)

idiom: *t o t h i n k b e t t e r o f i t* [podkreślenie Conrada]

zmienić zdanie albo zamiar
= *namyślić się.* [podkr. Conr.]

słowo *offer* [podkr. Conr.] w tekście angielskim jest użyte w sensie: przyrzeczenia.

W dalszym ciągu, s. 222 — dwie drobne poprawki: „s p ę d z a ł czas w hallu..., paląc c y g a r a" — „s p ę d z i ł czas j a k i ś w hallu..., paląc c y g a r o". W oryginale mamy tu: *he lingered in the hall... smoking his cigar.*

Na s. 224 słowa Hrabiego: *something is wrong with him* w tłumaczeniu brzmiały: „czegoś mu brakuje". Conrad napisał nad tym wyrażeniem:

coś go tam boli,

ale na marginesie postawił znak zapytania.

Na s. 226 czytamy w przekładzie o „umysłowym samoopanowaniu" Hrabiego, co jest niewolniczym oddaniem angielskiego *of his mental self-possession.* Conradowi nie przemówił do przekonania ten literalizm: zaprojektował na marginesie, acz znowu z dyskretnym powątpiewaniem, swoją wersję:

że zachował zupełną przytomność umysłu (?).

Na s. 228 w analizie uczuć obrabowanego bohatera przekład mówi: „Był wstrząśnięty tym, że stał się wybraną ofiarą nie tyle rabunku, ile w z g a r d y". Conrad ostatni wyraz przekreślił, zastępując go wyrazem: „z n i e w a g i". Po angielsku jest tu: *contempt.*

Następny ustęp zaczyna się w oryginale od słów: *Nevertheless, at that stage, before the iron had time to sink deep* (mowa o nożu, który napastnik przyłożył bohaterowi do brzucha)... U Piwińskiego czytamy: „Mimo to jednak, w c z a s i e t e j d r a m a t y c z n e j s c e n y, zanim ż e l a z o m o g ł o głęboko zapaść"... Conrad, podkreśliwszy wyrazy, które tu są wyodrębnione drukiem rozstrzelonym, umieścił przy wyrazie „s c e n y" odsyłacz i u dołu dał przypisek:

*) *at this stage* = w owej chwili

s t a g e [podkr. Conr.] tu nie ma związku ze sceną. Znaczy: s t a n r z e c z y [podkr. Conr.], *e. g. the battle had reached a critical stage when a battery...*

Tak przekonywająco walcząc tutaj o zasadę ścisłości, przy drugim wyrażeniu podkreślonym podsuwał Conrad tłumaczowi możliwości ryzykownej swobody, wypisując nad słowami: „żelazo mogło“:

jego zgroza miała czas.

Na s. 229 jedna poprawka. Mowa tam o sali kawiarnianej w neapolitańskiej *Galleria Umberto*, która: *is divided into aisles by square pillars set all round with looking glasses*. Piwiński się wyraził, że jest ona podzielona „niby na nawy kwadratami filarów, które dokoła były wyłożone podłużnymi zwierciadłami“. Conrad zgodził się na kwadraty (choć właściwie mowa tu o prostokątach), upomniał się jednak o przymiotnikową ich formę: „kwadratowymi filarami“, nie zauważając, że powstałby w takim razie nieznośny klekot nieoczekiwanych rymów: „kwadratowymi filarami, które dokoła były wyłożone podłużnymi zwierciadłami“. (Rzecz ciekawa, że nie zaprotestował przeciwko jawnej w tym wyrażeniu dowolności „podłużnych“ zwierciadeł).

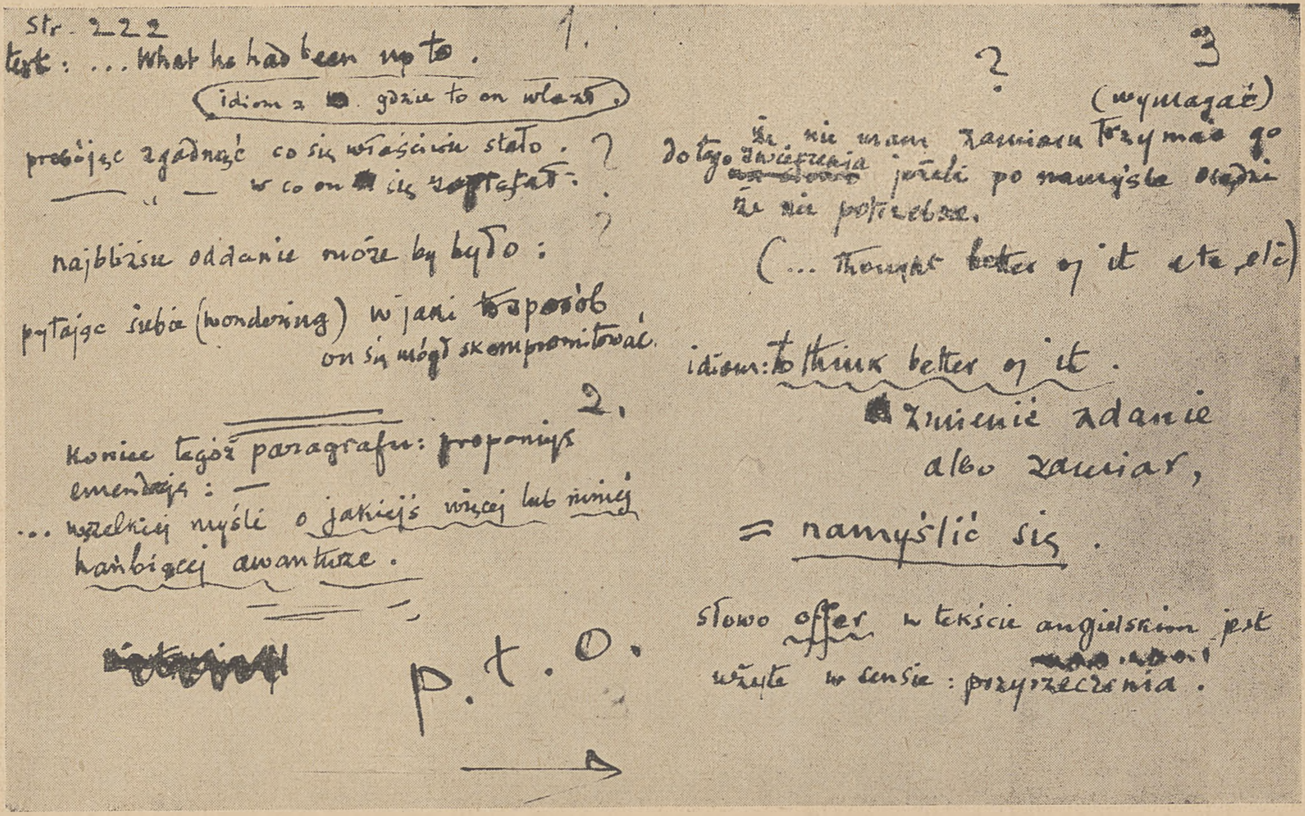
Na s. 230 Piwiński przełożył angielskie *haunt* jako „straszyć“. Conrad na marginesie wysunął wariant: „prześladować (?)“ — jak widzimy, tylko pytająco.

Na s. 231 narrator mówi — w przekładzie Piwińskiego — że starał się ukryć przed Hrabią, jak dalece „czuje dla niego litość“ (w oryginale: *to keep him from seeing the full extent of my commiseration)*. Conrad podkreśliwszy te słowa na marginesie napisał swój wariant:

się nad nim lituję (?)

Wcześniej jeszcze, na tejże stronicy, opisany jest strój młodzieńca z Camorry: „Ubrany był kompletnie czarno *w* ciemnozielonym wiązanym krawacie“. Conrad podsunął myśl innego zwrotu, przekreślając „w“ i pisząc na marginesie: *„z (?)“*. Rzeczywiście znak zapytania był tu bardziej, niż gdzie indziej, uzasadniony.

Z inicjatywą stosunkowo znacznych zmian wystąpił Conrad na s. 232 — w samym zakończeniu noweli. Bohater jej, jak wiadomo, nie mogąc się pogodzić z upokorzeniem, którego doznał w Neapolu, opuszcza go, choć jest przekonany, że przy jego stanie zdrowia jest to dla niego równoznaczne z śmiercią.



Str. 222
tekst: ... What he had been up to. 1.
(idiom z ... gdzie to on wlazł)
próbując zgadnąć co się właściwie stało. ?
— " — w co on się wpakował. ?
najbliższe oddanie może by było: ?
pytając siebie (wondering) w jaki sposób on się mógł skompromitować.
2.
Koniec tegoż paragrafu: proponuję emendację: —
... wszelkiej myśli o jakiejś więcej lub mniej hańbiącej awanturze.
p. t. o.

2 ? 3
(wymagać)
do tego zwierzenia że nie miał zamiaru trzymać go jeżeli po namyśle osądzi że nie potrzeba.
(... thought better of it etc, etc)
idiom: to think better of it.
zmienić zdanie albo zamiar,
= namyślić się.
Słowo offer w tekście angielskim jest użyte w sensie: przyrzeczenia.

Propozycje stylistyczne Conrada

Narrator sarkastycznie i patetycznie nawiązuje tu do sławnego powiedzenia: *Vedi Napoli e poi mori.* Hrabia napatrzył się właśnie temu miastu — tłumaczy Piwiński: „z dokładnością przerażającą — *i* teraz odchodzi do grobu". Conrad zmienia „i" na „*a*" i „odchodzi" na „odjeżdżał". (Po angielsku wyrażają to słowa: *and now he was going to his grave)*. W ciągu dalszym Piwiński pisze: „Jedzie do grobu pociągiem *train de luxe* Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych", oddając słowa oryginału: *He was going to it by the train de luxe of the International Sleeping Car Company.* Conrad domaga się tu powtórzenia: „Odjeżdżał" i skreśla słowa *train de luxe.*

W zdaniu następnym w wyrażeniu „wówczas uniosłem kapelusz" projektuje usunięcie przysłówka (przekreślając go i umieszczając jeszcze jeden znak zapytania z boku).

W zdaniu ostatnim jeszcze jedna zmiana dość istotna. W oryginale jego początek brzmi: *Il Conde's profile, much aged already, glided away from me...* Piwiński przełożył to tak: „Profil Il Conde mocno tymczasem postarzały, odpływał ode mnie cicho..." A oto poprawki Conrada: „Profil hrabiego już mocno postarzały, odpłynął ode mnie cicho"...

Następują dwa dopiski: pierwszy pisany ukośnie i drobnym pismem, drugi — poziomo i pismem szerokim. Pierwszy brzmi:

> Może p. Piwiński zechce przyjąć moje emendacje na tej str. — a także i na str. 222, 228 i innych. Ale to są drobnostki.

A oto przypisek drugi:

> Zresztą tłumaczenie świetne.
> Nie trzeba tego sous-titre — chyba może *en volume,* a i to tylko [podkr. Conr.] w spisie rzeczy. To był taki żarcik mój który pozwoliłem wydrukować na okładce tylko [podkr. Conr.] To zupełnie nie było żadną artystyczną intencją. Było to po prostu błaznowanie.

Ów *sous-titre,* wiernie przełożony przez Piwińskiego brzmi: *Opowiadanie patetyczne.*

Z tymi przypiskami łączy się *P*[*ost*] *S*[*criptum*], wypisane na małym skrawku papieru listowego (form. 17,7×3 cm):

> *P. S.* Miło mi było słyszeć od Ciebie, że p. Piwiński przyjął moje uwagi tak po przyjacielsku. Pozdrów go ode mnie i proszę,

powiedz mu, że czytanie jego przekładu było p r a w d z i w ą [podkr. Conr.] przyjemnością.

2

Uwagi te, choć stosunkowo nieliczne, są przecież bardzo ciekawe: nie tylko dlatego, że są jednym z niewielu przecież w ogóle polskich tekstów Conrada, ale przede wszystkim dlatego, że, mając charakter „emendacyj" do polskiego tłumaczenia, pozwalają nam cokolwiek głębiej wejrzeć w istotę tego związku z polszczyzną, który znakomity nasz rodak, a wielki pisarz angielski, zachował do ostatnich lat życia. Istota tego związku nie jest łatwa do ujęcia. Świadczą o tym nawet zewnętrzne szczegóły, przekazane w anegdotach. Ze wspomnień Wellsa wiemy np., że Conrad do koni i w Anglii mówił po polsku. Ale wspomnienia Perłowskiego świadczą o tym, że do psów mawiał po angielsku, nawet kiedy się znalazł w kraju swoich lat dziecinnych. Kiedy w r. 1914 przyjechał do Zakopanego, mógł swobodnie brać udział w rozmowie polskiej, ale kiedy miał coś dłuższego opowiedzieć — wiem to z relacji nieboszczyka Tadeusza Nalepińskiego — chętnie przechodził na francuszczyznę. Podobnie w Londynie w późniejszych latach mówił nieraz nawet w kole rodaków po angielsku (świadczą o tym wspomnienia Romana Dyboskiego). Po polsku czytywał nie tylko w miesiącach zakopiańskich, ale przygodnie i kiedy indziej (dowody w korespondencji); w sumie jednak ogólnych jego lektur — jak wiadomo, ogromnie rozległych — polskie stanowiły w ciągu długich lat jego życia literackiego tylko cząsteczkę. Tak samo polszczyzna słyszana była dla niego w ciągu tych długich lat rzadkością. Niezbyt skwapliwy korespondent, nieczęsto również miewał do czynienia z polszczyzną pisaną; listy też jego polskie z późniejszych czasów są zazwyczaj gęsto szpikowane zdaniami francuskimi.

Nie dziwmy się więc owemu „probójąc" przez *ó*, które zresztą jest jedynym zachwianiem ortograficznym Conrada w tym tekście. Tym bardziej, że występuje tuż obok zupełnie poprawnych „proponuję" (na tejże dodanej kartce) i „lituję" (na s. 231). Drobiazg ten świadczy z całą pewnością chyba tylko o tym, że Conrad odwykł od obrazów polskiego pisma.

Tym bardziej uderza jego żywo zachowany zmysł rozróżnień znaczeniowych, np. między „zobaczyć się z przyjacielem"

a „odwiedzić przyjaciela“, albo między „niehonorowymi kłopotami“ a „hańbiącą awanturą“. Znaczna część jego poprawek ma też charakter bezsporny: jako znamienny przykład warto zwrócić uwagę na „przytomność umysłu“ (s. 226), którą zastąpił nieszczęśliwe „umysłowe samoopanowanie“ Piwińskiego, że już nie wspomnę o korekcie oczywistych błędów przekładu (jak np. w oddaniu wyrażenia *at this stage*, albo w pierwszym i trzecim wyrażeniu zakreślonym na s. 222).

Z wyczuciem właściwych znaczeń łączy się tu panowanie nie tylko nad słownictwem, ale nad idiomami języka. Projekt oddania angielskiego *what he had been up to* przez „w jaki to sposób on się mógł skompromitować“ (które to oddanie, jak Conrad sądził, może by było „najbliższe“) nie przekonywa, ale wariant „w co on się zaplątał“ może zachwycić; a nawiasowo wspomniane „gdzie to on wlazł“ świadczy, że obszary idiomatycznej sfery języka, z którymi Conrad był spoufalony, były wcale znaczne.

Innym jeszcze idiomem, wymienionym przez Conrada, jest „trzymać za słowo“ (w uwagach do zdania 3. zakreślonego na s. 222). Tu się jednak jego poczucie językowe najwyraźniej zachwiało: wypisawszy — z instynktu niejako — to doskonałe wyrażenie, świetnie odpowiadające oryginałowi angielskiemu— zawahał się widocznie, zaczął kreślić, dopisywać — w nawiasach i bez nawiasów — i jeżelibyśmy za ostateczny wynik jego wahań mieli uznać to, co z pominięciem słów wykreślonych daje się przeczytać, tj. „trzymać go do tego zwierzenia“, trzeba by było powiedzieć, że jednak jego wyczucie polszczyzny miało poważne ograniczenia. Ale może być, że trzeba tu coś położyć i na karb roztargnienia, z którego Conrad przecież słynął: może po prostu ostatnia wersja — z wyrażeniem „do tego zwierzenia“ — nie została wykończona.

Szczegółem, który rzuca bodaj nieco więcej światła na granice konradowskiego poczucia językowego w polszczyźnie, jest poprawka, zaprojektowana w ustępie opisującym wygląd młodzieńca z Camorry (na s. 231). Zapewne, nienajszczęśliwiej napisał Piwiński: „Ubrany był kompletnie czarno, w ciemnozielonym wiązanym krawacie“; ale, gdyby to zmienić, jak Conrad proponował — co prawda ze znakiem zapytania — na „z ciemnozielonym wiązanym krawatem“ — byłoby zupełnie fatalnie.

Rzecz ciekawa, że tuż obok (na tejże s. 231) mamy wariant konradowski, świadczący znowu o bardzo delikatnym rozróżnieniu odcieni. Zamiast „jak dalece czuję dla niego litość“ wolałby Conrad mieć: „jak dalece się nad nim lituję“: o ileż naturalniej i — zważmy — z jak trafnym wyczuciem swobody enklityki.

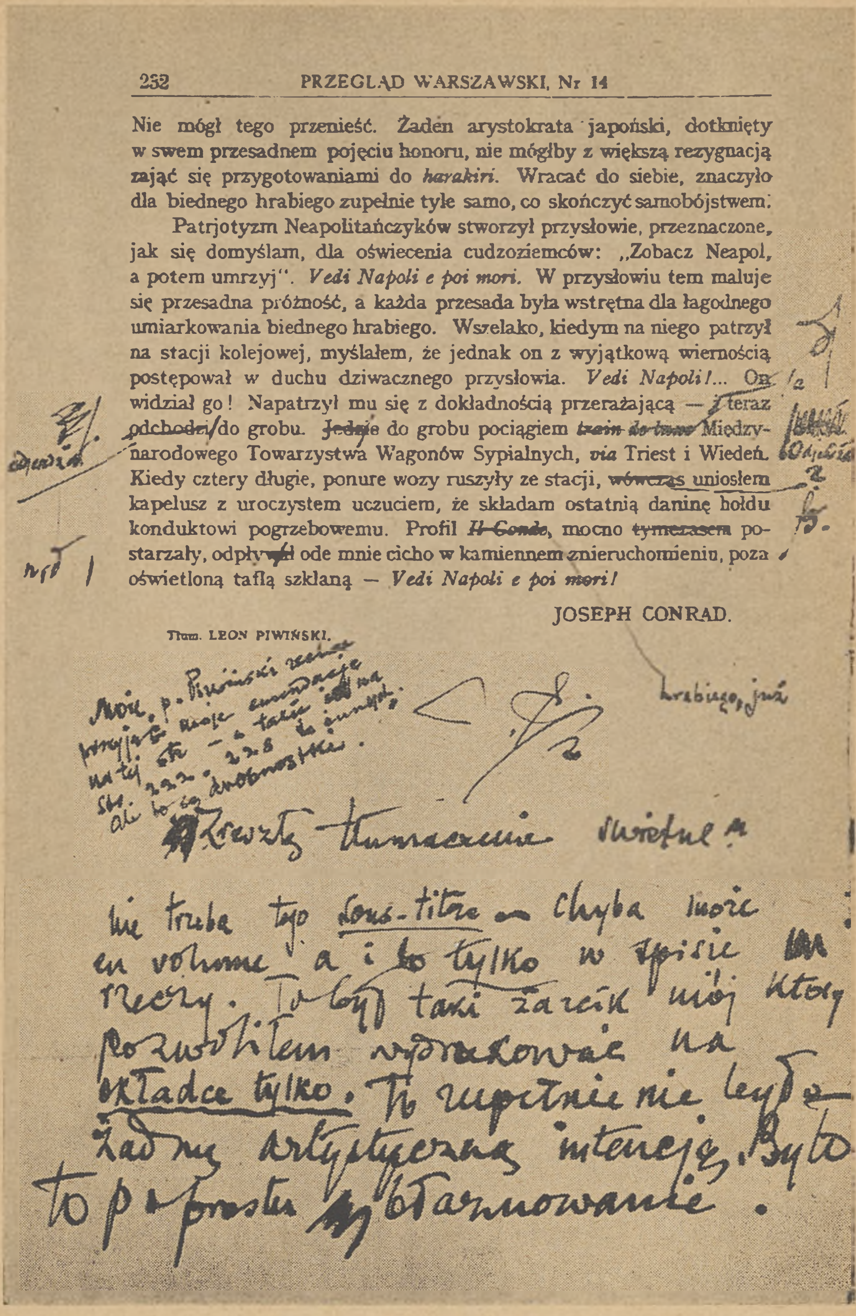
Trafnego znowu zmysłu dla aspektów czasownikowych dowodzi poprawka (tym razem dokonana bez wahań) wyrażenia „spędzał czas w hallu“ (w przedostatnim ustępie s. 222) na „spędził jakiś czas w hallu“. Podobnie — zastąpienie „odpływał“ (jako odpowiednika angielskiego *glided away* na s. 232) przez „odpłynął“.

Poprawki w zdaniach końcowych mają charakter w części stylistyczny: ich oczywistą intencją było wydobycie jawniejszej ironii i zarazem patosu. Stąd dwukrotne „odjeżdżał“ zamiast dwoistych „odchodzi“ i „jedzie“. W tym drobiazgu polskim zaznaczył się lwi pazur mistrza stylu, jakim Conrad był w angielszczyźnie.

3

Trochę więcej o sprawach, które nas tu interesują, moglibyśmy wywnioskować na podstawie tego, czego Conrad w przekładzie Piwińskiego nie poprawił, gdybyśmy mieli pewność, że rzeczywiście cały tekst tego przekładu porównał z oryginałem i że jego końcowe pochwały („tłumaczenie świetne“, „czytanie... było prawdziwą przyjemnością“) mają znaczenie dosłowne, a nie są tylko wyrażeniami, „jakich się — wedle powiedzenia Żeromskiego — w takich razach zażywa“.

W istocie, przekład Piwińskiego, acz gładki i co się nazywa kulturalny, „świetny“ przecież nie jest. Piwiński nie był tłumaczem z powołania. W języku, na który tłumaczył, ulegał nieraz presji słowotwórczej i składniowej tego, z którego tłumaczył. Conrad wskazał na jeden wypadek, świadczący o tym dość wymownie: na owo „umysłowe samoopanowanie“. Analogicznym przykładem, przez Conrada już nie zaznaczonym, są neapolitańczycy „gestykulujący wzajemnie“ *(nodding to each other)*.



Nie mógł tego przenieść. Żaden arystokrata japoński, dotknięty w swem przesadnem pojęciu honoru, nie mógłby z większą rezygnacją zająć się przygotowaniami do *harakiri*. Wracać do siebie, znaczyło dla biednego hrabiego zupełnie tyle samo, co skończyć samobójstwem.

Patrjotyzm Neapolitańczyków stworzył przysłowie, przeznaczone, jak się domyślam, dla oświecenia cudzoziemców: „Zobacz Neapol, a potem umrzyj". *Vedi Napoli e poi mori.* W przysłowiu tem maluje się przesadna próżność, a każda przesada była wstrętna dla łagodnego umiarkowania biednego hrabiego. Wszelako, kiedym na niego patrzył na stacji kolejowej, myślałem, że jednak on z wyjątkową wiernością postępował w duchu dziwacznego przysłowia. *Vedi Napoli!...* On widział go! Napatrzył mu się z dokładnością przerażającą — i teraz ~~odchodzi~~ do grobu. ~~Jedzie~~ do grobu pociągiem ~~train de luxe~~ Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych, *via* Triest i Wiedeń. Kiedy cztery długie, ponure wozy ruszyły ze stacji, ~~wówczas~~ uniosłem kapelusz z uroczystem uczuciem, że składam ostatnią daninę hołdu konduktowi pogrzebowemu. Profil ~~Il Conde~~, mocno ~~tymczasem~~ postarzały, odpływał od mnie cicho w kamiennem znieruchomieniu, poza oświetloną taflą szklaną — *Vedi Napoli e poi mori!*

JOSEPH CONRAD.

Tłum. LEON PIWIŃSKI.

hrabiego, już

Może p. Piwiński zechce przyjąć moje emendacje na tej str. — a także te na str. ... to drobnostki.

Zresztą tłumaczenie świetne!

Nie trzeba tego sous-titre — Chyba może en volume a i to tylko w spisie rzeczy. To był taki żarcik mój który pozwoliłem wydrukować na okładce tylko. To zupełnie nie było żadną artystyczną intencją. Było to po prostu błaznowanie.

Korekta Conrada

Przede wszystkim jednak Piwiński miał znajomość angielszczyzny — w r. 1922 przynajmniej — dość wyłącznie książkową. Czuł się stosunkowo swobodnie tam, gdzie chodziło o przedstawienie dramatycznych wypadków, analizę psychologiczną, abstrakcje. Trudniej sobie dawał radę z idiomami dotyczącymi r e a l i ó w codziennego życia. Stąd np. hotel *up to date* jest u niego „modny“ (s. 217), zamiast być nowoczesnym; narrator z Hrabią oglądają posąg Hermesa „ze wszystkich stron“ (s. 217), zamiast żeby go oglądać po prostu stojąc koło siebie *(side by side)*; siwe włosy zaczesane do góry *(his white hair brushed up)* stają się (s. 219) „białą uczesaną głową“; droga jest „otoczona niskim wałem“ (s. 223), zamiast być „obrzeżoną“ *(bordered)* i to nie wałem, ale „murem“ *(wall)*; „Hrabia pił jakąś limoniadę“ w kawiarni (s. 224), zamiast żeby sobie zwyczajnie „kazał podać limoniady“ *(Our friend had some lemonade)* itd. itd. Otóż żadne z tych, ani wielu im podobnych wyrażeń nie zostało zakwestionowane przez Conrada. Widać, od pewnych potocznych zwrotów już był odszedł przed r. 1922.

Są też w przekładzie Piwińskiego przesunięcia odcieni znaczeniowych — liczniejsze, niżby z uwag Conrada można wnosić. „Ten właśnie zakątek Europy południowej“ *(this particular spot)* jest u niego (s. 219) „tym osobliwym zakątkiem“. Szorstkość *(roughness)*, bez której nie podobna zdobyć majątku, została wzmocniona do „gruboskórności“ (s. 219). Wolność *(freedom)* od fizycznych cierpień (s. 220) zastąpiona została przez „uwolnienie się“ od nich. Bezczynność *(idleness)* stała się (s. 220) „wywczasami“. „Miły“ *(nice)* awansował (s. 221) na „czułego“. Zirytowane niezadowolenie *(peevish discontent)* zostało przedstawione jako „ponura markotność“ (s. 224) *Etc. etc.* Naturalnie, te przesunięcia nie wpływają na ogólną potoczystość przekładu. Faktem jednak jest, że są, i że Conrad tylko niektóre z nich podał w wątpliwość.

Innym rysem przekładu Piwińskiego jest ogólny książkowo-literacki charakter narracji, bardzo odskakujący od naturalnego tonu opowiadania oryginału. Rys to zresztą, który praca Piwińskiego dzieli z ogromną większością przekładów polskich. Dotąd nie ma dla tłumaczy polskich nic trudniejszego nad naturalność. Boy-Żeleński był pod tym względem rzadkim wyjątkiem. Aniela Zagórska, tak świetna w oddawaniu opisowych, psycho-

logicznych i nastrojowych części dzieł Conrada, zawodziła — jak inni — w dialogach, w ustępach o kolorycie gawędziarskim; stąd Marlow tak szczególnie męczący jest w jej przekładach.

Już na samym początku tłumaczenia *Il Conde* czytamy o Hermesie Spoczywającym jako o „naprawdę zachwycającym arcydziele". Tymczasem w oryginale jest on określony jako *that wholly admirable piece*, a więc zachwycająca „rzecz" raczej, niż „arcydzieło". W ciągu dalszym raz po raz się zdarza w tym przekładzie np. „niejednokrotnie" (s. 217), choć ton oryginału wymagałby raczej zwyczajnego „nieraz"; „swej", „swych" itp. (np. s. 219, 223, 226) zamiast codziennych „swojej", „swoich" itd.; „jednakowoż" (s. 221) zamiast żywszego „a jednak"; emfatyczne „przeto" (s. 223) zamiast prostego „więc"; górne „iż" (s. 218), „gdy" (s. 220) i „lub" (s. 220), choć oryginał się prosił o pospolite, konwersacyjne „że", „kiedy" i „albo". „Sądzę, że czynił" — czytamy (s. 222) w ustępie, w którym ton oryginału podszeptuje raczej: „Myślę, że robił". „Mam nadzieję, że pan nie otrzymał złych wiadomości?" (s. 221) — to pachnące atramentem wyrażenie ma oddawać prostotę angielskiego: *You haven't had bad news, I hope?* Przykładów można by przytoczyć jeszcze znacznie więcej.

W jednym wypadku Piwiński uległ nawet najstraszniejszej pokusie tłumaczy polskich: pokusie fałszywej „poetyzacji". Mniej więcej w środku noweli jest ustęp mówiący o drodze nad brzegiem zatoki neapolitańskiej. Obrzeża ją z jednej strony niski mur, poza którym przy ładnej pogodzie pluska i miło pomrukuje Morze Śródziemne *(beyond which the Mediterrenean splashes with gentle murmurs when the weather is fine)*. W przekładzie Piwińskiego „Morze Śródziemne szemrze miło pluskiem swych fal" (s. 223). I tu Conrad nie wystąpił z protestem. Mniej to już nas dziwi. Ale tu mamy miarę dystansu pomiędzy jego zmysłem stylistycznym w angielszczyźnie a w polszczyźnie. W tej obserwacji zamyka się odpowiedź na naiwnie stawiane przez niektórych krytyków pytanie, czy Conrad mógł być pisarzem polskim równie dobrze jak angielskim.

Ze względu na Conrada trzeba tu było przytoczyć sporo potknięć i niedociągnięć Piwińskiego. Nie byłoby jednak rzeczą słuszną uznać jego przekład za zupełnie bezwartościowy. Prze-

kłady najsławniejszych tłumaczy, wzięte pod lupę, ujawniają wiele słabości i rozstrzygnięć wątpliwych. Ostateczna wartość przekładu zależy od stosunku wad do zalet. Otóż przekład Piwińskiego ma jednak i zalety niezaprzeczone. Nie dosyć naturalny w tonie, jest jednak i płynny, i w sumie dość jędrny. Wystarczy może — dla korekty wrażenia — przypomnieć jeden z jego ustępów narracyjnych:

> The man lolled back in the corner of the seat, his legs stretched out, his arms folded and his head drooping on his breast. He never stirred, as though he had fallen asleep there, but when the Count passed by next time he had changed his attitude. He sat leaning forward. His elbows were proped on his knees, and his hands were rolling a cigarette. He never looked up from that occupation.

> Nieznajomy rozwalił się w rogu siedzenia, wyciągnął nogi, skrzyżował ręce i zwiesił głowę na piersi. Nie poruszał się zupełnie, jak gdyby zapadł tam w sen; lecz kiedy hrabia następnym razem koło niego przechodził, zmienił pozę. Siedział pochylony naprzód. Łokcie miał oparte na kolanach, a w palcach skręcał papierosa. Zupełnie nie odrywał wzroku od tego zajęcia.

Ustępy takie (a jest ich niemało) zasługują niewątpliwie na słowa uznania. Pochwały Conrada, acz przesadne, nie były więc całkowitą pomyłką.

Zalesie, 4 IV 1945.

TADEUSZ MIKULSKI

WACŁAW BOROWY

Oddajemy do druku ostatnie rękopisy Wacława Borowego, których Autor nie zobaczy już w Zeszytach Wrocławskich. Patrzymy ze wzruszeniem na maszynopis, tak przygotowany starannie, z licznymi śladami pracowitej ręki, kreślony — dla jasności — ołówkami kilku kolorów, pełen wstawek, dopisków marginalnych, informacji dla zecera, dyskutowanej jeszcze wymiany słów czy uproszczeń składni. I bierze nas ochota — na pożegnanie z Profesorem, z Pisarzem — pójść raz jeszcze do jego warsztatu, stanąć przy jego stole pracy. Można to uczynić łatwo i zupełnie po prostu: wystarczy wziąć do rąk listy Wacława Borowego, jak nadchodziły z Warszawy do Wrocławia w latach 1946—1950. Porządkujemy tę korespondencję według dat, których Profesor nigdy nie zapominał stawiać, i czytamy historię jego dnia codziennego z pedantycznej wzmianki o adresie, wiodącej na przemian do Uniwersytetu, na Sewerynów, do Zalesia, zależnie od pory roku i nawet dnia w tygodniu. Kartki pocztowe i papier listów, biały lub niebieski, na którym kładzie Profesor swoje pismo, bardzo czytelne, lekko ornamentacyjne. Jest to nieco ozdobna, ale w swej ozdobie zupełnie prosta kursywa Wacława Borowego.

Ze spraw, o których mówią listy, spośród przedmiotów polonistycznych, zawodowych, uniwersyteckich — jeden stały wątek w tej korespondencji należy do Zeszytów Wrocławskich. Wacław Borowy jest czytelnikiem pisma od numeru 1 (I, 1947, nr 1), ogłoszonego na przełomie roku 1946/47. Ślad tej lektury pojawia się w karcie z 15 lutego 1947:

> Dziękuję też za Zeszyty. Bardzo ciekawe! Robicie ruch.

Tym krótkim słowem aprobaty i zachęty Borowy powitał wydawnictwo wrocławskie. Wkrótce z czytelnika został jego autorem. Jakoś w czerwcu czy w lipcu 1947 r. doręczył re-

dakcji Zeszytów pierwszy swój skrypt, przeznaczony dla pisma. Było to studium *Franciszek Karpiński jako poeta*, jeden z celniejszych rozdziałów książki *O poezji polskiej w wieku XVIII*. Drukowaliśmy ten artykuł w Zeszytach (I, 1947, nr 3), z wielką uwagą dla instrukcji graficznej, w jaką był wyposażony każdy rękopis Borowego. Pismo było młode, na dorobku. Jakżeż zależało nam, by Wacław Borowy, niegdyś świetny redaktor Przeglądu Warszawskiego, zaczął je cenić! Kartka z 22 września 1947 r. zawierała zdanie, które mogło usatysfakcjonować redakcję:

> Zeszyty Wrocławskie (nr 3) w pięciu egzemplarzach przyszły. Ciekawy numer. Dużo mam w nim do czytania.

Z tych właśnie tygodni pochodzi inny dowód uwagi dla pisma. W karcie z 8 września 1947:

> Mam też i siakie takie Mickiewicziana; ale te może raczej do jakiegoś dalszego Zeszytu Wrocł.?

W tej samej karcie znajduje się troska, tak dobrze nam znana, o szwankujący nieustannie kolportaż wydawnictwa.

> Podobno w Toruniu nie ma ani jednego egzemplarza Zeszytów! Tak przynajmniej twierdzi Zawodziński.

Mickiewicziana („siakie takie“) poszły do Pamiętnika Literackiego, który przygotowywał w tym czasie rocznik mickiewiczowski. Dla Zeszytów Wrocławskich Borowy przeznaczał duże studium *O drugiej i czwartej części Dziadów*, fragment książki o Mickiewiczu, narastającej w tych latach z rozdziałów i luźnych pomysłów. Zasobny dość rękopis nadszedł do Wrocławia wraz z listem z 28 listopada 1947:

> Oto chryja obiecana. Nie wiem, czy zdąży do Wrocławia na 1 grudnia (o tym terminie pamiętam, ale nie mogłem wcześniej przeczytać maszynopisu), no i nie wiem, czy to na Zeszyty nie za duże. Przygotowany jestem na każdy wyrok. Uwagi techniczne rozmieściłem na marginesach. Bardzo ciężkie tygodnie mam teraz.

Och, te „uwagi techniczne“! Można było uczyć się na nich adiustacji rękopisu, traktować je jako przestrogi autorskie przy skomplikowanej procedurze korekty... Wacław Borowy prowadzi w tym roku 1947/48 w Uniwersytecie Warszawskim seminarium *Zasady techniki edytorskiej. Konwersatorium i ćwiczenia* (w wymiarze trzech godzin tygodniowo) i jest powołany do podobnych ćwiczeń, jak mało kto w filologii uni-

wersyteckiej. Przyjmowaliśmy rękopisy Borowego, które nadchodziły z pocztą warszawską do Wrocławia, jako „konsultacje“ w ramach tego seminarium. Zabiegi redakcyjne stawały się w jego rękach pedantyczne, celowe, zyskiwały swoją „teorię“, ustalały wzory postępowania wydawniczego. Wacław Borowy ma w swojej bibliografii naukowej trwałe pozycje z tego zakresu: Tom Żeromskiego *Elegie* (1928), przykład mozaiki edytorskiej, którą warto układać dla Żeromskiego, i tom Norwida *Vademecum* (1947), wydanie autografu, dokonane z pietyzmem filologicznym, którym Borowy obdarzał Norwida. Całe to, zupełnie niezwykłe doświadczenie edytorskie można było oglądać w rękopisach samego Borowego i dlatego nie powinny one zaginąć w rozpraszanych zazwyczaj archiwach redakcyjnych.

Studium o *Dziadach* daleko było jeszcze do druku. W parę dni po wysłaniu rękopisu, 4 grudnia 1947, Borowy przygotował list nowy:

> Myślę, że Pan dostał już tekst artykułu o *Dziadach*. Teraz jedna prośba dodatkowa. Jeśli go Pan chce drukować, może Pan będzie łaskaw stronę 29 przysłanej wersji zastąpić tą, którą posyłam przy niniejszym. Wysyłając całość, miałem strasznie mało czasu, a ten ustęp wymagał poprawek.

Nie był to jeszcze koniec erratów. Pewne strony wymienne rękopisu nadeszły z listem z 15 grudnia:

> Ale pisząc o Mickiewiczu, człowiek jest bardziej niż w innych wypadkach literackich narażony na niebezpieczeństwa wahań, uściśleń, uzupełnień *etc.* (...). Zresztą skoro nie wiem, czy dostanę korektę w szpaltach, czy już przełamaną, to i nie mogę inaczej. Ale bardzo, bardzo Pana przepraszam. Tylko tym, że żyję i pracuję w Malstroemie, mogę się tłumaczyć.

Z takich drobnych uwag, nawiasów, wtrąceń do tekstu, między szczegółami z zakresu grafiki drukarskiej, korekty, erratów, można było czytać prawdę o zdrowiu, skargę na chorobę Wacława Borowego. Oczywiście, korekta artykułu o *Dziadach* musiała pójść jeszcze do Autora. Borowy odesłał skład 31 grudnia, spędziwszy nad robotą wieczór sylwestrowy:

> Oto korekta. Niestety, nie dało się uniknąć kilku poprawek „autorskich“. Ale może ujdą.

Studium *O drugiej i czwartej części Dziadów* ukazało się drukiem w nowym roczniku Z e s z y t ó w W r o c ł a w s k i c h

(II, 1948, nr 1), a także w osobnej nadbitce (10 egzemplarzy). Borowy był rad z publikacji. W karcie z 11 marca 1948:

> Po dwu egzemplarzach Zeszytów dostałem 10 egz. nadbitek artykułu o *Dziadach*. Dziękuję serdecznie. Jeśli się mi jeszcze patrzy jakieś wierszowe, wyznam, że chętnie bym je powitał.

Nie bez zawstydzenia czytało się list Borowego z 30 marca:

> Dziękuję i za honorarium, i za list, i za odbitki. Dopiero w okresie świąt mogłem tekst przeczytać. Widzę, że — poza drobiazgami — został jeden tylko błąd korektowy, godny sprostowania, i — jeżeli takie rzeczy praktykujecie — prosiłbym o jego uwzględnienie w następnym zeszycie. Tekst sprostowania w załączniku.

Nie można było nie spełnić życzenia Borowego. Niebawem pojawiło się sprostowanie do artykułu o *Dziadach* (II, 1948, nr 2, s. 203). W czujności nad tekstem nikt chyba nie przeszedł Wacława Borowego.

Mała kroniczka Zeszytów Wrocławskich ciągnie się przez listy następne w uwagach na temat kolportażu, który ciągle jest chwiejny, i trudności finansowych, z którymi pismo nie przestaje walczyć. Borowy pisze w kartce z 14 marca 1949: „Proszę o wiadomości o Zeszytach. Mam nadzieję, że będzie dobra. Jeśli tak, a będzie Panu potrzebny materiał, mógłbym Panu w niedługim czasie coś przysłać". Więc prosimy o materiał, uważając każdy nowy numer pisma za zwycięstwo nad trudnościami. I my mamy uparcie nadzieję, że wiadomość o Zeszytach będzie „dobra". Borowy rozważa, czy przysłać szkic *Rozmowy i listy o Żeromskim*, czy może rzecz o *Ucieczce* Mickiewicza. W liście z 25 kwietnia 1949:

> Ślę Panu (żeby nie stracić okazji) artykuł o Norwidzie, do którego dość wagi przywiązuję.

Jest to studium *Główne motywy poezji Norwida*, czytane jeszcze 1 października 1947 w Towarzystwie Literackim im. Mickiewicza w Krakowie. Dopiero teraz — w swym nałogu cyzelowania tekstu — Borowy postanowił oddać je do druku. W liście, przy którym przesyła rękopis, znajdują się smutne słowa:

> Jestem ciągle chory...

Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego, które prowadzi wydawnictwo Zeszytów Wrocławskich (I, 1947—II, 1948), przechodzi kryzys organizacyjny i rozwa-

ża swoją likwidację — na rzecz Związku Literatów Polskich. Zeszyty Wrocławskie stanowią już legitymację środowiska i Wrocław rozumie, że powinien utrzymać swoje jedyne pismo literackie. W liście z 25 sierpnia 1949 Borowy pisze:

> Bardzo się ucieszyłem, że dzieweczka nie skonała, ale tylko zasnęła i budzi się pod opieką takiej solidnej firmy.

W tak żartobliwy sposób witał Przyjaciel Zeszytów Wrocławskich przejście czasopisma do Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Trzeci rocznik pisma (III, 1949, nr 1/2) przyniósł studium Borowego *Główne motywy poezji Norwida*, ogłoszone także w 20 egzemplarzach osobno. W karcie z 4 listopada 1949:

> Dostałem dziś odbitki. Bardzo przyjemne w wyglądzie. Dziękuję serdecznie!

I później Wacław Borowy przyjaznymi oczami, wyrozumiałymi na trudności wydawnicze i drukarskie, śledzi z Warszawy Zeszyty Wrocławskie. W karcie z 20 lutego 1950 pyta o losy periodyku, rad by znowu przysłać materiał, może dłuższe wspomnienie pośmiertne o K. W. Zawodzińskim. W karcie z 24 marca:

> Czuję się w obowiązku donieść, że odczyt o KWZ miałem, alem go nie napisał i nie mam teraz kiedy napisać (...). Zebrało mi się materiału (sporo przeczytałem, sięgnąłem nawet do listów sprzed lat 40!!!) na obszerniejszą „kompozycję"...

Ale studium to (a wiadomo, jak Borowy celował w sztuce portretu biograficznego) nie zostało, nie zostanie już napisane. Gdy wyszedł z druku jeden jeszcze numer Zeszytów Wrocławskich (IV, 1950, nr 1/2), posłaliśmy go zaraz Borowemu. Jeszcze go czytał, jeszcze go kartkował, zatrzymując spojrzenie na spisie rzeczy, na niektórych recenzjach...

Kiedy oddajemy do druku numer następny, myślimy z żalem, że już nie będzie go miał w rękach, nie wyłowi z tekstu błędów korekty, nie powie swojego „Ciekawy numer", nie zachęci, nie nadeśle już nic więcej z Sewerynowa — Wacław Borowy.

JULIAN LEWAŃSKI

NOWY SOWIŹRZAŁ ALBO RACZEY NOWYŹRZAŁ (1618)

Teksty i problematyka polskiej literatury mieszczańskiej wieku XVII przeszły przez dwa warsztaty naukowe. Oba opisały je sumarycznie, oba są dobrze znane. Aleksander Brückner przepatrzył teksty, scharakteryzował w kilku rozprawach i opracowaniach przygodnie, w trzecim tomie *Dziejów kultury polskiej* w rozdziale osobnym — chyba najtrafniej. Fundamentalna monografia bibliograficzna Karola Badeckiego uszeregowała teksty i stan badań; wydane starannie zbiory dają podstawę do badań szczegółowych, dotąd — wbrew lepszemu spodziewaniu — nie podjętych. Zanim ustali się właściwą dla nich problematykę, która wcale prosta nie jest, a podejmie zapewne z jednej strony sprawę poszerzenia bazy materiałowej o intermedia, teksty zachowane w rękopisach, z drugiej zaś podejmie opis treści ideologicznych postępowego nurtu literatury staropolskiej — już obecnie przekazane drukowi zbiorki prowokują do wypowiedzi i komentarza.

1

Pierwsze spojrzenie na cztery pokaźne tomy zaleca kategorycznie owo nieszlacheckie piśmiennictwo rozdzielić na dwa dalekie od siebie zespoły: pokaźny zespół druków mieszczańskich i skromniejszy, a znacznie ciekawszy, sfery sowizdrzalskiej, gdzie błyszczą właściwie tylko anonimy. Mieszczańskie dzieła — to i poezje Zimorowicza i pojemne zbiory pieśni, wówczas widocznie pokupnych, lecz dziś trudnych do ocenienia, teksty służące rozrywce tylko, a zarobkowi autora i księgarza, sowizdrzałom zaś chcielibyśmy przypisać *Synod klechów podgórskich*, *Peregrynację dziadowską*, *Komedię rybałtowską nową*, *Rybałta starego wędrownego*, *Szkolną mizerię*, *Poselstwo z Dzikich Pól od Sowiźrzała do Małocnotliwej Drużyny* i bogaty zespół

utworów satyrycznych; z fraszki natomiast warto włączyć minucje, *Biesiady* Baltyzera, *Fraszki Sowiźrzała nowego*, *Fraszki nowe sowizrzałowe* ze zbiorkiem szczególnie cennym — *Nowy Sowiźrzał* — na pierwszym miejscu. Ten właśnie tak nie podobał się Maciejowskiemu, ten Badecki nazywa kapitalnym i szczerze polskim, ten ma nam posłużyć do egzemplifikacji owej linii podziału między literaturą mieszczańską a sowizdrzalską.

W drugiej edycji naszego *Sowiźrzała* (pierwsza była zapewne bogatsza i ciekawsza i jeszcze bardziej prowokująca, jeżeli dostała się na słynny indeks biskupa Szyszkowskiego) liczymy 75 fraszek mniej lub więcej dowcipnych i sensownych, ale 18 z nich warto wydobyć specjalnie i ułożyć w jakąś treść jednolitą: obraz stanu sowizdrzalskiego. Autor rozproszył te niby autobiograficzne wiersze po całej broszurze. Cóż w niej mamy? Atak na światek, po którym wędruje poeta-proletariusz. Zaczepia na wstępie swego odbiorcę: czytelnika-paskudnika-kwiczelnika, wyśmiewa chwalstwo myśliwych, drwi z lekarzy, oskarża rzemieślników, gani obyczaje i głupotę ludzką. Dodał i kilka żartów, ale jest ich właśnie tylko kilka. Przeważająca większość fraszek ma jakąś postawę wspólną, wyraźnie jednolitą, społeczną i krytyczną. Wszystkie są żartobliwe i dowcipne, fraszka pozostała w ramach swego gatunku, zbiorek na straganie nie różnił się zbytnio od innych sejmów niewieścich. Wydawać się nawet może, że sowizdrzalska autobiografia była subtelnie maskowana przez autora lub drukarza czy wydawcę: nie stanowi osobnej części druczku, ale 18 fraszek rozbito na sześć jednostek i po trzy wdrukowano między poszczególne — nie tytułowane zresztą ani specjalnie oddzielane — części zbiorku. Może to więc rzecz świadomej kompozycji, może rezultat drukarskiej narady, poważniejszej niż tej z wiersza:

> Przyjdę raz do drukarzów, a oni drukują,
> *Nowego Sowiźrzała* do prasy gotują.
> Obaczywszy autora bardzo byli radzi,
> Zaprawili mię za stół. Nu każdy z swą flaszą...

Można przypuszczać także współpracę autorską lub redaktorską, też w wierszu przedstawioną:

> Siadł poeta z poetą, mówią sobie wierszem,
> Prędko się zrozumieli przy kieliszku pierwszem.
> Więc obadwa weseli, oba radzi sobie,
> Ten się sowiźrzałowej dziwuje osobie...

Daremnie wieści o sowizdrzałach szukalibyśmy u Władysławiusza, mieszczanina pewno zamożnego, honorowanego, cenionego autora, rzemieślnika lub chyba przemysłowca. *Krotofile ucieszne* Władysławiusza mają bardzo charakterystyczną szatę redakcyjną, szukają protektora szlachcica, dbają o wysoki styl cytowaniem autorów starożytnych, szukają sensacji i plotek politycznych. Zoile i Amfiony, tematyka i frazeologia, a nawet wielkość druku wyznaczają czytelnika innego, odrębnego, różnego od miłośnika i kupca druczku sowizdrzalskiego. Na dobrą sprawę i Baltyzer bliższy jest owej mieszczańskiej literaturze, a nawet fraszki, w nominacji Badeckiego zabytek V i VI, służą tylko niefrasobliwej a bezmyślnej rozrywce, z rzadka tylko mieszczą prawdziwe sowizdrzalskie utwory.

2

Bliskie są przecież *Nowemu Sowiźrzałowi* dzięki jednakowej szacie stylowej, która łatwo może omylić czytelnika. *Sowiźrzał* złożony jest ubożutkimi dystychami: po prostu dwuwierszami. W takiej jednostce z reguły zamyka się okres. Średniówka opatrzona jest klauzulą syntaktyczną, a najczęściej odnajdziemy ją po siódmej zgłosce w charakterystycznym i najpowszechniejszym trzynastozgłoskowcu, czasem po czwartej, gdy wiersz mieści się w ośmiu sylabach. Ta surowość metryczna dała więc w rezultacie regularność czteroczłonową zdaniom. Rzadziej dystych rozpada się na trzy człony: dwa zdania w pierwszym wierszu, jedno w drugim. Okres zazwyczaj dzieli się na zdania współrzędne, pobocznych naliczyliśmy niewiele. Poezja szlachecka drugiej i trzeciej klasy nie odbiegała zresztą wiele od tych zwyczajów; tutaj przecież jest ta suchość schematu metryczno-syntaktycznego jedynym a uciążliwym nieco prawem. Szczupłość środków wyrazu jest uderzająca: zaśpiew nagłosowy trafia na przypadkowo wysuwane słowa, przycisk średniówkowy wiąże się najczęściej z orzeczeniem, nie notujemy aliteracji. Bogaty barokowy aparat retoryczny nie dotarł do tych tekstów, metafora rzeczownikowa jest im zupełnie obca. Przenośnie czasownikowe natomiast spotkamy zupełnie często, częste są także porównania. Zdobią wkład treści drobne, obrazki sytuacyjne, wyliczenia zdarzeń w ramce plastycznego, wizualnego ujmowania rzeczywistości. Autor demonstruje nam konkretne rzekomo wycinki rzeczywistości, nie wygłasza sentencji

ani teoretycznych wywodów. Dzięki temu właśnie *Sowiźrzał* dziś jeszcze może czytelnika interesować i bawić. Żywy jest także język, liczne przysłowia i zwroty gwarowe, przekleństwa, swoista frazeologia. Groch występuje parokrotnie jako wymarzona potrawa wesołych a głodnych poetów, pięść jest orężem, szubienica obrazem rozrachunku ze społecznością i stanami władnymi. Taki symbol śmierci i kary jest bardzo charakterystycznym a pomocnym rysem dla szukania właściwego miejsca owej konfraterni literackiej w Polsce szlacheckiej tamtego wieku.

Tu warto przypomnieć sytuację prawną wesołych sowizdrzałów. Regulowały ich pozycję społeczno-prawną statuty Olbrachta, wymierzone w zasadzie przeciwko bandytom i zbiegostwu poddanych, ale późniejsze ordynacje dla poszczególnych ziem zacieśniały postanowienia po linii interesu ziemian w sposób bardzo jaskrawy i okrutny. Hultaje, gołota i włóczęgi (to naturalnie pejoratywne określenia ludzi luźnych) byli oddani na łaskę i niełaskę dzierżawców i starostów grodowych. Po przybyciu do miasta „włóczęga" musiał w ciągu trzech dni wstąpić do służby lub rzemiosła. W przeciwnym razie miał być schwytany i skuty, następnie użyty do robót miejskich lub w warsztacie. Nie dziwmy się więc, że zamiast bredzić niezbyt składnie o królestwie Plutona i Prozerpiny wcale nieżartobliwie kpi z tych, którzy mają *domicilia*, a smutnych radzi prowadzić

> ...na pole kędy szubienica.
> Lekuchneć tu skonanie, tylko wytrwać trzeba,
> Wszak ujźrzysz, którędy iść będzie stąd do nieba.
> Załóż-że mu nadobnie postronek na gardło...

Nie będziemy narzekali na niedostatek mitologicznej erudycji, skoro wymieniono ją na dobór realiów interesujących i charakterystycznych. Więcej nawet — owo rzekome ubóstwo stylistyczne jest jak najlepszym świadkiem pisarstwa naprawdę postępowego. Postępowość chcemy właśnie wymierzyć izolacją od mody literackiej, która powtarzała bardzo automatycznie podręcznikowe zalecenia szkolnej poetyki i retoryki. Tematyka poezji szlacheckiej, daleka od życia, kosmopolityczna, była pokazem rzekomego bogactwa, służyła amplifikacji osobowości poety, była narzędziem popisu. Tutaj tematy życiowe, komu-

nikowane językiem prostym, czystym leksykalnie, określały szerokie koło odbiorców i decydowały widocznie o długotrwałym powodzeniu druczku.

3

Dalszą wartość *Nowego Sowiźrzała* nazwać warto w terminach nowoczesnych: postępowość wykłada się niezwykłym jak na początek wieku XVII realizmem. Niziny społeczne owego czasu malowane są fraszkami, które od pierwszej do ostatniej zajmują się nie komentowaniem, kodyfikowaniem, oceną moralną i pseudomoralną, nie chwaleniem lub ganieniem, ale podejmują opis w kategoriach takich jak: zarobek, wyżywienie, głód, pożytek, korzyść pieniężna. To literatura o cechach diametralnie przeciwnych niż poezja szlachcecka, zwłaszcza owa drukowana, najwyższego stylu, a więc Morsztyna, Lubomirskiego, Opalińskiego.

Pogłębi różnicę między Sowizdrzałem a Salomonem Polskim zjawisko bardzo charakterystyczne: brak komedii i literatury humorystycznej w piśmiennictwie szlacheckim, pompatyczna solenność poezji, a przeciwnie: humor różnorodny i obfity druków sowizdrzalskich. Śmiech jest przecież gestem społecznym, podkreśla kształty niespokojnych falowań na powierzchni społeczeństw, jest narzędziem pożytecznym, jest nie tylko wyrazem porozumienia społecznego w obrębie grupy, ale wypełnia i funkcję społeczną, przyczynia się do wydoskonalenia ogółu. Kiedy sięgniemy do rękopiśmiennej literatury szlacheckiej, w której humor zajął przecież pewną ilość stron, obracamy się przeważnie wśród ogólników i symbolów, najczęściej mamy do czynienia z etykietami, nie z rzeczami. Z trudnością, zza siatki symbolicznych postaci i alegorii, odczytujemy nowe układy symbolów scholastycznych i pseudoantycznych, ani piękne, ani ciekawe, tym mniej instruujące. Barokowa poezja szlachecka leniwie mieszała alegoryczne obrazy świata, przyprawiając je egzotyzmem i pseudoerudycją (bardzo trudno powiedzieć o niej, żeby powiększała wiedzę o świecie żywym i prawdziwym). W literaturze sowizdrzalskiej sama postawa wyśmiewającego świadczy o tym, że autorzy musieli obiektywizować, a więc i znać dobrze, i oceniać trafnie podstawowe zjawiska społeczno-ekonomiczne swego czasu, jeżeli czynili je przedmiotem po-

kupnego wówczas żartu i jeżeli sądy ich potwierdza dzisiejsza historia.

Tu zreflektować warto naszą ocenę opisywanego zjawiska przypomnieniem, że materiałowa podstawa, z jakiej wyciągamy wnioski, jest nadzwyczaj szczupła: jeden druczek, poszczególne fraszki z kilku podobnych druczków straganowych, kilka komedii. Przypomnieć jednak trzeba, że mamy do czynienia właśnie z takimi korelatami kulturowymi, które najłatwiej ulegały wyczytaniu, zniszczeniu, nie były przechowywane w bibliotekach. Dlatego pierwodruków szukamy częstokroć w... bibliotekach szwedzkich. Dlatego też przypuszczamy, że druki sowizdrzalskie były liczniejsze, że mogły być powielane i ręcznym pismem, że nie odszukane druki można pomnożyć jeszcze o podobne a nieznane.

Nowy Sowiźrzał ułożył swoje fraszki w kilka odrębnych zespołów. Pierwszy, w formie rzekomej autobiografii autora, gromadzi nonsensowne sposoby myślistwa; podkreślić przecież w nich warto, że Sowizdrzał łowi niedźwiedzie i lisy na sprzedaż, a więc praktycznie, z określonym celem pożytecznym dla siebie. Kiedy Morsztyn ma wątpliwości, czy nie posyła sów do Aten lub drzewa do lasu, Sowizdrzał wozi ze wsi do Przemyśla piwo, a sól do Bochni — nie tylko uchylając przypomnienie odległych Aten, ale i konkretyzując sytuację do określonego i znanego wszystkim miasta i towaru. Podobnie w rozdziałku *Medicina* humorystyczne recepty i zalecenia lecznicze są właściwie układane konsekwentnie, skutecznie i użytecznie — tyle, że niekorzystnie dla pacjenta! Natomiast ostro atakuje się chciwość i okrucieństwo lekarzy, o których ma takie prawie mniemanie, jak i my dzisiaj:

Naszedłem raz w Krakowie doktora jednego,
    Pytałem go, co by też na świecie lepszego
Z tych obojga rzeczy: pieniądze czy zdrowie?
    A on, niewiele myśląc, zaraz mi odpowie:
Niż diabła twego zdrowia, cóż mi po twym zdrowiu,
    Choruj ty, a pieniądze miewaj pogotowiu.
Najdziesz tu cyrulików, balwierzów, doktorów,
    Którzy tobie pomogą, by z największych worów.
Ale kiedyś ty chory, a nie masz nic w trzosie,
    Równa się to chorobie i musisz dbać o sie.

Trochę żartobliwą, a trochę wrogą postawę przybiera Sowizdrzał wobec rzemieślników. Nic zresztą dziwnego. Ci są *be-*

ati possidentes, mają nawet pewną prawną egzekutywę wobec proletariatu wędrownego i waganckiego, a sami czystych rąk nie mają, oszukują i wyzyskują:

Ja sie teraz temu światu nie mogę wydziwić,
Jako sie mam przed łakomym ubogi pożywić.
Ubogiemu wszędy piskorz, wszędy na kołacze,
A na chleb nic, bo wszystko zabrali bogacze.
Oni ścieżki poorali, skotniki, wygony,
Już i drogi zgubieli swojemi zagony.
Już przed tymi łakomcami nie przejdziesz nikędy,
Gdzie sie jedno chcesz obrócić, zabroniono wszędy.
Kiż wam diabeł?...

Układa więc Sowizdrzał całą litanię grzechów stanowych: szewcy łgają i oszukują, kuśnierze futra niezbyt solidne robią:

Za kuśnierzem kotki wrzeszczą: A też nas ty łupisz,
I matkiś nasze połupił...

Piekarze są brudni, cieśle budują tandetnie, krawcy kradną, a pasamonicy fałszują. Obszerny wiersz ostrzega przed powszechnymi w tamtych czasach kalendarzami. Wspomnijmy, że kwitła wówczas astrologia i metafizyka, a zadziwi nas i protekcjonalny stosunek do „uczonych", i końcowy apel do czytelników:

Moi mili panowie, ostromendarzowie,
Cóż wy też wżdy umiecie? Ni ludziom, ni sobie
Poradzić nie umiecie, gdzie piszecie sucho,
Tam nie jeździć, bo ulgniesz z kobyłą po ucho.
Gdzie wy mokro, my sucho zawsze znajdujemy,
A wasze minucyje darmo kupujemy...
Z pustej stodoły sowa lub diabeł wyleci,
Miejcież wy lepszy rozum, wszakeście nie dzieci.

Nienajlepsze pojęcie o polskim prawie ma Sowizdrzał, skoro trybunałowi lubelskiemu każe roztrząsać sprawę świni i skoro jest jasne dla niego, że chłop sprawiedliwości w sądzie oczekiwać nie może. Narzeka na szkody materialne (nie moralne!) z pijaństwa, wyśmiewa wiarę w przyjaźń, która głównie zawisła od korzyści, kapitalnie drwi z dystychów Katona, tak wielbionych i tylekroć powtarzanych w każdym niemal szlacheckim zbiorku poetycko-filozoficznym. Oto przykłady:

Exiguum munus cum dat tibi pauper amicus,
Accipito placide, plene et laudare memento.

Jeślić kto da wiercimakiem,
Nie swarz się z nim, nieborakiem.
Przyjmi, choć cie boli szyja,
Bo nie miał dłuższego kija.

Ad consilium non accesseris, antequam voceris.

Nie kwap sie na szubienicę nigdy swą osobą.
Czekaj, aże kto drugi razem pójdzie z tobą.

Kultura antyczna, sprowadzona do martwych schematów i ornamentów, a przypominana na każdej stronie siedemnastowiecznego tekstu, tu odsunięta zostaje na słuszny dystans: nie ma dla niej miejsca na bruku miejskim, jak zresztą nie było jej miejsce w dworku niedouka-szlachcica. Nie od rzeczy będzie wskazać, że mieszczanin Władysławiusz szuka genealogii starożytnej dla swego pióra w sposób niezamierzenie komiczny:

Czytelniku, bacząc ja, że sławni Grekowie
Trefne rzeczy pisali, i filozofowie:
Sokrates i Homerus pisał rzeczy śmieszne,
Łacinnicy i Kato wdzięczne i ucieszne,
Nie chcę inszych wyliczać, co sie w tym kochali,
Którzy w żarciech tajemne rzeczy pokładali.
Ja, ich przykładem idąc, teżem trochę pisał...

4

Wróćmy do owych osiemnastu wierszy Sowizdrzała, w których układa się pewien obraz stanu pisarzy-wagantów-proletariuszy. Grupa ta nie jest dokładnie określona — przynależność do niej może bywała i czasowa:

Nie wstydajcie sie, dziatki, na starość za ojca,
Bom niedawno sowiźrzałem, nie będę do końca.

Przypisuje się do sowizdrzałów służbę luźnych „czeladników", którzy otrzymali specjalną instrukcję:

Nauki sowiźrzalskie, jak się masz sprawować,
Nigdziej miejsca ani zagrzać, ustawnie wędrować.
— — — — — — — — — — — — — — — —
A pamiętaj sie nigdzie dobrze nie odprawić,
Wszakże możesz w kilka mil wszytkim błogosławić.
Chocieś odszedł tłomoczka, diabłuś go poruczył,
Nic to, mówże: Sowiźrzał mnie tego nauczył!

Instrukcja jest zresztą bardzo ciekawa i bogata, ale trudno ją w całości tutaj przedrukowywać. W każdym razie świadczy o zupełnie żywym poczuciu odrębności grupy wagantów, jest dokumentem ich godności, wyrażonej i w lekceważeniu owego tłumoczka, ubożutkiego, lecz jedynego mienia, i stosunkiem do otoczenia:

Nie daj sobie nic mówić, kiedyć kto co rzecze,
Pięścią zaraz w paszczękę, jeślić nie uciecze.

Wydaje się, że trzon „klasy" stanowili jednak bakałarze, klechy (ale nie uksoraci! — ostatecznie żonę się zostawia i wędruje dalej), kantorzy, komedianci. Żebracy stanowili grupę zawodową zupełnie wyodrębnioną. Wędrówka sowizdrzałów nie przypomina bezinteresownej wyprawy trampów — to jest zawsze szukanie zarobku, służby, środków do życia. Życie jest trudne, chłodne i głodne. Szkoła jako forma stabilizacji opisana jest szczegółowo, z wisielczym i smutnym nieco uśmiechem:

Gdy się jeszcze przypatrzysz ich porządnej sprawie,
Wierz mi, jadłbyś garścią lada gdzie na ławie.
Mdłość na drugiego bije, gdy go groch zaleci,
Wygląda, co skąd spadnie, niosąli co dzieci.
Jeśli nie ma obiadu, rzodkiewkę oskrobie,
Na poły się rozdzieli; na też, *frater*, tobie.

Żywot rybałtów odmalowany jest w tak złocistych barwach, że obrazowi nie dowierzamy i przyjmujemy go jako ironiczny:

Rybałt przepiórkę obiera, a kapłon mu dowiera,
W pieniążkach przebiera.
Chłop wiecheć kapusty obiera, a pęcak mu dowiera,
W zgniełych lubaskach przebiera.

Rybałt miód, wino pije, panna mu wieniec wije,
Jako paniątko żyje.
Chłop mętną wodę pije, co dzień cepami bije,
Jak świnia w gnoju ryje.

Służba dworska ani przed głodem nie broni, ani grzbietu nie okrywa:

Chłopię przed panem w odrapanej barwie
Jako łotr prawie.
Wysechł jak szczapa, ledwie żyw od głodu,
Dobrego rodu.

Trudno mnożyć cytaty. Gdybyśmy rzeczowość przedstawiania życia mieli mierzyć dbałością o podstawowy jego warunek, wyżywienie, to źle wypadnie rachunek dla poezji szlacheckiej wieku. W jednym *Nowym Sowiźrzale* więcej się pisze o jedzeniu niż w całej szlacheckiej literaturze siedemnastowiecznej. Z realiów składa się obraz żywota rybałtowskiego, realistyczny jest również autoportret, jaki po sobie zostawił:

Trzewiki nabite prochem,
Sam żyje lada motłochem.
Jako Cygan opalony,
A drąg w ręku dla obrony.
Za magierką pióro gęsie
Abo kogucie się trzęsie...

Boże, który masz na pieczy
Lada draba, choć nic grzeczy.
Jednako nas nędza gryzie,
Tak w Podgórzu, jak na nizie.

O trybie życia informuje obszernie *Zamknienie*, ostatni wiersz *Nowego Sowiźrzała*, z którego wydobywamy nieco tajemnicze omówienie osoby autora lub autorów:

Choć mnie widzisz, nie poznasz, i pytasz się o mnie,
Ty mnie szukasz na świecie, a ja ciebie gonie.

Można przypuścić, że wyrażono w ten sposób szeroki adres autorski głoszonych poglądów. Poglądy mają szatę żartobliwą, ale czasami uderzają ostrym sformułowaniem:

Wiesz, czym się zabawiam, znać, iż nie próżnuję,
Nikomum nic nie wydarł, a wszytkim daruję.

Nie znaczy to bynajmniej, aby Sowizdrzał uprawiał filantropię, ale znaczy coś więcej: że umiał dzielić ludzi na sprawiedliwych i „wydzierających“. Potrafił ujmować świat i jego sprawy w kategorie porządku społecznego, wartość ludzi i rzeczy mierzył stopniem ich służebności i użyteczności. Ta umiejętność stawia skromny straganowy druczek w rzędzie najbardziej postępowych publikacji tamtego czasu.

WILHELM SZEWCZYK

FRIEDRICH WOLF W PRACY I WALCE
WIZERUNEK NIEMIECKIEGO PISARZA ANTYFASZYSTOWSKIEGO

1

Friedrich Wolf w ciągu całego swojego życia nie skąpił nam wiadomości o sobie. Z tych autobiograficznych strzępów i wskazówek, hojnie rozsypanych na kartach twórczości, w rozmowach i wywiadach, da się odtworzyć dość dokładny wizerunek pisarza, można śledzić koleje jego życia, wiązać poszczególne jego wydarzenia i etapy z całymi stronicami jego powieści i dramatów. Niemiecki pisarz antyfaszystowski interesuje nas nie tylko od strony swojej twórczości. Zwłaszcza skoro twórczość jego przypada na cały okres Republiki Weimarskiej, który Arnold Zweig, dobrze nam znany jako autor cyklu o losach Griszy, w swoich powojennych wspomnieniach określił jako wielką epokę niemieckiego życia duchowego, fatalną epokę niemieckiej słabości i braku zdecydowania wobec nielicznych zuchwałych grupek (Weltbühne, 1950, nr 38). Innymi słowy, była to epoka dojrzałych, czasem nawet przerafinowanych duchowo ludzi, niezdolnych do podjęcia kamienia z drogi i wycelowania go w określonym dokładnie kierunku.

Ale młodość Friedricha Wolfa o blisko czterdzieści lat oddalona była od pierwszych słabości Republiki Weimarskiej, wspólnych potem całemu pokoleniu. Urodzony w roku 1888 niedaleko Koblencji, którą historia uznała za bezpieczną, swobodną przystań wszystkich wygnanych, ojcem swojej młodości nazywa „stary Ren“, rzekę, która poprzednio już urzekała wszystkich wolnych pisarzy Niemiec, dla nacjonalistów tylko stanowiąc umowny znak kartograficzny, godny zapałów i starć. Ren często przepływać będzie w jego twórczości. W okresie wojny, pisząc *Rosyjskie futro* (wydane po raz pierwszy w r. 1943 w Moskwie), raz jeszcze wspomni rzekę.

Deportowani do Niemiec z Holandii i Belgii robotnicy budują zaporę na Renie i w ten sposób „Wolny Ren“, o którym niemieccy poeci wyśpiewali tak dumne pieśni, nagle został ujarzmiony przez hitlerowską policję. Ren... rzeka niemiecka, a nie granica Niemiec — jak to proklamował Moritz Arndt — stał się dzięki Gestapo znowu „granicą Niemiec“.

Koblencja, Ren, charakter ludności tej części Niemiec — wszystko to biografom Friedricha Wolfa pozwala określić pisarza jako produkt kultury niemiecko-galickiej, z jej dobrymi i złymi cechami. Lekkość i jasność rzemiosła to zalety niewątpliwe, ale nadprodukcja, wypływająca z nadmiernej lekkości pisania, to już błąd.

Bohaterami młodego Wolfa byli literaccy bohaterzy wolności narodów Rosji. Pisał o nich wiersze, rzeźbił ich rysy w słowie lekkim, od samego początku uważanym za doskonałe. Do doświadczeń literackich, czerpanych z lektury, dojść miały doświadczenia życia. Młody maturzysta odbywa służbę wojskową w pułku pionierów. Potem służy jako ładowacz węgla na holenderskim statku, zapisze się w Amsterdamie do Armii Zbawienia, studiować będzie malarstwo i rzeźbę w Monachium. Monachijscy korporanci dawno już zapomnieli o wiośnie ludów i o wolnościowych tradycjach studentów niemieckich. Wilhelmińskimi poddanymi jednak, maczającymi bez przerwy usta w piwie, Wolf się brzydzi. Zakłada więc grupę „Wolnych Wędrowców“, rozczytujących się w Tołstoju i modlących się panteistycznie do bawarskich, gęstych borów. Niedoszły plastyk uzyskuje w roku 1912 stopień doktora medycyny i do wybuchu wojny podróżuje i leczy jako lekarz okrętowy północno-niemieckiego Lloydu.

Cztery lata wojny światowej, którą pod koniec przeżywa jako lekarz batalionowy, dadzą mu pewność, że kierunek drogi literackiej, na którą wkroczy właściwie dopiero w r. 1919, jest słuszny i potrzebny. Wojna często teraz zajmie jego pióro, właściwy sens wielkich, niszczycielskich bitew objawi mu się z całą wyrazistością już w r. 1918. Ale bo też Wolf nigdy właściwie nie był wyłącznie pacyfistą, jak Remarque czy Renn. Na wojnę patrzy innymi oczyma, widzi w niej grę wielu przeciwnych sił, z której wyjść musi człowiek wolny. W tym znaczeniu wojna jest potrzebna. Dopiero w r. 1950, włączając się do wielkiej akcji pokoju, uwierzy w bezsens wojny, ufając pokojowej pra-

cy nad utrwaleniem demokracji, wolności i sprawiedliwości. I równocześnie — w tymże roku 1950 — potępi wojnę nie jako pacyfista, lecz jako Niemiec, spodziewający się od nowej swojej republiki spełnienia tych wszystkich ideałów, o które walczył tak długo.

Oto odważają się zbrodniarze z przepalonym mózgiem wzywać nas znowu do nowej wyprawy na Wschód oraz do nowej bitwy nad Wisłą. Odważają się kusić niemieckich chłopców w charakterze lancknechtów w szeregi najemnej armii zachodniej. Odważają się prowokować naród polski przy pomocy zjadliwej kampanii propagandowej przeciwko pokojowej granicy na Odrze i Nysie, ów naród, któremu okupacja hitlerowska wydarła ponad sześć milionów zabitych i zamordowanych, który od 1772 w trzykrotnych rozbiorach z udziałem hohenzollernowskich Prus w bezsensowny sposób podzielony został i którego całe dzielnice z milionową ludnością polską „przyłączone" zostały do Prus (Sonntag, 8 X 1950).

Tamta wojna jednak nie wywołała w nim jeszcze protestu o tak wyraźnej konstrukcji politycznej. Pod Langemarck, które dopiero hitleryzm wyniósł do roli „najświętszego ołtarza" tej najkrwawszej z wojen, pada mu w r. 1917 jego najbliższy przyjaciel, architekt drezdeński Bender.

Śmierć — czytamy potem słowa Wolfa — która zastaje człowieka na obcym polu wojennym, w zawierusze bezdusznego ognia, to nie tylko okrutna siła, to sygnał, sygnał do opamiętania!

Wraca z wojny tym samym szlakiem, który Remarque zrazu po mistrzowsku nakreślił w *Drodze powrotnej*. Jest to jednak równocześnie czas demonstracji, wielka szansa czynu historycznego.

W pamiętnych dniach pierwszej połowy listopada 1918 r. — pisze Albert Norden w swej znakomitej książce *Czego nas uczą dzieje Niemiec* — wszystko było możliwe, wszystko było do osiągnięcia. Robotnicy, chłopi, średnie warstwy mieszczaństwa, cały lud pracujący stanął po stronie rewolucji. Drobnomieszczaństwo odwróciło się od obozu imperialistycznego i szukało kierownictwa robotników. Reakcja była zdezorientowana i zbita z tropu. Skryła się w mysich norach. Jej wodzowie trzymali się na uboczu, a jej tradycyjne partie rozpadły się jak domki z kart. Raz na stulecie historia daje narodom tego rodzaju sposobność — przy minimalnej ilości ofiar zniszczyć do gruntu stary ustrój.

Od siebie dodajmy, że jest to wielka próba pisarzy. Ernst Toller, ekspresjonistyczny dramatug i poeta, uganiać się będzie po wiecach i manifestacjach, by w kamizelce tylko i z rozpiętym kołnierzykiem tłumaczyć tłumom sens nowej chwili i epoki. Na tych samych rewolucyjnych szlakach ujrzymy Friedricha Wolfa. Obrany w październiku 1918 r. mężem zaufania szpitala garnizonowego w Dreźnie, trzydziestoletni lekarz, oficer i poeta, do marca 1919 r. pracuje w radzie głównej rad robotniczych i żołnierskich na terenie Saksonii.

Tymczasem — wróćmy raz jeszcze do Nordena — w 24 godziny po zwycięstwie rewolucji, bo już 10 listopada 1918, Ebert, przewodniczący rządu rewolucyjnego, zawarł tajne przymierze z cesarską Kwaterą Główną pod przewodnictwem feldmarszałka Hindenburga. Przymierze to miało na celu zdławienie rewolucji. Wolf trwa przy rewolucji nawet wówczas, gdy powołany w r. 1920 do nadreńskiego *Remscheid* na stanowisko lekarza miejskiego przeprowadza tu reformy socjalne i zdrowotne. W międzyczasie Niemcy ogarniają strajki, które dr Goebbels nazwie później cynicznie ostatnią czkawką rewolucji. Rząd pruski ogłasza stan oblężenia. Tak jak generał von Luettwitz co dopiero ostrzelał protestujących robotników berlińskich z dział i moździerzy, prowincjonalni Luettwitze na rozkaz prowincjonalnych Noske'ych i Ebertów przystępują do rozbijania szeregów rewolucji. Mordy i gwałty jak paracelsusowskie błyskawice oświetlają narodziny Republiki Weimarskiej.

„Ale jeszcze się nie poddajemy" — głosi piosenka czerwonego Weddingu berlińskiego. Jeszcze raz zwierają się szeregi rewolucji, gdy w marcu 1920 r. reakcja przy pomocy słynnego puczu Kappa usiłuje narzucić krajowi wyraźną i bezpardonową dyktaturę. Kiedy przeglądamy dokumenty z owego ostatniego wielkiego i krwawego powstania robotniczego w Niemczech, stwierdzić musimy, że antykappowe powstanie wyniosło już pewne nauki z niepowodzeń pierwszych dwóch lat powojennych.

Jeżeli klasa robotnicza — pisze gazeta Ruhr-Echo dnia 20 marca 1920 r. — raz jeszcze zadowoli się parlamentem, wybranym na podstawie równego rzekomo prawa, wówczas rozpocznie się od nowa jedynie stara gra, próżne trudy, demokracja, mobilizacja reakcji, przewroty, odwroty i powroty.

Rozumiemy, że słowo demokracja podane tu zostało w tym sensie, jaki nadała mu powojenna reakcja, chętnie strojąca się w demokratyczne gesty.

W tym wszystkim Friedrich Wolf bierze udział jako żołnierz i rewolucjonista. Widzimy go walczącego po stronie robotników, pochylonego nad ulotkami, których treść ustala z robotnikami, tak jak później, w r. 1941, raz jeszcze pisać będzie odezwy i ulotki, które samoloty radzieckie zrzucą nad okopami niemieckimi. „Armii Czerwonej“, która opanowała Zagłębie Ruhry, pomaga Wolf jako lekarz i oficer. Atoli wszystko raz jeszcze kończy się klęską. Układu między robotnikami a rządem, podpisanego 25 marca w Bielefeld, rząd nie dotrzyma. Dotrzymują jednak robotnicy i składają broń. Wprawdzie komisarz Rzeszy Severing oświadczy w Bielefeld, że w chwili obecnej, „po owym prawicowym puczu, muszą zostać nadane robotnikom i narodowi prawa, zabezpieczające ich na przyszłość“, ale niedługo potem wzmocnione oddziały wojskowe rzuciły się na rozbrojonych robotników, rozpoczęła się rzeź, o której dobrze pamięta antyfaszystowska literatura Niemiec. Równocześnie na wschodnich krańcach kraju reakcyjni generałowie i fałszywi „heimattreuerzy“ zaczęli organizować „freikorpy“ przeciwko robotnikom polskiego Śląska, przeciwko rewolucji socjalnej — w imię junkierskich interesów — na Łotwie.

Wolf, członek „Czerwonej Armii“ Zagłębia Ruhry, zwolniony zostaje ze służby w *Remscheid* i przez dwa lata widzimy go jako osadnika pod Bremą. Bagnista ziemia wymaga wiele trudu rąk i tutaj — choć jeszcze na wolności — powstają pierwsze pieśni, tzw. *Moorsoldaten*, później zamieniające się w pieśni obozów koncentracyjnych.

> Z młodzieńczym zapałem — pisze Wolf we wstępie do swego późniejszego dramatu *Kolonne Hund*, osnutego na tle przeżyć osadniczych — złapaliśmy za kopczaki i rydle; aż po kolana tkwiliśmy w błotnistej, czarnej wodzie, podczas gdy obnażone plecy gorzały w słońcu, a dłonie przy prymitywnym stanie obróbki torfu darły się w strzępy. Rząd — urząd dla „produktywnej opieki nad bezrobotnymi“ — obiecał pomoc pieniężną, ale obietnicy nie spełnił. W ten sposób nie udała się, musiała się nie udać próba małej garstki młodych ludzi, próba stworzenia socjalistycznej osady w Niemczech junkrów i bogatej finansjery.

A tak kończyła się równocześnie młodość pisarza. Była tak samo pełna klęski jak późniejszy męski wiek pracy i tułaczki emigracyjnej. Na jej progu stoją pierwsze książki pisarza, pierwsze sztuki teatralne.

2

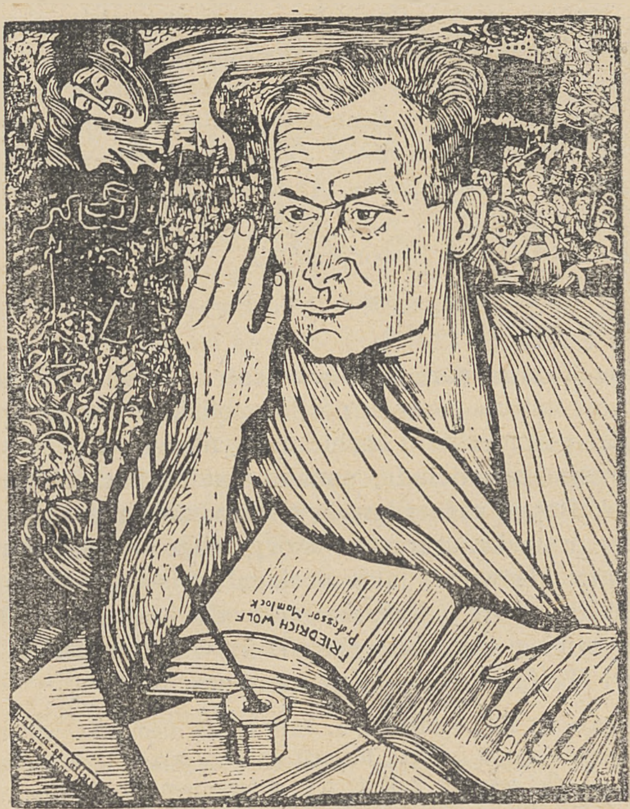
9 października 1919 r. 31-letni pisarz jest świadkiem prapremiery swej pierwszej sztuki, *Das bist Du (To jesteś ty)*, w drezdeńskim Staatstheater. Dramat ten jest czymś jedynym i niepowtarzalnym w twórczości Friedricha Wolfa. Choć Oskar Walzel w r. 1920 w swojej *Deutsche Dichtung seit Goethes Zeit* dał mu wysoką rangę, którą w r. 1948 powtórzył Walter Ebel (*Friedrich Wolf, ein Dichter seiner Zeit*, Rudolfstadt 1948) — dramat, czytany dzisiaj, razi zarówno swą formą jak i treścią. Początkiem i końcem nawiązujący do samego *Fausta*, pełen jest młodzieńczego niepokoju, uniemożliwiającego spokojną, dojrzałą refleksję. Myśl autora kieruje bohaterów w przestrzenie kosmiczne, każe im się łączyć z ludźmi będącymi poza życiem i poza granicą śmierci, powtarza Platona i Schopenhauera i ukazuje raz jeszcze Strindberga. Z tej pewnej mgławicy wyłaniają się zarysy konkretnej ideologii:

> ...doskonalmy samych siebie i bliźnich, odpowiadamy wszak nie tylko za siebie, ale i za innych. Ta świadomość — napisze Wolf w r. 1948 — popycha do przeobrażenia siebie, do przekształcenia świata; tak otc rozumiałem wówczas problem odpowiedzialności jednostki.

Krytyka nazwie *Das bist Du* jedynym jego dramatem zadośćuczynienia. Analiza historyczna okresu, którą przeprowadziliśmy powyżej, pozwala nam równocześnie stwierdzić, że dramat ten stał z dala od realnych wydarzeń epoki. Ale taka już będzie właściwość każdego dramatu ekspresjonistycznego. Nawet Toller, współtwórca Monachijskiej Republiki Rad, w dramatach swoich zagubi rewolucyjną jasność i bezpośredniość, ulegając ekspresjonistycznemu amorfizmowi, a wielkiego pisarza i poetę ukażą w nim dopiero idylliczne niemal notatki z więzienia, owa malutka *Jaskółcza księga*, nie mająca nic wspólnego z ekspresjonizmem. To co w życiu było proste jak spadająca pięść, ekspresjonizm ukazywał zygzakiem mglistej błyskawicy. Niektórym sługom rewolucji mogło się to jednak, słusznie zresztą, wydawać już wówczas deformacją.

Obok *Das bist Du* drugą ciekawszą pozycję dramaturgiczną z tego okresu jest *Mohammed*. Powstał on w myśli pisarza już na polach Flandrii roku siedemnastego i to, co w nim najciekawsze dla charakterystyki pisarza, to temat rozkuwania więzów niewolnikom, temat wolności, podejmowany później wielokrotnie, z większą dojrzałością ideologiczną i artystyczną.

W tym samym czasie Wolf wystąpi z tomem poezji. Siedemnaście wierszy składa się na tom pt. *Fahrt*. Niektóre z nich, zwłaszcza te, które płynęły z odczucia krajobrazu i miłości, mieścić się mogły u nas w niejednym z pierwszych tomików skamandryckich. W innych „poeta swej epoki“ słusznie charak-



Friedrich Wolf
Drzeworyt Conrada Felixmüllera

teryzuje jej przeciwieństwa, chaos praw i obowiązków, słabość postanowień, których nie chronił czyn:

> Rozbiliśmy formy, ale stworzyliśmy formułki. Przeklęliśmy broń, by ją powołać do obrony formułek. Braterstwo ludów czciliśmy, lecz brata na wschodzie obrzuciliśmy oszczerstwem.

Dopiero jednak dramat *Der arme Konrad (Biedny Konrad)* da pełne wyobrażenie o radykalizmie społecznym i możliwościach zarówno artystycznych jak i ideologicznych Wolfa.

Mojego *Biednego Konrada* — pisze w powojennej przedmowie do nowego wydania swojego dramatu — napisałem w roku 1923, pracując jako lekarz wśród całkowicie zbiedniałych, małorolnych chłopów Szwabii.

To otoczenie — a nie zapominajmy, że ma w tym czasie już za sobą dwuletnią praktykę osadniczą na bagnach podbremeńskich — zmusza go do pilnej obserwacji warunków ekonomicznych i socjalnych chłopów wirtemberskich. Nagromadzony materiał obserwacyjny, użyty nadto w projekcji historycznej, można było wyzyskać tylko w dramacie realistycznym. I takim właściwie jest już *Biedny Konrad.* Od tego wzoru — aż po powojenną komedię o *Burmistrzu Annie* — niewiele się już Wolf oddali. Tym bardziej, że wzór okazał się dobry nie tylko w odniesieniu do wydarzeń historycznych.

Wszystko co piszę — powie później — zanim trafi do widza lub czytelnika, jest już historią.

Biedny Konrad narodził się z teatru. Pewnego dnia jeden z pacjentów autora poprosił go do pobliskiej wsi na przedstawienie starego moralitetu bachicznego, ukazującego sądy chłopskie nad ciemięzcami ludu, panami feudalnymi. Wyprawa do wsi Grosselfingen zadecydowała o narodzinach nowego w jego twórczości dramatu, dramatu historycznego ze wszystkimi konsekwencjami ideowymi, jakie pociągał za sobą fakt napisania go w r. 1923. A były to konsekwencje odpowiadające od samego początku całkiem wyraźnie charakterowi twórczości i światopoglądowi Wolfa, konsekwencje rewolucyjne.

Wydaje mi się — pisze w r. 1946 — że niemiecka wojna chłopska stanowi istotną cząstkę historii naszego kraju i że walka „biednego Konrada“ właśnie dziś jeszcze mówi nam niejedno.

W roku 1946, tak jak w r. 1950, postępowe siły Niemiec walczyły o jedność narodu i państwa. Toteż odwoływanie się do przykładu wojny chłopskiej lat 1514—1525 było słuszne; był to bowiem ruch wszystkich postępowych mas w walce o nowy porządek społeczny oraz o jedność narodu. Fryderyk Engels w swojej monografii *Niemiecka wojna chłopska,* napisanej po roku 1848 jako ostrzeżenie przed ponownym wzmocnieniem junkierstwa i reakcji, stwierdza zresztą wyraźnie:

Trzy stulecia minęły od tego czasu i niejedno się zmieniło, mimo to wojna chłopska nie jest tak daleka od naszych dzisiejszych walk i przeciwnicy, których trzeba pokonać, są przeważnie ci sami.

Friedrich Wolf, posługując się w r. 1946 tym cytatem, osadził swój dramat ponownie na fali wydarzeń politycznych, w nurcie przemian ideowych.

W ostatniej scenie dramatu jeden z przywódców powstania, Konz, pada z ręki księcia. Umierając mówi: „Towarzysze, nie wszystkie ziarna wydają od razu owoce, nie bądźcie zasmuceni; wielka to przecież była rzecz, którą podjęliśmy... towarzysze, nasza chłopska sprawa nie była do pokonania... Kiedyś jeszcze powróci ona!“

W tym samym mniej więcej czasie Wolf pracuje nad większą swoją pracą prozatorską. Jest to powieść *Kreatur*, której wydanie książkowe z roku 1926 było dużym sukcesem wydawniczym. Tym razem pisarz ukazuje wnętrze świata współczesnego; oglądamy człowieka w świecie proletariackim i mieszczańskim. Bohaterem powieści jest student His Fischöder, który pracuje codziennie po sześć godzin jako sztancarz w fabryce obuwia, umożliwiając sobie w ten sposób dalsze studia. Wyboru między oboma światami dokonuje w osobach dwu kobiet; bogatą właścicielkę fabryki zwycięża prosta, silna robotnica. Decyduje to o politycznym nastawieniu bohatera utworu oraz jasnym i bezkompromisowym wyborze obozu. I tak jak w Niemczech owego okresu (Kurt Tucholsky nazwał go okresem deprecjonowania człowieka), tak samo i w powieści tężeją fronty, wyraźniejsze stają się linie podziału i siły poszczególnych obozów. „Chłopska sprawa“ biednego Konrada staje się sprawą całego narodu. Już w przedmowie Wolf nie kryje się z tym, że napisał utwór „tendencyjny“.

> Dni dudnią z lekka, nabrzmiałe odgłosami walk, toczących się jeszcze niejako w podziemiu, i Niemcy — jak mówi Wolf wówczas — stają w obliczu i do dyspozycji praw Solona, które w starożytnych Atenach odsądzały od czci i wiary każdego, kto w okresie ruchów narodowych lub powstań zachowywał się neutralnie.

Dla ludzi takich dni ukazana została struktura współczesnego świata. Wolf wyłożył ją wzorami prostymi, by każdy łatwo mógł je zauważyć i rozpoznać; czyni to, jak sam zaznacza, z wyraźną tendencją. Przypomina tym trochę Karola Godulę, śląskiego króla cynku, który monetami z wizerunkiem króla pruskiego wykłada podłogę swego mieszkania, by móc po nich deptać. Świat mieszczański maluje Wolf z tą samą mniej więcej tendencją.

I tak jest dobrze. Są to bowiem dni, w których — sięgnijmy znowu do Nordena — w referendum socjaldemokratów i komunistów 14,4 milionów Niemców opowiada się za wywłaszczeniem książąt. Prezydentem jest Hindenburg, a Adolf Hitler coraz częściej zamienia cyklistówkę na filcowy kapelusz, udając się na narady z finansistami, którzy utorują mu drogę do kancelarii Rzeszy.

Dla ludzi takich dni pisze Wolf *Kolonne Hund, Cyankali* i *Die Matrosen von Cattaro (Marynarze z Kotoru)*. Dla nich ma także swoje wyznanie: *Kunst ist Waffe.*

Słowa to młoty, oszczędzajcie je,
słowa to żagwie, w które wicher dmie;
chrońcie płomienia; gdy je zapalicie,
niech wtedy wasze obwieszczają życie,
cel waszej walki, wasz ból i wasz gniew,
wszystko, co ogniem syci waszą krew,
bitwę, co rzeźbi twarz i co oczyszcza,
życie, co w sercu wam zostawia zgliszcza,
los, który trzeba złamać wam i pogiąć,
niewiarę, co ją w walk utopić ogniu.
Powstańcie! Proszków na sen niech nie biorą
od nas, co w blasku staną reflektorów,
by zrozumieli, gdy zapłonie skroń —
Sztuka to broń!

O genezie utworu scenicznego *Kolonne Hund* była już tu mowa. Wywodzi się on z osadniczych wspomnień Wolfa. Tu jeszcze dodać należy inne jego wspomnienie autobiograficzne.

Czytywaliśmy wówczas — pisze — pisma mieszczańskiego znawcy spraw i reform rolnych profesora Damaschke. Damaschke na podstawie badań i zestawień Urzędu Statystycznego udowodnił, że prawie jedna piąta ziemi w Niemczech to albo nie wyzyskany ugór, albo nieracjonalnie zagospodarowane latyfundia, które przyjąć by mogły setki tysięcy niemieckich drobnych chłopów i osadników.

Tu nie od rzeczy będzie, jeśli dodamy — że inny wybitny ekonomista niemiecki, W. Volz, twierdził to samo w odniesieniu do ziem położonych na zachód od Odry, uzasadniając rzeczowo nikłą rolę ziem wschodnich b. Rzeszy w aprowizacji całego państwa.

— Zwycięstwo jest rzeczą najtrudniejszą — mówi Jost, jeden z brygady osadniczej — bo w zwycięstwie musicie utrzymać wszystko to, czegoście pragnęli!

— Właśnie o to nam chodzi, Jost — odpowiada drugi towarzysz — o państwo sprawiedliwości na tej ziemi!

— Dla wszystkich pracujących na ziemi! — dodaje robotnik z młotem.

— Dla wszystkich cierpiących! — dorzuca inny.

— Dla wszystkich nowonarodzonych! — mówi dziewczyna.

— I trzymać tę ziemię mocno w garści! — oświadcza młody robotnik, zatykając w ziemi sztandar.

— A ręce mieć czyste, chłopcy — odzywa się jeden z brygady — tak jak Jost wam oświadczył: bo zwycięstwo... musicie utrzymać... to co chcieliście...

Robotnicy z młotami, kijami i karabinami śpiewają to samo, co robotnicy w celach więziennych: *Arbeit, Brot und Frieden!* I choć autor sam dzisiaj powiada, że sprawy ukazane w *Kolonne Hund* rozstrzygnięte już zostały dla jednej części kraju, hasło „Praca, chleb i pokój", jako klasyczne hasło robotnicze lat międzywojennych, zasługuje zawsze na to, by przypomniane zostało w tego rodzaju formie dramatycznej. Zwłaszcza zaś, by ukazane zostało w formie niezmiennie rewolucyjnej tej części Niemiec, w której do dziś nie zdołano go mimo wysiłków niemieckiej klasy robotniczej wprowadzić w czyn. To zaś stanowi równocześnie o niezmiennej aktualności utworu, którą obok przeżyć osobistych autora stworzyły jego studia ekonomiczne.

Tej aktualności nie posiada już w żadnym wypadku głośna w swoim czasie sztuka *Cyankali.* Przeszła ona triumfalnie przez sceny świata jako sztuka głośnego, aż brutalnego w swej naturalistycznej technice protestu przeciwko światu i moralności mieszczańskiej. Sztuka mówiła o nieszczęściu dziewczyny proletariackiej, której lekarz odmawia dokonania zabiegu usunięcia ciąży. Ten sam lekarz jednak nie odmawia zabiegu „pani z towarzystwa" pobrzękującej pieniędzmi. Dziewczyna udaje się zatem do pokątnej akuszerki. Madame Heye zażądała nieco mniejszej sumy; ponieważ dziewczynę nawet na tę sumę nie stać, Madame Heye proponuje jej zawarcie znajomości z 60-letnim „znawcą" — wiadomo, w jakim celu — który da jej pieniądze. Ostatecznie jednak decyduje się dokonać zabiegu zaraz. Zauważa, że ktoś już dziewczynie próbował pomóc. Zamierzał to uczynić jej kochanek Paul, robotnik, zrozpaczony nieszczęściem malutkiej Hete. Madame daje dziewczynie cyjankali, poleca wziąć kilka kropel i położyć się do łóżka. Matka z gorliwości dodaje kilka kropel więcej. Dawka okazuje się śmiertelna. Matka wędruje do więzienia, Paul, karmiciel wieloosobowej rodzi-

ny, zostaje również aresztowany, jako przywódca robotników oskarżonych o systematyczne sabotaże.

Wolf zaatakował w sztuce ostro paragraf 218, mówiący o zakazie przerywania ciąży. Paragraf, który co roku przekraczało w Niemczech ponad 800.000 matek i który niósł tyle nieszczęścia, przestał już być prawem, gwarantującym bezpieczeństwo i zdrowie obywateli. Mimo to podniosła się przeciwko autorowi gorąca fala oburzenia. Krytyka burżuazyjno-mieszczańska ujrzała w sztuce „niebezpieczny symptom inwazji komunistycznej na teren Europy“. Wolf sam, jako lekarz, miał zatarg z paragrafem 218, ale poparty przez postępową część społeczeństwa niemieckiego, wyszedł z rozprawy wolną ręką. Teraz przypomniano mu to. Protesty i tumulty przeniosły się do teatrów. W Polsce — gdzie *Cyankali* wprowadził Leon Schiller — we Francji, w Niemczech, wszędzie protestowała reakcja. Przedstawieniom towarzyszyły wybuchy bomb łzawiących. Kij, włożony w mrowisko mieszczańskie, pozwolił raz jeszcze zobaczyć dokładnie świat mieszczański.

I jeszcze jedno dzieło, które miało wstrząsnąć opinią — *Die Matrosen von Cattaro (Marynarze z Kotoru)*. Był to już okres, w którym milionowe nakłady *Mein Kampf* zatruwały dusze, próbowały wzmocnić front reakcyjny.

> Każde zbrodnicze słowo — pisał Hitler — rzucone przeciwko wojnie, powinno być karane obcięciem ręki, wydarciem języka. Żadna średniowieczna tortura nie naprawi szkód, wyrządzonych narodowi jednym takim słowem.

A tymczasem *Marynarze z Kotoru* byli sztuką antywojenną, sztuką przeciw wojnie imperialistycznej. Z drugiej strony Krupp, Emil Kirdorf, Alfred Hugenberg, Reusch — dyrektor naczelny koncernu Haniela, młody Thyssen i synowie zmarłego magnata Stinnesa, cała magnateria finansowa i wielkokapitalistyczna — jak to wykazał Norden w swej niezmiennie doskonałej książce — przystąpiła do partii hitlerowskiej, popierała ją olbrzymimi sumami i doprowadziła w końcu do władzy. Nie były to już przelewki i walka ze wzbierającą falą reakcji i faszyzmu należała w tym czasie do rzeczy najtrudniejszych.

Bunt marynarzy austriackich w Kotorze wywołany został z dwojakich pobudek. Przeciągająca się wojna światowa wpłynęła w dużym stopniu na wzrost tendencji pokojowych w szere-

gach marynarskich. Jeden z rozstrzelanych później, mat Franz Rasch, tak mówi do lejtnanta:

Co jest niemożliwe, panie lejtnant? Czy to, że 6000 marynarzy pragnących pokoju odmówi posłuszeństwa 200 oficerom, dla których wojna to zawód..., że 6000 marynarzy i miliony robotników i żołnierzy nie będzie się już pchało do umierania w interesie kilku tysięcy zarabiających na wojnie... czy to jest niemożliwe, panie lejtnant?

Wśród siedmiu punktów rezolucji, opowiadającej się za pokojem i jednością socjalną, rezolucji, którą Franz przedstawia towarzyszom, znajdują się dwa punkty, które dotykają przyczyny buntu: niesprawiedliwy rozdział żywności, ubioru, kar i urlopu między oficerów i marynarzy. Wyraźnie mówi o tym list komendanta portu wojennego w Kotorze z dnia 12 lutego, który Wolf przytoczył w powojennym wydaniu utworu.

Bunt w Kotorze, zamierzony jako wiec, siłą nagromadzonego niezadowolenia i krzywd, siłą wzbierającego uświadomienia politycznego, przybrał rozmiary rewolty.

Bracia niemieccy lub francuscy bracia,
co w swoim kraju dźwigacie złą broń,
w modrych, czerwonych czy zielonych gaciach,
miast kuli — dajcie witającą dłoń!

— śpiewa Sepp, palacz na „Św. Jerzym".

A Franz, w obliczu aresztowania, tak powie do lejtnanta:

— Kule, które mają nas położyć, usłyszane zostaną na okrętach, w okopach, w fabrykach i na ulicach miast przez tych, którzy zrobią rzecz lepiej niż my!

— Utopia — odpowiada na to lejtnant.

Wówczas za Franzem staje jeszcze jeden, Toni, porywa czerwony sztandar, powiewa nim nad głową. Rzucają się nań uzbrojeni ludzie, wykręcają mu ręce do tyłu.

— Jeszcze jeden — triumfuje lejtnant — a zatem czterech! To już koniec!

— Żeby pan się tylko w tym nie przeliczył — odpowiada na to Franz, patrząc lejtnantowi w oczy. — To bynajmniej nie koniec, lejtnancie, to dopiero początek!

Dnia 11 lutego 1918 o szóstej rano czterech przywódców buntu, z Franzem na czele, zostało rozstrzelanych pod murem cmentarza w Skaliari. *Standrechtlich!* — dodaje krótki rozkaz dowództwa austriackiego — według paragrafu 157, który wkrótce potem zmieni się w niepotrzebny strzępek papieru.

3

Tymi mocnymi, politycznymi dramatami zamyka Friedrich Wolf epokę „weimarską“ w swej twórczości. Pod koniec trudno już było rozpoznać Rzeszę w jej dawnych, rzekomo republikańskich barwach. W roku 1932 na tajnej konferencji przemysłowców w Düsseldorfie Adolf Hitler, raz jeszcze zamieniający cyklistówkę na kapelusz filcowy, odczytuje referat, w którym demokrację nazywa panowaniem głupoty, zasadą niszczenia. Potwierdza się ostatecznie sojusz finansjery z faszyzmem, niosącym straszliwą wojnę. Generałowie, którzy w roku 1920 ostatecznie zamienili szablę na pióro, by „ku pokrzepieniu serc“ spisać swoje pamiętniki, znowu wracają do szabli.

W literaturze coraz głośniej panują przyszli bohaterzy hitlerowskich podręczników — Kolbenheyer i Blunck, Dwinger i jego brat przyrodni po piórze, SA-mański poeta Anacker.

W dramacie jest Gerhart Hauptmann. Od trzydziestu przeszło lat trwa niezmiennie jak gwiazda na horyzoncie sztuki dramatycznej Niemiec. Ci, którzy chętnie dzisiaj w Niemczech zestawiają Hauptmanna z Wolfem, uważając Wolfa za drugiego po Hauptmannie największego dramatopisarza w Niemczech, rzadko sięgają do szczegółowszych przykładów porównawczych, zadowalając się efektowną formułką. A tymczasem zestawienie to, zwłaszcza gdy się już miało odwagę dokonać go w r. 1932, krzywdziło Wolfa. Zapominamy, że autor *Tkaczów* stanowczo odmawiał przed prokuratorem rewolucyjnej treści swym utworom. Aby uratować *Tkaczów* przed zakazem reakcyjnych władz, zawiadomił sąd przez swojego adwokata, że na powstanie śląskich tkaczy patrzał nie jako socjaldemokrata, lecz jako artysta, że uczcić pragnął w utworze „triumf porządku poprzez grupkę interweniujących żołnierzy“.

> Tym samym największy pisarz niemiecki epoki naturalistycznej — konkluduje Gerth Schreiner w swojej książce *Die Republik der vierzehn Jahre*, napisanej i wydanej na emigracji w Bilthoven (1939) — wyrzekł najsurowszy wyrok w odniesieniu do własnego dzieła.

Tu jeszcze dodać należy, że jeden z wybitniejszych teoretyków marksistowskich, Franz Mehring, ostrzegał swoich towarzyszy nieraz przed pseudosocjalizmem i pseudorealizmem Hauptmanna.

Inaczej było z Wolfem. Wolf i uparcie, i konsekwentnie tworzył swój teatr polityczny, wyposażając go w coraz doskonalsze środki artystyczne, w coraz dojrzalszą scenerię uczuciową. Jego teatrem i jego sztukami nie zajmowali się już właściwie krytycy i recenzenci teatralni, „zajmowali wobec niego stanowisko" publicyści polityczni, specjaliści od wstępniaków politycznych, reporterzy. W odpowiedzi na jego sztuki starostowie krajowi zapraszali reporterów na wycieczkę po powiecie, by im udowodnić, że dany powiat posiada najlepsze urządzenia sanitarne. Komisarze policji urządzali pogadanki polityczne dla reporterów, by ich oświecić co do wyglądu takiego czy innego szczegółu historycznego, rzekomo błędnie ukazanego na scenie. „Lewi" — a tu, na terenie teatru, coraz bardziej przewodził Wolf — walczyli ze sceny przy pomocy słowa, „prawi" siedzieli na widowni, gniotąc w kieszeni bombki cuchnące i białe myszki. Aktywizacja polityczna socjalistycznego teatru w Niemczech była wyraźna aż po rok 1933. I tu Wolf ma ogromne zasługi.

Ale oto przychodzi nieubłagany rok 1933 i wszyscy nieugięci opuszczają Niemcy. Hitler zamienia definitywnie pseudosocjalistyczną cyklistówkę na cylinder, a potem na wojskową *Schirmütze*. Wolf z wieloma innymi uchodzi z odkrytą głową, jakby zamierzał oddać cześć tym wszystkim, którzy, jak poeta Erich Mühsam, zginą w trybach nazizmu. 10 maja 1933 również i jego książki rzucone zostaną na stos, ustawiony w Berlinie na placu między *Staatsoper* a starą biblioteką. Uroczyście przekaże je płomieniom dr Göbbels, czerwony od ognia, ruchliwy jak mały, kulawy diabełek na tle płomiennej kulisy. Erich Kästner, znany nam dobrze w Polsce, stał wówczas w tłumie przyglądającym się płomieniom. Również i jego książki ginęły w ogniu. „Byłem na własnym pogrzebie — wspomina po wojnie — i na pogrzebie tylu dobrych znajomych".

Friedrich Wolf udaje się na długą emigrację, której poszczególne etapy — Francja, Związek Radziecki, Skandynawia, Stany Zjednoczone, Francja, Związek Radziecki — są etapami powstawania nowych utworów dla teatru i czytelnika.

Od razu pierwszy utwór emigracyjny, *Professor Mamlock*, staje się wydarzeniem na miarę światową — i jako dokument, i jako teatr.

Świetny chirurg, profesor Mamlock, Żyd z pochodzenia, jest człowiekiem najzupełniej apolitycznym. Koniec roku 1932 i po-

czątek 1933 zmuszają go do zajęcia jakiegoś aktywnego stanowiska wobec przemian i zbrodni. Profesor do końca jednak trwa w swym wyobcowanym niemal z zewnętrznego świata intelektualizmie mieszczańskim, szlachetną dobrą wiarę przeciwstawiając zbrodniczym zakusom hitleryzmu. Ta tragedia bogatej w doświadczenia intelektualne duszy profesora, który zamierzał zostać apolityczny do końca, wygrana została — po raz pierwszy może u Wolfa w tej mierze — wspólnymi środkami realisty i bogatego psychologa. Atmosfera niepokoju i przygnębienia, ciążąca nad sztuką, ukazana została doskonale poprzez psychiczne perypetie głównego bohatera, mimo wszystko postaci pozytywnej, ponieważ skupia on całą uwagę widza na sobie jak na transformatorze przejmującym wszystkie prądy nowego zbrodniczego czasu.

Professor Mamlock ukazuje jedno pole walki. Ale pisarz-polityk nie może tracić ani na chwilę z oka innych frontów. Dlatego Wolf pisze *Tai Yang erwacht (Tai Yang się budzi)*, rzecz, której szczególną aktualność oceniliśmy należycie po drugiej wojnie światowej. Jak Hauptmann, zajmuje się Wolf światem tkaczy. Na wiosnę 1928 roku w Szanghaju wybuchł bunt tkaczek. Pewne oddziały Czang-Kai-Szeka odmówiły strzelania do zbuntowanych i przyłączyły się do wojsk Mao-Tse-Tunga. Taka jest polityczna geneza utworu. Wolf ukazał w nim Chiny w przededniu rewolucji socjalnej. Ścieranie się dwóch światów, kapitalistycznego i proletariackiego świata budzącej się osiemnastoletniej Tai Yang, kończy się proroczym niemal akcentem: z konarów drzewa mango, rozszczepionego przez burzę, rośnie oszczep, pochodnia i karabin, tysiące kolb, po które wyciągają się tysiące młodych rąk. Ogromne bogactwo typów: konserwatystów, żołnierzy, nacjonalistów, uświadomionych robotników — daje nam w tej sztuce przekrój społeczeństwa chińskiego, przegląd jego sił w najszerszym wachlarzu społecznym.

Galicki temperament i zainteresowania Wolfa, które tak mocno podkreślają u niego biografie, nie po raz pierwszy i ostatni skierował jego uwagę na Francję. W ten sposób powstał utwór o szczególnej wadze politycznej i lekkim, artystycznym konturze — *Beaumarchais oder die Geburt des Figaro*, czyli inaczej: narodziny rewolucji w jednym fragmencie ówczesnego życia Francji. Wolf sam daje taki komentarz do sztuki:

Beaumarchais, bohater utworu, to człowiek na przełomie dwóch epok. Na tym polega historyczny tragizm postaci. W jego piersi żyją dwie dusze. Pod koniec ma on rację i nie ma racji. Postaci jego sztuki są silniejsze od niego samego. Jego *Figaro* — zapowiadający rewolucję — usamodzielnił się, wymyka mu się z rąk, pójdzie w decydującej chwili na czele ludu paryskiego, podczas gdy Beaumarchais zostaje w drodze. Ale choć zawiódł wówczas, gdy historia odmykała wszystkie bastylie ludzkich dusz, w pewnym wypadku wciąż jeszcze ma rację. Ma rację i nie ma racji, jak Tomasz Mann dzisiaj. Jego ostatnie zdanie potwierdza jego wiarę w powołanie pisarza: „Dobrze, niech mówią kule, dopóki nie zrodzi się znów pragnienie posłuchania słów".

Wolf zastrzega się, że Beaumarchais to głęboko tragiczny bohater rozdroża. W żadnym zatem wypadku nie powinien na końcu ukazywać się oczom widza jako tchórz.

Beaumarchais to fragment historii francuskiej w jej najbardziej rozstrzygającym momencie. Dwór Ludwika XVI i aktorzy z Comédie Française dają oprawę wypadkom i wydarzeniom, które poruszą posadami starego świata. Co zaś do *Figara*, to już Napoleon rzekł, że była to rewolucja w pełnym marszu.

Beaumarchais powstał na przełomie lat 1940—1941 na ziemi francuskiej. Wolf znajdował się wówczas z wieloma innymi towarzyszami walki we francuskim obozie karnym dla więźniów politycznych, w Camp du Vernet, tuż nad granicą pirenejską. Utwór pisany był nocami, przy serdecznej pomocy towarzyszy, którzy pilnowali izby przed wartownikami. Uratowany przed zbliżającą się armią hitlerowską, rękopis utworu przedostał się do Szwajcarii. Historia ta przypomina o wiele bardziej fascynującą wędrówkę rękopisu emigracyjnej powieści Willego Bredla *Spotkanie nad Ebro*, o czym autor donosi w przypisku do polskiego wydania. Tego rodzaju losy książek były w niemieckim ruchu emigracyjnym na porządku dziennym. Było to znakomite *pendant* — niemal dojrzałe jako temat o dramatycznych spięciach — do hitlerowskiego płonącego stosu z książkami.

Na ziemi francuskiej, tu, w barakach obozu koncentracyjnego w Vernet — wspomina współtowarzysz, bojownik antyfaszystowski i pisarz, Alfred Kantorowicz (w przedmowie do książki W. Ebela *Friedrich Wolf, ein Dichter seiner Zeit)* — objawiły się również cenne zalety osobiste Wolfa jako człowieka. Jako lekarz niosący ulgę i antyfaszysta niosący pociechę i nadzieję, znany był wszystkim uczestnikom obozu. Takim samym zobaczymy go później, w szerokim stepie pod Stalingradem.

Z Francją związany jest nie tylko *Beaumarchais*. Tutaj dziać się będzie akcja opowieści *Lucie und der Angler von Paris* (w wyd. polskim „Książki i Wiedzy“ w tomie *Opowiadania)*. Opowiadania te powstały w tym samym obozie, co *Beaumarchais*. Do Francji, już z emigracji w Moskwie, poleci jego myśl i pamięć, gdy będzie pisał nowy dramat *Patrioci*. Francja wieść będzie jego pióro po skrawku papieru, na którym lśnić będzie tytuł nowego dramatu *Doktor Wanner*, z mottem, zawierającym artykuł pierwszy konstytucji republiki francuskiej z r. 1793: „Celem ludzkiej społeczności jest szczęście wszystkich“. To motto będzie mu przyświecać w całej jego twórczości wojennej, tak jak antyfaszystę Hansa z powieści *Zwei an der Grenze* wiąże ze szczęściem domu ojczystego, żywota i pracy — *Matka* Gorkiego. Friedrich Wolf w tym przywiązaniu do kultury francuskiej nie jest odosobniony. Podobnie związała się z postępową Francją największa współczesna pisarka niemiecka, Anna Seghers, której powieść *Tranzyt* ukazuje nam Francję w tym samym okresie, o jakim mówią jego opowiadania z Vernet. Zresztą jej Georg Heisler, bohater *Siódmego krzyża*, zbieg z obozu Westhofen, jako postać wiele ma wspólnego z robotnikami francuskimi.

„Francja to źródło nieustającej mocy“ — określi to kiedyś Wolf hymnicznie. — „A Hiszpania to pieśń i troska“. O Hiszpanii będzie myślał często. Strajkujący robotnicy na pograniczu sudeckim w powieści *Zwei an der Grenze* śpiewają piosenkę bojowników hiszpańskich:

Wszystkie łzy twoje... *mamita mia*
pomścimy
wszystkie kajdany... *mamita mia*
porwiemy.

Przede wszystkim zaś — w okresie, w którym formuje się nowe przysłowie niemieckie: „Wo der deutsche Soldat kommt, wächst kein Gras mehr“ — główną jego troskę stanowią Niemcy. Artur Maria Swinarski pięknie spolszczył słynną jego *Pieśń podziemia, Das Lied der Illegalen:*

Setek tysięcy stóp pochód w ciemności wsiąkł.
Kopią podziemny szyb setki tysięcy rąk.
Szyb głęboki, nie wiecie, dokąd prowadzi i skąd.
Nie ma twarzy i głosu podziemny nie ma front.

Zdradną pochodnię księżyca zadepcze chmury krok.
Mrok jest naszą ojczyzną i domem naszym jest mrok.
Idą na szychtę nocną zastępy milczących rond.
Nie ma twarzy i głosu podziemny nie ma front.

Nikt nie pyta: „Czy długo?“, ni: „Kiedy nadejdzie dzień?“
Przewiercić musimy się dalej przez kamień twardy i cień!
I chociaż na światło dzienne tysiące nie wyjdą już stąd,
To oni właśnie kiedyś zbiorą się w górze na sąd.

Obok innej pieśni podziemia, którą młody dramaturg Guenther Weisenborn wmontował w swoją sztukę *Die Illegalen*, mówiącą o niemieckim ruchu oporu, oraz obok *Niemieckich satyr* Berta Brechta, pisanych dla niemieckiej rozgłośni wolnościowej, są to najznakomitsze strofy niemieckiego ruchu oporu.

4

Emigracyjna wędrówka zaprowadzi wreszcie Wolfa do Związku Radzieckiego. W r. 1940 udaje mu się wyjechać z Francji i przez Skandynawię dostać się do Moskwy. Anna Seghers z Francji pojedzie do Meksyku. W Meksyku oraz w Moskwie powstaną dwa najżywsze ogniska niemieckiego emigracyjnego ruchu umysłowego. W Moskwie znajdzie on dodatkowe oparcie w aktywizacji politycznej środowiska emigracyjnego. Wychodzi tu organ literacki grupy Das Wort (1936—— 1939) oraz Internationale Literatur, Deutsche Blätter (1930—1945). Wolf trafia na atmosferę sprzyjającą jedynie najbardziej zdecydowanym bojownikom antyfaszystowskim. W ciągu czterech przeszło lat pobytu w Związku Radzieckim ukaże się tutaj w języku niemieckim i rosyjskim oraz w innych językach Związku blisko 20 jego książek i utworów dramatycznych. Za pośrednictwem rosyjskiego tłumaczone one będą na wiele innych języków, np.: *Profesor Mamlock* na chiński i japoński. Ten sam utwór zostanie tu sfilmowany, tak jak Amerykanie sfilmują Annie Seghers *Siódmy krzyż,* nb. z wieloma istotnymi samowolnymi ucieczkami od bezkompromisowości Georga Heislera.

Służba polityczna Wolfa to m. in. redagowanie ulotek, które zrzucone zostaną nad okopami niemieckimi, to później praca wychowawczo-polityczna w obozach jeńców niemieckich, w wybranych grupach antyfaszystowskich. Służba literacka odbywa się na osi Moskwa—Niemcy. *Heimkehr der Söhne* i *Der*

Russenpelz to wstrząsające obrazy upodlenia człowieka w ustroju hitlerowskim. Wśród żołnierzy niemieckich, podbijających spokojne wsie i miasta, Wolf rzadko widzi takie kreatury jak lejtnant Otzhausen, sprawozdawca wojenny w kotle stalingradzkim w *Sonderführerze* Willego Bredla. Wolf zdaje sobie sprawę z ważności i konieczności wyraźnego, niemal z techniką drzeworytniczą wykonanego rysunku postaci. „Książki te i sztuki służyć mają opamiętaniu“ — powie o tej swojej twórczości.

Najznakomitszym utworem z tego okresu, odnawiającym z niezwykłą brawurą artystyczną i ostrością polityczną tradycje jego dramatu politycznego z okresu przedhitlerowskiego, jest dramat pt. *Was der Mensch säet (Co człowiek posieje)*. Rzecz dzieje się w pewnym miasteczku wschodnio-pruskim w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, w czasie tej wojny pod Mińskiem na zagrabionym majątku ziemskim, oraz w owym miasteczku podczas trwania wojny i w chwili wejścia oddziałów radzieckich. Galeria postaci bardzo rozległa, raczej drobnomieszczańska, zawiera dwa szczególnie cenne typy: dra Felda, radcę sanitarnego, którego syn zginął w obozie, a on sam pada z rąk rozbestwionych młodzieniaszków z HJ i BDM, oraz pastora Kranza, którego często powtarzany cytat ewangeliczny posłużył autorowi jako tytuł do sztuki. Nadto spotykamy się z generałem Westernhagen i z jego synem Manfredem, podporucznikiem lotnictwa, postacią dramatycznie nie dość umotywowaną, z krawcem Pannwitzem, z szajką szantażystów, równocześnie wysokich dostojników hitlerowskich (rodzina Lippe), z radziecką nauczycielką Galią, z młodzieżą. Przekrój niemal całego społeczeństwa niemieckiego w jakimś wschodnio-pruskim Treuburgu czy Angerburgu.

Na tle tak rozbudowanego tła społecznego rozgrywają się losy wojny i zapisują się winy odpowiedzialnych za zbrodnie. Niektóre sceny, zbyt naturalistyczne w ujęciu i ocenie zbrodni — bo autor nie cofa się tu przed najostrzejszym sądem — byłyby dzisiaj nie do wygrania. Nagromadzenie niewątpliwie prawdziwych realiów zbrodni zagęszcza atmosferę na scenie do tego stopnia, że czujemy się, jakbyśmy weszli do gęstej, nasyconej oparami i wyziewami piwnicy. Wszystko to się dzieje w mroku — pomyślałby widz współczesny, nie pojmując nieraz, jak to było możliwe, że i myśmy całe pięć lat żyli pod ciśnieniem tego dusznego, nasyconego krwią mroku.

Rozplanowanie akcentów politycznych i artystycznych czyni z tej sztuki utwór o dużych wartościach artystycznych i w dorobku Wolfa niewątpliwie jeden z najcenniejszych.

Drugi podobny utwór napisze Wolf dopiero po wojnie. Po wojnie, kiedy wróci do Berlina, by — zanim rozpocznie w 61 roku życia karierę dyplomatyczną jako ambasador Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie — stanąć obok Anny Seghers, Bechera, a później jeszcze Arnolda Zweiga, na czele niemieckiego ruchu kulturalnego, w służbie wielkiej przemiany. Po wojnie, której końcowe akordy gasną na kartach mniej udanej sztuki o „szczuciu, miłości i śmierci naszej młodzieży" pt. *Wie Tiere des Waldes (Jak leśna zwierzyna)*. Po wojnie, którą w cytowanym na początku niniejszego szkicu wyznaniu nazwie ostatnią wojną opętanych zbrodniarzy.

Jak każdy pisarz, który wyraźnie już stosuje w swej twórczości zasady realizmu socjalistycznego, Wolf rozumie potrzebę i konieczność włączenia się w nową tematykę, konieczność kształtowania życia przez twórczość związaną z aktualnymi sprawami dnia. On, który reagował jak najczulszy sejsmograf na każde najmniejsze drgnienie serca rewolucjonisty, w Chinach czy we Francji, w Hiszpanii czy w Stanach Zjednoczonych, obyty w walkach, doświadczony nieszczęściami — napisze sceniczną pieśń o odbudowie. Będzie nią komedia wiejska *Burmistrz Anna*.

23-letnia Anna Drews zostaje po wojnie burmistrzem (po naszemu — sołtysem) w pewnej wsi niemieckiej. Jej ambicją jest budowa szkoły, by dzieci nie musiały dreptać w błocie i śniegu do sąsiedniej wsi. Własnym, gospodarczym systemem rozpoczyna wielkie dzieło, przeciwko któremu sprzymierzają się biurokraci ze starostwa i urzędu leśnego oraz sterroryzowani przez kułaka Lehmkuhla, byłego zresztą burmistrza, chłopi małorolni. Anna wychodzi zwycięsko z perypetii, które zostały doskonale podpatrzone na wsi powojennej przez autora, poruszającego się swobodnie po szlakach historii — od wojen chłopskich po lata odbudowy w NRD. Nawet Jupp, repatriant z wojny, postać niezbyt sympatyczna dla widza polskiego, zrazu będący pod wpływem Lehmkuhla, postanawia odtąd pomagać Annie, zresztą swej byłej narzeczonej, obejmując komendę nad pokułakowym ciągnikiem.

Tą „pieśnią demokratycznej odbudowy“ Wolf włączył się mocno w aktualny nurt życia niemieckiego, któremu drążył ścieżki w twardej powłoce narodu. Podobnym celom służy jego scenariusz do filmu *Rada bogów*, odsłaniający antyludzką i antypokojową działalność „I. G. Farbenindustrie“. Tutaj myśl jego schodzi się z tylekroć przeze mnie cytowaną znakomitą książką Alberta Nordena *Czego nas uczą dzieje Niemiec*. Zresztą scenariusz ten to jeszcze jeden utwór dramatyczny o logicznym rozplanowaniu akcentów. W s z y s t k i e b o w i e m d r a m a t y W o l f a, nie mające nic wspólnego z klasycznymi jednościami, najlepiej gospodarujące się na dużej, nowoczesnej scenie, jakże różne od Brechtowskich „moralitetów“, zmieniających swe ekspresjonistyczne kształty tylko w ramach własnej konwencji, t o w ł a ś n i e s c e n a r i u s z e f i l m o w e, wolne i swobodne w wyborze miejsca i czasu. Podobne wrażenie czynią jego powieści, całymi stronicami — w nagromadzeniu dialogów i koniecznych drobnych projekcji dotyczących tła i dźwięku — przypominające gotowe tzw. „Drehbuchy“. Nic dziwnego — jeżeli raz jeszcze zaglądniemy do personaliów rodzinnych — iż syn jego studiował w Moskwie reżyserię filmową.

Wizerunek Friedricha Wolfa to wizerunek bezkompromisowego pisarza antyfaszystowskiego, pisarza politycznego, którego ocena musiała być dokonana z tych samych pozycji, z jakich on sam atakował faszyzm i reakcję, gdyż były to pozycje jedynie słuszne dla człowieka postępu.

TADEUSZ MIKULSKI

Z KORESPONDENCJI TURGENIEWA

Jubileusz J. I. Kraszewskiego stanowił wydarzenie w polskim życiu literackim 1879 roku. Nie była to jednak uroczystość domowa, zamknięta w opłotkach rodzimej literatury. Gdy przeglądamy *Księgę pamiątkową jubileuszu J. I. Kraszewskiego 1879 roku,* widać zupełnie wyraźnie, jak wokół polskiego pisarza narasta w tym okresie zainteresowanie Słowiańszczyzny, a nawet — poświadczona pozycjami bibliograficznymi — uwaga Europy.

Na dni jubileuszu Kraszewskiego, zapowiedziane w Krakowie 2—7 października 1879, miał przyjechać z Francji Turgeniew, który osiadł za granicą, nie mogąc pogodzić się ze stosunkami społecznymi carskiej Rosji. Turgeniew w ostatniej chwili zmienił swoje postanowienie. Jego korespondenci literaccy w Petersburgu byli przekonani, że istotnie przyjechał on do Krakowa i uczestniczy w jubileuszu. E. I. Ragozin, wydawca i redaktor gazety tygodniowej Неделя przysłał nawet telegram gratulacyjny dla Kraszewskiego na ręce Turgeniewa do Krakowa (w nieobecności świetnego adresata otworzył depeszę Alfred Szczepański, członek komitetu organizacyjnego, i czytał z satysfakcją: „Grono Rosjan poleciło mi serdecznie Wam podziękować za przyjazd do Krakowa dla uczczenia jubileuszu Kraszewskiego...“) [1].

Nie stawiwszy się 4 października w Sukiennicach, na uczcie, która była centralnym punktem obchodu, Turgeniew zapewnił sobie pewien udział w uroczystości. Włodzimierz Spasowicz, adwokat petersburski i krytyk literacki, znalazłszy się w Kra-

[1] O zamierzonym przyjeździe Turgeniewa do Krakowa: *Księga pamiątkowa jubileuszu J. I. Kraszewskiego 1879 roku.* Kraków 1881, s. 57, 233—234. Tamże tekst depeszy E. I. Ragozina.

kowie 3 października, otrzymał list Turgeniewa, pisany w Bougival pod Paryżem 15/27 września. List ten miał zastąpić Turgeniewa przed Kraszewskim.

Włodzimierz Spasowicz, siedząc przy głównym stole, w pobliżu jubilata, mówił 4 października wieczorem, przy rosnącym gwarze sali:

> Może bym nie odważył się, drobna jednostka pośród tysiąców, zabrać głos w tej strasznie uroczystej chwili, gdyby przypadek i zbieg okoliczności nie kazały mi być tłumaczem życzliwych a szczerych uczuć nieobecnych ludzi. Moimi usty weteran rosyjskiej literatury, uczeń Puszkina, Iwan Turgeniew, podnosi toast na zdrowie weterana polskiej literatury, poety z okresu Mickiewicza. Twierdzę z pewnością, pisze Turgeniew, że w mojej osobie znakomita większość inteligentnej Rosji wyciąga rękę do Kraszewskiego [2].

Spasowicz, doświadczony mówca, miał niewątpliwie przed sobą list z Bougivalu, ale nie odczytawszy tekstu w całości, wydobył z niego treść najważniejszą. Tak został zaznaczony udział Turgeniewa w jubileuszu. Spasowicz ciągnął przemówienie jeszcze chwilę, zręcznie wyzyskując spotkanie Puszkina i Mickiewicza w Petersburgu jako analogię do tej sceny listu Turgeniewa dla Kraszewskiego. Któryś zwrot przemówienia Spasowicza został poczytany za „panslawistyczny" i Ksawery Liske, siedząc przy tym samym stole, dał się porwać temperamentowi polemicznemu. Uściślenie orientacyj, niezbyt potrzebne w podobnym momencie, trwało czas jakiś w prasie i opinii — między Liskem i Spasowiczem [3]. Pismo gratulacyjne Turgeniewa, wyrosłe ze świadomości braterstwa narodów, znalazło się z natury rzeczy poza tą polemiką.

List Turgeniewa do Kraszewskiego ukazał się współcześnie drukiem w miesięczniku petersburskim В е с т н и к Е в р о п ы t. 6, 1879, nr 11, listopad, który poświęcił jubileuszowi Kraszewskiego obszerny i przyjazny artykuł, sygnowany kryptonimem D. K. (ib., s. 401—427). W przekładzie polskim drukowała list Turgeniewa w r. 1881 *Księga pamiątkowa jubileuszu J. I. Kraszewskiego*, jako jeden z najważniejszych dokumen-

---

[2] Mowa Spasowicza, *tamże*, s. 55—56.

[3] Echa sporu między Spasowiczem i Liskem rejestruje szczegółowo Władysław W i s ł o c k i, *Bibliografia obchodu uroczystości jubileuszowych J. I. Kraszewskiego*. K s i ę g a p a m i ą t k o w a. Kraków 1881, s. 281—320, zob. hasła w skorowidzu: *Liske, Spasowicz*. Ponadto spokojne komentarze samej *Księgi*, s. 56—58, 271.

tów literackich obchodu [4]. Odczytajmy tekst Turgeniewa staranniej, aniżeli w Sukiennicach w r. 1879 uczynił to Spasowicz:

Bougival, 15/27 września 1879.

Szanowny Panie Spasowicz

Mocno żałuję, że nie przewidziane okoliczności przeszkodziły mojemu zamiarowi być obecnym na znakomitej uroczystości, urządzanej w Krakowie, na cześć sławnego weterana literatury polskiej. Pozostaje mi prosić Pana, abyś wyraził czcigodnemu Jubilatowi gorące pozdrowienia i życzenia. Z przekonaniem mogę dodać, że w mojej osobie olbrzymia większość inteligencji rosyjskiej pozdrawia Kraszewskiego i po bratersku ściska mu rękę. Niechże przyjmie to pozdrowienie jako rękojmię zbliżenia pomiędzy dwoma plemionami, tak długo poróżnionymi przez historię i wstępującymi wreszcie w nową i twórczą epokę swobodnego, przyjacielskiego i pokojowego rozwoju. Wobec pomyślności, jakie zapowiada bliska przyszłość, pisarz rosyjski, uczeń Puszkina, wznosi, chociaż nieobecny (заочно) puchar toastowy na cześć polskiego twórcy, współtowarzysza Mickiewicza.

Przyjmij itd.

Iwan Turgeniew

Historia stosunków literackich polsko-rosyjskich, dotąd nie napisana w całości, naszkicowała zaledwie kilka rozdziałów. Do pełnego dzieła, którego oczekujemy niecierpliwie, list Turgeniewa na jubileusz Kraszewskiego w r. 1879 dorzuca kartę dużej wagi.

[4] Tekst listu Turgeniewa podajemy w przekładzie *Księgi pamiątkowej*, s. 57—58, skonfrontowawszy go jednak z oryginałem według wersji: I. S. Turgeniew, Собрание сочинений, t. 11. Moskwa 1949, s. 345, nr 373. Konfrontacja ta uzasadnia korektę dawnego przekładu w kilku szczegółach rzeczowych i stylistycznych.

STEPHAN HERMLIN

STALIN

1

Na pewno jeszcze wtedy nikt przeczuć nie umiał,
że ta noc będzie inna niż poprzednie noce.
Tak samo psy szczekały i tak samo szumiał
Las, któremu wiatr czesał zielone warkocze.

Dziewczętom, co zmęczone przystawały w sieni,
Chłodził stopy śnieg zimny, który mieszka w górach.
Wysokie, ciemne mury swym blaskiem zielenił
Księżyc Gruzji, powoli wędrujący w chmurach.

Dni wtedy były ciężkie. Jak woda na glinie
Stoi i nie przesiąka, tak ludzka nadzieja
Stała przed drzwiami domów. Lecz w owej godzinie
Grudniowej nikt z dawnego nie przybył Betlejem.

Światło w oknie. Kobieta w niedużej izdebce
Leży. Jest bardzo zimno. Porzucone w kątach
Szydło, młotek. Na środku śpi dziecko w kolebce.
Wtedy chłopiec w Symbirsku kończył rok dziewiąty.

Mówili: — Nam biedakom tylko trud i smutek —
Sąsiedzi, co odwiedzić przyszli Wissarionów.
A wtedy już świt wstawał i piały koguty,
I noc swój kształt zmieniała nad gruzińskim domem.

2

„Moimi pierwszymi nauczycielami byli robotnicy z Tyflisu."

Uczył się wpierw w seminarium,
A potem od kolejarzy.
Górom dawał ład. Wybrzeżom
Wolą swoją kształty stwarzał.

Stos ulotek rzucił w miasta.
Wnet już znano jego imię,
Nawet wśród kaspijskich piasków.
Był na listach policyjnych.
Ci, co przyszli, by go szukać,
Byli różni. Jedni stali
Wokół niego. Razem. Ręce
Mieli niby młot kowali.
Ręce twarde tak jak życie,
Stąd wiedzieli, jak je zmienić.
Inni się skradali chyłkiem,
Niosąc gończy list w kieszeni,
Z spojrzeniami, co podobne
Były szczurom. A on przyszłość
Jak czerwoną wzniósł pochodnię,
Jak chorągiew ją rozwinął
Ponad Batum, ponad Baku.
Życiu kazał biec inaczej.
Nie wiedzącym — kazał wiedzieć.
Ci, których nauczał teraz,
Jemu przedtem dali wiedzę.
Zawsze słuchał mas. Cierpieniem
Milionowym obarczony,
Teraz wiódł ku światłu masy.

Szedł wraz z ruchem robotniczym
Lewicy Messame-Dassi.

3

Świat, który brzmiał głosami fałszywych proroków,
Niosący ciężar czasu jak wdowa żałobę,
Świat ofiar i szubienic, zanurzony w mroku
I oszpecony nowych filozofii wrzodem...

Świat zawirował nagle zimową kurzawą,
Rzucił na drogę zbiega cień gęsty i czarny,
Groźne chorągwie śniegu zatknął nad wzgórzami,
W głosach wiatru ostatnia nadzieja umarła.

Pod krą lodową martwe ciała marynarzy
Odeskich. Lecz cokolwiek dał dziewięćset piąty,
Czerwony kwiat przyszłości wciąż jeszcze się żarzył
W kraju, gdzie ciemne rzeki brały swój początek.

Ślady błękitne, stopnie schodzące ze szczytów
Sięgały aż po Pragę, Tammerfors i Sztokholm.
Lenin znaki ożywiał, powołał do bytu,
Zapalał dzień nad nimi, gasił noc głęboką.

Ci, co przyszli zwiastować Czerwony Październik,
Wyrastali po miastach i wsiach, wśród hutniczych
Pieców, czarni od sadzy; wśród ryku odlewni
Rośli powoli w Partię,
w Partię
nowego
typu

4

Ci radzą w Smolnym,
Ci chodzą w ulic gwarze,
Ci wierzą w Obu, w Nich.
Proletariusze, marynarze.
Słyszeli, jak mówił Lenin,
Słyszeli, jak mówił Stalin
Głosami przyszłych dni,
Głosami czerwonych miast.
A tamci leżą za workami piasku:
Esery, kadeci, mieńszewicy.
Lud zbrojny wypadł w ulice,
W mroku pęknięte łańcuchy
Brzęczą po raz ostatni.
Ci, którzy przyszłość zasieli,
Jak mur się wznoszą nad światem!
„Razem!" — pobudka krzyczy,
Nowe chorągwie na dachach,
Leżą pobici Łotysze
Ramieniem ludzi Kronsztadtu.
W niebieskiej burzy błyskawic
Bagnetów, w krzyku narodów
Młode Sowiety się rodzą
I nagle widzą się wolne.
Jest z nimi Moc i Lenin,
Jest Stalin
Komisarz Narodów!...

5

Kiedy już zwyciężeni zostali Churchill i Kołczak,
A w robotnikach rósł zapał, choć wciąż mieli puste brzuchy,
Gdy pogrzebano umarłych z głodu nad rzeką Wołgą,
Nadszedł styczeń. Z nim razem dzień, który zniszczył otuchę.

Znów aparaty Morse'a nadały groźne sygnały
Krajom wolności i tamtych, co jeszcze drzemią
w kajdanach.
Bo umarł Lenin. W nocy. Nagłą zabrany falą.
I odszedł cicho, ogromny, prawdziwy jak firmament.

W grobowcu swego bólu, przy syren fabrycznych wtórze
Grzebali Go. A wtedy Stalin do nich rzekł:
„My, komuniści — ludzie gatunku nowego".

W progu miasta, co w stepach oparło swój brzeg,
Słyszeli go w pomrukach mroźnej, śnieżnej burzy,
Stalina, co Leninem jest dnia dzisiejszego.

6

„Nie ma twierdzy, której by nie zdobyli Bolszewicy".

Pod jasną tarczą nieba,
Przeszytą przez ptaków loty,
Pracują mózgi i ręce —
W krajach dalekiej Północy.
Co było ciemne, jest jasne,
Prostują się dawne krzywizny.
Budują się nowi ludzie,
Buduje się nowa Ojczyzna.

Ten wodne zapory szkicuje,
A tamten pisze poemat.
Kobiety z dziećmi w szkole
Śpiewają pieśń o tworzeniu.
Człowiek codziennie się zmienia.
Trzy razy pięciolatka
To znaczy: wciąż doskonalić!
A waga Czasu wskazuje
Swą coraz cięższą szalą:
Świat cały idzie na lewo...
I każde wczoraj przemija,
I każde Jutro jest lepsze...

Szerzej oddycha się w miastach,
W kołchozach więcej powietrza.
Więc, aby zburzyć Budowę,
Tamci ruszyli na nowo.

W lecie czterdziestym pierwszym
W powietrzu stężała groza.
Rozdarły czołgi niemieckie
Wodne zapory w wąwozach.
I w burzy ognia, na węgiel
Spłonął zaczęty poemat.
Kobiety z dziećmi, przed szkołą,
Chwiały się w cieniu szubienic.

Ten, który pragnął budować,
Stanął jak mur pod bronią.
Ci, co sławili naukę,
Odeszli z swych miast i domów.
Ten, który wielbił pokój,
Mundur żołnierza kładzie.
Ten, który trzymał Carycyn,
Dziś oparł się w Stalingradzie.

Ten, który w Czas patrzeć umiał,
Znał miarę czasu i ludzi.
Nie zamknął na przeszłość powiek,
Rzekł w roku czterdziestym drugim:
„Hitler przychodzi i mija,
Lecz przetrwa naród niemiecki
I przetrwa niemiecki człowiek.“

7

Stalin, który patrzy w Czas:

Cofnięte będą strzały w Montjuich i w Salonikach,
I żywcem ucięte głowy w Kuala Lumpur,
I wbici na pal z Vietnamu,
I krzyki w piwnicach Belgradu.
Męki torturowanych partyzantów w Semarangu
I zlinczowanych w Charlestonie.
I zapomniane będą rany mojego kraju.

Razem
Z powolnym pochodem cywilizowanych morderców,
Z ich słowami, sprawami, z ich muzyką śmierci,
Ze wszystkim, co przesłania ich czyny.

I odjęte wam będzie bezmierne cierpienie, to nawet,
Którego nie nazywacie już ciężarem.
Poniżenia tak prastare,
że zwą się wywyższeniem dla tych,
Których dotąd trzymano w niewiedzy.

8

Wzrok na wyścigi z chmurą i skrzydłem biegnący
Widzi miasto wśród liści eksplozji zielonych.
Miasto wielu narodów, hymnem zwycięstw brzmiące,
Niesione wirem śmigieł i kół rozpędzonych.

Z niemilknącego szeptu wysp, lądów i krajów
Rośnie podziw i płynie pozdrowienie z dali;
Tam żyje Prawda, tam się epoki zmieniają
I nasz czas bezimienny sam wziął imię:
Stalin.

PRZEŁOŻYŁA EWA SZUMAŃSKA

IWAN WAZOW

SPOJRZENIE

Kiedy z rodzinnej ziemi w wieczność pójdę,
Będą mnie mocniej lubić ci, co lubią,
Poznają bowiem, kogo we mnie gubią,
Jaki miłości zdrój ze mną wysycha,
Jaka z mym sercem pieśń życia ucicha.

O, wiem, grób iskry życia mi nie zgłuszy,
Zmilknę, lecz będę śpiewać w waszej duszy!

Nie byłem życia złodziejem, broń Boże!
Ojczyzno ma i bracia wy rówieśni,
Jam dał wam duszę, serce, niebios zorze,
Bo od was wzięte — wróciłem je w pieśni.

ŻYWA HISTORIA

Jam zdrowy syn zdrowego pokolenia,
Z żelazną wolą, ze stalową wiarą,
Co twarde w trudzie i mężne w cierpieniu
Dźwiga na barkach olbrzymów ciężary.

Ciężkie to brzemię — wleczone przez lata
Burz, które niósł wojennych zdarzeń znój,
Jam świadkiem był złych losów tego świata,
Które zwycięsko przeżył naród mój.

I dusza ma jest cała rozorana
Straszliwym pługiem niewoli i zła.
Tych wszystkich wstrząsów, co chwiały Bałkanem,
Żywą historią jestem dzisiaj — ja.

BUJNE POLA

O, ciężko, ciężko tutaj! Nagi i spalony
Czatałdży groźny kraj — pustynia wkoło głucha.
Tęsknią żołnierze hen, w ojczyste, miłe strony,
Głęboka żałość im jak głaz przytłacza ducha.

Tęsknią do wsi rzuconych w wojny zawierusze,
Do łanów bujnych, które zasiał im ktoś drugi,
Marzą o świętym trudzie tęskne synów dusze,
Tam, gdzie się w czarnych bruzdach srebrzą ojców pługi.

Maj jest. Lecz ani trawki źdźbła, ni snu o wiośnie
W bezpłodnym kraju tym, w krąg krwią zroszonym.
Przeklęty step! Tęsknota tylko w sercu rośnie,
Srożej uciska piersi z każdym dniem minionym.

Bułgario droga! Gdzieżeś ty? O, kiedy z krajem
Trudu, radości, życia przyjdzie się przywitać?
U ciebie młodość jest młodością, maj jest majem...
Kiedy już zorze twego słońca będą świtać?

Błogosławiony czas! Na północ pociąg leci,
Żelaznych wozów sznur, orężną młodzią ludny.
Walą serca jak dzwon! Maricy wstęga świeci,
Oszołomiony wzrok na świat spogląda cudny.

Tam hen zielonych niw jasna się ruń wynurza,
Obrazy nie objęte wzrokiem. Jak wspaniale,
Czarownie niżą się te pola i te wzgórza,
Kołyszą się leniwie niby morskie fale.

O, tu już mieszka Bóg! Niebiańska tu prawica
Za święty chłopski trud rozrzuca dar obfity.
Nad żytem szumi las, modrawo skrzy Marica
I pieśniarz-słowik łka w pachnącym gąszczu skryty.

A pociąg leci wciąż, w zielony kraj się nurza,
Pełen żołnierzy młodych, pijanych od zachwytu,
Aż „Hura!“ z setek piersi bucha niby burza
I huczy długim echem hen do niebios szczytu.

Hej, kto z tysiąca piersi wydarł krzyk burzliwy?
Jaki dziw! czy wódz przejeżdżał tam zwycięski
I gromko witał go żołnierski huf szczęśliwy,
Czy Sołuń padł i z wrażej się radują klęski?

Czy żołnierze wspomnieli zwycięstwa w tej chwili,
Czy w zorzy błysła im sztandaru aureola,
Czy matki, dzieci, dziewczęta drogie zobaczyli?
Nie! Oni „Hura!“ tym witali bujne pola.

PANAGIURSCY POWSTAŃCY

Bój się zaczyna, gra w piersiach serce,
Idą wrogowie, nasi morderce.
Odwagi, wierna drużyno zwarta,
Już my nie nędzne giaury, do czarta!

Niech cios nasz twardy wroga wymaże,
Niech czyn nasz hardy, bracia, dokaże,
Że łatwo targać nędzne kajdany,
Że lud nasz wolny, a nie spętany.

Patrzcie na sztandar ten błyskotliwy,
Na nim lew wolny wstaje straszliwy.
Niech lwów okrutnych ryknie gromada,
Niech groza padnie na wrogów blada!

Kogo dziś straszą hordy tureckie,
Ich wściekłość próżna, ciosy zdradzieckie?
One rozbiją się, nędzne, słabe,
O naszą prawdę, o nasze szable.

Niech nas nie smuci z życia ofiara,
Ale na darmo umierać — wara!
Krwi jeszcze dajmy, męki i znoju,
By więcej Turków legło w tym boju!

A gdy w chwalebnej walce zginiemy,
To wnet w Bułgarii, w tej pięknej ziemi,
Nowi junacy niech biegną w pole
I bój podejmą w krwawym mozole!

Mrzeć — to jak ongiś w dziejowej chwili,
A żyć — swobodni, jakeśmy żyli!
Odwagi, bracia, Bóg nas osłania!
Śmierć wrogom, niechaj ginie tyrania!

NIE DAMY JEJ!

Nie damy cię, ty miła ziemio stara,
Ziemico dziadów naszych i kościołów!
Nie damy prochów Samuela cara,
Ni sławy świętych naszych apostołów!

Ona jest nasza, bo z nami nosiła
Przez wieki jarzmo i z cierni koronę,
Tak, nasz jest Sołuń, Szar, Pirin i Riła,
Nasze są pieśni ich piewców natchnione.

Nie damy! Jak nie damy wydrzeć sobie
Ostatniej woli ojców śpiących w grobie,
Jak z oka wydrzeć nie damy źrenicy,

Jak długo w nieba lazurowej toni
Jest Bóg i w polach tej pięknej ziemicy
Jeszcze bułgarskie święte słowo dzwoni.

Z BUŁGARSKIEGO PRZEŁOŻYŁ ZDZISŁAW JERZY KEMPF

ELZBIETA MIŁANCZÓWNA

W MOIM KRAJU

W moim kraju, który nie rodzi oliwnego drzewa,
położę na stole gałązkę wikliny,
mój kraj oddycha ciepłem jesienią
wśród drzew szeleszczących rdzawo,
mój kraj spokojny i silny.

Kiedy dzieci się śmieją na szerokim skwerze,
kiedy murarze cegłę przybliżają cegle,
kiedy na miejskie rynki schodzą się gołębie,
mój kraj oddycha coraz szerzej,
dzieci, murarzy i gołębie żywi.

Mój kraj jest wreszcie młody,
tyle lat czekał młodości,
więc teraz za lata rośnie
z nowymi domami w zawody,
mój kraj wszystkim krajom życzliwy.

W moim kraju, który nie rodzi oliwnego drze
położę na stole gałązkę wikliny.

DZIEWCZYNIE Z ROKU...

Narodzona z walki przeciwieństw
jak Afrodyte z piany,
wolna jak pościg żagli zataczający horyzont:
tobie poświęcam ten wiersz
jak czas nasz niełaskawy
czas, w którym walczy jeszcze
Ormuzd i Aryman.

Ty, która nie znasz pełnego znaczenia słów:
krzywda, nienawiść, wojna —
nie bój się,
z wiersza nie dowiesz się tego,
ale wiele trzeba było nienawiści,
żebyś ty była od nienawiści wolna,
i wiele krzywdy, żeby przebrała się miara,
i wiele walki, żebyś była biała
jak gołąb pokoju z obrazu Picassa.

Tak dziś stojący u wschodu epoki,
gdzie człowiek będzie człowiekowi bratem,
w nią nie wejdziemy,
lecz ty poprzez lata widzieć nas będziesz,
choć wszystko się zmieni
i lśniący marmur rodzinnego miasta,
i sad kwitnący wśród dawnej pustyni
mówić ci będą, że to nasze dzieło.

Bośmy zmieniali linie rzek
łamiąc ich skamieniałe po brzegach ramiona,
aby służyły życiu, które przyjdzie po nas.

POWRÓT IZOLDY

Kiedy przez morza lotne grzywy
wiatr cię unosił ku Bretanii
przez zamęt burz rudawosiny,
twój wzrok wybiegał ku przystani:
o, byle prędzej w czas szczęśliwy.

O, prędzej nawet niż prowadzi
okrętu dziób okryty pianą,
niż mewy lot pijany dalą,
o, byle prędzej do przystani.

Zmienne jak szczęście ludzkie, wody
nosiły los twój w pieśniach dźwięcznych,
statki kupieckie i okręty
królewskie niosły śmierć i gody.
O, zmienne szmaragdowe wody
jak pierścień twój z jaspisu rżnięty.

Tak ci, dziewczynie, do Irlandii
miękka w melodii srebrnej fala
wiodła lutnistę rodem z Lonii,
zabójcę wuja i wasala.
O, nocy księżycowej fala
kiedy na piaski puste goni.

Jak przypływ wielki oceanu
na brzeg powraca nieodmiennie,
tak białe żagle niosą ciebie;
już wstaje w słońcu brzeg skąpany,
daleki dzwon się nurza w niebie,
już coraz bliżej do przystani.

JAN BRZOZA

RĘCE I KAMIENIE

1

Na ulicy Lompy wstawał dzień. Małe okienko było jeszcze zasłonięte ciemnością, kiedy Gertruda przebudziła się i usiadła. Przez pierwsze kilka chwil kiwała się przecierając oczy. Potem znieruchomiała. Zdawało się jej, że już wstaje, że się myje, ubiera, że rozpala pod kuchenką, a równocześnie leci w przepaść. Wzdrygnęła się i uświadomiła sobie, że ciągle jeszcze siedzi na łóżku, a czas płynie szybko, tak szybko, że ona nie zdąży uporać się z czekającą ją pracą przed pójściem na szychtę. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwała chcąc rozpoznać czas. Wszędzie jednak panowała cisza, a w tej ciszy słychać było tylko bicie własnego jej serca. W tym stukaniu serca rozpraszały się resztki sennych przeżyć i teraz nadchodziła twarda rzeczywistość.

Gertruda skupiła się w sobie, gwałtownym ruchem odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Ogarnął ją teraz niepokój, czy aby nie późno i czy zdąży z przyrządzeniem śniadania. Podeszła po omacku do kontaktu na przeciwległej ścianie. Nie mogąc go odnaleźć, przesuwała palcami i w miarę przesuwania ogarniał ją coraz większy strach. Na jedną krótką chwilę palce jej straciły zdolność czucia i ciemność jakby zgęstniała. Palce przylgnęły do ściany, a cisza zaszumiała w uszach niepokojąco. Nie było słychać oddechu śpiących dzieci. Wytężyła słuch i wtedy usłyszała ich spokojny oddech. Odnalazła od razu kontakt, zabłysło u sufitu światło żarówki i cała izba zarysowała się w szarych konturach. Oczy kobiety pobiegły w stronę śpiących dzieci. Spały mocno na drugim łóżku. Ten widok przyniósł równowagę ducha, a równocześnie złość. Znowu śpią odkryte! Podskoczyła je nakryć. Karlik leżał nagi z koszuliną podciągniętą pod brodę, a Barsia skuliła się w kabłąk, z jedną nogą owiniętą

w koc, którego cała reszta zwisała na podłogę. Podniosła koc i przykryła dzieci z taką złością, a równocześnie z taką troskliwą starannością, że dzieci, choć potrącane i przewracane, nie przebudziły się wcale. Rozpaliła ogień.

Ubrała się teraz szybko w sukienkę i sweter. Najdłużej schodził czas na obuwaniu się. Trzewiki były trochę za ciasne i mocno sfatygowane, ale wciąganie ich na nogi dawało czas na skierowanie myśli w stronę nadchodzącego dnia. Troska wydłużyła jej twarz, a myśli pobiegły gdzieś tak daleko, że na chwilę przestała porać się z trzewikami. Nie ma chleba, zjedli wczoraj wszystko, a potem sklep był zamknięty. Bo wszystkiemu winna Basia, że nie przypomniała. Płomień zatrzaskał pod kuchenką tak jakoś wesoło i posypały się iskry. Gertruda westchnęła i poszła do sieni po wodę. W sieni było ciemno i wiało zaduchem. U Golonków płakało niemowlę, a u Tylów już się ruszali i słychać było szuranie przesuwanymi gratami. Stary Tyl kaszlał przeraźliwie. Gdzieś na wyższym piętrze rozlegał się przeciągły, monotonny śpiew. To babka Stawarzów śpiewała pieśń adwentową głosem drżącym jak kaszel Tyla: — „A ciężkie przeewinienia zaamkły braamy zbaawienia"... Szum wody z wodociągu zagłuszył na chwilę odgłosy domu. Z pełnym garnkiem wróciła do izby i nasypała kawy zbożowej do wody. Krzątała się po cichu, starając się nie zbudzić dzieci. Okno było jeszcze wciąż czarne, a więc zdąży obejrzeć odzież dzieci. Naturalnie, bluza Karliczka podarta. Że też ten chłopak nigdy nie będzie chodził w całym ubraniu. Galoty też dziurawe. Kiedy siadała do łatania, czarne okno zatrzęsło się od turkotu wozu piekarskiego, kawa zakipiała i okno poszarzało. Nie ma żartów, trzeba się śpieszyć. Palce Gertrudy poruszały się niezwykle szybko i łaty zostały zgrabnie przyszyte. Jeszcze do płaszcza Basi guzik, ponalewać kawę do kubków, osłodzić i... aha, chleb. Okno zrobiło się niebieskie i można było lampę zgasić. Oto nastał dzień Gertrudy Knot.

Sklepy jeszcze zamknięte, gdzie więc pożyczyć chleba? Gertruda przebiegła myślami wszystkie sąsiadki i zadecydowała, że u Golonków. Zapukała do drzwi i weszła do izby pełnej gwaru ludzkiego i słodkawej woni świeżo ugotowanej kawy. Nikt nie zauważył jej wejścia. W izbie paliła się jeszcze lampa, jeden z chłopców mył się parskając nad miednicą, drugi jadł śniadanie stojąc. Mówił bardzo głośno do starego Golonki, nakłada-

jącego na głowę czapkę i zabierającego się do wyjścia. Golonkowa karmiła najmłodsze dziecko z flaszki.

— Możebyście mi odstąpiła kawałek chleba, bo wczoraj zjedli, a sklep zamknięty.

Rozmowa potoczyła się szybko i wśród tej rozmowy Golonkowa wetknęła Gertrudzie kawał chleba.

Teraz można obudzić dzieci. Za oknem przesuwali się już przechodnie idący do pracy, ktoś się głośno zaśmiał, ktoś zakaszlał. Wieża kopalni zarysowała się na szarym niebie.

— Basia, Karliku, wstawajcie no!

Basia była jak zwykle żwawsza i zaraz się podniosła. Karlik natomiast nie chciał wstawać ani rusz. Przeciągał się i nakrywał głowę kocem. Matkę to zniecierpliwiło, więc szarpnęła go mocniej. Chłopak rozpłakał się na cały głos. Postanowiła ubrać go przemocą i mimo płaczu wciągała na niego spodenki, potem go umyła, obtarła, ciągle wśród płaczu i szamotania się. Gdy wtykała dzieciom chleb, było już bardzo późno i syrena kopalniana odezwała się głośno. Jej basowy ryk przypomniał inne sprawy, inne troski, które są tam, na kopalni. Ogarniając się w chustę, dawała jeszcze dzieciom różne polecenia i przestrogi, jeszcze na progu upominała, upominała, nakazywała i tak, z tymi słowami, wybiegła na ulicę.

Na ulicy dął wicher prosto w twarz i ludzie biegli poślizgując się na udeptanym i poczerniałym śniegu. Samochody ciężarowe skrzypiały i to skrzypienie przypominało zrzędzenia sztygara placowego Wiącka, który akurat zawsze sterczał na sortowni wtedy, gdy ona się spóźniała. Sprawiało to jej dużą przykrość, gdyż Wiącek był dawniej górnikiem i starszym kolegą jej nieboszczyka męża. Mógłby trochę mniej krzyczeć przy ludziach. Szybko wdziewała kombinezon i biegła do sortowni. W biegu spod chustki wysunął się niesforny kosmyk jasnych włosów. Gertruda bezwiednie okręciła ten kosmyk naokoło palca i zostawiła nad okiem. Biegła przez dziedziniec kopalniany, na którym stali robotnicy placowi, a wśród nich Froncek o czarnych jak noc oczach. Śmigał łopatą i pogwizdywał. Gertruda unikała go, starając się przejść niepostrzeżenie. O, już zauważył. Śmieje się do niej połyskiem białych zębów, mówi coś do swoich kamratów, którzy wybuchają śmiechem. Śmiech biegnie za nią aż do sortowni i tam zamienia się w głuche dudnienie rynny napełnionej węglem, który płynie nieustannie, a obok ręce kobiece

zanurzają się w czarnej fali. Wyławiają spośród kawałów węgla kamienie, które są podobne do węgla, tak samo czarne, i tylko różnią się tym, że są matowe i cięższe. Oczy i ręce pracują uważnie, bez przerwy, tak aby nie było żadnej pomyłki. Obok Gertrudy stała zawsze Weronka, naprzeciw stara Poloczkowa, a tam dalej inne i inne, hen zaś, na przodzie, Magda i Angela. Kobiety pracowały przeważnie w milczeniu i tylko od czasu do czasu rozgwarzały się sobie tylko znanym sposobem, który pozwalał podczas pracy rozmawiać. Wśród dudnienia rynny i szczęku maszyn padały słowa krótkie, dosadne, niemniej sprawne od ruchów rąk. Kobiety odrzucały kamienie poza siebie nawet dość szybko, lecz gdy na dole zaczęło się współzawodnictwo pracy, rynna była stale zapełniona tak, że nie mogły nadążyć. Tworzyły się zatory i węgiel odchodził do wagonów kolejowych nie bardzo oczyszczony.

— Że też nawet pogwarzyć nie można — krzyczała Poloczkowa — sypio węgiel aze sypio...

Tam na dole już pięciu ludzi zmagało się z czarną skałą. Podpisali zobowiązania większego wydobycia i aż dziw brał, że tych pięciu ruszało dosłownie całą olbrzymią kopalnią, która jakby się skręcała pod uderzeniami ich kilofów i świdrów. Jak kopalnia kopalnią, jeszcze czegoś podobnego nie było. Można było wyraźnie odczuć choćby tu, na sortowni, każde ich uderzenie. Oto znowu runęła fala węgla i gnała w podskokach po rynnie. Ręce usiłowały schwytać kamienie, ręce gorączkowo zanurzały się w płynącej fali, ręce walczyły z ogromem pracy tamtych ludzi na dole. Gertruda uważała się dotychczas za sprawną sortowaczkę i przecież szczyciła się tym, że ręce jej nie przepuściły nigdy ani jednego kawałka kamienia. Teraz jednak widziała, jak kamienie uciekają jej spod rąk i, co gorsza, spod rąk innych kobiet. Gniewało ją to i wzbudzało jakąś dziwną zaciekłość. To była walka z lawiną węgla, która zdawała się przytłaczać słabe ręce kobiece. Gniew zamieniał się na żal i przykre uczucie czegoś niewypełnionego. To znowu z kolei sprowadzało na ręce słabość, zniechęcenie, a czas leciał błyskawicznie, a czas gnał po jej rękach złośliwie i już przychodził koniec szychty i już druga zmiana kobiet wchodziła do sortowni. Hala zapełniała się dodatkowym gwarem, a jej tak trudno było się oderwać od tej roboty, ciągnącej ją jak magnes i urzekającej.

— Idźcie do dziecków, co tak stoicie — krzyczała jej do ucha następczyni Czekałowa.

Gertruda szła w tłumie kobiet słuchając ich dyskusji na temat pracy. Ostre rozprawy o coraz większej ilości kamienia były głównym tematem rozmów. A więc i one odczuwają to samo, co Gertruda. Rozmowy rozpraszały się w szarym powietrzu listopadowego dnia. Gertruda biegła do domu, przejęta innymi zmartwieniami. Już w sieni trzaskały jej trzewiki. Teraz czekała ją inna robota. W izbie był niemożliwy zaduch i trzeba było otworzyć okno, poukładać na łóżkach pościel, rozpalić pod kuchenką i zabrać się do obierania ziemniaków. Gertruda postanowiła ugotować zupę ziemniaczaną na zaprażce mącznej. Zupa musi być smaczna i pożywna. Wszystko trzeba zrobić migiem. Życie Gertrudy składało się z nieustannego pośpiechu. Jakże umiała wykorzystać każdą sekundę, każdy ruch rąk. Jakże szybko spadały długie łupiny z ziemniaków spod sprawnych jej palców. Czyżby nie mogła wykorzystać tej swojej sprawności? Tak sobie pomyślała wspominając sortownię.

Dzieci wpadły do izby rozhukane, ożywione zabawą na ulicy. Karliczek przytupywał, przytupywał i krzyczał, że jest głodny. Baśka chichotała nie wiadomo z czego. Ponalewać im zupę do misek, powtykać do rąk łyżki i pajdy chleba. Jak przyjemnie patrzeć na jedzące dzieci, na te usta szeroko otwarte, w których znikał ożywczy płyn, słuchać, jak wesoło trzaskają żelazne łyżki. To była chyba najjaśniejsza chwila w jej życiu, to był odpoczynek i odprężenie. I właśnie dlatego w pewnej chwili zakręciło się jej w głowie. Zabrała się do jedzenia, powoli, ostrożnie z dmuchaniem w gorący płyn. Zmęczyło ją dopiero to jedzenie. Osłabła tak, że zdawało się, iż upadnie na podłogę. Mocnym wysiłkiem woli powiedziała sobie, że nie wolno się poddawać słabościom. Oto łyżki zatrzaskały o dna misek i Karlik zbierał się najwyraźniej do wyjścia. Ogarnęła ją złość. Ten urwis ledwie skończył jeść, a już leci na ulicę. Zanim zdołała zerwać się i schwytać go, już był w sieni i tylko schody zadudniły pod jego bucikami.

— Gdzie lecisz, pierónie? Zaczekaj!

Ale już go nie było. Coś jakby tęsknota chwyciła ją za serce. To była też jedna z udręk jej życia. Zawsze ktoś, do kogo się przywiązała, odchodził od niej, jak nieboszczyk Jakub. Teraz oto syn. Tylko schody zadudniły! Oczy jej zaszły łzami

i cała uwaga skupiła się na dziewczynce. Ona też wierciła się i zerkała w stronę drzwi. Miała widoczną ochotę pofrunąć za braciszkiem. Jej piwne oczy miały w tej chwili ten sam wyraz zamyślenia, jaki był u Jakuba. Oczy nieboszczyka męża najbardziej wbiły się w jej pamięć i od czasu do czasu przypominały się jej, choć minęło od jego śmierci sześć lat. Zawsze wtedy ogarniała ją tęsknota i dziwne rozdrażnienie. I oto teraz zaczęła krzyczeć na córkę. W tym krzyku było jakby odbicie całego dnia. Było bieganie, było spóźnienie się, śmiech Francka, nadmiar węgla i kamienia w sortowni. Dziewczynka opuściła głowę i wtedy głos matki przycichł. Baśka drgnęła, lecz ręka matki nie uderzyła. Gertruda przyciągnęła główkę dziecka do rozgrzanej krzykiem piersi. Palce zaczęły troskliwie przebierać we włosach dziecka, a potem sięgnęły po grzebień. Czesanie włosów nie było wygodne w pozycji stojącej, więc Gertruda wzięła dziecko pod okienko i usiadła na krześle. Teraz ruchy jej palców stały się pieszczotliwe, a głos złagodniał. Gwarzyły obie i Basia opowiedziała jej dzisiejsze przeżycia szkolne. Że była pytana i umiała, jak zwykle, najlepiej.

Słuchając opowiadania, Gertruda westchnęła. Żeby teraz żył Jakub — pomyślała — żeby żył, toby się cieszył takimi zdolnymi dziećmi. Same „bardzo dobre". Ciągle mówił, że jego dzieci muszą mieć lepszy los i że przyjdą inne czasy dla dzieci robotniczych. Wszak walczył o to i zginął za to. Zabiła go kopalnia, lecz nie podczas katastrofy górniczej. Był przywódcą strajku głodowego, podczas którego górnicy zamknęli się w podziemniach i nie przyjmowali jedzenia. Przez jedenaście dni czarna flaga wisiała posępnie nad kopalnią. Potem kolumna ratunkowa wynosiła już tylko na pół żywych lub umarłych. Do nich należał Jakub. W kwiecie wieku zginął górnik, który był najlepszym rębaczem na kopalni; nazywali go „królem węgla". Oto gdy oszalała z rozpaczy tłukła głową o bruk i czterech mocnych górników nie mogło jej oderwać od czarnych i zasuszonych jak mumia zwłok męża, wtedy chciała nożem kuchennym wymordować wszystkich dyrektorów, zawiadowców, sztajgerów i całą „Betriebsrat". Chciała uciec gdzieś w świat, aby nie żyć w tym miejscu. Lecz obowiązek wobec dzieci był silniejszy. Pozostała na kopalni, pracując ciężko i czekając lepszych czasów, o których mówił Jakub.

2

Była niedziela. Na ulicy Lompy akordeon wygrywał gdzieś przeciągłą melodię, przez otwory okienne wydobywała się woń gotujących się potraw, a domy wrzały wewnątrz od gwaru ludzkiego. Na ulicy zaś była cisza, którą raz tylko zakłócił czerwony autobus. Okna zapełniły się wówczas twarzami dzieci i dorosłych. U Golonków było najgłośniej. Szykowali się tam wszyscy do chrzcin. Izba była pełna ludzi, którzy czekali jeszcze na matkę chrzestną, która miała przyjechać z sąsiedniej osady. Mali chłopcy wybiegli na ulicę wypatrywać jej przyjazdu. Ulica znowu ożywiła się, gdyż dzieci skracały sobie czas czekania obrzucaniem się kulami śnieżnymi. Z tamtej strony nadeszli dwaj mężczyźni, chwiejący się na nogach. Ich pokrzywione postacie odbijały się czarno od białego śniegu. Jeden z nich podniósł rękę i machał nią w stronę jakiegoś okna na drugim piętrze. Dym z pobliskiego komina snuł się między domami.

Gertruda krzątała się około obiadu. Była zaproszona wraz z dziećmi na chrzciny i trzeba było pomyśleć o wystrojeniu dzieci. Basia ma jeszcze dwie dobre sukienki, różową i niebieską jedwabną, ale z Karliczkiem jest niedobrze. Chłopak obdarł się niemożliwie i nie wiadomo, co na niego włożyć. Czapkę ma, buty jeszcze całe i bluzka jaka taka, ale galoty... łata na łacie albo dziurawe. Wśród tych jej rozmyślań nad problemem spodni syna wszedł do izby sztygar Wiącek. Gertruda mieszała akurat zaprażkę i w pierwszej chwili zatrzymała łyżkę w powietrzu. Była zdumiona nieoczekiwaną wizytą. Wiącek wszedł dość niepewnie i mnąc czapkę w ręce, przestępował z nogi na nogę. To było jeszcze bardziej zdumiewające. On, sztygar Wiącek, zawsze pewny siebie, znawca w swojej robocie, tutaj jest nieśmiały. Chwila obustronnego zmieszania nie trwała długo. Gertruda podskoczyła do krzesła i wytarłszy podsunęła je gościowi skwapliwie. Sztygar usiadł i złożywszy czapkę na kolanie, odsapnął.

— Zaszołżech trocha przy niedzieli — zaczął po chwili namysłu. — Znałem nieboszczyka Jakuba, razem rąbaliśmy, choć młodszy był. Dobry górnik, aże dobry, kamrat.

Wiącek zaczął rozpytywać o dzieci, jak im idzie w szkole i jak ona sobie daje radę. Gertruda z początku odpowiadała nieufnie, pamiętając przykre słowa sztygara, kiedy się spóźniała do pracy. Toteż rozmowa jakoś się nie kleiła i oboje odczuwali

to. W pewnej chwili zapanowała przykra przerwa i sztygar uderzywszy się po kolanie, a następnie nałożywszy fajkę, odezwał się tonem usprawiedliwienia:

— Gniwacie sie, że czasem gadom do was, jak się opóźnicie. Taki jużech w każdej robocie „sztram“ i ni ma na to rady. Tak już jest na świecie, że jak nie dopilnujesz, to robota stoi. A tu plan, a tu produkcja, podpisali współzawodnictwo. Podpisać podpisali, ale nie wszyscy chcą robić. Jak to ludzie. I takie, i takie. Jeden by spał na robocie, drugi patrzy tylko, coby się wymigać i „szwarcuje się“, pierón jeden z drugim. To ja musze, wicie, po sprawiedliwości, ale nie ze złego serca. Z waszym byliśmy kamraci, to wicie, jak to jest...

Gertruda odczuła szczerość w mowie sztygara, choćby po tym, jak się łamał w sobie i niełatwo mu było o takich sprawach mówić. Toteż, aby mu ułatwić, przerwała jego niezdarne wywody.

— Może zjecie. Nic ta takiego ni mam, ale myśla, ze nasz śląski żurek zjecie. Zaraz bedzie.

— Ja już pojadłem, dzieciom dajcie...

Wymawiał się słabo i w końcu zgodził się na żurek, ale więcej na nic. Na ulicy zaturkotał wózek i Gertruda podeszła do okna, aby zobaczyć matkę chrzestną. Wysiadała właśnie z małego wózka ciągnionego przez żwawego konika. Przytrzymywał go młody chłopak w czapce na bakier. Chmara dzieci otoczyła wózek i oglądała nie tylko matkę chrzestną, ale przede wszystkim konika, który prychał i rozrzucał wokoło białe płaty piany. Matka chrzestna gramoliła się powoli, obsuwając długą spódnicę śląską. Gertruda popatrzyła jeszcze raz i wróciła do gościa. Nakryła stół pasiastym obrusem i ustawiła talerze. Rozmawiali o dzieciach i Gertruda postanowiła je przywołać. Jakby się domyślając, przyszły same. Wpadły, jak zwykle, z hałasem i krzykiem. Na progu stanęły nagle i zapatrzyły się w gościa.

— Przywitajcie sie z ujkiem — zachęciła je matka. Podchodziły powoli i z niebywałą powagą podawały ręce sztygarowi, który wyjmował z kieszeni pomięte banknoty.

— Macie ta na lizaki — rzekł wpychając im do rąk dziesięciozłotówki.

Podczas podawania obiadu i jedzenia Gertruda nie mogła się oprzeć nurtującym ją pytaniom, w jakim celu przyszedł Wią-

cek do niej. Nie wystarczyły jej wyjaśnienia, że i on przyszedł na chrzciny i przy tej sposobności zajrzał do niej. W tym wszystkim coś jest, ale co? Zaczęli mówić o kopalni. Twarze się ożywiły.

— Robota idzie na dole jak pierón — mówi sztygar. — Na przodku sypią węgiel tonami, ale reszta kopalni nie idzie dobrze. To rynny nie podciągną, to z drzewem nie przyjdą na czas, to zator zrobią z wózkami. Co robić w sortowni? Bo to, wicie, jak robota idzie w jednym miejscu, to musi iść i w innych, w całej kopalni. Natrafili na bułę [1], kamienia dużo w sortowni, a tam same baby i co takie baby zrobią? A tu węgiel sie sypie jak pierón i rady dać nie można. Myśle sobie, że wy nasza kobieta, tutejsza. z dziada pradziada górnicza familia, to może byście tak sobie pomyśleli nad tą robotą w sortowni. Co?

Gertruda nie odpowiedziała i zamyśliła się. Teraz przyszła jej ta myśl, z którą dawno nie mogła sobie dać rady. Od kiedy węgiel zaczął się sypać w większej ilości i od kiedy zauważyła, że ani ona, ani inne kobiety nie dają rady w dokładnym oczyszczaniu go, gnębiło ją coś jakby wyrzut sumienia. Robota nie była dokładna i na pewno wiele kamieni poszło w świat razem z węglem. Wiele nie oczyszczonego węgla. Na myśl o tym wzdrygnęła się i zdawało się jej, że popełnia coś bardzo nieuczciwego. To właśnie chciała powiedzieć sztygarowi. Po chwili namysłu wyrzekła:

— Widze, jak idzie węgiel nie oczyszczony. Kamienia dużo.

Wiącek ożywił się jeszcze bardziej i poprawił na krześle.

— A widzicie, o to właśnie. A musicie wiedzieć, że od naszej kopalni ma pójść węgiel za granice. Co sobie o nas pomyślą, pieróna kandygo. Żeśmy na fuszerkę naród, no nie? Najgorzej, że mnie zawołali do rady zakładowej i tam nagadali pełny wózek. Że robota na fuszerke idzie, że tak dalej być nie może. A ja co winien? To wy, baby, powinniście mniej berać, a więcej uważać.

Wiącek zaperzył się. Jego sucha, ogolona twarz pomarszczyła się jeszcze bardziej. Machał przy tym ręką i kurzył gęsto fajką. Dzieci zapatrzyły się w niego, a Gertruda słuchała z przejęciem.

— To właśnie przyszed ja do was — ciągnął dalej sztygar trochę się uspokoiwszy — możebyście tak troche te baby zachę-

---

[1] Buła — pokład skały w węglu.

ciła... Tak po starej znajomości, wasz kamratem był... Pogadać z nimi, wytłumaczyć, żeby ta robota szła... Sam sie rady dać niy moga, stary jestem, na szmelc, na hałda...

W jego ostatnich słowach wyczuła żal. Widocznie dopiekło mu to, że nie wszystko chodzi jak w zegarku. Żal do niego ustępował współczuciu. Postanowiła jednak mu wygarnąć.

— Do mnie przychodzicie, do wdowy po waszym kamracie, do której słowa dobrego nie macie? Zawsze ino z pyskiem do mnie na cało kopalnio słychać.

— Spóźniacie sie — próbował się usprawiedliwić.

— Spóźniam sie, spóźniam — przedrzeźniała — bo to pewnie z rozkoszy sie spóźniam? Mało to mam utrapienia z dziećmi? Co wy ta chłopy wicie o dzieciach. Dałabych ja któremu z was dwoje dzieci, toby do roboty przychodził akurat po szychcie. Zginęlibyście jeden z drugim.

— Ja to wim — usiłował jej przerwać sztygar — ja to wim, to dlatego do was przyszed. Żeście kobita do rzeczy. Tobyście pokazała tym babom, jak sie robi na sortowni.

— Dlaczego akurat ja? — spytała. — Dlaczego do mnie przyszliście? Są inne, młodsze, sposobniejsze. Niech one pokażą, co umią.

— E ta — rzucił pogardliwie — same frelki, co to za chłopami latają, a do roboty nijakiego upatrzenia nie mają.

— O nie gadajcie tak, bo nieprawda — stanęła w obronie. — Taka Weronka albo i Magda lata za chłopami, bo lata, ale do roboty pierwsza. Tamto, to inna sprawa.

— Wicie, pomyślałżech sie, że tylko wy poradzicie. Zarobicie więcej dla tych dzieci...

— Nie poradze — przerwała mu Gertruda.

— Poradzicie, tylko pomyśleć trza trocha. Pomyślcie, bo już nas wołają — rzekł wstając z krzesła.

W sieni rzeczywiście rozlegał się gwar powracających z dzieckiem gości. Po chwili zapukali do drzwi. Wiącek poszedł, Gertruda zaś zabrała się do ubierania dzieci. Ta dziwna wizyta sztygara utkwiła jej w pamięci i rzeczywiście sprawa pracy w sortowni zaczęła ją trapić coraz bardziej.

Goście u Golonków siedzieli ciasno za stołem. W izbie panował półmrok zapadającego wieczoru. Gertruda stanęła na pro-

gu, oszołomiona gwarem i tak dużą ilością ludzi. Trzymała dzieci za ręce i patrzyła przed siebie, starając się rozeznać twarze. Twarzy nie było można poznać; były tylko sylwety, profile ciemne, gadające, gadające. Drgnęła od ciepłego dotyku rąk Golonkowej, która pociągnęła ją do stołu, gdzie zrobił się rumor robionego jej gwałtownie miejsca. Błysnęła w tej chwili na suficie żarówka i jej blask oślepił Gertrudę na chwilę. Potem wzrok zaczął się oswajać i oczy ukradkiem szukały pewnej twarzy. Po chwili upewniła się, że poszukiwanej twarzy nie ma. Odzyskała równowagę ducha. Zaczęła rozumieć sens rozmów, które toczyły się wokoło. Siedzący obok niej Golonka nachylił się nad nią i sypał komplementami. Gertruda była tak ciasno wtłoczona, że dotykała łokciami sąsiadów. Z drugiej strony siedział stary Szlaczkiewicz i poruszał nieustannie szczękami jakby coś żuł.

Flaszka wędrowała z rąk do rąk i coraz nachylała się ku kieliszkom. Na twarzach lśniło podochocenie. Żylaste, pokaleczone ręce wspierały rozjaśnione twarze. Padały słowa ostre, skrzące się górniczym dowcipem, niedwuznacznym, rubasznym. Gwar gęstniał jak niebieski dym pod lampą. Na tamtym końcu stołu młodzież wybuchała głośnym śmiechem, a dziewczęta chichotały piskliwie. Gertruda obejrzała się za dziećmi. Siedziały w tamtym kącie wśród innych dzieci i jadły duże kromy chleba z kiełbasą. — Czy aby im nie zaszkodzi — pomyślała z niepokojem. Uspokajały ją dowcipy Golonki i śmieszne przytakiwanie Szlaczkiewicza. Izba huczała od gwaru i wtedy Gertruda ujrzała nagle, że jednak Froncek jest. Siedzi w tamtym kącie i obejmuje Magdę. Szepcą sobie coś na ucho, śmieją się. Błyskają jego białe zęby, za oknem świeci księżyc, a w sercu robi się tak przykro. Wszystko jakoś zblakło w jej oczach, potrawy nie smakowały, dowcipy nie były wcale dowcipami. Była oburzona. Żeby tak się zachowywać przy ludziach! Ta Magda to też dobry numer i Wiącek miał słuszność, że tak o niej mówił. Gertruda postanowiła nie spojrzeć w tamtą stronę ani razu. Wyszła spoza stołu i przysiadła się do dzieci w kącie. Tu można posłuchać, o czym rozmawiają górnicy. Jej uwaga skupiła się na nich, gdyż rozmawiali o kopalni. Mówił Gerard Kubaczek jak zwykle narzekając. Miał twarz niezmiernie chudą i głęboko zapadłe oczy. Co chwila wyciągał żylastą pięść i bił nią o stół, jakby dla dodania ważkości swoim argumentom.

— Mamy robić, to się robi — perorował głośno — robi się jak pierón, ale jaka to robota. Na kopalni robota musi lecieć swoją ścieżką. Wystrzelisz ścianę, namyśleć się musisz, z której strony do niej podejść, jak uderzyć kilofem, żeby się nie zawaliło, potem podsztemplować akuratnie, rąbać odpowiednio. Wiecie jak to jest, niy? Niy byda godoł wiele. Przypuśćmy ale, że na filarze idzie robota i można nasypać kilka ton, zależy gdzie. Przypuśćmy, że na naszej kopalni idzie nasypać wónglo, ale to nie wszystko. Bo tamci na dole sypią jak pieróny, a reszta kopalni nie nadąża. Bo to i cieśle latają jak kot z pęcherzem i ślepry plątają się; kiedyś tu o mało nie zrobili karambolu. I ładowacze i w sortowni baby się pocą i wagonów nie można nastarczyć i kolejarze klną jak szewcy, i urzędniki, buchaltery nie mogą prędko policzyć te swoje zero do zera i dyrektorzy nie mogą sie nagadać do telefonów, ani harbaty wypić, jak to w urzędzie, ani cygaro zapalić. Wszystko jak w cyrkusie albo jak na odpuście w Piekarach. I winda sie wyciera, bo to jak przedtem wyjechała raz, to teraz dwa albo i trzy razy za ten sam czas musi wyjechać.

— Już ta nie czepiaj się windy — wtrącił się maszynista Dąbek — już ta winda wytrzymie i da rady zjeżdżać jeszcze więcej razy. A ty, Kubaczek, źle godosz, bo to nie winda, a ludzie só najważniejsze. To mówią, ludzie najważniejsze. Robota każda jest tako, że można jo ulepszyć. Tylko trza wiedzieć, jak. Wicie, jak to jest. Jeden bedzie robił i dobrze, i prędko, drugi bedzie się kręcił jak g.... w przerębli, narobi się i nic nie urobi...

— Tak było i bydzie zawsze na robocie — przerwał mu Kubaczek — żebych nie wiem jak nasztalował robota, tak zawsze bydzie.

— Tak było, ale tak nie bydzie — podjął dyskusję Dąbek — tak było downi, a co downi, to nie tera. Downi kopalnia nazywała się Maria Luiza. To była kochanka pana barona i pon baron patrzył, kiela piniędzy wyciągnąć z ty kopalni dla ty kochanki. A co ciebie, bracie kamracie, obchodziła czyjaś kochanka? To, żeś, bracie kamracie, patrzył, jakby przekręcić sie do końca szychty. Wloześ gdzie na przecinek, toś spał. Co, nie było tak?

— Było, było — przytwierdzili biesiadnicy.

— Tóż widzicie. Robota cie jeden z drugim nie obchodziła. „Robota nie zając, nie ucieknie" — gadali kamraci. Kopalnia

była własnością pana barona, ale i jego nic nie obchodziło, aby tylko jak najwięcej piniędzy wycisnąć z ciebie, jeden z drugim. Ciebie znów nic nie obchodziło i tylkoś patrzył, wiela zarobisz i wiela tego bydzie na geltag. Tóż wychodziło na to, że każdy patrzył swego interesu. Teraz jest inakszy. Więcej nafedrujesz, więcej zarobisz — to raz, a drugi raz — kopalnia jest nasza i chyba nikt teroz nie śpi na szychcie.

— Nie śpi, nie śpi — potwierdzali biesiadnicy.

— Toż widzicie, że jest inakszy. A jak jest inakszy, to ni może być jak downi. Toż mówią: „Teraz trza robić po nowemu, z głową. Nie narobić sie, więcej urobić i więcej zarobić. To jest sztuka. Trza więcej głową jak rękami"...

Te słowa utkwiły Gertrudzie w pamięci. „Trza więcej głową jak rękami". Tak mówiłby na pewno Jakub, gdyby żył. Przytuliła Baśkę mocniej do siebie. Patrzyła ze swojego stołka na rozmawiających. Dąbek sięgał ręką po chleb, Kubaczek wyjmował z pudełka papierosa. Tam w kącie Froncek obejmował Magdę i śmiał się nieustannie. Nadstawiła uszu, chcąc usłyszeć, o czym rozmawiają. Doleciały ją kpiące słowa:

— To wszystko g.... wert, co sie tukej robi...

A więc kpi z wszystkiego, wyśmiewa całą robotę i ludzi, a ona... Ogarnęła ją dziwna wściekłość na siebie, na niego i chyba na cały świat. Izba wrzała od gorącej dyskusji. Obaj dyskutanci mówili z początku spokojnie. Nagle ktoś rzucił jakieś obelżywe słowo. Wtedy wszyscy zaczęli mówić podniesionymi głosami, chcąc przekrzyczeć jeden drugiego.

Pieróna, będziemy robić po staremu!

— Z głową, z głową, po nowemu!

Zakipiało, pięści uderzały w stół, pięści podnosiły się i groziły sobie nawzajem. Sytuację uratował tort, który Golonkowa wniosła tryumfalnie na stół. Górniczy tort został przyjęty radosnymi okrzykami, w których najgłośniejszy udział brała Gertruda.

3

Sortownia dyszała ciężko. Długie rzędy kobiet, ustawionych po obu stronach rynny, poruszały się rytmicznie jak w fantastycznym tańcu. Bryły węgla, płynące rynną, wydawały z siebie monotonny szmer. Od kilku już dni Gertruda pracowała jakoś inaczej. Patrzyła na płynącą falę węgla i jej niebieskie oczy

zmieniały kolor, jak zawsze wtedy, gdy stawała przed trudnym zagadnieniem. Nabierały stalowozielonej barwy. Jak zrobić, aby ani jeden kamień nie poszedł wraz z węglem w świat? Ani jeden! I jak zrobić, aby podołać zwiększającemu się tempu pracy? Próbowała na rozmaite sposoby wybierać kamienie i tak, i tak, lewą ręką, prawą ręką. Wypatrywała kamienie, jak ptak robaki. Jej ręce zaczynały nabierać jakiejś czarodziejskiej mocy w tej na pozór łatwej sztuce. Wyłaniały się jednak inne trudności: jak to robić szybciej. Szybciej nie można, gdyż powodowało to zamieszanie i przepuszczanie kamieni, a w dodatku kaleczyło palce.

Rynna dyszała miarowo i wystukiwała jakby refren piosenki śląskiej: „Żadna mi sie nie podoba, tylko ta, tylko ta; żadna mi sie nie podoba, tylko ta, tylko ta"... Od czasu do czasu jednak rytm się załamywał, rynna szczękała dysonansem i po chwili znowu wracała do szybszego lub powolniejszego tempa. Wtedy ręce mogły wychwytać najwięcej kamieni. Myślała, myślała dniem i nocą nad tym zagadnieniem. Śniła się jej rynna z węglem, że przepływa przez jej żyły jak czarna krew, przebija się przez serce i mózg. Podczas tych rozmyślań pożałowała, że nie ma wykształcenia. Gdyby była uczona, na pewno potrafiłaby jakoś to obliczyć i pokazać nowy sposób pracy. Może by poradzić się któregoś z inżynierów? Oto szła pewnego razu przez dziedziniec w stronę cechowni, gdy z daleka ujrzała inżyniera Będkowskiego. A gdyby tak zebrać się na odwagę i powiedzieć mu o wszystkim? Mijał ją właśnie i — jakby się domyślając zagadnął ją, dokąd idzie. Odpowiedziała śmiało i przedstawiła swoje zmartwienie. Inżynier nie zrozumiał. Patrzył na nią spoza okularów i ruszał wąsem.

— O co chodzi, o co? — spytał zaciekawiony.

— To sie nie da tak opowiedzieć, to trza na miejscu — rzekła z uśmiechem.

— No to chodźmy zobaczyć — zadecydował.

Szli obok siebie rozmawiając, jakby dwoma różnymi językami. Ona usiłowała przedstawić mu swoje doświadczenia i kłopoty, on pytał, czy jest mężatką, czy ma dzieci, i tak wśród rozmowy weszli do sortowni. Pojawienie się inżyniera tutaj wywołało poruszenie wśród robotnic. Gertruda nie zważając na to, podeszła do rynny i zademonstrowała swoje doświadczenia. Słuchał, patrzył, ale interesowało go co innego. W jej ruchach,

w zapale, jaki wkładała w swój wykład, było tyle żaru, tyle namiętności. Patrzył na jej rozognioną twarz, na jasne, wystające spod chustki włosy, na duże, niebieskie oczy i ruchy rąk, które były podobniejsze do ruchów tancerki niż robotnicy. Przytakiwał, a jej się wydawało, że rozumie, że aprobuje, i gdy skończyła, wpatrzyła się w niego jak w tęczę. Zrozumiał to inaczej.

— Niech pani przyjdzie do mnie do biura kiedy bądź po pracy, to pogadamy — rzekł dla zachęty. — To rzeczywiście ciekawe, bardzo ciekawe...

Z tymi słowami odszedł. Stojąca naprzeciw niej Magda patrzyła na nią z ciekawością i przy najbliższej sposobności zapytała, czego tu chciał. Gertruda odpowiedziała wymijająco, że chciał skontrolować, jak idzie robota. Magda spojrzała na nią z niedowierzaniem i szepnęła coś do ucha sąsiadce. Tamta pokiwała głową porozumiewawczo.

Ulica Lompy szeptała.

Kobiety stały długo w sieniach przy wodociągach i komentowały sprawę Gertrudy i inżyniera Będkowskiego. Ale chodziło nie tylko o romans. Magda słyszała wyraźnie i sąsiednie robotnice też słyszały, że Gertruda coś wymyśla w sortowni i zapewne chce stanąć do współzawodnictwa pracy.

— Mamy nową wyścigówkę.

„Wyścigówka" — oto nazwa, jaka jej przypadła w udziale. Kiedy szła przez ulicę, leciały za nią spojrzenia. W oknach ukazywały się twarze ludzkie, jak wtedy gdy przejeżdżał autobus.

Odwiedziła inżyniera w biurze. Ubrała się w co miała najlepszego, w suknię niebieską, jedwabną. Płaszczyk trochę sfatygowany, lecz jeszcze na oko dobry. Na głowie szeroki kapelusz z popielatego filcu. Torebka ceratowa i buty z cholewami. Inżynier chwalił jej pomysł, potem poprzez biurko chwycił jej dłoń i gładząc ją, zaczął jej prawić komplementy. Z jego grubych warg płynęły szybkie słowa, że ona jest wspaniała kobieta, że podobała mu się bardzo, że on traci głowę. Mówił, mówił, sypał słowami, których już nie słuchała myśląc o tym, jakby tu wysunąć rękę z jego rąk, pachnących, gładkich, lubieżnych, przejmujących wstrętem. Ręka jej robiła się coraz bardziej zimna. — Nic tu po mnie — pomyślała z goryczą. Toteż gdy wypuścił jej dłoń, aby zapalić papierosa, wstała z krzesła. Zerwał się, obszedł

biurko i zagrodził jej drogę. Zaczął szeptać, że szkoda jej do takiej roboty i do tych jakichś tam pomysłów, że on mógłby jej urządzić życie, o jakim nie ma pojęcia.

— Mam majątek, mam dolary — szeptał z poczerwieniałą łysiną. — Pensja, którą tu dostaję, to akurat na papierosy... — Chciał jeszcze mówić, chciał sięgnąć ręką, lecz ktoś nadchodził, więc odskoczył, a ona ustroiwszy twarz w sztuczny uśmiech wyszła szybkim krokiem.

Po tej wizycie zacięła się jeszcze bardziej w twardym, śląskim uporze. Od śmierci Jakuba była pozostawiona sama sobie i wszystko, co ją spotykało, musiała pokonywać własnym uporem. Poruszała się wśród wszystkich swoich spraw z poczuciem obowiązku wobec dzieci i to dodawało jej hartu ducha, sprawiało, że wywiązywała się ze swoich zadań bez zarzutu. Przez cały czas wdowieństwa była zanadto zdana na własne siły i zanadto niezależna, aby obawiać się ludzkich dąsów. Wpłynęło to na jej decyzję walki do ostatka, do zwycięstwa. Pewnego dnia, gdy tak patrzyła na uciekające kawały kamienia, przyszła jej myśl, że sama nie poradzi. Tu trzeba, żeby wszystkie kobiety z całej zmiany, a potem tamte, z następnej szychty, razem w jakiś sposób opanowały ten problem. W tym końcu rynny powinny ustawić się te najsilniejsze, a na tamtym najzręczniejsze, których zadaniem będzie nie wypuścić już ani jednego kawałka kamienia. Tu trzeba siły, tam wprawnego oka i zręczności rąk. Oto podział pracy.

Odwiedził ją sekretarz koła partyjnego, Wygoda. Usiadł na krześle, zapalił papierosa i zaczął mówić. Mówił śpiewnym akcentem repatrianta i nosił jasne wąsy. Kiedy mówił, miał twarz skupioną, a oczy zapatrzone gdzieś w dal. Ręka trzymająca papierosa drżała, a popiół rozsypywał się na kolana.

— Musicie pokazać, że i kobieta coś potrafi — mówił z naciskiem. — Mamy trudności z kopalnią. Robota idzie źle i nie wyciągniemy nawet wyznaczonej normy wydobycia. Musimy wszyscy wziąć się za robotę. Wszyscy, znaczy się i wy kobiety. Jak się weźmiemy wszyscy razem, to i urobimy normę. Przynajmniej normę, ale ja myślę, że i ponad normę tyż...

— Jak urobimy? — przerwała mu Gertruda — kiedy pyskują, wyścigówką mnie nazywają.

— Eee tam, kilka bab to jeszcze nie wszyscy — machnął ręką — ktoś ich buntuje, ale reszta, wszyscy, wszyscy, i ci na

dole, i w górze dobrze o was myślą. A zresztą „wyścigówka“ cóż to takiego złego? Można to rozumieć i tak, i tak. U nas to jest zaszczyt. To są początki naszej roboty, ale jak się przekonają nawet te baby, że to lepiej, jak rzucimy ponad normę, jak więcej zarobią, to i przestaną pyskować. Nie bójcie się tych kilku bab, my wam pomożemy i...

— Ja się ta niy boja wcale — przerwała mu znowu Gertruda.

— Co, nie boicie się? To dobrze, to, znaczy się, bardzo dobrze — mówił z widocznym zadowoleniem — bo ja myślał, że się boicie i dlatego przyszedł tu, aby odwagi dodać, wytłumaczyć, dopomóc. No, ale kiedy tak, to gadajmy od razu, jak wam dopomóc w sortowni?

Gertruda wyłożyła swój plan. Opisała swoje obserwacje i początkowe pomysły, i to, jak potem doszła do konkretnych wniosków, że tu trzeba zespołowo, „z głową“ pracować, że inne powinno być rozstawienie robotnic, inaczej powinny chwytać kamienie i... — ale ja nie umiem tego powiedzieć. To trza pokazać na miejscu.

Wygoda słuchał, a gdy skończyła, zabębnił palcami po stole.

— Pomóc wam trza — rzekł po chwili. — Przyjdę tam z inżynierem Gajdzikiem i może z którymś rębaczem, jak bedzie miał czas. A wy pomyślcie jeszcze nad tą robotą.

— Ale nie przychodźcie z tym łysym inżynierem — rzekła błagalnie.

— Dlaczego? Co, i wyście go już poznali? To ciekawe... Pokażecie swój nowy sposób?

— Nie wiem, czy dam rady. To trza wszystkie kobiety zorganizować, a nie wiem, czy zechcą posłuchać.

— Co nie macie dać rady? Pomożemy, zorganizujemy, a potem robota poleci sama, tylko razem i, jak to powiedzieliście, z głową.

Gertruda zgodziła się. Wygoda wstał, wrzucił papierosa do paleniska pod kuchenką i zaczął wypytywać o dzieci i o to, jak ona sobie daje radę.

— Cóż, chodzą do szkoły. Karliczek do czwartej klasy, Barburka do trzeciej. Trudno z nimi. Nie ma jakiego żłobka przy kopalni, albo świetlicy dla dzieci?

— Do żłobka, to one już za duże — rzekł sekretarz — a świetlica dla dzieci zrobi się. Zrobi się wszystko stopniowo.

Wojna się dopiero co skończyła, kopalnia zaczyna się dopiero ruszać. Jeszcze trochę czasu, a będzie dobrze. Grunt to robota. No, idę już. A wam powiem tak po śląsku: trzim sie.

— Trzim sie.

— Pamiętajcie: ze wszystkim do mnie. Ja zawsze na pewno poradzę, choć czasu mało, wiele mam na głowie.

Po jego wyjściu Gertruda nabrała otuchy, poweselała i krzątając się koło garnków, zaczęła nucić piosenkę. „Żadna mi sie nie podoba, tylko ta, tylko ta“... Nucąc wyszła do sieni po wodę. Przy wodociągu stały Golonkowa i Tylowa, które na jej widok ucięły pogwarkę i odeszły do swoich izb. Gertrudy wcale to nie ubodło. Nuciła dalej i w głosie jej było wyzwanie. Potem przybiegły dzieci i Gertruda biorąc je na kolana pytała, co by chciały dostać na Barburkę.

— Narty — wołał Karliczek.

— Torebkę czerwoną na pasku — piszczała Baśka.

— Jak będziecie grzeczne, to może dostaniecie — powiedziała im w zamyśleniu.

4

Gertruda minęła bramę kopalni i wyszła na ulicę. Myślała o czekającym ją w domu praniu. Nazbierało się tyle brudów, że chyba trzeba będzie prać do późnej nocy, a może do rana. Szczęście, że jutro niedziela, gdyż inaczej trudno by było pracować w sortowni. Biegła rozmyślając o czekającej ją pracy, gdy wtem zastąpił jej drogę Froncek. Drgnęła i chciała go ominąć, lecz on zrównał się z nią i szedł obok, dotrzymując coraz szybszego jej kroku.

— Co tak lecicie, aże słowa nie można powiedzieć — odezwał się do niej głośno.

Nie odpowiedziała mu, usiłując stłumić gwałtowne uderzenia serca. Szczęście, że był zmrok i nie widać było jej płonących policzków. On szedł ciągle obok i mówił. Rozglądała się rozpaczliwie, gdzie by uciec od niego. Nie rozumiała słów, które do niej mówił. Uderzyło to w nią tak nagle i z taką siłą, że w tej krótkiej chwili poczuła się zupełnie bezradna. Przyszła jej myśl o dzieciach. Zatęskniła za nimi, za ich dotknięciem, pieszczotą, przynoszącą ratunek.

— Lecę do dzieci — odezwała się wreszcie stłumionym głosem — robota w domu czeka.

Głos ten ledwo wydobył się ze ściśniętej krtani i to pozwoliło wreszcie schwytać oddech. Opanować się stopniowo i zacząć łowić słowa, które mówił. Usłyszała, że nawiązuje do tego, iż dawno już chciał się z nią zapoznać, lecz jakoś nie śmiał. Zdziwiła się, gdyż wiedziała o nim i o Magdzie.

— Po co wam się zapoznawać ze mną? Mocie dziołcha.

— Mam, ale to nie to. Tamta ot tak sobie.

— Żenić się bedziecie ś nią.

— E, ta, jakby to chciał się żenić z każdą frelką...

Zatrzymali się przed bramą domu Gertrudy. Rozmawiali żywo, znajdując coraz nowe ogniwo zawiązanej dyskusji. Gertrudę tak to zajęło, że zapomniała o wszystkim. O robocie na nią czekającej, o tym, że przecież nie pragnęła ani tego spotkania, ani rozmowy tak się przedłużającej. Doszło do tego, że wziął ją za rękę i trzymając pytał, kiedy mogą się zobaczyć. Nie chciała oznaczać żadnego spotkania. Ktoś nadchodził z tamtej strony ulicy, więc trzeba było wyrwać rękę, przytaknąć głową, to znaczy, zgodzić się na jutrzejsze spotkanie, i lecieć do roboty. Podczas nalewania wody do kociołka, podpalania pod kuchnią, Gertruda rozmyślała nad Fronckiem. Okazało się, że o nim dużo wie. Przyjechał niedawno z zagranicy, chwali się, że jest z zawodu szoferem, tylko papiery zagubił i dlatego na razie musi pracować jako niewykwalifikowany robotnik placowy, że przyjechał z drugim kamratem, Janiczkiem, który ogłasza, że jest mechanikiem i też zgubił papiery. Obaj piją w szynku „Pod Rybą“, który znajduje się na drugim końcu ulicy Lompy. Obaj piją, biegają za dziewczętami, odnoszą się z pogardą do wszystkiego, co się w Polsce dzieje. Jednego tylko nie wiedziała: skąd się tu wzięli i co za jedni. Nikt ich nie znał, nie mieli tutaj żadnych krewnych ani rodziny. W pewnej chwili przyłapała się na spostrzeżeniu, że tyle wie o Froncku, choć przecie nie dowiadywała się o nim specjalnie. Zamyśliła się. Zwątpiła, czy oprze się pokusie pójścia na spotkanie. Nie, nie pójdzie!... Rozterka i wahanie wpływały na pracę przy praniu. Robota szła niesporo. Była późna noc, gdy jeszcze prała.

Na drugi dzień wśród zajęć, gotowania obiadu i karmienia dzieci, wahała się ciągle; ale kiedy dzieci wybiegły na ulicę, zaczęła się jednak wybierać na spotkanie. Robiła to wbrew chęci, jakby popychana jakąś dziwną siłą. Siedziała długo przed lusterkiem, czesząc i układając włosy. Już dawno nie siedziała

tak długo przed lustrem. Chyba przed laty, gdy była dziewczyną i szła na spotkanie z nieboszczykiem Jakubem. Tak samo jak wtedy oczy jej były rozmarzone i niebieskie. Oto znowu spośród tamtych lat udręk i pracy, wojny, lat poprzez które przeleciało jej życie, oto znowu wraca druga młodość. Gertruda wykonywała te same ruchy przy lustrze i tak samo z napiętą uwagą nakładała na głowę kapelusz. Tak samo szybkim ruchem podskoczyła do wyjścia i tanecznym krokiem poszła na spotkanie. Wiedziała, że robi źle i zdawała sobie sprawę z niestosowności tej eskapady. Ona, trzydziestoletnia wdowa z dwojgiem dzieci, biegnie lekkomyślnie do tego o wiele młodszego od siebie, nieznanego obieżyświata.

Po wyjściu z bramy szła coraz wolniej i wreszcie stanęła. Na ulicy zapadał zmrok, Chłodne powietrze przywróciło jej przytomność. Przypomniała sobie kpiące słowa, wypowiedziane przez Froncka u Golonków na chrzcinach. — To jakiś niedobry człowiek — pomyślała — straszny, źle mu z oczu patrzy i może dlatego, że straszny, tak mnie pociąga. Trzeba jednak dowiedzieć się o nim wszystkiego. — Z drugiego końca ulicy doleciała ją wrzawa. Biegli jacyś ludzie, rozpraszając się w ciemnościach. Z tamtej strony nadeszła Czekałowa. Czekałowa zmieniała Gertrudę w sortowni w następnej szychcie i znały się od dzieciństwa. Spotkana prowadziła za rękę chłopca.

— Co się tam stało? — zapytała ją Gertruda.

— A nic takiego — odpowiedziała jej Czekałowa — bijom się chachary w szynku. Nasze chłopcy pobili tych drani i wyciepli ich z szynku za to, że po niemiecku gadali.

— Kogo pobili?

— A no tych dwóch: Froncka i Janiczka.

Gertruda oblała się rumieńcem, na szczęście niewidocznym w ciemności. Nawiązała rozmowę na temat tych dwu. Czekałowa także nic nie wiedziała bliższego o Froncku. Słyszała od kogoś, ale nie pamięta już od kogo, że Froncek pochodzi z Goduli i że tam go lepiej znają. Gertrudzie przyszła myśl, żeby natychmiast dowiedzieć się dokładnie o nim. Trzeba pojechać do Goduli, niedaleko, kilka kilometrów. Pożyczy rower właśnie od Czekałowej. Zaproponowała jej, że ją odprowadzi i po drodze poprosiła o rower. Czekałowa zgodziła się, tylko latarki nie ma.

Gertruda wsiadła na rower i jadąc, robiła sobie wyrzuty. Zamiast zrobić coś w domu, jedzie gdzieś nie wiadomo po co. Szo-

sa była śliska, trzeba mocno trzymać rower i jechać powoli. Coraz bardziej żałowała tej jazdy i nawet w pewnej chwili zawahała się, czy nie zawrócić. Ciekawość jednak była silniejsza i ona to kierowała jej ruchami. Gertruda umyśliła sobie wstąpić do wuja nieboszczyka męża. Wuj Gustlik był sygnalistą windy w tamtejszej kopalni i mieszkał przy synach i wnukach. Może będzie coś wiedział. W Goduli była taka sama ulica jak w jej miejscowości, z podobnymi blokami mieszkalnymi dla górników. Takie same domy z czerwonej cegły, poczerniałej od dymów i sadzy, domy o skrzypiących, drewnianych schodach, długich sieniach, w których znajdowały się wodociągi, o cienkich ścianach, chrobocących od nieustannego gwaru ludzkiego. Wujek mieszkał na drugim piętrze i Gertruda, wyniósłszy rower po schodach i postawiwszy go w sieni, zapukała do drzwi. W pierwszej izbie przywitała ją uściskiem synowa wujka, Hilda, i dała jej do ucałowania córkę Marikę, jednoroczne dziecko o dużych, niebieskich oczach. Z drugiej izby wyszedł wujek, krzepki starzec z pomarszczoną twarzą i białymi jak śnieg włosami. Pogłaskał Gertrudę po włosach i kazał usiąść. Pytała o resztę rodziny.

— Poszli kajś jak to chopy — informował wujek.

Hilda podała Gertrudzie dziecko, zabierając się sama do przyrządzenia kawy. Rozmawiali o sprawach rodzinnych. Najstarszy syn, Antoni, leży w szpitalu, gdyż miał mały wypadek. Bryła węgla oberwała się i złamała mu jedno żebro, ale jest już dobrze i niedługo wyjdzie. Młodszy, Janiczek, z kamratami kajś w szynku. Najmłodszy, Gustlik, w świetlicy pewnie, bo tam jakiś cyrkus pokazują. Reszta pewnie też tam. Gertruda opowiedziała o swoich sprawach i kiedy już popijała kawę, napomknęła, że właśnie kiedy wyjeżdżała ze swojej miejscowości, bitka była w szynku i dwóch „karlusów“ wyrzucili za to, że po niemiecku gadali.

— Ale ich nikt nie zna u nas — mówiła. — Może wy tukej gdzie słyszeliście o takich?

— Jak się nazywają? — zapytał wujek.

— Jeden nazywa się Froncek Kochman, drugi Janiczek Gawlik.

— Tukej Kochmanów dość — mruczał wujek w zamyśleniu. — A jak on wygląda?

— Taki czorny jak dioboł.

— E ta, oni wszyscy czarni. Jedni byli wielkie Niemce, drudzy byli Poloki. Jeden był Wilhelm, to był wielki „partajgenose“, ludzi na kopalniach poniewierał, bił, kopał, „ferfluchte drekiges polniszes szwajn“ wyzywał. Ale uciyk do „rajchu“. Zaro, zaro — rzekł w zamyśleniu — on mioł kajś syna i czy mu nie było Froncek? Ale to był esman i pewno uciekł tyż do „rajchu“. Może to ten? Tego drugiego, Janiczka, nie znóm, ale Gawliki siedzą w Nowej Wsi, to tam bydo go znać. Popytam na kopalni, bo do nas przychodzą na szychta z Nowej Wsi. Popytam i dam ci znać. Napisza list. Bo to te gadziny trza tępić jeszcze gorzej jak oni nas tępili. Dam ci znać i jak to oni, to ich trza wyciepać na cztyry wiatry.

Kiedy wracała do domu, zerwał się wicher i sypał w oczy śniegiem. Jazda była bardzo trudna. Gertruda przepychając się w śnieżycy i ciemnościach nie żałowała wycieczki. Z tego co się dowiedziała, nabrała pewności, że Froncek jest Niemcem i wrogiem. Uwija się wśród kobiet i korzystając ze swojej urody i powodzenia robi jakąś podłą intrygę, żeby przeszkodzić w pracy i utrudnić rozwój kopalni. Przez całą drogę wyrzucała sobie wczorajszą rozmowę z Fronckiem. Na myśl o tym ścisnęła mocniej kierownicę roweru. Gdy wjeżdżała na ulicę Lompy, nie zauważyła Magdy, która wygrażała jej pięścią.

Ręce Magdy gestykulowały teraz wszędzie. W domach, w izbach ulicy Lompy, na dziedzińcu kopalni i sortowni. Tutaj wodziła rej wraz z Weronką i obie wymachiwały rękami.

— Na akord tera bydymy robić — krzyczały — na akord, a która nie wyrobi normy, wyciepią ją z kopalni! Węgiel tera będą badać w wagonach i jak znajdą kamień, to „sztraf“ będą obciągać z „geltungu“ bez tą pierońską wyścigówkę! Mode nową zakłada w robocie, na „fajerki“ wszystkich wyśle! Dusze z człowieka wycisną, ostatnie poty i to za darmo! Żadnego zarobku nie bydzie, a jeszcze dopłacać trza bydzie!...

Gertruda obracała się w tym kręgu uprzedzeń z zupełnym spokojem. Wierzyła w słuszność swojej sprawy, wierzyła, że tak będzie lepiej i jej, i innym. Chodziło tylko o to, aby przekonać wszystkich. Czekała więc na przyjście sekretarza Wygody. Na pozór była spokojna i pracowała przy rynnie normalnie. Jednak gdy do sortowni weszła gromadka ludzi, drgnęła i pomyliła się. Zamiast kawałka kamienia wyciągnęła bryłę węgla. Odrzuciła ją ze wstrętem. Zbliżali się do niej: przewodni-

czący rady zakładowej Ślimok, inżynier Gajdzik, sekretarz Wygoda i sztygar Wiącek. Zatrzymali się wszyscy koło niej.

— Szczęść Boże, Knotowa, no jak idzie robota? — zagadnął ją Ślimok. Pokażcie no nam tę waszą robotę. Jak to jest?

Gertruda zaczęła tłumaczyć swój system. Słowa płynęły jej gładko i były zrozumiałe dla wszystkich. Mówiła śmiało, tak śmiało, że sama siebie nie poznawała. Jakaś inna Gertruda stoi tu, przy rynnie, i mówi słowami dotychczas przez siebie nie używanymi. Ona, robotnica śląskiej kopalni, w której wolno było tylko ciężko pracować i milczeć, ona może mówić z kierownictwem kopalni jak równy z równym. W tej ważnej chwili poczuła się wreszcie człowiekiem.

— Tak jest lepiej, bo można więcej zrobić i nie męczyć się. Ale teraz najważniejsze, żeby ani jeden kamień nie poszedł z węglem. Trzeba rozstawić kobiety inaczej, rzadziej, i żeby brały dwoma rękami, lewą, prawą, lewą, prawą... Można zrobić dużo, nie męczyć się, bo to kości bolą po robocie i w boku kłuje. Lżej będzie robić i więcej się zrobi i węgiel będzie czysty...

Mówiła coraz głośniej. Tłumaczyła, odpowiadała na pytania, które najczęściej zadawał inżynier Gajdzik. Inżynier Gajdzik był bardzo młody i dziw brał, że już jest inżynierem. Jasny blondyn, drobny, piegowaty, wyglądał na chłopaka, ale jego pytania były niegłupie. Od razu jakby pojął, o co jej chodzi, i zapytał, co się robi, gdy rynna na małą chwilę stanie, a potem znowu rusza.

— To właśnie trza skorzystać — odpowiedziała Gertruda — i wtedy można rękami podgarnąć węgiel i wyłapać wszystkie kamienie.

Inżynier wyjął z kieszeni notes i coś zapisał.

— Daliście mi, matko, dobre zadanie do domu — rzekł z uśmiechem. — Spróbuję obliczyć i coś wymyślić. — Zwrócił się do tamtych. — To by musiało grać wszędzie jednakowo, jak w zegarku, i na dole rębacze, i taśmy, i wózki, wyciągi, aż do tej sortowni, a raczej do was, matko — zwrócił się do Gertrudy.

Podał jej rękę, drobną i delikatną, a za nim inni. Dowcipkowali przy tym zdrowo, mówiąc, że teraz chłopy będą tak tańcować, jak im ona zagra na tej rynnie.

— To oni na przodkach grają, a my tańcujemy — odparła Gertruda.

— Tak, zabierzmy się do rozwiązania całej pracy w kopalni — rzekł Ślimok.

— To kiedy, znaczy się, zaczynacie robić po nowemu? — zapytał sekretarz Wygoda.

— Jutro. Ale jeszcze muszę pokazać wszystkim kobietom, jak się to robi.

— Dobrze, ogłosimy.

Poszli rozmawiając żywo.

— Bo to jak przyjdzie więcej przodowników, to zatory zrobią się takie, że nie wiadomo, co dalej — mówił zawiadowca do inżyniera. — Już teraz tamci narzekają, że muszą tracić czas czekając na wywiezienie węgla...

Gertruda pracowała dalej wśród milczenia koleżanek. Ich twarze były nieodgadnione. Czy zechcą pracować według jej wskazówek? Czy potrafi zapalić je do tej pracy? Potem na pewno przekonają się same i wtedy nie tylko zmienią zdanie, lecz przywrócona będzie dawna przyjaźń, która może się jeszcze pogłębi. Wreszcie zajęła ją praca. Gdy wychodziła z kopalni, myślała o dzieciach, o Karliczku, który kaszle i buty ma znowu podarte. Po drodze wstąpiła do sklepu po chleb. W sklepie było kilka kobiet, które na jej widok przerwały ożywioną rozmowę. Może rozmawiały o niej. Gertruda wyczuła wrogość nawet u ekspedientki, która rzuciła jej bochenek na ladę jakby ze złością. Chleb był przypalony u spodu i przygnieciony.

— Możebyście mi dali inny.

— Nie ma innego, a jak ktoś nie chce, to nie musi brać — brzmiała opryskliwa odpowiedź.

Gertruda już nic nie odpowiedziała, zapłaciła i wyszła.

Na ulicy była pochmurna noc. Mżył drobny deszcz. Gertruda szła szybko i omijała kałuże. W pewnej chwili odczuła, że ktoś za nią idzie. Obejrzała się i ujrzała poza sobą jakieś cienie, które zbliżały się do niej. Ogarnął ją strach, zaczęła przyśpieszać kroku, a potem biec. Cienie biegły za nią i zbliżały się coraz bardziej. Kobiece głosy wołały za nią i w głosach tych była nienawiść.

— Stój, ty wyścigówko pierońsko! — piszczał głos. Świsnął kamień jeden i drugi. Ulicę Lompy przeszył krzyk kobiecy.

Gertruda dopadła bramy i jęcząc biegła przez sień. Trzymała się za głowę, a między palcami płynęła krew. Na progu swojego mieszkania upadła na podłogę. Dzieci wrzasnęły. Basia

piszczała, a Karliczek jęczał. Golonka i Tyl podnieśli ją i położyli na łóżku.

— Leć do telefonu — krzyknął Golonka do młodszego syna.

Golonkowa z Tylową przykładały mokre szmaty dla zatamowania krwi. Przyjechał lekarz kopalniany, a za nim przybiegł sekretarz Wygoda. Lekarz robił opatrunek, a sekretarz pytał. Gertruda z trudnością opisała całe wydarzenie. Izba zapełniła się szczelnie sąsiadami.

— No tak, to pewnie te z sortowni. Pyskowały, wygrażały, zawracały oczami, a w sklepie chleba sprzedać nie chciała uczciwego. Gdzie jest ten chleb?

Basia pokazała chleb. Był mokry i powalany błotem. Upadł na ziemię i ludzie znaleźli go pod bramą. Patrzyli wszyscy na ten chleb. W izbie zalegała cisza. Wreszcie z zaciśniętych ust Golonki wydobyło się coś w rodzaju przekleństwa. Przez izbę przeleciał szmer oburzenia. Lekarz napisał receptę i kazał wszystkim wyjść. Pozostała tylko Tylowa, która posłała dzieciom łóżko nakazując spać.

— Ide do swoich dzieci — rzekła na progu — przyjde jeszcze.

Gertruda pozostała sama. Szum w głowie przeszkadzał jej w słuchaniu, czy dzieci już zasnęły. Ból nie pozwalał wstać i sprawdzić, jak sąsiadka posłała łóżko dzieciom i czy będą mogły wygodnie spać. Dom powoli zasypiał i cichł. Gdy przyszła Tylowa, Gertruda kazała jej zgasić światło i odejść.

— Nie trza mi nic — powiedziała do niej.

Patrzyła w ciemność. W głowie huczało i szum ten zamieniał się coraz bardziej w znany szczęk rynny.

5

Gdy Gertruda przyszła po dwu dniach do pracy, miała jeszcze pod chustką bandaż. Mijając bramę kopalni, odczuła inne odnoszenie się ludzi do niej. Górnicy pozdrawiali ją zdejmując czapki, a gdy u wejścia do cechowni zrobił się chwilowy ścisk, ustępowali jej miejsca.

— Przepuść tam „chlompie“, nie widzisz to?....

W sortowni koleżanki witały ją serdecznie. Otoczyły ją z wszystkich stron, pytając o ranę. W ich szorstkich głosach odczuła sympatię. Najstarsza, Poloczkowa, trzymając ją za ramię, zapewniała, że one zawsze „miały się ku niej“.

— A kto cie tak „piznął“ kamieniem, żeby mu ręka uschła, aże uschła!...

Rynna jeszcze stała nieruchoma i wszystkie czekały wyraźnie na lekcję nowego sposobu pracy. Gwarzyły starając się swym głosom nadać jak najbardziej łagodny ton. Opowiedziały jej, że było zebranie, na którym sekretarz wyjaśnił im wszystko, że to dla ich dobra, że więcej zarobią i premie będą, że potem w rezolucji potępiły sprawcę uderzenia Gertrudy i godziły się pracować według nowej metody. Narzekały na głupotę ludzką.

Gertruda słuchała tego wszystkiego z radością i pomyślała sobie, że nie żałuje bólu, którym trzeba było opłacić tryumf. W pewnej chwili przypomniała sobie Magdę i rozejrzała się ukradkiem wokoło. Stała tam daleko przy rynnie, schylona ku ziemi, jakby poprawiając trzewiki. Obok niej Weronka, wpatrzona ponuro w ziemię. — To one — pomyślała. Po ich minach znać, że jest im na pewno przykro, więc trzeba dać im spokój. Niech je sumienie gryzie.

Do sortowni wpadł sztygar Wiącek.

— A no, kobiety, szykować się trza, bo już idą. Komisja idzie! — wołał. — Ustawcie sie i zaraz rynna pójdzie w ruch...

Gertruda ustawiła je inaczej, w rzadszych odstępach i zawołała:

— Ja wam pokażę, jak się to robi! Dziś nasz egzamin! Ja stanę tu na samym początku rynny, a wy tak się rozstawcie jak ostatnio. Tylko nie zapominajcie: dwie ręce naraz pracują. Patrzcie na mnie i róbcie to samo! Na tamtym końcu staną Magda i Weronka i one mają uważać, aby już ani jeden kamień nie poszedł do wagonów!

Weszła komisja. Zawiadowca patrzył na zegarek, a wszyscy przybyli czekali. Rynna zaszczękała i ruszyła. Popłynęła fala węgla wśród huku maszyny i ruchu rąk kobiecych. Błyszczące bryły podskakiwały, przelewały się jedna poprzez drugą, nieprzerwanie, coraz ich więcej i więcej, coraz szybciej i szybciej, niby górska rzeka, spieniona i niecierpliwa. Wśród tych brył węgielnych pracowały ręce kobiet. Zanurzały się w czarnej fali zaciekle, nieustannie, jakby chciały wydrzeć jej coś drogocennego a zarazem broniącego się z wszystkich swoich sił. Ręce Gertrudy dokazywały dziś cudów zręczności. W czarnej hali, w czarnym powietrzu błyskały jak miecze wśród bitwy. Jej biały bandaż olśniewał niby błyskawica na czarnym

niebie. Tam na dole zwalają teraz całe góry węgla, który leci w chmurze czarnego pyłu rynnami do wózków. Wózki jadą długimi kolejami do skipu [2], który mknie w górę. Węgiel, węgiel leci wściekłą falą, broniącą się przed rękami kobiet. Rynna dygoce w takt śląskiej piosenki, której coraz uporczywszy i głośniejszy refren wystukuje twarde: więcej, więcej, lepiej, lepiej!... A Gertruda coraz radośniejsza, coraz mocniejsza w tryumfalnym cudzie swoich rąk, drobnych kobiecych rąk. Zaczyna śpiewać głośno ustami szeroko otwartymi i oczami, które nabrały stalowozielonego koloru. Kobiety podchwyciły melodię. Nigdy jeszcze, od kiedy kopalnia istniała, nigdy tu nie było słychać żadnego głosu oprócz ponurego szczękania windy i beznadziejnego dudnienia rynny. Panował tu dotychczas ciężki wysiłek i rozpacz, nienawiść i smutek. Tu rynna dyszała cmentarnym oddechem śmierci, która unosiła się nad kopalnią i nad ulicą Lompy. Buchnęło teraz jakby świeżym powietrzem. Jakby promień słońca zalał sortownię. Rozbrzmiała piosenka śląska, której rytm powstał wszak od obrotu koła wyciągowego na wysokiej wieży, od stukotu maszyn, wybuchów wystrzałów górniczych, od śmigania kilofów i łopat hajerów i rytmicznego oddechu rynny węglowej. — „Szła dzieweczka do laseczka do zielonego ho ho, do zielonego ho ho, do zielonego ho ho"... Ręce wbijały się zaciekle w spienioną falę węgla. Prędzej, lepiej, prędzej, lepiej!... Oto radość pracy, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała sortownia!

Członkowie komisji patrzyli i słuchali jak urzeczeni. Młody inżynier przytupywał nogą i usta złożył do gwizdania, dyrektor patrzył uważnie na rynnę, jakby przysłuchując się echu pieśni. Zawiadowca spoglądał wciąż na zegarek, sztygar uśmiechał się, a sekretarz gładził wąsa. Potem odeszli żywo rozmawiając.

— No co, lepiej teraz? — spytała Gertruda.

— Lepiej! — krzyknęły chórem kobiety.

Po szychcie wracały razem zbitą gromadą wesoło rozmawiając i dowcipkując. W bramie pożegnały się z Gertrudą machając jej rękami.

— Jutro będzie węgiel czysty — krzyknęła za nimi — jeszcze jutro wprawimy się lepiej.

— Dobra!

---

[2] Skip — winda podająca węgiel do sortowni.

Gertruda wbiegła zdyszana do izby. Podobna była do swoich dzieci, w chwili gdy wpadają ze szkoły. Chciało się jej śmiać jak Basi nie wiadomo z czego. Nuciła pod nosem, krzątając się koło kolacji. Dzieci pisały zadania domowe i czekały na posiłek. Jak się udała główna próba sprawności? Gertruda była bardzo ciekawa. Czy się uda? Na pewno dobrze. Jutro dowie się, czy węgiel był oczyszczony z kamieni.

Na drugi dzień nikt nie powiedział nic o wyniku. Wiącka nie było. A przecież wynik musi być!

— Skontrolujcie w wagonach, czy będzie choć jeden kawałek kamienia na cały wagon — mówiła wczoraj z zapałem. — Dam całą swoją wypłatę, jak znajdziecie kamień. — Zgodzili się, a najwięcej zadowolony był Wiącek, który zacierał ręce i podreptał za komisją, która poszła do wagonów. Tam mieli sprawdzić wyniki pracy sortowni według metody Gertrudy.

Dziś pracowały znowu śpiewając. Gertruda była niespokojna. Nic nie wskazywało na to, że jej metoda jest dobra. Upływała godzina za godziną, a o wyniku nic nie było wiadomo. Wreszcie w przerwie południowej wybiegła na dziedziniec, szukając sztygara. Gdy go dopadła, unikał wyraźnej odpowiedzi i miał twarz zachmurzoną.

— E tam, to trza porachować po inżyniersku — rzekł niechętnie — to tak na babski rozum za trudne.

— Co się stało? — nalegała Gertruda. — Mówcie, jak było? Mówcie, no!

— Kamienia było może trocha mniej, ale było dość — odpowiedział sztygar.

— To niemożliwe, ja wiem, że nie było. Coś kręcicie!

— Nic ta nie kręcę. Komisja była i zbadali. Coś to nie gra tak jakby powinno grać. Coś w tym jest...

Słowa sztygara uderzyły ją mocniej niż tamte kamienie, po których jeszcze nosiła bandaż. Znowu tak dziwnie w głowie zaczęło jej szumieć. Jak to, co się stało? Dlaczego węgiel nie oczyszczony? Przecież pouczyła koleżanki w tej bardzo prostej robocie i przynajmniej jej ręce nie przepuściły ani jednego kamienia. Inne na pewno też. Jak to się mogło stać? Pytania nurtowały ją do tego stopnia, że straciła ochotę do dalszej pracy.

— Coś tak posmutniała? — pytała ją Poloczkowa. — Robota ci nie idzie.

— A nie idzie, bo wszystko na nic — odpowiedziała jej Gertruda — na nic wszystko, węgiel nie oczyszczony. Pełno kamieni.

— Ni może to być! — oburzyła się Poloczkowa. — Przeca robiemy uczciwie.

Wszystkie były oburzone i podniecone. Przecież uważały i przez tyle rąk nie mogło przejść żadne oszukaństwo. To niemożliwe, w tym coś jest. Może komisja nie umiała patrzeć. Może popatrzyli na pierwsze rzuty węgla i poszli sobie nie czekając na dalsze rezultaty. Kiwały głowami i gestykulowały. Gertruda poszła po pracy prosto do Wygody. Miał wolny dzień i znalazła go w mieszkaniu. Siedział przy stole i pisał. W sąsiedniej kuchni jego żona krzątała się przy statkach. Podniósł głowę znad papierów i zaprosił, aby usiadła. Gertruda zapytała jeszcze raz o rezultaty badania węgla. Wzruszył ramionami i odpowiedział wprost, że było trochę kamieni w węglu, ale niech się tym nie zraża.

— Nic sobie, znaczy się, nie róbcie z tego — mówił — róbcie swoje, i teraz patrzcie, jak robić i utrzymać się w tempie roboty.

— To niemożliwe — krzyknęła głośno — ja wiem, że niemożliwe. Tu coś jest innego, ja wiem dobrze, że żadne buły tu nie mogą być. Dobrze sobie nad tym głowę nasuszyłam. Nie darmo mi ją rozbili! Radźcie, co w tym może być.

Wygoda słuchał uważnie. Miał dużo pisaniny, która dla jego ciężkiej ręki nie była łatwa. Wierzył w dobre chęci kobiety, ale z drugiej strony wierzył komisji, zresztą sam był przy tym. Widział na własne oczy kamienie w węglu. Bębnił swoim zwyczajem palcem po stole. Potem odezwał się:

— Wiem, wiem, że macie rację, ale, widzicie, w tym coś jest. Ale co? My nad tym myślimy i was do tego myślenia zaprosimy, a jakże. Wiem, że i z tym się uporamy. Idźcie do domu, spokojnie, spokojnie, a wszystkiemu damy razem radę. No, dobranoc, bo widzicie, mam robotę pilną z tym pisaniem.

Odeszła zamyślona.

6

Trapiła ją ta sprawa, a trapiła tym bardziej, że inne kłopoty zwaliły się na jej obandażowaną głowę. Karliczek zachorował. Kichał i kaszlał, a lekarz kazał mu leżeć w łóżku. Dwa wielkie zmartwienia trawiły ją na przemian. To synowi trzeba

się poświęcić, pielęgnować, podawać lekarstwa, to znów tamta sprawa nie mogła być odłożona. Gertruda wychudła i jej oczy zapadły się jeszcze bardziej. Na dobitek w sortowni znowu zaczęły się szemrania. Oto pewna grupa koleżanek zaczęła drwić z niej i z jej pomysłów racjonalizatorskich. To była grupa młodszych dziewcząt, w której rej wodziła Magda.

— Nie udało się, co? — rzucała głośno, niby do swoich koleżanek — Nie udało się ani tu, ani gdzie indziej. Ja i tak wyjdę za Froncka. Po co mu wdów. Froncek mój!

Na to ostatnie słowo położyła nacisk. Potem rzuciła ordynarny dowcip, z którego tamte śmiały się głośno. Inne kobiety, a była ich większość, stawały w jej obronie i oburzały się na „te dziołchy pierónskie"... Magda trafiła jednak celnie. Gertruda w codziennych troskach zapomniała o Froncku. Ten młody człowiek o czarnej czuprynie był główną osobą w tej sprawie. To on intryguje na zimno, z wyrachowaniem, to on wraz z Janiczkiem stara się mieszać szyki w jej pracy i w pracy całej kopalni. Kopalni, w której zginął Jakub po to, aby lepiej było i jej, i wszystkim. Lecz ci dwaj nie chcą tego i przeszkadzają. Gertruda znienawidziła go całym sercem i na myśl o nim usta jej się zaciskały. Znienawidziła go jeszcze i za to, że mógł się jej podobać. Jej, wdowie po Jakubie! „Królu węgla" i członku partii! że śmiał się zalecać do niej i trzymać jej rękę. Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Jak ona mogła? Czy oślepła?

Te pytania nurtowały ją nieustannie i wszystko to odbiło się na jej twarzy. Widziała to stara Poloczkowa, która zagadywała ją, pomagała w pracy i gdyby nie zamyślenie, Gertruda zauważyłaby to przymilanie się. Wreszcie jednego dnia Poloczkowa wzięła ją na bok i starając się mówić najciszej, rzekła do niej:

— Coś ci powiem. Przebocys mi, żech ci wprzódy nie powiedziała? Przebocys?

— Przeboce.

— To ci aże powiem, że ony wrzucały kamień do rynny.

— Które, kiedy? — pytała Gertruda jak obuchem rażona.

— A no te: Magda i Weronka. Do oczyszczonego węgla rzucały kamienie i komisja wtedy nie szła zbadać.

— To tak, to tak! Teraz wszystko rozumiem — wyszeptała zbielałymi wargami.

— Nie gadoj tak głośno, bo tamte usłyszą — mówiła Poloczkowa rozglądając się na wszystkie strony.

— Kogo sie boicie? — krzyknęła Gertruda. — To jo wom pokaża, że ja sie nie boja. To jo wam pokaża!

Poloczkowa odciągnęła ją z powrotem do rynny i szepnęła, żeby dobrze patrzyła na nie i schwytała je na gorącym uczynku. Gertruda ochłonęła, starając się opanować roztrzęsione ręce. Zamglone oczy zaczęły patrzeć z napięciem w stronę tamtych dziewcząt. Trudno było coś zobaczyć, gdyż oczy musiały być zwrócone na rynnę. Postanowiła zrezygnować z wyławiania kamieni i tylko patrzeć. Udawała więc, że robi swoje. Tamte pracowały normalnie, lecz w pewnej chwili Gertruda zauważyła jeden podejrzany ruch, potem drugi i trzeci. Zamiast wyrzucać kamienie, odwracały się i chwytając szybko obiema rękami kamienie ze stosu poza sobą, wrzucały je do rynny. Teraz tylko opanować się i czekać. Czekać na jeden z takich ruchów i... skoczyć. Gertruda skoczyła. W dużych susach dopadła Magdy i schwyciła ją za rękę. W ręce był duży kawał kamienia.

— Tuś mi, chacharo, tuś mi gizdyjo — krzyknęła na cały głos. — To ty kamienie dorzucasz. To ty tak robisz, poczkaj, dam ja ci, aże dam!

Magda w pierwszej chwili zdrętwiała. Trzymała kamień w ręce i patrzyła na Gertrudę nieprzytomnie. Gdy usłyszała wyzwiska, stopniowo twarz jej z bladej zrobiła się czerwona, a oczy błysnęły nienawiścią.

— Puść mie — krzyknęła jeszcze głośniej. — Co mi zrobisz, ty wyścigówko! Puść mie, bo ci tym kamieniem dołoże. Pieróna, do inżynierów chodzi, chłopów innym zabiera, nowe mody w robocie zaprowadza, żeby sie przychlebić, na innych biede tylko sprowadza. Chłopa mi zabrałaś. Mało masz tego łysego inziniera?

— Jakiego chłopa ci zabrałam?

— Froncka. Co, nie widziałażech was razem? Co, nie gadoł mi, że mu przajesz?

— Ja mu przaje, germanowi?! To ty z tym „herenfolkiem" chodzisz i szkode robisz. Myślisz, że mnie szkode robisz. To całemu państwu polskiemu robisz.

Stały naprzeciw siebie zaperzone, wymachując rękami. W pewnej chwili Magda zamierzyła się trzymanym w ręku kamieniem. Inne kobiety chwyciły ją za ręce i trzymały z całych sił. Wyrywała się, syczała i pluła. Na to wpadł sztygar Wiącek z krzykiem i piorunowaniem. Rozdzielił wszystkie.

a Magdę chwycił za ramię i odprowadził na swoje miejsce. Odeszła wygrażając, że pokaże jej za bramą kopalni. Ręce zanurzyły się znowu w rynnie. Ręce pracowały pilnie, jakby chcąc zagłuszyć napięcie, które zapanowało na hali. Napięcie rosło w miarę zbliżania się końca szychty i kiedy przyszła druga zmiana, gwar się zrobił nieopisany. Kobiety wymachiwały rękami, krzyczały, że nie dadzą Gertrudy.

— Nie wychodź teroz — doradzały.

Potem otoczyły ją zbitą gromadą i szły ku bramie, wysyłając dwie na zwiady. Tamte dwie zmobilizowały chłopaków, którzy pobiegli jeszcze dalej. Wkrótce chłopcy przybiegli z wieścią, że Magda jest i czeka pod bramą domu Gertrudy. Jest z nią Weronka i Angela. Zebrał się duży tłum kobiet i dzieci. Tłum szedł ulicą, na której wszystkie okna zapełniły się szczelnie ludzkimi twarzami. Gertruda szła w środku podziwiana przez małych chłopców, którzy nie spuszczali z niej oczu. Tam pod bramą rzeczywiście stoją. Ręce oparte na biodrach wyzywająco, Magda trzyma w dłoni perlik. Kobiety usiłują zasłonić Gertrudę, lecz ta odpycha wszystkie i idzie prosto w stronę Magdy. Głowę trzyma wysoko wzniesioną. Zbliżają się do siebie. Do matki dopada Baśka i obejmuje ją.

— List przyszoł — mówi Baśka — list przyszoł.

Gertruda podeszła całkiem blisko do Magdy i rzekła z naciskiem:

— Zanim mnie zabijesz, chodź do mnie, to ci coś pokaża. A wy wszystkie idźcie do domu.

Magda namyślała się przez chwilę, mruknęła pod nosem i zgodziła się. Weszły do izby. Gertruda rozdarła kopertę listu podanego jej przez Baśkę i zaczęła czytać. Na wstępie były słowa pozdrowienia i wiadomość, że Antoni już wyzdrowiał, a dalej informacje o tych dwóch: „...Był taki jeden karlus, Jan Gawlik w Rudzie, piegowaty, ryżowaty i beł on standartefirerem w hitlerjugend, ale potem o nim wszelkie wieści zaginęły. Co zaś do tego drania Froncka, to był taki czarny jak diobeł i był esmanem gdziesi w Rosyji, miał dobre postympy i ajzerny krojc. Jak to so ony, to wyciepcie ich, a dajcie znać na posterunek“...

Magda stała na środku izby i czekała. List czytany przez Gertrudę zrobił na niej duże wrażenie. Zawziętość znikała z jej

twarzy, ustępując miejsca ciekawości. Trzymany w ręce młotek schowała poza siebie. Gertruda podała jej list.

— Mosz, to se poczytaj — rzekła do niej łagodnie.

Magda wzruszyła ramionami, lecz po namyśle wzięła list.

— Czytaj tu — Gertruda wskazała jej ustęp, dotyczący Froncka.

Magdzie źle było czytać z ręką zajętą, więc odłożyła młotek i wpatrzyła się w arkusz papieru.

— To o Froncku — rzekła zdumiona.

Potem, jakby nie wierząc własnym oczom, przybliżyła papier do oczu i przeczytała ponownie. Następnie opuściła rękę z listem i pochyliła głowę.

— Teraz już wisz, kto to jest Froncek — rzekła do niej Gertruda. — Teraz już wisz, przez kogo chciałaś mnie zabić. No, weź ten perlik i zabij mnie.

— Nie wiedziałażech — wykrztusiła Magda.

Zaczęły się wzajemne wyjaśnienia. Magda przyznała się do rzucenia na Gertrudę kamieniem, ale to wszystko przez niego, gdyż ją wtedy upił, i przez Weronkę, która opowiadała jeszcze gorsze historie o Gertrudzie i Froncku. Janik chodził z Weronką i ją trzeba wypytać. Wtedy można będzie wiele wyjaśnić. Trzeba przywołać Weronkę. Magda ofiarowała się ją przyprowadzić. Wybiegła i po kwadransie przyszła z Weronką, która była zdziwiona tym zebraniem. Jej czarne oczy latały po nich z ciekawością. Gertruda opowiedziała jej wszystko o dwóch kamratach i pokazała jej list. Weronka nie mogła się zorientować z początku, o co chodzi.

— No dobra, był w Hitlerjugend, ale co od niego chcecie? Co chcecie od Janiczka?

— Bo to wszystko przez niego — przerwała jej gwałtownie Magda. — To on nas poróżnił, judził jedną na drugą. To on gadał, że Gertruda przypochlebia się dyrekcji i partii, że chce się wywyższyć, żeby inne robiły, a ona zarabiała pieniądze. To on gadał, że będą mniejsze zarobki, a większa robota na dwanaście godzin. Do niej gadał, że chce się z nią zapoznać i że ja dla niego nic, a do mnie gadoł, że tylko ja i ja, a ona się jego czepia i wszystko obiecuje, żeby mnie tylko porzucił. To on mi kazał rzucać kamienie do rynny. To twój Janik odgrażał się, że już niedługo, a bydzie wojna i oni dwaj byda coś znaczyć na kopalni...

— Bo on jest maszynistą — przerwała teraz Magdzie z kolei Weronka — on jest maszynistą, a musi łopatą robić.

— Dlaczego musi łopatą robić, jak jest maszynistą — spytała Gertruda.

— Bo papiery zgubił.

— E, co tam papiery — zaprzeczyła Gertruda. — I bez papierów może pokazać, że jest maszynistą. Raz mówi, że jest maszynistą, drugi raz, że mechanikiem.

Zaczęły obie na przemian przekonywać ją, że jej Janiczek nie taki znowu dobry jakby się to zdawało. Że nie jest żadnym mechanikiem, bo już dawno by to udowodnił, jakiś egzamin zdał. Że za innymi dziewczętami biega. Że jest Niemcem, zdrajcą i wrogiem.

Weronka na wszystkie ich argumenty odpowiadała stale:

— Jest maszynistą, jest maszynistą i już...

Lecz przy argumencie o dziewczętach zawahała się. Przez chwilę w izbie panowała cisza, wreszcie Weronka spytała dziwnie twardym głosem:

— Z którymi dziołchami?

— To nie wiesz? To z Geną, to z Angelą.

— Z którą Angelą?

— Z Rzepkówną.

W czarnych oczach Weronki zamigotały błyskawice.

— Już ja mu dom Angele, jo mu pokaża — wycedziła śląskim akcentem.

Zerwała się chcąc lecieć i oczy mu wydrapać. Zatrzymały ją przemocą i kiedy ochłonęła, zapytała podejrzliwie:

— A może go chcecie tylko tak oczernić?

— Sama wisz.

— Wim.

To ostatnie słowo powiedziała cicho, a po chwili zaczęła mówić, że oni obaj intrygują nie tylko wśród kobiet, ale i wśród mężczyzn. To oni wyśmiewają przodowników pracy, to oni dogadują gdzie się da, buntują, narzekają i dają do zrozumienia, że już niedługo. Że tak nie będzie, że przyjdzie Ameryka i wtedy zarobki będą wysokie, że namawiają się zawsze w szynku i coś knują, ale nie wiadomo co.

— Ale co, ale co?...

— Nie wim, ale namawiają — twierdziła Weronka. — Może znowu kogo namówić do czegoś złego.

Zastanawiały się nad tą sprawą, roztrząsały ją na wszystkie strony. Dwaj kamraci byli analizowani w najdrobniejszych szczegółach. Przypominały sobie ich zachowanie, ich pochodzenie. Przecież nie wiadomo, co za jedni? Niby swoi, po śląsku gadają, a nikt ich nie zna. Jednego razu, gdy się za bardzo upili, to wtedy wykrzykiwali po niemiecku, to ich wtedy w szynku o mało nie zabili. Nie wiadomo, może szpiedzy. W tym miejscu rozmowy Gertrudę oblał rumieniec. Może zawiadomić milicję, może pójść zaraz do sekretarza partii, bo to kopalnię mogą podpalić albo w powietrze wysadzić. Twarze trzech kobiet zaogniły się, oczy rozbłysły, ale w rezultacie nie postanowiły nic konkretnego. Ich energia rozpłynęła się w gadaniu, gadaniu, które stopniowo przeszło w pogwarkę na inne tematy. Gertruda opowiedziała o swoim Karliczku. Że było z nim już bardzo źle i była chwila, że chyba się pożegnać z nim i pogrzebać w mogiłce. Potem było lepiej, a teraz już dobrze.

— Zrobił się taki chudy, że serce się ściska na jego widok — mówiła z przejęciem.

Dziewczęta przytakiwały. Magda nieznacznym ruchem schowała młotek pod płaszcz.

— A ja pójda na posterunek — rzekła twardo.

7

Ulica Lompy zaroiła się tego wieczoru sylwestrowego. Z wszystkich domów wychodzili ludzie odświętnie ubrani: mężczyźni, kobiety, dzieci. Z świetlicy wyszła orkiestra górnicza w czarnych mundurach i czerwonych pióropuszach. Zatrzęsły się domy od ryku trąb i bicia bębnów. Orkiestra weszła raźnym krokiem w bramę kopalni, a za nią zbity tłum ludzki. Niebo było czarne i noc zapowiadała się wyjątkowo ciemna, zwłaszcza że śniegu nie było. Latarnie na ulicy rzucały skąpe światła, tak że idący ludzie nawoływali się głośno.

Gertruda wiodła za rękę Basię i oglądała się za Karlikiem, który pozostał w tyle. Złościł ją ten chłopak nieustannie, ot i teraz gdzieś się zawieruszył. Chciała już wołać na cały głos za przykładem innych, gdy nadbiegł zdyszany.

— Nie leć tak, bo znowu do łóżka pójdziesz — krzyknęła chwytając go za rękę.

Teraz szli razem szybkim krokiem, a tuż przed nimi kobieca postać w szerokiej spódnicy śląskiej. Czy to nie Poloczko-

wa? Gertruda zrównała się z idącą i zajrzawszy jej pod chustkę, stwierdziła, że to naprawdę Poloczkowa.

— Toście się wystroili — rzuciła jej na powitanie.

— Ano święto dziś nasze — odpowiedziała Poloczkowa. — Czy aby sie nie spóźnimy?...

Gertruda uspokoiła ją, że takie uroczystości nie zaczynają się punktualnie jak rozpoczęcie szychty, że się im jeszcze dość znudzi, zanim się to wszystko zacznie. W bramie i na dziedzińcu kopalnianym zmieszały się z gęstym tłumem i razem z nim weszły do rzęsiście oświetlonej cechowni. Ustawiono tu rzędy krzeseł i ławek, a tam podium, na nim długi stół nakryty czerwonym suknem. Na ścianie nad stołem wisiały portrety prezydenta, premiera, a nad nimi transparent z napisem: „Przodownikom pracy cześć i chwała".

Panował tu gwar i trzask krzeseł. Ludzie sadowili się na nich i hala zapełniała się coraz szczelniej. Gertruda pociągnęła dzieci i zajęła pierwsze z brzegu wolne krzesła, robiąc miejsce Poloczkowej. Niedługo siedziały spokojnie, gdyż coraz większa ciżba ludzka zapełniała halę i baby cisnęły się do krzeseł. Dzieci musiały ustąpić miejsca dwom starym kobietom, które mruczały, że „takie dziecka mogą stać". Gertruda ledwo się powstrzymała od ciętej odpowiedzi, mając na języku: „takie baby mogą za piecem spać". Rozkazała dzieciom ustąpić, Baśkę wzięła na kolana, a chłopak tymczasem wysunął się i zniknął w tłumie. Gertruda była coraz bardziej zła. Przez te baby, które rozparły się w swoich szerokich spódnicach, musi teraz oczy wypatrywać za Karlikiem. O, jest tam, na przodzie, tuż przy podium i kuksa się z chłopakami. Wstyd tylko przynosi matce w takim uroczystym dniu. Tak się zapatrzyła, że nie zauważyła wejścia na podium przewodniczącego rady zakładowej Ślimoka, który czekał długą chwilę na uciszenie się. Gdy gwar zcichł, zaczął mówić, że otwiera dzisiejszą uroczystość zakończenia wyników pracy i wykonania planu. Mówił niewyraźnie i cicho, tak że nie było go słychać. Gertruda tak się zapatrzyła na swego Karliczka, że nie słuchała dalszych słów Ślimoka. Syn stał w gromadce chłopców i gapił się na mówcę. Żeby tylko nie zaczął znowu dokazywać! Żeby spojrzał w jej stronę, dałaby mu znak, żeby przyszedł tu. Przewodniczący wywoływał teraz nazwiska osób zaproszonych do prezydium. Po każdym nazwisku ludzie klaskali w dłonie, mocniej lub słabiej. Nagle wydało się jej, że wy-

mienił jej nazwisko, po którym zerwała się burza oklasków. Rozejrzała się przestraszona i chwyciła Poloczkową za ramię.

— Co sie stało? co sie...

Poloczkowa popchnęła ją.

— Już ta idźcie tam, no idźcie — popychała ją coraz natarczywiej.

— Gdzie mam iść?

— Już ta idźcie i nie pytajcie.

Wypychała ją siłą. Gertruda zerwała się nie wiedząc, co robić. Już ciągnęły ją za rękę babki, z którymi przed chwilą miała ochotę się pokłócić. Ktoś z przodu siedzący dawał jej znaki ręką, żeby już szła tam, no tam, do stołu. Chciała porwać z sobą Baśkę, lecz Poloczkowa zatrzymała ją.

— Już ta idźcie, ja tu bede pilnować... — szepnęła jej prawie do ucha.

Gertruda spłonęła rumieńcem i wyszła z krzeseł. Szła krokiem niepewnym, miała jeszcze ochotę chwycić Karliczka, lecz już przewodniczący dawał jej znaki. Inni, którzy już siedzieli za stołem, także uśmiechali się zapraszająco. Zrobili jej miejsce tuż obok dyrektora, który podsuwał jej usłużnie krzesło. Usiadła patrząc nieprzytomnie na morze głów, które w pewnej chwili zdało się jakby jedną plamą. Stopniowo wracała do przytomności, słuchając teraz sprawozdania dyrektora, który stał obok niej i mówił bardzo głośno. Jego słowa odbijały się w hali echem. Mówił o trudnościach kopalni w tym pierwszym eksperymencie walki o wydajność. Wymieniał cyfry wydobytego węgla dawniej a teraz, braki w wyposażeniu kopalni, trudności w zorganizowaniu systemu pracy, który jednak dzięki takim ludziom jak... wymieniał nazwiska tamtych, sypiących węgiel na dole, wymienił znowu jej nazwisko, powitane burzą oklasków. Gertruda była zdumiona. Cóż ona takiego zrobiła? Zwykła robotnica w zwykłej sortowni węgla, pracownica nic nie znacząca w porównaniu z innymi. Postanowiła zrozumieć i kiedy zabrał głos sekretarz partii, zaczęła słuchać uważnie. Może on coś powie o niej? Sekretarz, jak zwykle, mówił rąbanym głosem, wyraźnie i z naciskiem akcentując każde niemal słowo. Dziękował wszystkim za tak dobre wyniki pracy, mimo złych warunków.

— Osiągnęliśmy 107 procent wydajności pracy, a wszystko wskazywało na to, że nie osiągniemy nawet 80 procent — mó-

wił — bo to i wózki, i winda, i wagony kolejowe, nic jakoś nie grało razem. Co jedni urobili, drudzy utracili przez niezdarność i nieskoordynowaną pracę. Trzeba było opracować jakiś system i wzięli się do tego wszyscy, a między innymi ta oto kobieta — tu wskazał na Gertrudę — Gertruda Knot, córka górnika, wdowa po górniku, krew z krwi, kość z kości naszej, ta skromna robotnica na sortowni, zdawałoby się, nic nie znaczącym odcinku pracy. Ona przez swój zapał, swoje zrozumienie i troskę o całość naszej pracy, o wykonanie planu, ta oto skromna matka, mająca swoje zmartwienia i kłopoty, potrafiła jeszcze martwić się o naszą kopalnię. Pokazała nam, że wszyscy wspólnie i każdy z osobna powinni troszczyć się o swój dział pracy. Inżynier Gajdzik, nasz najmłodszy inżynier, syn górnika, zabrał się do obliczeń, stworzył system pracy i odtąd wszystko zaczęło grać jak w zegarku. Nie ma już zatorów wózków, rębacze na dole nie muszą czekać z wywózką węgla i nawet sortownia pracuje tak, że węgiel wychodzi czysty, bez kamieni, do wagonów kolejowych i węgiel z naszej kopalni pójdzie teraz za granicę!

Przy tych ostatnich słowach zerwała się burza oklasków. Dyrektor szepnął Gertrudzie do ucha, żeby wstała. Gertruda wstała i wtedy zdawało się, że hala się zawali od wrzawy ludzkiej i oklasków. Gertruda czuła, że policzki palą ją jak ogniem, a serce bije głośniej od wrzawy ludzkiej. Morze głów znowu zamieniło się w jedną rozmazaną plamę. Potem sekretarz mówił dalej i głowy ludzkie znowu przybrały swój kształt naturalny. W tym momencie Gertruda ujrzała Froncka i Janiczka. Drgnęła. Stali obaj pod tamtą ścianą, oparci o nią, szeptali coś do siebie i śmiali się. — Z czego tak się śmieją? Skąd się tu wzięli? Czyżby Magda zawiodła? Gdzie ona jest? Nie widać jej... Sekretarz mówił o zadanym Gertrudzie bólu, o jej uporze i zwalczaniu przeciwności, a tamci dwaj ciągle się śmiali. Sekretarz mówił teraz o innych ludziach kopalni, o ich pracy i trudnościach, a tamci się śmieją. Gertruda nie mogła oderwać od nich oczu. Zacisnęła zęby i odwróciła głowę, bo oto znowu wywołali jej nazwisko i już Ślimok wręczał jej kopertę grubo wypchaną, a ktoś inny duży pakiet. Ściskała wszystkim ręce, patrzyła, jak inni otrzymują premie. Potem przemawiali przodownicy i obdarowani. Dyrektor szeptał jej do ucha, żeby i ona coś powiedziała.

— Nie potrafie — odpowiedziała mu też szeptem — umarłabym...

Zachęcał ją jednak usilnie i zapewniał, że wszystko pójdzie dobrze. Gertruda rozejrzała się rozpaczliwie i ujrzała wchodzącą Magdę, która kiwnęła jej głową na znak, że zrobiła swoje. Gertruda powzięła nagłą decyzję.

— Dobrze, powiem — rzekła do dyrektora, który dał znak przewodniczącemu Ślimokowi.

— A tera głos ma towarzyszka Knotowa — oznajmił nawet trochę głośniej.

Burza oklasków. Wstała powoli i nie odrywając oczu od tamtych dwóch, zaczęła mówić:

— Dziękuję wszystkim za nagroda i za życzliwość. Ale mamy tu na kopalni wrogów. Znacie ich wszyscy. To nie o to, że przez nich mam głowe rozbito. To nie o to!... Powiem tylko jedno! Takich ludzi nam tu nie trza! Stawiam wniosek, żeby kamratów Franciszka Kochmana i Jana Gawlika z naszej kopalni wyciepać!...

Usiadła. Hala zatrzęsła się od krzyków, które, z początku pomieszane, zaczęły zamieniać się na jeden skandowany okrzyk:

— Wyciepać, wyciepać, wyciepać!...

Przewodniczący wstał i długo czekał na uspokojenie. Potem rzekł głośno:

— To nie jest formalne, bo to nie wiec, ale stawiam pod głosowanie wniosek towarzyszki Knotowej. Bo tak trza dla dobra wszystkich. Kto za jej wnioskiem, żeby Franciszka Kochmana i Jana Gawlika usunąć z kopalni, niech podniesie rękę.

Las rąk.

— Kto przeciw? Nikt. Kto się wstrzymuje? Nikt. Wniosek został przyjęty jednogłośnie. A więc „panowie" Kochman i Gawlik opuszczą salę.

Szli w śmiertelnej ciszy odprowadzani ponurymi spojrzeniami. Froncek uśmiechał się głupkowato i wyzywająco i wzruszał ramionami. Janik opuścił głowę i rzucał złe spojrzenia na wszystkie strony. Z początku szli powoli, potem coraz prędzej, a gdy dochodzili do drzwi, ruszyli prawie biegiem. Ciężkie wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Gertruda patrzała za Fronckiem. Miała oczy szeroko otwarte, lecz znowu nic nie widziała. Dopiero gdy drzwi trzasnęły,

drgnęła. Skurczone serce zaczęło bić normalnie, a z piersi wydobył się oddech ulgi.

Na hali zrobił się rumor i wszyscy wstawali z krzeseł.

— Idziemy do świetlicy na zabawę — rzekł do niej dyrektor. — Ja zapraszam się do pierwszego trojaka.

Gertruda uśmiechnęła się blado i oczy jej zbłękitniały.

— Siedem lat nie tańczyłam — powiedziała wesoło — ale dziś zatańczę. Ale weźcie jeszcze Magda. To dobra robotnica.

— Wezmę jeszcze Magdę.

ANNA KOWALSKA

APEL POKOJU

FRAGMENT POWIEŚCI Z ŻYCIA INWALIDÓW

Rozdział trzeci

— To będzie tu — powiedział ogrodnik wiozący rozsadki w koszu i jakieś kłącza podobne do zeschłych żmij.

— Wojtowice — zawołał konduktor.

Wysiadłam przed bramą zakładu. Szorstki marcowy wiatr zmiatał zeschłe liście i rzucał je na siatkę ogrodzenia. Miotnęło kurzem w twarz. Zazgrzytał piasek w zębach. Było coś zniechęcającego w pustce płaskich pól; tak mi się przynajmniej tego dnia wydawało.

Rozglądałam się bezradnie przed wielką bramą. A może nie tyle bezradnie, co niezdecydowanie. Prawie dziwiłam się swemu postanowieniu. Usłyszałam skądś, z wysoka, rozbawiony męski głos:

— Na lewo. Furta otwarta. Proszę tylko pchnąć.

Znalazłam się przed domkiem, półdozorcówką, półwarownią. Chłopak w granatowym mundurze, świadomy swego stanowiska, stał u góry schodów i czekał chwilę, nim zapytał, w jakiej sprawie i do kogo przychodzę. Gdy usłyszał nazwisko dyrektora Kaliny, zbiegł ze schodów i poprowadził mnie przez rozległy dziedziniec do parterowego budynku.

— Budynki są, jak pani widzi, elegancko odremontowane. Widziała pani latarnie przy bramie? Nie? To szkoda! Wieczorem to pięknie wygląda. I znaki zakładu są wymalowane. Jak się jedzie autobusem, to zawsze ktoś zapyta, co to za budynek. I dziwią się, dlaczego u inwalidów ma być tak ładnie. Przecież każdemu nie będę tłumaczył. Ale ludzie są dziwne. Pani z Warszawy?

Na prowincji Warszawa oznacza nie tyle miasto, co urzędy. Warszawa to komisje, inspekcje.

W dyrekcji powitał mnie wysoki, chudy mężczyzna o twardym, niebieskim spojrzeniu, ogorzały i siwy. Wyglądał na jakie sześćdziesiąt lat. Ledwo zaczęłam z nim rozmawiać, gdy zadzwonił telefon, weszła sekretarka z teczką papierów do podpisu, a potem raz po raz ktoś przybiegał: nowy lekarz przyjechał, trzeba zwrócić protezy, Raubiszko trzecią tokarkę naprawił.

Dyrektor Kalina za każdym nowym telefonem czy gościem robił bezradny ruch ręką, niby mnie przepraszając. Odsunęłam się od biurka i usiadłszy w kącie przy stoliku zaczęłam przeglądać dzienniki. Był też i „Przegląd Inwalidów".

Czytałam: „...najistotniejszy sens pomocy państwa dla inwalidów sprowadza się do zagadnienia produktywizacji. Produktywizacja jest wyrazem rewolucji na odcinku inwalidzkim i oznacza całkowitą rewizję stosunku do ludzi poszkodowanych na zdrowiu, oznacza perspektywę ponownego włączenia ich do procesów produkcji.

„To jest zasadnicza treść pomocy państwa dla inwalidów, pomocy trwałej i realnej, bazującej na planowej gospodarce narodowej. To nie fikcja pomocy, jaką darzyło inwalidów państwo kapitalistyczne. Polska Ludowa przeznacza na realną, istotną pomoc dla inwalidów olbrzymie środki".

Do pokoju weszło dwóch inwalidów w żołnierskich płaszczach. Wydało mi się, że już ich gdzieś widziałam. Odłożyłam pisma.

— Cóż wy tak? Wciąż jeszcze po wojskowemu? — żartobliwie zagadnął dyrektor biorąc od jednego z nich papiery.

— A to nie wolno? U nas w Polsce jak kto chce — odparł inwalida z udaną naiwnością. Niespokojnym, szybkim spojrzeniem zawadził o twarz dyrektora i przejechał się po obrazach na ścianach i wykresach. Duże, piwne oczy spoglądały spod ogromnych rzęs drwiąco i smutnie. Blada twarz inwalidy była piękna i odpychająca zarazem.

— Jak się nazywacie? — spytał dyrektor urzędowym tonem.

— Mazur, a to mój kolega Gawlik.

Gawlik przytaknął z błazeńską powagą.

— Słuchajcie, Mazur i Gawlik — zaczął Kalina patrząc znad dokumentów podanych przez inwalidów. — Przychodzicie tu, żeby się uczyć. Naciąganie ludzi na jarmarkach, żebranie po pociągach, burdy, pijatyki, to skończone. Rozumiecie?!

Mazur potrząsnął ondulowanymi włosami, które opadały mu aż na kołnierz, i zerknął na towarzysza, ziewającego dyskretnie.

— To niby my do fabryk mamy potem iść? To ktoś dowcipny wymyślił. To niby inwalidom nic się nie należy? Mamy być jak pierwsi lepsi? A za cóż my nogi potracili?! To dobrze mówić, jak się ma ręce i nogi.

Ogorzała twarz dyrektora pociemniała.

— Dostajecie rentę inwalidzką.

— Renta — zaśmiał się szyderczo Mazur. — Nam się nie renta, ale lekkie życie należy. Myśmy krew przelewali, nie za biurkiem siedzieli.

— Jesteście małoprocentowi inwalidzi, a hałasu robicie na cały kraj. Wszędzie was znają. A w Nowej Soli toście nie za ojczyznę krew przelewali, tylko spokojnym ludziom krew toczyli.

Mazur wydął policzki.

— Tak, tam mores przed nami mieli — przechwalał się. — Szanowali nas.

— Bali się was. Musicie dobrze nad sobą popracować, żeby was ludzie szanowali.

— To do szkółki na stare lata mamy iść?

— Samiście się zgłosili w województwie. Pamiętajcie tylko — rzekł dyrektor podnosząc się w krześle — to nie Nowa Sól.

Ktoś zapukał i wszedł. Był to młody blondyn o energicznej, bystrej twarzy.

— Właśnie miałem do was dzwonić, Sprenecki. Oto nasi nowi wychowankowie. A to wasz wychowawca — zwrócił się do nowoprzybyłych. — Idźcie do internatu.

Sprenecki popatrzył na dyrektora badawczo i z niedowierzaniem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zagryzł wargi.

— Zaznajomcie się, Sprenecki. Ja muszę załatwić nowego lekarza. Pokażcie pani świetlicę. Spotkamy się w stołówce.

Rozdział czwarty

Świetlica była obszerna, czysto utrzymana, ale czegoś w niej brakowało, co czyniłoby ją miłą. Pomyślałam, że świetlicami powinny się zajmować kobiety.

— Wieczorem odbędzie się pogadanka Koła Wolnej Myśli, urządzana przez zetempowców. Dobrze by było, gdyby pani wzięła w niej udział. Pozna pani naszych wychowanków — odezwał się Sprenecki.

Przeglądałam katalog biblioteki oraz kartotekę. Ciekawiło mnie, jakie książki są najbardziej czytane.

— Bibliotekarzem jest Królikowski, najstarszy nasz uczeń. Ma czterdzieści dwa lata. Bardzo ciekawy człowiek. Przyszedł jako półanalfabeta, a teraz pisze najlepsze wypracowania z polskiego. Nie spotkałem równej zaciętości w pracy. Jako najstarszy, jest przedstawicielem uczniów na radzie pedagogicznej. Z jego zdaniem wszyscy się liczymy. Wstaje do dnia i pisze pamiętnik. Namawiam go, aby, jak skończy, gdzieś go posłał. Co za życie! Powieść nie jest równie ciekawa. Zresztą sama pani osądzi. Nawet nie mogę powiedzieć, że jestem z niego dumny, bo on sam sobą pokierował. Zakład dał mu tylko szanse.

Rozległ się dzwonek na obiad; przeszliśmy do stołówki. Stoły przykryte były czystymi obrusami. Za oszklonym przepierzeniem lśniła się ogromna kuchnia.

— Nasza Siczkowa świetnie gotuje — mówił Sprenecki — dyrektor musiał oddalić dwie kucharki, nim wreszcie na tę trafił; jedna kradła, a druga była niechluj.

— Dzień dobry, Lusiu, co dzisiaj za zupa — powiedział do dziewczyny, która podeszła z wazą do stołu, przy którym siedzieliśmy.

— Barszczyk...

Lusia przyjrzała mi się uważnie i przysunęła koszyk z chlebem.

Inwalidzi sadowili się przy stołach. Było gwarno, chłopcy przy sąsiednim stole rozmawiali z ożywieniem.

— Teraz już się skończy głupia dłubanina, będziemy robić naprawdę — mówił jakiś długogłowy, blady chłopak.

— Co, naprawdę? — zapytał chłopak podobny do wiewiórki, o czarniutkich, okrągłych oczach. Nalał sobie po brzegi barszczu.

— Mróz, nie nabieraj na raz tyle; możesz przecież nabrać dwa razy — powiedział Sprenecki.

— Zagapiłem się, bo Sumin coś tu gada, że mamy w warsztatach już robić naprawdę.

— Będziemy robili jak we fabryce, na zbyt — rzekł Sprenecki.

— Fajno. Ja wolę robić coś, co się przyda.

— Mamy zamówienie na stelarze do nut i na metry murarskie.

Barszcz był wyborny. Nie przypominał smutnych zup stołówkowych, zalatujących kotłem.

— Prawda, że się nam Siczkowa udała? — powiedział Sprenecki, widząc, że dobieram. — Dyrektor dba o wszystko. Z początku chłopcy krzywili się na obrusy. Muszą uważać przy jedzeniu, żeby nie porozlewać, a wielu z nich jest bez ręki. Ale teraz się przyzwyczaili. To dla nich równie dobre ćwiczenie, jak każde inne.

Lusia obnosiła kaszę z gulaszem. Czyniła to zwinnie, z jakimś poważnym uśmiechem.

— To córka Siczkowej — szepnął Sprenecki. — Matka na krok jej od siebie nie puszcza. Straciła w czasie wojny dwoje dzieci i mówi, że tej od siebie nie puści. Lusia obiera kartofle i co tam trzeba do kuchni, no i podaje. Tyle że w niedzielę idzie z matką do kina. Siczkowa nie lubi kina, niedobrze widzi, ale idzie z determinacją, jak do dentysty. Ale nie wiem, czy to niedzielne kino wystarczy Lusi. Jest zdolna i w tajemnicy przed matką uczy się pisać na maszynie. Dyrektor chce z Siczkową pomówić. Szkoda dziewczyny do obierania kartofli. Lusia mogłaby w dyrekcji pracować jako maszynistka. Sekretarka ma za dużo roboty.

Coraz to ktoś nowy przychodził i przysiadał się do naszego stołu, tylko dyrektora nie było widać.

— Ach, on to ma dziś urwanie głowy. Pewnie do wieczora będzie bez obiadu — powiedział Sprenecki.

Popołudnie spędziłam przeglądając kolejne numery gazetki ściennej. W każdym znajdował się życiorys jednego z uczniów. Pisali o sobie rzeczowo, z epickim spokojem, była to jednak tylko wstydliwość wobec własnego nieszczęścia.

Tego wieczoru zebranie Koła Wolnej Myśli się nie odbyło. Nie spotkałam się również z dyrektorem — zajęty był pisaniem sprawozdania finansowego.

Wyrzucałam sobie, że nieporadnie jakoś zabieram się do mojej pracy i poznaję głównie literaturę przedmiotu, a nie lu-

dzi. Wychodziłam z sali bibliotecznej, gdy natknęłam się na Spreneckiego.

— No, kończymy, właśnie obchodzę internat. Ach, że też im się nie chce nigdy zamykać drzwi od pralni; smród bije na cały budynek. — Zatrzasnął drzwi, doszedł do końca korytarza i zawrócił. Stałam niezdecydowana, czy pożegnać się, czy też zaczekać i wyjść razem z wychowawcą.

Usłyszałam jakiś szmer. Sprenecki również usłyszał, bo przystanął.

— Naturalnie, wodociąg nie zakręcony.

Istotnie słychać było krople wody rozpryskujące się w muszli wodociągowej. Zakręcił kurek. Znowu doszedł nas szmer. Sprenecki zawołał:

— Kto to?

Nikt nie odpowiedział.

Staliśmy nasłuchując. Ktoś szlochał. Sprenecki wbiegł na schody. Na półpiętrze siedział chłopak z głową pochyloną nad kolanami. Dławił się od płaczu.

— Dlaczego tu siedzisz? — krzyknął surowo. — Wiesz, że nie wolno wychodzić o tej porze z sypialni.

— Kiedy nie mogę...

— Co ci jest? Choryś?

— Nie — rzekł trzęsąc się od płaczu i podnosząc opuchniętą twarz. — Tylko nie poradzę z rachunkami. I czemu to Pambóg mnie pokarał. Nie mogło to ojczymowi ręki odjąć?! Czemu zawsze co najgorsze na mnie.

— Nie gadaj głupstw, Szary. Będziesz się uczył jak inni, dasz radę.

— Ale! Te ułamki to nie dla mnie.

— Jutro pomówimy o ułamkach. A teraz chodź do łazienki, napij się wody i do łóżka.

Chłopak uczepił się żelaznych przęseł bariery.

— Nie pójdę. Śmieją się ze mnie — rozpłakał się na nowo.

Wychowawca założył ręce pod pachy Szarego i podniósł go.

— Dość tego. Przestań się trząść.

— Jakby nie ojczym, tobym w domu siedział.

— I co? Co by ci z tego siedzenia przyszło? — mówił Sprenecki prowadząc Szarego po schodach. — Zobaczysz, za parę miesięcy sam siebie nie poznasz.

— Kiedy ja miastowego życia nie lubię. Duszno i zwierząt nijakich nie ma. Na wsi chcę być.

— A czy ci kto zabroni? Pójdziesz na wieś.

— E tam. Nikt stąd na wieś nie idzie. Do fabryk tylko i do tych biur, gdzie kreślą. A ja ni do tego, ni do tego. I miasta są przez tę wojnę całkiem poroztrącane.

— Nie wszystkie miasta są zniszczone, a te, co są, to odbudowujemy. A zresztą, mówię ci, pójdziesz na wieś. No, nie trzęś się, bo już dość mam tych komedii. Taki chłop i jak dziecko.

— Nogi nie mam, ręki nie mam. Sierota jestem.

— Będziesz miał.

— Protezy? Nie każdy potrafi dać sobie radę.

— Widziałeś Ragonia?

— No przecie.

— Dwu rąk nie ma, a jak rysuje.

— On zdolny jest. Ja głupi.

— Nie jesteś głupi, tylko leń. Weź się do kupy. Takiś dobry jak i on.

— A na tę wieś to mnie poszlą? — spytał nieufnie, pociągając nosem.

— Powiedziałem ci już. Czy was kiedy okłamałem?

— No nie. Jak mnie pan wychowawca obiecał, że będę mógł do kóz chodzić, to dyrektor pozwolił.

— Widzisz. A teraz ja ci mówię. Nauczysz się ślusarki, pójdziesz na wieś do ośrodka maszynowego. Będziesz naprawiał maszyny.

— Kiedy ja wolę zwierzęta niż maszyny. Maszyna nic nie rozumie. Chodzi się koło niej, a ona nic o tym nie wie.

— Widzisz, toś w tym naprawdę głupi. Do maszyny także trzeba mieć czucie. Widziałeś, jak Raubiszko te spalone tokarki naprawił. Lepiej chodzą niż nowe.

— E, Raubiszko!!!

— No to co, że Raubiszko?

— On ta jak znachor, niepatrzący widzi. Maszyny go słuchają.

— I ciebie będą słuchały, jak przestaniesz nad sobą rozmyślać i labidzić.

Weszli na piętro. Słychać było toczącą się wodę. Po chwili doszedł mnie głos Spreneckiego.

— Słuchajcie, Sumin, jesteście odpowiedzialni za waszą czwórkę. Dlaczego pozwalasz Szaremu wałęsać się po budynku? Zostaw go, nie pomagaj. Szary sam sobie da radę. Dobranoc.

— Widzi pani — rzekł po chwili Sprenecki — nie z każdym tak łatwo jak z Królikowskim.

Dziedziniec zalany był światłem księżycowym. Sprenecki stał na progu z głową wzniesioną, wdychając świeże powietrze nocy. Na młodej, szlachetnej twarzy malowało się cierpienie.

— Raz po raz któryś się załamuje, traci wiarę we własne siły. Proszę sobie wyobrazić, że ten nieszczęsny chłopak przez dwa lata zamknięty był przez swego ojczyma w komórce. Za całe towarzystwo miał kozę. Gdyby nie sołtys, byłby na gruźlicę skończył. Pierwszego wieczoru nie śmiał się tu położyć na czystej pościeli. Schował prześcieradła i powłoczkę do szafy. Nowe materace wydały mu się aż nadto wspaniałym posłaniem. Koledzy wyśmiali go. Nie może im tego darować. Zeszłego roku mieliśmy kilku chłopaków równie zapóźnionych w rozwoju i z dna nędzy wiejskiej wyciągniętych; dzisiaj nie domyśliłaby się pani, że wyszli z takich warunków.

Rozdział piąty

Pierwszą osobą, na którą się natknęłam następnego ranka, był Raubiszko, ogromny, zamaszysty; dyszał energią i humorem.

— Zaraz, zaraz, gdzieśmy się widzieli? — wykrzyknął. — Na Pradze?

Przypomniałam mu naszą wędrówkę w nocy przez wał nad Sanem.

— No jakżeż! Oczywiście. Pamiętam, chociaż cośmy się widzieli? Tyle co nic! Ale mnie wystarczy na kogoś, choćby przy księżycu popatrzeć, a już go mam tu — stuknął się w czoło.

Zdziwiłam się, że jeszcze nie ma protezy i chodzi o kuli.

— Jeszcze tylko tysiąc sto piętnaście numerów przede mną. Pani wie, ilu inwalidów czeka na protezy?! Nie ma się o tym pojęcia. Ludzie widzą zburzone miasta, ale przeraziliby się, jakby poznali, co wojna porobiła z ludźmi. Przecież to setki tysięcy tego. Jak słyszę, że komuś marzy się wojna, to zawsze myślę, żeby go tak na estradzie posadzić, a przed nim, żeby maszerowali inwalidzi; niechby się im dobrze przypatrzył. Albo

złapać takiego faceta i dać na ochroniarza do kadłubków, wie pani, tych, którym tylko korpus został. — Potrząsał kędzierzawą, czarną czupryną, czerwony z przejęcia.

Skierowaliśmy się w stronę warsztatów, mieszczących się za budynkiem internatu. W oknie stołówki mignęła twarzyczka Lusi.

— Pani wie, że Michał tu jest? Jużeśmy się nie rozstali ani na jeden dzień. Złoty człowiek, ale żeby był łatwy, to nie powiem. Spieszył się on wtedy do tej swojej Poli, nie, Bronia jej było, ale jak zaszedł przed dom, gdzie mieszkała, coś się z nim takiego stało, żem poradzić nie mógł. Że to niby on bez rąk. „Niech dziewczyna myśli, żem umarł, będzie dla niej lepiej" — powiedział. Com się nagadał, natłumaczył! Gdzie tam, mur by ustąpił, ale nie mój Michał. Chciałem sam iść do niej, zobaczyć, co to za dziewczyna, ale mi zagroził, że go więcej na oczy nie ujrzę! Zaprowadziłem go do znajomych na Pradze. Kolejarz jeden, swój chłop i żonę ma pierwsza klasa. Dziewięć osób u nich się cisnęło, same sieroty. Pieniędzy było mało. Pawliszyna gotowała pierogi i wychodziła z garnkiem na plac. Pomagałem jej pierogi sprzedawać. A mój Michał nie miał nic lepszego do roboty, jak zapaść na tyfus. Nie wiem, czy to z tych wszów, bośmy po tej drodze zawszeni byli, czy to ze zgryzoty, ale długi czas Michał był jedną nogą na tamtym świecie. A potem, jak już ze szpitala wrócił, to mówię pani, ot odwróci się do ściany i ani nie zje, ani wypije, udaje, że nie słyszy. Już cierpliwość traciłem. Cały dzień między handlarkami się tłum po te parę groszy, a ten jak kawałek drewna.

Z początku bawił mnie targ na Pradze. Nie widziała go pani? Szkoda! Aż kipiało od towarów, jeśli to można towarem nazwać. Co się nie spaliło w Warszawie, to tam przywlekli: szmaty, porcelana, srebro, książki. Ciuchy z piwnic, i to nie tylko warszawskich, szmatki z paczek amerykańskich, wie pani, takie wąziutkie, długie sukienczyny w papuzich kolorach.

Potem sprzykrzyło mi się. Za woźnego zostałem, a Michał dźwignął się i składu futer w nocy pilnował. Niby było nam dobrze, że to człowiek nie całkiem na szmelc poszedł. Ale Michałowi stróżowanie nie mogło wystarczyć, to za mała filozofia dla niego. Różności my próbowali, chociaż jedna ręka na dwóch to niewiele. Ale pani wie, ja to nie biadolący. No i tu my zabrnęli. Markotno mi było iść do zakładu. Ja to jak kot — lubię chodzić

swoimi drogami, a tu z dyrektorem żartów nie ma; on lubi, żeby wszystko było akuratnie. Ale jakoś mi ten czas minął; jeszcze trochę, a na swoje pójdziemy.

— Dobrze tu o panu mówią.

— Czy ja wiem, co mówią, nie o mówienie chodzi. Jakem tu te kupy żelaza zobaczył... ale co, tego pani nie zrozumie. Taka spalona, pogruchotana tokarka to coś jak inwalida. Patrzę, ośka od korby przetrącona, to jak ramię, zamek na dole wyrwany, to niby nogi. Leży to ani sobie, ani komu niepotrzebne. Tom ją pomaluśku zaczął rychtować. To gorzka zabawa mieć za całą paradę lewą rękę, głuchą i tępą... A niech pani popatrzy na tę tokarkę — chodzi elegancko, jakby nie mańkut ją zrobił. Tę pierwszą maszynę, to bardzo lubię i chłopcy lubią przy niej być. Chłopaków tu majster pilnuje, ale powiem pani, że więcej oni ode mnie skorzystają niż od niego. Uroczysty jest, a ja myślę, że to dęty osioł.

Przez szeroko otwarte drzwi wchodzili powoli uczniowie w granatowych roboczych ubraniach. Przestawali się uśmiechać, gdy mnie dostrzegali przy Raubiszce; nie lubili obcych.

Rozdział szósty

Pięciu chłopaków zachorowało na grypę i leżało na sali chorych, po korytarzach niósł się kaszel i rozlegało się kichanie. Zachorował również Butrym, nauczyciel polskiego, zwany przez chłopców hrabią, bo nosił wyprasowane spodnie.

Sprenecki zaproponował mi, abym w zastępstwie Butryma poprowadziła pogadankę.

— Coś o nowej literaturze... to przecież nie sprawi pani trudności — przekonywał, uważając, że przemawianie jak pisanie przychodzi każdemu pisarzowi z łatwością o byle jakiej porze dnia i nocy.

W klasie przywitały mnie twarze blade, wydłużone od cierpienia. Nie po raz pierwszy mówiłam na ten temat i pewna byłam powodzenia, tym bardziej, że więcej niż kiedykolwiek zależało mi na tym, by pozyskać sobie słuchaczy.

Inwalidzi siedzieli nieruchomo, w milczeniu; czułam, że było ono wywołane nie zainteresowaniem, ale apatią. Używałam coraz dosadniejszych określeń, sięgnęłam do anegdot, które zawsze dotąd pobudzały audytorium do śmiechu. Ani jedna twarz

nie drgnęła. Wtedy dałam za wygraną i już nie dbając o słuchaczy, rozwijałam temat, pilnując jedynie, aby mówić jasno i do rzecznie.

Powoli zaczęłam rozróżniać twarze. Oto drobna, zachudzona twarz Szarego, o jasnych zielonkawych oczach. Głowa wciśnięta w ramiona, jakby się kulił przed uderzeniem. Patrzy na tablicę nie słuchając. Obok niego Sumin, najwyższy z wszystkich, wąska, długa twarz, żółte włosy, przytrzymane blaszanym grzebieniem, spojrzenie chmurne, nieruchome. Dalej oparty o parapet okna Mróz, spogląda spode łba, niechętnie. Gawlik i Mazur zabawiają się lusterkiem, rzucając od czasu do czasu złośliwe spojrzenia.

Z ulgą usłyszałam wreszcie dzwonek i zeszłam ze stopnia, pragnąc jak najprędzej oddalić się od miejsca swego niepowodzenia.

Wychodziłam na korytarz, kiedy dopadł mnie Królikowski.

— Chciałem o coś zapytać — dyszał astmatycznie, chwyciwszy moją spotniałą dłoń w swoje duże, szorstkie ręce.

— Dlaczego pan się nie odezwał, kiedy pytałam w klasie — odpowiedziałam niecierpliwie. Zaschło mi w gardle i chciałam napić się wody.

Królikowski popatrzył na mnie swymi wiele wiedzącymi oczami.

— Niech się pani nie przejmuje. Tu jest inaczej niż z innymi, trzeba więcej cierpliwości. A ja nie o literaturze — tłumaczył. — Chciałbym z panią porozmawiać, a teraz nie mogę, bo rysunki.

Umówiłam się z nim w świetlicy na popołudnie. Teraz pragnęłam tylko napić się wody i być sama. Nie czułam się na siłach rozmawiać z kimkolwiek.

Królikowski zjawił się w świetlicy o umówionej porze, starannie ubrany i uczesany. Po policzku spływała mu kropla wody z włosów.

Pod oknem grał w szachy pulchny i różowy Kinastowski, piekarczyk, który stracił nogę w wypadku tramwajowym; jego towarzysza gry nie znałam jeszcze.

Królikowski, rozejrzawszy się po świetlicy, powiedział:

— A może byśmy tak poszli do sadu? Jeszcze słonko grzeje, a tu duszno.

Zgodziłam się. Wiedziałam, że szuka zupełnej swobody, a do świetlicy coraz ktoś zaglądał.

Poszliśmy w stronę zabudowań gospodarczych. Godzina była cicha i świetlista. Słońce padało ukośnie, korony młodych drzew lśniły wiśniowym błyskiem, świeżo zorana rola miała ciepłą pulchność.

Usiedliśmy na szerokiej ławce pod świerkowym szpalerem, ocalałym z dawnych czasów. Przed nami ciągnął się duży szmat młodego sadu, obramiony szklistą zielenią oziminy.

— Otóż jest tak — zaczął Królikowski, oparłszy się mocno ręką na kolanie. — Nie wiem, kto pani jest, ani po co tu pani jest.

— Jak to? Przecież mówiłam rano...

— No tak, mówiła pani. — Niech pani zaczeka — wyciągnął rękę pojednawczo. — Czytam książki, ale powieści mnie nie zajmują. Żona za to bez książki nie zaśnie. Dla mnie w powieści jest za mało materiału, właściwie szczypta. I to tak porozstawiane jak krzaki w parku, żeby było przyjemnie dla oka.— Wciągnął kilka razy głęboko powietrze, wyprostowawszy ramiona. — Astma mi przeszkadza. W lecie byłem w sanatorium. Lepiej mi się zrobiło, a teraz znowu mnie dusi. Wie pani, piszę pamiętnik. Takie wspomnienia. Mnie nie o to idzie, żeby o sobie pisać. Nie wiem, czy mnie pani rozumie. Ale moje życie to przykład tego, jak to bywało. Młodzi już nie wiedzą. Ot, jestem w zakładzie, patrzę, słucham. Młodych nie dziwi ani czyste łóżko, ani ogrzane widne pomieszczenie, ani to, że mogą się uczyć. Dla nich to zwyczajna rzecz. To coś jak oddychanie. Nie wie się, co to brak powietrza, aż go zabraknie. Oni oddychają teraz powietrzem socjalistycznego świata i nie domyślają się, co to za stęchłe i szarpane istnienie miał robotnik. I pani także tego nie może wiedzieć. Teraz, gdzie człowiek pójdzie, to mu pracę dają. Na murach, w gazecie, wszędzie czytam, że się poszukuje ludzi do pracy. Jak kto nie był parę lat bezrobotnym, to tego nie wie.

Widzi pani moją głowę? Nie ze starości wyłysiałem. W trzydziestym czwartym pracowałem przez jakiś czas przy moście pod Warszawą. Dwa złote dziennie płacili... Później był strajk, to podwyższyli, ale szukali tych, co pobudzali drugich do strajkowania, no i zrobili u mnie rewizję w nocy. To mnie laską, antypką walili po plecach, a potem od ściany do ściany popy-

chali, żem się ruszał jak wahadło, a potem jeden „tatuś“ do głowy się dobrał i garściami włosy wyrywał. Mieli oni swoje sposoby. Nieraz się z „władzą“ spotkałem oko w oko. Całom Polskę przewędrował, ryby w Wiśle łowiłem i na statkach robiłem, i na szosie koło Lublina, i w Puławach, i w Gdyni. Była taka zima, żeśmy z żoną w komórce na drzewo mieszkali. Dozorca mi podnajął za dziesięć złotych na miesiąc. Maszynę do szycia żona sprzedała i co lepsze łachy. Musieliśmy się ukrywać. Żeby tak pani poznała moją żonę! Co za człowiek! Ona mnie tutaj do zakładu posłała. W monopolu tytoniowym pracuje, była za magazynierkę, teraz tam w biurze jest. Jeśli jest człowiek, co wart był dożyć nowego świata, to ona. I niech pani nie myśli, że jest jakaś ponura, ważna. Tyle co ona się naśmieje w ciągu dnia, to inny się nie naśmieje w całym życiu. Takie niemartwiące ma usposobienie. Córeczkę mamy, to krewna daleka mojej żony, sierota, adoptowaliśmy. Nasza nam zmarła. Mieszkaliśmy wtedy w domku z pustaków z cementową podłogą, pod Lublinem. Gruźlicy dostała i poszło dziecko. Wtedy tośmy z żoną przez długie miesiące słowa do siebie przemówić nie mogli ze zgryzoty. — Zamilkł dysząc. Ostre rumieńce wystąpiły mu na policzki. — Nie będą już więcej dzieci tak marniały. Musi być na całym świecie sprawiedliwość.

We wszystkim, co mówił Królikowski, w całym zachowaniu, nie było żadnej chęci, by wywrzeć wrażenie. Wolny był od myślenia o sobie.

— Kupę papieru spisałem. Z początku tom sam siebie nie mógł przeczytać, bo słowa razem pisałem i nie wiedziałem, gdzie zdanie kończyć, no i bez palców to nie tak idzie. Alem się zaprawił. — Wyjął z lewej kieszeni zeszyt i otworzył. — No, niech pani powie, czy źle?

Nie potrzebowałam przymuszać się do pochwały. Zobaczyłam równe, staranne kolumny pisma. Litery były duże i kanciaste.

ROGER VAILLAND

HELOIZA I ABELARD

SZTUKA W TRZECH AKTACH

AKT DRUGI

Scena I

Abelard, Heloiza, chłopak stajenny, służąca, trzech młodzieńców, czterech pijaków, oberżysta, muzykanci na scenie lub za kulisami.

Wnętrze oberży. Na szyldzie: „Na przedmieściu Nantes pod wesołym obwiesiem".

W chwili podniesienia kurtyny zmieszany hałas rozmów, muzyka; ledwo dochodzą poszczególne słowa.

SŁUŻĄCA: Jedzcie zimne, pijcie gorące, jedzcie gorące, pijcie zimne, jedzcie zimne, pijcie gorące...

(Biega między stołkami to na scenie, to za kulisami).

CHŁOPAK STAJENNY *(wchodzi i krzyczy):* Osioł jejmości już osiodłany!

HELOIZA *(śmiało):* Dziękuję, mój chłopcze.

I PIJAK *(do służącej):* Chodź tutaj, ślicznotko. Niech cię pocałuję w siodełko.

I MŁODZIENIEC *(do Heloizy):* A pani jest osiodłana?

PIJAK *(do młodzieńca):* Ty byś jej chętnie zdjął siodełko.

Śmiech.

II MŁODY CZŁOWIEK *(popychając pierwszego młodzieńca):* Nie jesteś potrzebny; ta pani podróżuje ze swoim siodlarzem.

Śmiechy. Abelard przygląda się młodzieńcom. Chwyta za rękojeść szpady.

SŁUŻĄCA: Pijcie zimne, jedzcie gorące, pijcie gorące, jedzcie zimne.

Wchodzi III młodzieniec, bardzo wypomadowany.

I MŁODZIENIEC *(zapowiada na głos):* Osioł jejmości!

II MŁODY CZŁOWIEK *(kładzie rękę na wypomadowanych włosach pierwszego młodzieńca):* Ten jest zdrowo osiodłany.

II PIJAK: Hej, młodzieńcze, pani szuka siodlarza.

III MŁODY CZŁOWIEK *(pokazując pięść):* A ja gęby do zamknięcia na kłódkę.

Oberżysta rzuca się między młodzieńców. Pijacy odciągają ich od siebie.

SŁUŻĄCA: Pijcie gorące, jedzcie zimne, jedzcie gorące...

OBERŻYSTA *(do III młodego człowieka):* Spokój, młodzieńcze!

I MŁODZIENIEC *(do drugiego):* Słyszałeś? I to się nazywa mężczyzna.

II MŁODZIENIEC: Trzęsie się jak baba...

III MŁODZIENIEC: Powtórz to raz jeszcze!

Młodzieńcy próbują się wyrwać i rzucić na siebie.

OBERŻYSTA: Nie tutaj, panowie, nie tutaj. Na dworze...

III MŁODZIENIEC: Chodźcie obaj. Trzeba takich czterech jak wy, aby dać mi radę.

I MŁODZIENIEC: On mówi, że czterech.

II MŁODZIENIEC: Trzeba go pokazywać na jarmarku.

III MŁODZIENIEC: Wychodźcie, panienki. Ja wam pokażę, czy...

II MŁODZIENIEC: Wychodź więc. Zobaczysz, czy jestem babą...

SŁUŻĄCA: Jedzcie zimne, pijcie gorące, pijcie zimne, jedzcie gorące.

III MŁODZIENIEC: Wrzeszczy to jak prawiczki...

I MŁODZIENIEC: Nie bój się, już my go rozprawiczymy!

W czasie czterech ostatnich replik wychodzą w nieładzie popychając się wzajemnie pijacy i młodzieńcy. Potem, aż do końca sceny, widać co chwila za oknem ich cienie, odgrywające kabaretową i teatralną bójkę, która kończy się ogólnym pojednaniem.

ABELARD: Nie chcę, abyśmy tutaj zostali na noc. Mamy dość czasu, aby wyjść z miasta przed zachodem słońca.

HELOIZA: Nie mogę już chodzić.

ABELARD: Wystarczy minąć przedmieście. W pierwszej wsi znajdziemy spokojną oberżę.

HELOIZA: Oni więcej krzyczą, niż robią złego.

ABELARD: To jest nie do zniesienia.

HELOIZA: Poza brakiem snu, mogę znieść wszystko.

ABELARD: Obrażają cię w moich oczach, a ja znoszę to w milczeniu ze skrzyżowanymi rękami na kolanach. Nie jestem mężczyzną!

HELOIZA: Ty także!

ABELARD: Znasz jeszcze innego tchórza?

HELOIZA: Zastanawiam się, dlaczego mężczyźni uważają, że muszą co chwila udowadniać, że są mężczyznami.

ABELARD: Przebacz mi. Używam już nawet języka bezecnych miejsc, w które cię wtrąciłem.

HELOIZA: Szlachcice są tacy sami. Jedyna różnica, że nazywają to honorem. Mam honor, ty go nie masz, zaraz ci pokażę, czy go mam. I wychodzą bić się na podwórze.

ABELARD: Wkrótce będziesz żałować domu swojego wuja.

HELOIZA: Mój wuj jest taki jak wy wszyscy. Cały dzień powtarza, że nie chce, aby go wzięto za... kapłona. Jest to eufemizm. Jego zawód wymaga używania eufemizmu.

ABELARD: Uczucia równie powszechne muszą odpowiadać jakiejś rzeczywistości. Męskość upodabnia nas do naszego Stwórcy.

HELOIZA: Kobieta rodzi małe.

ABELARD: Mężczyzna ją zapładnia.

HELOIZA: Ach, ach, ach! Do czego dochodzi filozof, kiedy trzy miesiące wędruje po drogach mając za całe towarzystwo młodą dziewczynę! Każdy uczeń Abelarda, tamtego Abelarda, wielkiego, tego który nauczał w Sorbonie, dowiódłby ci, że jest absurdem spierać się, co było pierwsze — kurczę czy jajo.

ABELARD: Bezsilny starzec nie jest również zdolny do wielkich przedsięwzięć.

HELOIZA: Jest podobny do mnie w tej chwili. Za dużo chodził. Znużenie ogarnęło wszystkie jego członki.

ABELARD: Jakżeż ci to wyjaśnić? Kiedy wymyślałem wielkie rzeczy... chcę powiedzieć... w chwilach, kiedy moje myśli były rzeczywiście nowe, kiedy rodził się z nich mój system jak żywa istota z nasienia, w chwilach tych ciało moje było tak rozpalone, jak wtedy, kiedy ciebie pożądałem.

HELOIZA: Wszystkie soki żywotne były w ruchu. Gwałtowne czyny poruszają całą istotą.

ABELARD: A czerwona chmura, która oślepia mężczyznę, kiedy otrzyma policzek i zmusza go, aby zabijał... czyż sądzisz, że doświadcza jej eunuch?

HELOIZA: Tego nie myślę.

ABELARD: A więc zgadzasz się ze mną?

HELOIZA: Tak, mój drogi.

ABELARD: Nie rób tego grymasu. Śmiej się szczerze, dokończ, co zaczęłaś. Co za mężczyzna — myślisz — który nie jest zdolny nauczyć dwóch wiejskich kogutów szacunku dla swojej kochanki.

HELOIZA: Znowu zaczynasz.

ABELARD: Bo to jest ta sama sprawa. Od chwili ucieczki z Paryża, kiedy przybyłaś do Mantes przebrana za zakonnicę, aby się ze mną połączyć, trzeba było bez zwłoki albo ukryć się, albo uciekać. Tu ktoś nas poznał. Uciekajmy! Tam wzięto nas za kuglarzy, za awanturników, grożono nam więzieniem, trzeba było uciekać. Tu uczeń, który przybył z Paryża, mógł nas poznać. Uciekajmy! Tam oberżysta był tak poufały z tobą, że zasługiwał na obcięcie uszu; nie można zwracać uwagi, uciekajmy! Abelard, mężczyzna, który ucieka; nocny ptak, zając, Abelard! O wstydzie!

HELOIZA: Gdybyś mnie kochał, tak jak ja ciebie kocham, nie byłoby miejsca na wstyd w twoim sercu.

ABELARD: Miłość, którą się tai, jest miłością haniebną.

HELOIZA: Znowu język kogutów. Ci młodzieńcy nie mówili inaczej.

ABELARD: Chciałbym stać się podobnym do nich. Kiedy który z nich kocha dziewczynę, poślubia ją i ma z nią dzieci.

HELOIZA: Ale ja nie wyszłabym nigdy za wiejskiego koguta.

ABELARD: Aby móc cię pokazać całemu światu, mówiąc „to moja żona", zrezygnowałbym chętnie ze wszystkich zaszczytów, jakie może osiągnąć duchowny.

HELOIZA: Ale ja nie chcę być żoną kleryka, o którym mówią: „Obiecywał wiele i wiele sobie po nim obiecywano. Mógł zostać księciem Kościoła, doradcą królów, wskazać nowe drogi chrześcijaństwu. Zagubił to wielkie przeznaczenie w spódniczkach dziewczyny. Sądzono, że jest godny, aby stać się arbitrem między państwami. Trwoni swój czas na godzenie swojej żony ze służącymi“.

ABELARD: Wyrzekłbym się chętnie kardynalskiego kapelusza albo pastorału założycieli zakonu, aby żyć szczęśliwie z kochającą mnie żoną i pięknymi dziećmi.

HELOIZA: „Sądzono, że odnowi doktryny ojców Kościoła, a on tymczasem niańczy dzieci i przepisuje manuskrypty, aby zarobić na utrzymanie domu“.

ABELARD: Dzieci będą moim najpiękniejszym dziełem.

HELOIZA: Próżna nadzieja wszystkich ojców, którzy zmarnowali swoje dzieło, nieszczęśliwe dzieci, na których mści się zgorzkniałe serce.

ABELARD: Nie mam już twoich lat, Heloizo. Byłem wyróżniany, oklaskiwany, nagradzany. Widziałem ludzi, którzy przybywali znad brzegów Dunaju albo zza Elby tylko po to, aby mnie słuchać. Ale jestem pewny, że wolałbym teraz od sławy naszyjnik z dwojga kochających ramion i śmiech dzieci, które będziemy mieli.

HELOIZA: „Pobrali się i mieli wiele dzieci. Tak skończyła się »miłość Heloizy i Abelarda«“. Nie, nie, nigdy! Jeśli teraz ustąpimy, nasza wielka przygoda będzie tylko żałosnym romansem uczennicy uwiedzionej przez sławnego profesora, który odkrył miłość, kiedy zbliżała się czterdziestka.

ABELARD: Cóż nas obchodzi, co o nas powiedzą, jeśli będziemy szczęśliwi. Jestem zmęczony tego wieczoru. A ty jesteś bardziej zmęczona, niż się sama przyznajesz. Raz jeszcze cię proszę, wracajmy do Paryża jako mąż i żona.

HELOIZA: Uwodziciel pragnie „wynagrodzić“... Zawstydzasz mnie.

ABELARD: Czyżbyś wolała, abym wrócił na katedrę i oddał cię twojemu wujowi? W końcu tylko to mamy do wyboru. Ale będę cię bronił przeciwko tobie samej.

HELOIZA: Nie wyrzeknę się naszej miłości.

ABELARD: Trzeba jednak wybierać.

HELOIZA: Nigdy nie mówiliśmy o wyborze. Będziemy się ukrywać tak długo, jak długo będzie trzeba. W dniu, w którym zawiadomi nas Anjou, że udało mu się zmusić Fulberta do wycofania skargi, wrócimy do Paryża... Ty przez Bramę Orleańską, ja przez Bramę Flandryjską. Ty będziesz mieszkał w Saint-Germain-des-Près, a ja w Saint-Gervais. Wrócisz na swoją katedrę, będą cię oklaskiwać i zostaniesz papieżem, jeśli... jeśli jesteś do tego zdolny. Ja będę czekać nocy, aby odwiedzać cię po kryjomu i będziemy kochać się, ile razy tego zapragniemy.

ABELARD: I całe życie przeżyjemy w kłamstwie.

HELOIZA: Czyż wszystko to nie było omówione? Czyż kiedy odkrył nas mój wuj, nie przybyłam do Mantes, aby połączyć się z tobą, czyż nie opuściłam Paryża wiele dni po tobie, aby nigdy nie można było dowieść, żeś mnie „porwał"? Ale z każdym dniem tracisz część swojej pięknej odwagi...

ABELARD: Z każdym dniem coraz bardziej spostrzegam, jak upadla ucieczka przed prawdą.

HELOIZA: Aby zdobyć nasze szczęście, czuję się zdolna zagrzebać się w błocie jak ropucha, czołgać się jak żmija.

ABELARD: Tracę mój honor.

HELOIZA: Mój honor to robić, co zechcę, nawet wbrew całemu światu.

ABELARD: Mężczyźni mają inne pojęcie o honorze.

HELOIZA *(wskazując na młodych ludzi, którzy teraz ściskają się za szybą)*: Spójrz tam, na tamtych mężczyzn. Honor mężczyzn — cóż za kpiny! Przysięgają na honor, że będą bić się aż do śmierci; odwracasz głowę — ściskają się jak ladacznice.

Scena II

Trzej młodzi dworacy, trzej dworzanie, rycerz, książę, Fulbert, potem Margot, potem młode pobożne dziewczęta, straż.

Przedsionek pałacu.

Rycerz w zbroi bez kasku. Ma włosy (ewentualnie i brodę) siwe. Straż uzbrojona jest w piki, ale posługiwać się będzie nimi jak kijami i uderzać drzewcem. Wchodzą młodzi dworacy.

I DWORAK: Umarł biskup w Sens.

II DWORAK: Ładna historia!

III DWORAK: Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

II DWORAK: Nic mnie to wszystko nie obchodzi.

III DWORAK: Powiedz nam raczej, czy król będzie jutro polował.

II DWORAK: Ja lubię tylko polowanie na wilki; czekam na zimę.

FULBERT: Czy to aby pewna wiadomość?

I DWORAK: Goniec zawiadomił właśnie o tym króla.

III DWORAK: Zając wart gonitwy.

II DWORAK: Zwierzyna dla panienek...

I DWORAK: Lubię, kiedy sokół spada jak kamień z nieba na przerażonego zająca.

Młodzi dworacy stają przy kominku i już nie słychać ich rozmowy.

I DWORZANIN: Śmierć biskupa to poruszenie wśród sutann.

II DWORZANIN: Komu się uśmiecha pastorał, temu może umknąć infuła.

III DWORZANIN: Pastorał już niejednemu kazał pożegnać się z infułą.

I DWORZANIN: Papież daje infułę.

III DWORZANIN: Ale pastorał zależy od króla.

II DWORZANIN: Dla Jego Ekscelencji w Sens królem był Henryk angielski.

III DWORZANIN: Tym razem dostanie pastorał ktoś z królewskiego orszaku.

I DWORZANIN: Infuła zmienna jest: dziś córka Ludwika, jutro kuzynka Henryka.

II DWORZANIN: Tym razem Ludwik wypisze swoje imię na obu rogach infuły.

III DWORZANIN: Chętnie by ją dał pierwszemu lepszemu osłowi ze swojej stajni.

I DWORZANIN: Czyż osły umieją poznać rękę, która daje im siano?

III DWORZANIN: Wystarczy, aby osioł był na tyle osłem, żeby ani słowa nie rozumiał po angielsku.

II DWORZANIN: Trzeba by mu było zatkać uszy.

III DWORZANIN: Dlatego szukają głuchego osła.

I DWORZANIN: Aby mu na głowę wsadzić infułę.

Książę podchodzi do Fulberta.

KSIĄŻĘ: Widzę, że ksiądz jest bardzo podniecony.

FULBERT: Podniecony? Dlaczego podniecony, Mości Książę?

KSIĄŻĘ: Nie powstrzymuj bicia serca; widzę, jak tłucze się pod sutanną. Daremny trud. Znam tajemnicę.

FULBERT: Jaką tajemnicę, Mości Książę? Nie rozumiem...

KSIĄŻĘ: Nie jest jeszcze biskupem, a kłamie już jak kardynał.

FULBERT: Nie jest jeszcze biskupem...

KSIĄŻĘ: Powiedziałem, że znam całą tajemnicę. Znałem ją jeszcze wcześniej od ciebie. I nie zarzekam się, że na decyzję króla ja sam...

FULBERT: Na decyzję króla...

KSIĄŻĘ: Nie będę udawał przed księdzem, że nas zmartwiły wiadomości o ciężkiej chorobie biskupa z Sens. Jego związki z Anglią były zbyt znane...

FULBERT: Mości Książę, to są tajemnice stanu.

KSIĄŻĘ: Odtąd ksiądz je powinien znać. Kiedy imię księdza zostało wymówione...

FULBERT: Czyż Fulbert jest imieniem, Mości Książę?

KSIĄŻĘ: Właśnie. Ojciec mój życzył sobie, aby nowy biskup nie był związany z owymi wielkimi rodami, które bardziej dbają o swoje lenno niż o wielkość królestwa...

FULBERT: Moje poświęcenie dla Jego Królewskiej Mości nie ma sobie równych.

KSIĄŻĘ: Dorzuciłem wtedy, że twoje wywyższenie będzie jeszcze jednym dowodem szacunku, jakim darzy król wszystkich pokornych synów Kościoła, którzy wyniesienie swoje zawdzięczają pobożności i wiernemu spełnianiu swoich obowiązków. Kanonik Fulbert niczego nie zawdzięcza łasce...

FULBERT: Na wieść, że Fulbert otrzyma infułę, w co nie mogę jeszcze uwierzyć, żywiej zabiją serca skromnych wiejskich proboszczów, wzrośnie ich poświęcenie dla sprawy królewskiej.

KSIĄŻĘ: Inni członkowie Rady bronili swoich faworytów. Na próżno.

FULBERT: Czyż to możliwe, Mości Książę? Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Czyżby naprawdę...

KSIĄŻĘ: Ostatni argument rozstrzygnął o decyzji mojego ojca. Przypomniałem mu, że dotknęło księdza nieszczęście, że jego dom został zbezczeszczony i siostrzenica porwana... „Jest rzeczą sprawiedliwą — powiedziałem — aby nagrodzone zostały cnoty chrześcijańskie i dobry przykład. Fulbert nie domagał się odwetu, do jakiego miał prawo; przebaczył temu, który go obraził, jego miłosierdzie..."

FULBERT: Któż mówi o przebaczeniu, Mości Książę?

KSIĄŻĘ: Miałeś wzgląd na wielkie usługi, jakie Abelard oddał całemu chrześcijaństwu, i zdusiłeś pragnienie słusznej zemsty.

FULBERT: Ta infuła wydaje mi się równie podejrzana, jak „darowanie procentów" w ustach lichwiarza.

KSIĄŻĘ: Jakże piękna to rzecz — przebaczać.

FULBERT: Ta infuła zawróciła mi w głowie. Uwierzyłem po raz pierwszy w życiu, że Fulbert otrzyma coś za darmo.

KSIĄŻĘ: To przebaczenie — powiedziałem do króla — pokazuje taką wielkość duszy...

FULBERT: Zawsze jestem gotów zapłacić, Mości Książę. I płacę zawsze gotówką. Znam kurs wszystkich monet. Mogę podać Księciu dokładną cenę tej sutanny kanonika... Czy mam ją szacować w złocie, czy też powiedzieć, ile się nad nią napociłem, ile wylałem łez, ile mnie kosztowała poniżeń. Oto moneta, o której Książę nie słyszał. Ale biedacy znają ją bardzo dobrze... Ale cena za infułę biskupią jest zbyt wysoka dla Fulberta.

KSIĄŻĘ: Infuła za przebaczenie, Fulbercie! Pastorał za rzecz, która nie ma wartości, zastanów się dobrze, drugi raz nie powtórzy się taka okazja.

FULBERT: Po tym przebaczeniu mitra będzie tylko oślą czapką.

KSIĄŻĘ: Czyżbyś aż tak się kochał w swojej siostrzenicy?

FULBERT: Dałby Bóg, aby Abelard ogołocił mnie tylko z miłości.

KSIĄŻĘ: Zabrał przecież, o ile wiem, tylko twoją siostrzenicę, a nie jej posag.

FULBERT: Był raz... skąpiec, który przez pięćdziesiąt lat gromadził sztuki złota. Pewnego ranka król albo diabeł ogłosił, że złoto nie ma wartości. Będzie można je do woli wymieniać na ołów, albo ołów na złoto. Skąpiec zabił króla i oświadczył, że jeszcze nie jest pomszczony. Żyłem jak ten skąpiec. Ta sutanna, nagroda za tyle pracy, dom w samym środku Paryża, dobre imię, szacunek u równych i zazdrość podwładnych, siostrzenica w końcu, wszystko to było moim skarbem. Zniewaga, jaką mi wyrządził Abelard, zamieniła to w metal bez wartości. Fulbert stał się odtąd błaznem. Infuła biskupia z twojej ręki będzie tylko sztabą ołowiu. Cała Francja będzie pękać ze śmiechu z biskupa, tak jak pękała ze śmiechu z kanonika. Tylko zemsta, o której wszyscy się dowiedzą, przywróci wartość mojej monecie.

KSIĄŻĘ: Wszystko to jest po prostu alchemią. Ty za dobrze znasz się na wartościach metali. Powiedz mi, kanoniku, czy nie zajmujesz się fałszowaniem monety? Powinienem dać znać o tym Wielkiemu Sędziemu.

FULBERT: To nie jest temat do żartów, Mości Książę.

KSIĄŻĘ: A gdybym tak powiedział Wielkiemu Sędziemu, żeś mi się przyznał, iż fałszujesz monetę?

FULBERT: Księcia bawi, że ja drżę ze strachu...

KSIĄŻĘ: Byłbyś poddany torturom...

FULBERT: Nie po raz pierwszy bawią się książęta moim strachem.

KSIĄŻĘ: Kat przywiąże cię do trójnogu...

FULBERT: Tym razem przyznam się, że Książę mnie przeraża. Niech się Książę śmieje, ponieważ to wszystko jest tylko żartem.

KSIĄŻĘ: Będzie bardzo zabawne widzieć, jak twoje tłuste paluszki zostaną ściśnięte obcęgami...

FULBERT: Wygrałeś, Mości Książę... Mam mdłości.

KSIĄŻĘ: Ach, ach, ach! Dobrze zrobiłeś, że nie wybrałeś kariery wojskowej.

FULBERT: Znałem siebie, Mości Książę.

KSIĄŻĘ: Wystarczyłby szczęk broni, aby została z ciebie kałuża.

FULBERT: Wolę już, jak Książę mówi tym językiem.

KSIĄŻĘ: Taki sam tchórz, jak podlec.

FULBERT: Niech Książę sobie nie żałuje.

KSIĄŻĘ: Zapluty i smrodliwy.

FULBERT: Przywykłem przeżuwać w milczeniu obelgi, na które jestem zbyt słaby, aby odpowiedzieć.

KSIĄŻĘ: Gdyby to przebić ostrzem, trysnęłaby tylko żółć.

FULBERT: „Kiedy zostałeś zelżony, nadstaw drugi policzek“. Nauczyłem się tego w kołysce.

KSIĄŻĘ: Idiota! Infuła zrobi z ciebie człowieka, którego się boją. Będziesz mógł z kolei rozdawać policzki, jakich ci nie odważą się oddać. To ci dobrze zrobi na wątrobę. Nie rozumiem ciebie, Fulbercie.

FULBERT: Czyż człowiek, którego nigdy nie zelżono, może zrozumieć Fulberta?

Wchodzi Margot. Rozgląda się naokoło i podchodzi do księcia brzęcząc ozdobami.

MARGOT *(do księcia):* Spowiadasz się, kochaneczku? *(Do Fulberta)* Czyż się oskarżył, mój ojcze, że zdradził mnie jeszcze tej nocy?

KSIĄŻĘ: Odmówił mi rozgrzeszenia. Nigdy się przed nim nie spowiadaj, Margot. Mogłabyś po odejściu od konfesjonału zawędrować prosto do piekła. Ten ksiądz ślubował nigdy nie przebaczać.

MARGOT: Ale znam go przecież. Czyż to nie sławny Fulbert, człowiek, który opłacał nauczyciela, aby uczył miłości jego siostrzenicę?

FULBERT *(półgłosem):* Tobie przynajmniej płacili twoi właśni nauczyciele.

KSIĄŻĘ: Wyobraź sobie, że ofiarowałem mu prezent, o którym nigdy nie śmiałby marzyć. Coś dla niego zupełnie nieosiągalnego. Jakże ci to powiedzieć? Wyobraź sobie na przykład, że ci zaproponowałem, abyś została królową. W zamian prosiłem go tylko, aby wycofał swoją skargę na Abelarda; ale wydaje się, że słowa przebaczenia nie mogą mu przejść przez gardło. Ono zdolne jest tylko połykać obelgi; nigdy nie wyjdzie z niego ani podziękowanie, ani przebaczenie.

MARGOT *(na stronie):* Ten dowcip będzie cię drogo kosztować, zapłacisz mi za tę „królową“. *(Głośno)* Jest niegrzeczny, ale ma rację. Prawo musi być jedno dla wszystkich poddanych

króla. Dlaczego wybaczać Abelardowi, kiedy za to samo karze się innych.

KSIĄŻĘ: Ponieważ mi to sprawi przyjemność... a ten otrzyma za to infułę.

MARGOT: Biedny Abelardzie! *(Do Księcia)* Zgodziłbyś się, żeby go powieszono, gdybyś za to mógł dawać lekcje pięknej siostrzenicy.

KSIĄŻĘ: To prawda, że kocham ją i jego prawie jednakowo. Ale o tym już ani słowa. Nasza przyjaźń nie ma nic wspólnego z twoim rzemiosłem...

MARGOT: Może umieć po łacinie, grecku lub francusku — dziwka jest dziwką.

KSIĄŻĘ: Ty chyba miałaś dosyć na to dowodów, że nie gardzę dziwkami.

MARGOT: Ja wykonywam uczciwie moje rzemiosło. Nie umieszczam filozoficznych etykietek na moim towarze, aby go przemycić... i zyskać szacunek, na który nie zasłużyłam. Konkurencja Heloizy jest nielojalna. Choćby za to oszustwo zasługuje na pręgierz. A jej wspólnik, Abelard, razem z nią.

KSIĄŻĘ: Czy słyszysz, co powiedziała, Fulbercie? Ona także broni wartości swojej monety.

FULBERT: Jakżeż łatwo przychodzi Księciu żartować ze wszystkiego, co nas rani.

KSIĄŻĘ: Co o tym myślisz, Margot? On mówi „nas" myśląc o tobie i o sobie.

MARGOT: Zostaw go w spokoju. W końcu przyniesie ci nieszczęście budzenie nienawiści, która nie może znaleźć ujścia.

KSIĄŻĘ: Ty mnie także nienawidzisz?

MARGOT: Ja? Ja cię uwielbiam — chyba w to nie wątpisz? Ale nie chcę, żebyś się zajmował Heloizą. *(Do Fulberta)* Niech ksiądz ze mną pozwoli.

Bierze go pod rękę i wyprowadza w głąb sceny. Wchodzi młoda dziewczyna, źle ubrana, niezgrabna, blada, z krostami na twarzy. Ma na szyi jasnoniebieską wstęgę, a na niej medalik.

MŁODA DZIEWCZYNA: Panie i panowie! Towarzystwo Młodych Pobożnych Dziewcząt prosi o podpisywanie podania do króla o sprawiedliwe ukaranie Abelarda i Heloizy. Panowie i panie...

KSIĄŻĘ *(podchodzi do młodej dziewczyny i bierze ją na stronę):* To bardzo ładnie z twojej strony, moja panienko, że narażasz się na śmiechy i żarciki trafiając wszędzie z twoim podaniem. Ale powiedz mi, czy nienawiść młodych pobożnych dziewcząt do Heloizy i Abelarda jest naprawdę tak silna?

MŁODA DZIEWCZYNA: To jest oczywiste, Mości Książę.

KSIĄŻĘ: Pomyśl, skazani są na tułanie się po drogach, jak kuglarze. Czyż kara nie jest wystarczająca?

MŁODA DZIEWCZYNA: Ale oni są szczęśliwi, Mości Książę.

KSIĄŻĘ: Czyż szczęście jest zniewagą dla młodych pobożnych dziewcząt?

MŁODA DZIEWCZYNA: Oczywiście, Mości Książę. Czy ja jestem szczęśliwa?

Młoda dziewczyna podchodzi do Margot i Fulberta. Młode dziewczęta trzymając się pod ręce z Fulbertem w środku, razem:
— Podpisujcie prośbę do króla o ukaranie Abelarda i Heloizy, podpisujcie, podpisujcie...

W czasie następnych kwestii podchodzą do dworzan przedstawiając im kolejno podanie. Książę zbliża się do rycerza, który od początku sceny błąka się samotny i zamyślony.

KSIĄŻĘ: Błędny rycerzu, musiałeś w czasie swego długiego życia wiele razy walczyć.

RYCERZ: Pod każdym niebem i przeciwko wszelkiego rodzaju nieprzyjaciołom.

KSIĄŻĘ: Musisz więc wiedzieć, jakiej metody trzeba użyć w walce z każdym przeciwnikiem?

RYCERZ: To bardzo proste, Wasza miłość. Tylko dobre rozumowanie zwycięży dobre rozumowanie. Nagiej szpadzie należy przeciwstawić nagą szpadę, machinom wojennym — machiny wojenne, a podstępom — inne podstępy.

KSIĄŻĘ: Ale co przeciwstawisz podłości, jeżeli sam nie jesteś podły? Nikczemności, jeżeli sam nie jesteś nikczemny, niegodziwości, jeśli nie jesteś niegodziwy?

RYCERZ: Istoty podłe postępują w ten sam sposób jak różdżkarze i czarnoksiężnicy. Sposobów tych używają także ladacznice, kiedy przechodnia wciągają w zasadzkę. Cała sztuka,

jeśli się nad tym zastanowić, polega na tym, aby nas zaprowadzić tam, gdzie nasza zwykła broń staje się już bezużyteczna. Jeśli przywiodą cię do czarnoksiężnika, na próżno wyciągasz swój miecz; spostrzegasz, że jest miękki i wiotki jak gałązka bzu. Uderzasz i oto ugina się jak kij zanurzony w wodzie. Z całych sił napinasz kuszę, kule upadają miękko do twoich nóg. Miotasz obelgi, echo odpowiada ci pochlebstwami. Rzucasz się na twego przeciwnika, on rozwiewa się w zwierciadle i oto rozbijasz się o gładką szybę. Wydaje ci się, żeś spędził u niego jeden dzień, a kiedy wychodzisz, spostrzegasz, że jesteś starcem. Wszystko, co powiedziałem o czarnoksiężnikach, można powiedzieć o ludziach nikczemnych. Dlatego przeciwko istotom podłym trzeba użyć tych samych metod, co przeciw czarodziejom.

KSIĄŻĘ: Powiedz mi, Mości Rycerzu, w jaki sposób zwalcza się czarowników.

RYCERZ: Czarowników się pali, podłe stwory rozgniata się obcasem. Tylko gwałt przemaga czary, tylko brutalna siła fizyczna zwycięża podłość. Jeśli kiedykolwiek spotkasz czarownicę, nie mów do niej, nie patrz na nią. Wystarczy, abyś skrzyżował z nią spojrzenie, a powlecze cię w swój świat, staniesz się bezbronny i spętany. Kiedy tylko ją spostrzeżesz, musisz rzucić się na nią i uderzyć ze wszystkich sił (nie pozwalając, aby cię dotknęła), na oślep, jakbyś był człowiekiem głuchym. Wtedy — ale trzeba, byś miał serce dostatecznie czyste — jej wdzięki nie będą miały nad tobą władzy i pozbawisz ją życia równie łatwo jak kat zbrodniarza, którego przyprowadzono ze związanymi rękami.

KSIĄŻĘ: Ale po czym poznać serca dostatecznie czyste, aby mogły zatryumfować nad rzucającymi uroki?

RYCERZ: Właśnie po sposobie uderzania: na oślep i jak człowiek głuchy.

Milczenie.

MARGOT, FULBERT, MŁODA DZIEWCZYNA *(jeszcze głośniej niż poprzednio):* Podpisujcie podanie o sprawiedliwe i konieczne ukaranie Abelarda i Heloizy.

KSIĄŻĘ *(grzmiącym głosem):* Żołnierze! Do mnie. Straż!

Żołnierze wbiegają. Na scenie cisza. Wszyscy aktorzy nieruchomieją. Mija chwila ciszy.

KSIĄŻĘ *(półgłosem do rycerza):* Ach! nie mam dość czystego serca. *(Głosem zduszonym do żołnierzy)* Nie chcę widzieć tych ludzi. Wypędźcie ich z pałacu. Naprzód... Oddalcie tych nikczemników.

Książę odwraca się plecami do tłumu i ukrywa twarz w rękach. Rycerz rysuje kółka na ziemi końcem swojego miecza (w pochwie). żołnierze wyrzucają wszystkich aktorów posługując się włócznią jak kijem. Margot, która pragnie się przez nich przedrzeć do Księcia, dostają się razy w pośladki. Zgiełk i wrzawa.

Scena III

Mężczyzna drzemie oparty o piec. Heloiza i służąca, Abelard i mieszczanie tworzą dwie oddzielone od siebie grupy.

Dekoracja ta sama, co w scenie pierwszej, ale na szyldzie napis „Pod wielorybem w Batz spotykają się rybacy z Islandii i Grenlandii".

SŁUŻĄCA: Już pięćdziesiąt siedem dni, jak pani przybyła do nas.

HELOIZA: Wszystkie były do siebie podobne, moja Berto.

SŁUŻĄCA: Morze jest wzburzone, wielkie fale rozbijają się o wały.

HELOIZA: Jutro będzie piękna pogoda.

SŁUŻĄCA: Uwaga, proszę pani. Opuszcza pani jedno oczko co trzy, zamiast opuszczać dwa co pięć...

HELOIZA: W następnym rządku będę opuszczała po trzy.

SŁUŻĄCA: Ale przód będzie wtedy szerszy od pleców.

HELOIZA: Czy jesteś tego pewna?

SŁUŻĄCA: Zupełnie.

— — — — — — — — — — — — — — —

ABELARD: Artykuł 7 jest zupełnie formalny, mości panowie: „prawa myta na wszystkich mostach są zniesione". W dodatku artykuł 12 podaje, że koszty naprawy wszystkich urządzeń publicznych (mosty są tutaj wymienione) będą ponoszone w trzech czwartych przez gminę i w jednej czwartej przez biskupa. W końcu i obecny wypadek został przewidziany, ponieważ dodatek do artykułu 12 wyjaśnia, że „jakiekolwiek byłoby znaczenie wyżej wymienionych napraw, nie mogą one w żadnym

wypadku być powodem przywrócenia prawa do myta w jakiejkolwiek formie". Nie ma tutaj żadnej dwuznaczności, panowie. Wasze prawa nie budzą cienia wątpliwości. Idźmy dalej. Sprawa jest zupełnie jasna. Zła wola waszego przeciwnika rzuca się w oczy.

I MIESZCZANIN: A ja jednak jestem zdania, aby pozwolić biskupowi na przywrócenie myta.

II MIESZCZANIN: A ja myślę jak ten kleryk.

I MIESZCZANIN: Chociażby sam Justynian przyznał nam rację, nie pójdę do sądu ze skargą na biskupa.

II MIESZCZANIN: Ten kleryk powiedział: zła wola biskupa rzuca się w oczy.

ABELARD: Nie trzeba być jurystą, aby stwierdzić, co jest oczywiste. Przeczytajcie tylko wasz przywilej: artykuł 7, artykuł 12 i addenda.

— — — — — — — — — — — — — — —

SŁUŻĄCA: Pani ciągle zapomina o gubieniu oczek.

HELOIZA: Masz rację, Berto. Jestem tak roztargniona...

SŁUŻĄCA: Nie można jednocześnie liczyć oczek i nasłuchiwać, co mówią nasi panowie. Co mnie obchodzi ich przywilej. Święta Agnieszko, można by przysiąc, że lepiej zna się pani na prawie rzymskim, niż na robocie kaftaników dziecięcych.

HELOIZA: Czy nie wydają ci się, że są bardzo wzburzeni?

SŁUŻĄCA: Tak, proszę pani. I to bardzo niedobrze.

HELOIZA: Mężczyźni podniecają się szybko, kiedy rozmawiają o sprawach publicznych.

SŁUŻĄCA: Sprawy publiczne, jak to pani mówi, zostały stworzone na nieszczęście dla kobiet. Myślisz, że poślubiłaś przyzwoitego człowieka. Pracuje cały dzień, nie okrada swojego bliźniego, nie biega za dziewczętami, upija się tylko w dzień swojego patrona, chodzi do spowiedzi, klnie bardzo mało i wszystko, co zarabia, zostawia w domu. Wydaje ci się, że jesteś szczęśliwa, aż nagle rzucają go do więzienia, ponieważ podpisał skargę na biskupa albo wziął udział w jakimś tajnym zebraniu. To właśnie zdarzyło się mojej siostrze.

— — — — — — — — — — — — — — —

I MIESZCZANIN: A ja wam mówię, że biskup tylko po to dał nam przywilej, aby nas zmusić do odkrycia naszych planów.

III MIESZCZANIN: Zarzucił wędkę, rybka połknęła haczyk.

II MIESZCZANIN: Przywilej jest podpisany, musimy się trzymać jego litery.

I MIESZCZANIN: A jeśli nasz biskup postąpi jak hrabia de Morlaix? Ten także podpisał przywilej. Dziś wszyscy znaczniejsi, którzy podpisali razem z nim, siedzą w lochu, a przywilej został spalony na placu targowym.

III MIESZCZANIN: Panowie są panami.

II MIESZCZANIN: Do krocset, jesteśmy wolną gminą!

I MIESZCZANIN: Gmina ma przywileje, ale biskup ma łuczników... i pachołków na koniach.

III MIESZCZANIN: Siła złego na jednego.

ABELARD: Nie jesteście tak bezbronni, jak sądzicie.

I MIESZCZANIN: Ty, kleryku, kiedy spłonie nasz dom, pójdziesz sobie stąd. My należymy do umeblowania.

II MIESZCZANIN: Pozwól mówić klerykowi. On nam dobrze radzi.

III MIESZCZANIN: Ale za jego rady będzie kto inny płacić.

II MIESZCZANIN: Co ryzykujemy, że on powie swoje.

— — — — — — — — — — — — — — —

HELOIZA: Nie podoba mi się ta cała gadanina, Berto.

SŁUŻĄCA: Czy pani widzi tego człowieka, który drzemie przy piecu? Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby to był szpieg biskupa. Jestem pewna, że on słucha.

HELOIZA: Trzeba by ich ostrzec...

SŁUŻĄCA: Pani kawaler już się teraz nie uspokoi. Wino go zanadto rozgrzało.

HELOIZA: Czyżby tyle wypił?

SŁUŻĄCA: W każdym razie więcej, niż przystoi.

HELOIZA: Jesteś tego pewna?

SŁUŻĄCA: Przez pierwsze dni, kiedy tu państwo przybyli, wystarczał mu dzban wina na cały wieczór. Siedział na tej ławce i rozmawiał z panią. Szeptaliście do siebie bez przerwy. Było przyjemnie na was patrzeć. A potem z dnia na dzień poznawał tego i tamtego, wypijał dzbanek wina przy tym stole, przy tamtym stole.

HELOIZA: Przesadzasz, Berto. On się nigdy nie upił.

SŁUŻĄCA: Dotąd nie, proszę pani. Dotąd nie. Ale tego wieczoru wypił.. raz... dwa... trzy...

— — — — — — — — — — — — — — —

ABELARD: ...po Beauvais Laon, po Laon Amiens, po Amiens Soissons. Nie dzieje się to przypadkiem ani też wskutek spisku. Polityka króla Ludwika VI broni gmin. Chwila jest tym bardziej dla was korzystna, że wkrótce nastąpi zerwanie stosunków z Anglią. Wielki Sędzia, Garlande, pokłócił się właśnie z królową, która należała do partii Kościoła...

I MIESZCZANIN: Ten jest dobrze wprowadzony w wielką politykę.

III MIESZCZANIN: Na włóczęgę i kleryka, który sprzedaje swoją łacinę za kawałek chleba, znasz mi się coś za dobrze na intrygach dworu.

ABELARD: To wyście ode mnie żądali rady.

II MIESZCZANIN: Pozwólcie mówić klerykowi. On wie więcej, niż na to wygląda.

I MIESZCZANIN: W końcu, co nam doradzasz?

ABELARD: Naprzód dajcie świadectwo waszej dobrej woli. Zanieście skargę do parlamentu w Rennes. Możecie być pewni, że ją wygracie. Przez ten czas sformujcie milicję mieszczańską. Kupujcie broń.

I MIESZCZANIN: Wtedy powieszą nas jako buntowników.

ABELARD: Mieszczanie w Laon zmasakrowali biskupa Gaudry, który wysłał przeciw nim pachołków...

— — — — — — — — — — — — — — —

HELOIZA: Ach, ach, ach!

SŁUŻĄCA: *(biegnie do Abelarda):* Pani się źle poczuła...

ABELARD: Co się dzieje?

SŁUŻĄCA: Pani jest chora.

ABELARD: I król zakazał, aby ich ścigano. Za chwilę skończę.

Abelard wraca do Heloizy. Służąca podchodzi do mieszczan i szepcze im na ucho pokazując gestami człowieka, który drzemie oparty o piec. Mieszczanie kolejno odchodzą, oprócz III Mieszczanina, który każe sobie podać nowy dzban wina. Potem służąca wraca i siada obok Heloizy.

ABELARD: Co się stało, kochanie?

HELOIZA: Chodź tu bliżej, bliżej!

ABELARD: Co cię boli?

HELOIZA: Berta mi powiedziała, że człowiek, który udaje, że śpi tam, koło pieca, jest szpiegiem biskupa.

ABELARD: Co mnie obchodzi biskup.

HELOIZA: Jesteśmy uciekinierami, Abelardzie. I niedobrze jest zwracać na siebie uwagę.

ABELARD: Ich biskup bardziej liczy na ich głupotę, niż na ich słabość. Trzeba im otworzyć oczy.

HELOIZA: I doprowadzić nas do zguby.

ABELARD: Piękne słowo: wolność, rodzi się w ich ustach.

HELOIZA: Co nas to obchodzi?

ABELARD: Każda sprawa ludzka mnie obchodzi.

HELOIZA: Powinieneś naprzód pomyśleć, aby nie powiększać nieszczęść istoty, którą podobno kochasz.

ABELARD: Będę zawsze tylko paplą, jeśli nie zabiorę głosu przy takiej okazji.

HELOIZA: Będziesz zawsze dzieckiem, jeśli nie będziesz umiał ponieść odpowiedzialności za swoją miłość.

ABELARD: Czyż to nie ty przeszkadzasz mi ponieść całą odpowiedzialność? Co dzień cię do tego namawiam.

HELOIZA: Nie jestem dzieckiem; przynajmniej ja dbam o twoją ambicję.

ABELARD: Moją jedyną ambicją jest budzić tych, którzy śpią. Właśnie nadarzyła mi się sposobność.

HELOIZA: Jesteś próżny i dziecinny. Wyrzekłeś się kapelusza kardynalskiego, aby móc błyszczeć przez pięć minut na rynku najmniejszego z miasteczek.

ABELARD: Ja? Ależ wystarczyłoby mi być klerykiem w tej gminie, skromnym klerykiem w maleńkiej gminie, która nie jest zupełnie wolna, jednym z owych kleryków, z których się śmieją, że pojęli żonę. Doradzałbym mieszczanom, układałbym im skargi, uczyłbym ich, jakie mają prawa, wychowywałbym ich dla wolności i dawałbym lekcje łaciny siostrzenicy biskupa, aby ci móc kupić koronek. A więc zgadzasz się? Nie rób takiej miny. Zaraz zawiadomię ich o naszym weselu. *(Śpiewa):*

Hej! Ożenimy się!
Każdy puszczyk sówki chce.
Hej! Ożenimy się!
Pijmy, sówko, zdrowie twe!

HELOIZA: Platon chrześcijaństwa! Arystoteles Paryża! Francuski Lukrecjusz!

Abelard siada obok III Mieszczanina i trąca się z nim kielichem.

SŁUŻĄCA: Byłabym szczęśliwa, gdyby taki kawaler chciał mnie poślubić.

HELOIZA: Masz naprawdę taką ochotę wyjść za mąż?

SŁUŻĄCA: Młoda dziewczyna zawsze pragnie wydać się za mąż.

HELOIZA: Czy masz kochanka?

SŁUŻĄCA: Łatwiej jest o kochanka niż o męża.

HELOIZA: Jesteś bardzo młoda.

SŁUŻĄCA: Miałam trzynaście lat, kiedy miałam pierwszego kochanka. Miał włosy żółte jak mlecz. Następny był rudy jak wiewiórka. Trzeci miał oczy niebieskie jak pani. Czwarty miał czarne jak oczy pani kawalera...

HELOIZA: Już dość. Nie jesteś na spowiedzi. Powiedz mi tylko, jak wygląda ten, którego teraz kochasz.

SŁUŻĄCA: Jest brzydki, proszę pani. Czarny jak śliwka, pokręcony jak tarnina, a chodzi podskakując jak sroka.

HELOIZA: A jednak chcesz wyjść za niego za mąż?

SŁUŻĄCA: Gdybyśmy mogli się tylko urządzić... Najważniejsze to móc się urządzić. Co do reszty, aby całymi dniami spierać się, jak to robią państwo, na to trzeba mieć pieniądze. Sumienie, jak to nazywają ci panowie, jest rozrywką bogaczy...

ABELARD *(śpiewa):*

Hej! Pobierzemy się!
Król i błazen niosą dwie...

Podchodzi do Heloizy i śpiewa jej do ucha:

Dla królowej stągwie swe...
Hej! Pobierzemy się!

Chwyta służącą wpół i zaczyna z nią tańczyć.

Chce błaźnica stągwie dwie
I puszczyka sówka chce.
Hej! Pobierzemy się!

Puszcza służącą i odchodzi zataczając się.

Zdrowie... sowy... oraz... me.

SŁUŻĄCA: Nie ma pani szczęścia, pani chłop jest pijakiem.

Scena IV

Książę, Wielki Sędzia Garlande.

Przedsionek pałacu.

GARLANDE: Vorigny pobije na pewno Moreta i nasze opactwo jest zrujnowane.

KSIĄŻĘ: Bardzo mnie to smuci ze względu na ciebie, mój drogi Sędzio, ale nie widzę...

GARLANDE: A jednak, Mości Książę, król może uprzednio rozwiązać trybunał, orzec, że sprawa nie nadaje się do sądu i rozstrzygnąć spór przez decyzję administracyjną według naszej woli.

KSIĄŻĘ: Nic się nie znam na tych mnisich historiach, mój Garlandzie.

GARLANDE: Tylko ty jeden, mój Książę, możesz rozmawiać długo z królem przed wyruszeniem na wojnę, tylko ty jeden możesz go przekonać.

KSIĄŻĘ: Mój ojciec nie uwierzyłby własnym uszom...

GARLANDE: Wiele wagi przywiązuję do tej sprawy. Pomyśl, Książę, że jedno twoje słowo wystarczy...

KSIĄŻĘ: Dosyć, Garlandzie. Twoje mnichy mnie ani ziębią, ani grzeją. A jednak istnieje pewna możliwość, że będę interweniował. Powiedz mi szczerze, czy sprawę Abelarda można załatwić równie lekko jak tamtą?

GARLANDE: Wystarczy, że poślubi siostrzenicę kanonika. Wyrok, wydany dzisiaj zaocznie, straci natychmiast swoją moc, skoro przestępstwo przestanie istnieć. Nie można porwać swojej własnej żony.

KSIĄŻĘ: Nie chcę, aby został zmuszony do małżeństwa.

GARLANDE: Trybunał się wypowiedział. To trudna sprawa... Trzeba byłoby dowieść, że Fulbert złożył fałszywe świadectwo.

KSIĄŻĘ: Nie byłbyś Wielkim Sędzią, głową całej policji królestwa, gdybyś nie potrafił znaleźć świadków, którzy by zaświadczyli, że ów świadek był fałszywym świadkiem.

GARLANDE: To nie jest niemożliwe.

KSIĄŻĘ: I także nie jest niemożliwe, abym się zainteresował tą mnisią kłótnią.

GARLANDE: Mogę to uzyskać, aby skasowano wyrok przeciwko Abelardowi.

KSIĄŻĘ: Śpiesz się. Obawiam się, aby Abelard nie zdecydował się na małżeństwo, kiedy dowie się o dzisiejszym wyroku.

GARLANDE: Trzymamy zawsze, na wszelki wypadek, kilku świadków, którzy dobrze o tym wiedzą, że zawiśliby już dziesięć razy na szubienicy, gdyby nie świadczyli jak trzeba.

KSIĄŻĘ: Byłbym jeszcze bardziej zadowolony, gdyby do tego Fulbert został wygnany.

GARLANDE: W rzeczy samej wydaje mi się, że gadatliwość tego kanonika zakłóca spokój królestwa.

KSIĄŻĘ: Ponieważ do tego stopnia się zgadzamy, Wielki Sędzio, wyjaśnij mi owe spory mnichów, abym mógł o nich mówić mojemu ojcu z całym przekonaniem.

Scena V

Ta sama dekoracja, co w scenie pierwszej. Na szyldzie napis „Na przedmieściu Nantes". Poprzez szybę widać ostatnią kwadrę księżyca. Światło jutrzenki. Abelard w stroju podróżnym z kijem w ręku siedzi na ławce. Łokcie położył na stole, głowę ukrył w rękach.

Cisza. Pianie koguta. Cisza.

Heloiza wychodzi z głębi oberży z derką narzuconą na ramiona.

ABELARD: Jesteś, kochanie. Jeszcze cała ciepła od snu.

HELOIZA: Będę spała w drodze jadąc na ośle.

ABELARD: Może lepiej będzie, jeśli naprzód się przejdziesz. Ranek jest taki zimny.

HELOIZA. Okryję się tą derką.

ABELARD: Jak żebraczka. Wstydzę się, że wtrąciłem cię w podwójne nieszczęście.

HELOIZA: Jestem szczęśliwa, bo kroczysz u mojego boku.

ABELARD: Mieliśmy schronienie. Wypędziła nas z niego moja nieostrożność.

HELOIZA: Za chwilę zobaczymy, jak słońce podnosi się nad wrzosowiskami. Serca nasze zabiją radośnie.

ABELARD: Wstawać przede dniem, śpieszyć się drżąc z zimna i otulając odzieżą, kiedy ze snu jeszcze ciąży głowa. Dawniej błogosławiłem niebo, że zaoszczędziło mi losu wyrobników.

HELOIZA: Nim zamieszkaliśmy pod jednym dachem, tyle razy marzyłam o pierwszej jutrzence, która mnie znajdzie u twojego boku.

ABELARD: Nasza miłość już nie jest taka sama jak za pierwszych dni. Opaliła sobie twarz na włóczędze po drogach.

HELOIZA: Kiedyś mówiłeś: wystarcza, abym poczuł twoją rękę na ramieniu, a ogarnia mnie szczęście.

ABELARD: Czas niepodzielnego szczęścia — mówiłaś.

HELOIZA: Miłość, która jest cudem — mówiłeś. Ponieważ jesteś filozofem, dodawałeś: miłość z cudu czyni substancję każdej rzeczy, nie tylko miłości.

ABELARD: Cud przeminął. Przemijanie jest jego naturą. Ale miłość, nasza miłość, wydaje mi się teraz silniejsza.

HELOIZA: Zbyt wiele razy raniliśmy się wzajem, aby już wiedzieć na pewno, że nasza miłość nie ma nic wspólnego z egoizmem.

ABELARD: Każde z nas za często widziało, jak drugie słabnie przed próbą, aby już wiedzieć na pewno, że miłość ta jest silniejsza od wstydu.

HELOIZA: Już czas iść, Abelardzie.

ABELARD: Jeśli będziemy szli dobrze, dojdziemy do Nantes tego wieczoru.

HELOIZA: Znajdziemy tam bez wątpienia wiadomość od Księcia. On wie, że nas tam może odszukać.

ABELARD: Co nam doniesie?

HELOIZA: że skarga Fulberta została odrzucona.

ABELARD: ...albo, że zostałem skazany na galery.

HELOIZA: Chodźmy. Spotkamy może chłopa, który nas podwiezie. *(Abelard wstaje i utyka)*. Co ci jest?

ABELARD: Boli mnie skaleczona noga.

HELOIZA: Wyruszamy za wcześnie. Nie miałeś czasu odpocząć.

ABELARD: Lepiej wyruszać o świcie. Droga wydaje się krótsza.

HELOIZA: Zostańmy jeszcze dzień tutaj. Dobre nowiny będą na nas czekać...

ABELARD: Albo pachołkowie królewscy. Ale skoro już wstaliśmy, ruszajmy. Są w Nantes dobre oberże. Chciałbym, abyś spała tego wieczoru w dobrej oberży.

Ruszają w drogę, Abelard opiera się o ramię Heloizy.

ABELARD: Po miłości, która jest cudem, po przejściu przez miłość, w której kochankowie ranią się wzajemnie, miłość jest...

HELOIZA: Czym?

ABELARD *(nieco uroczyście)*: Współczuciem dla siebie dwóch istot, jednakowo świadomych, że walka, którą toczą ramię przy ramieniu, jest z góry przegrana... ale które upierają się, aby dalej walczyć.

HELOIZA: Możemy jeszcze ją wygrać.

ABELARD: Ludzie w końcu przegrywają zawsze... ponieważ umierają.

Scena VI

Książę, Margot, potem Żołnierz.

Przedsionek pałacu.

Wielka szachownica leży na stole. Książę i Margot na taboretach siedzą naprzeciw siebie.

MARGOT: Szach królowej!

KSIĄŻĘ: Nie!

MARGOT: Nie pytam cię, czy ci to sprawia przyjemność. On jest niemożliwy! Do tego stopnia się przyzwyczaił, że spełniają każdą jego najmniejszą zachciankę, iż wierzy, że figury szachowe będą mu równie posłuszne jak francuscy mieszczanie.

KSIĄŻĘ: Twój laufer może szachować moją królowę... ale wtedy mój skoczek zabiera ci wieżę.

MARGOT: Wieża za królową, to niedrogo. Zarabiam na wymianie.

KSIĄŻĘ: Czy nie widzisz, że z tej pozycji mój skoczek zamyka ucieczkę twojemu królowi, a jednocześnie, ponieważ zmienił miejsce, otwiera drogę mojemu czarnemu laufrowi, który idzie tutaj, i dostajesz mata w następnym ruchu. Spójrz.

MARGOT: Gra w szachy jest wstrętna. Zawsze zwycięża ten, kto najbardziej podstępnie kalkuluje. Pasuje to do ciebie. Ja muszę przegrać, jestem uczuciowa, porywcza, nie potrafię obliczać...

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ: Wasza Miłość, goniec królewski wyrusza.

KSIĄŻĘ *(do Margot)*: Skończymy tę partię za chwilę. Muszę napisać pilny list. *(Do żołnierza)* Przynieś mi inkaust i pióro.

MARGOT: Ja przez ten czas będę myślała nad twoją zgubą. Następny ruch jest mój.

Książę pisze. Margot rozmyśla.

MARGOT *(porusza figurą)*: Na ciebie kolej, d'Anjou.

KSIĄŻĘ *(rzuca spojrzenie na szachownicę)*: Byłem tego pewien. *(Robi ruch)*. Odpowiedź jest szybka.

Książę wraca do pisania. Mija krótka chwila.

MARGOT *(robiąc ruch)*: A czy to także przewidywałeś?

KSIĄŻĘ *(patrząc na szachownicę)*: No, no... ale robisz postępy.

Książę się zastanawia.

KSIĄŻĘ *(próbuje zrobić ruch na szachownicy)*: Nie, nie mogę. *(Rusza inną figurę)*. Tak także nie mogę... Twoje położenie jest coraz lepsze! *(Zastanawia się, potem robiąc ruch)*. Ale zobacz teraz! *(Wraca do pisania)*.

MARGOT *(pochylona nad szachownicą, zastanawia się, wydaje się rozgorączkowana, potem przesuwając figurę)*: Teraz ty.

KSIĄŻĘ *(rzuca szybkie spojrzenie, robi ruch)*: Na ciebie kolej! *(Wraca do pisania)*.

żołnierz wraca i staje na baczność po prawicy księcia. Co chwila rzuca spojrzenie na okno.

MARGOT *(po krótkim namyśle coraz bardziej rozgorączkowana)*: Uważaj, twój pionek. *(Zabiera pionka)*.

KSIĄŻĘ *(nagle przestaje pisać)*: Tym razem to bardzo dobrze. *(Zastanawia się, gra)*. Mam więcej strzał w kołczanie...

MARGOT *(gra bez namysłu)*: Teraz mogę już spokojnie szachować twoją królową.

KSIĄŻĘ: Bardzo dobrze. *(Zastanawia się, gra)*. Ale tego nie przewidziałaś.

MARGOT *(gra)*: Ani ty tego.

KSIĄŻĘ: Wspaniale! *(Próbuje różnych pociągnięć, cofa się)*. Teraz już rzeczywiście nie wiem, co zrobić. *(Próbuje, cofa się)*. Oczywiście, skorzystałaś z mojego roztargnienia. Nie można grać w szachy, ekspediując jednocześnie pocztę.

MARGOT: Książę pan nie docenił swego przeciwnika.

KSIĄŻĘ *(grając)*: Tak myślisz? Odpowiedz mi na to.

MARGOT *(grając):* Na ciebie kolej.

KSIĄŻĘ *(grając):* Na ciebie!

ŻOŁNIERZ: Goniec królewski odjechał.

KSIĄŻĘ: Wielki Boże! Każ siodłać konie, niech za nim gonią. W ciągu paru minut dam ci ten list, abyś mu doręczył.

ŻOŁNIERZ: Nie uda się doścignąć królewskiego gońca, Wasza Miłość. Ma on konie najszybsze i na każdym postoju...

KSIĄŻĘ: Tym gorzej. Wyślemy własnego gońca. Wyznacz człowieka, każ osiodłać konia. O ile go wyprzedzi goniec króla?

ŻOŁNIERZ: Na każdym postoju najlepsze konie zostaną zabrane przez królewskiego gońca. Musi odpoczywać po drodze albo też dać czas swojemu następcy do wyruszenia... trzeba liczyć trzy albo cztery dni spóźnienia.

KSIĄŻĘ *(na stronie):* Dobra nowina przychodzi zawsze za późno.

MARGOT: Szach Abelardowi, szach Heloizie i mat.

KSIĄŻĘ: A więc ty wiedziałaś?

MARGOT: Słyszałam, jak mówiłeś, że kiedy Abelard przybędzie do Nantes, dowie się o wyroku, który go skazuje. Znużony nieszczęśliwą wędrówką, chory w dodatku, nie będzie czekał na wynik twojej ostatniej interwencji u Wielkiego Sędziego. Wyrzeknie się, poślubiając swoją uczennicę, wielkiego przeznaczenia, które mu było sądzone. Z jego ostatniego listu widać było, że drży, aby wyrok nie został oddany do wykonania, że nie ma już odwagi opuścić oberży, w której się ukrywa ze strachu przed zwróceniem na siebie uwagi pachołków królewskich, że zapowiedzi już zostały ogłoszone i czekać będzie jeszcze tylko na gońca, który dziś opuszcza Paryż. Garlande był tutaj przed chwilą, aby oświadczyć księciu, że dotrzymał swojej obietnicy i że wyrok został uchylony. Było więc jasne...

KSIĄŻĘ: A więc to ty postarałaś się, abym nie zdążył wysłać listu.

MARGOT: Kiedy cały los przyjaciela zależy od jednego gestu, nie zapomina się o tym geście dla błahostki.

KSIĄŻĘ: „Uczuciowa, porywcza, nie umiejąca obliczać“ — aleś mnie wystrychnęła na dudka!

MARGOT: Jakżeżbym dotarła do ciebie, Wasza Miłość, w tym wielkim pałacu, gdybym nie była bardziej przebiegła niż stary gracz w szachy?

KSIĄŻĘ: Zapłacisz mi za to.

MARGOT: Małżeństwo, ponieważ laufer zaszachował królowę. Koniec wielkiej sławy, ponieważ drewniany skoczek, wysoki na ćwierć cala, zajął miejsce małego, śmiesznego pionka!

KSIĄŻĘ: Ale po jakiego diabła toś wszystko ułożyła?

MARGOT: Gdybym była tobą, Anjou, odpowiedziałabym: „Przez zamiłowanie do żartów". Czyż nie jest to twój styl? Ale ja, biedna dziewczyna, ja pomściłam się tylko za afront. Kiedyś...

KSIĄŻĘ *(kładzie palce na ustach):* Sza!... nie chcę o tym wiedzieć. Idź się przejść. Gdybyś została, usłyszałabyś wiele rzeczy nieprzyjemnych. *(Przewracając szachownicę).* Kiedy pionki są istotami ludzkimi, zawsze coś wyskoczy, co obali rachunek.

MARGOT *(odchodząc):* To ich serce, Wasza Miłość, ich śmieszne serce.

Scena VII

Ta sama dekoracja, co w scenie pierwszej. Paru pijaków, potem Abelard i Heloiza, służąca, potem chłop, potem goniec księcia.

Za kulisami głosy:

— Niech żyje panna młoda, niech żyje panna młoda!

Wchodzą: Abelard i Heloiza. Siadają.

SŁUŻĄCA: Teraz kolejka oberżysty. Niech żyją państwo młodzi.

PIJACY: Niech żyją państwo młodzi.

CHŁOP *(wchodząc):* Imć Abelardzie, nadzwyczajny goniec Jego Ekscelencji, Księcia d'Anjou, was szuka.

GONIEC *(wchodząc):* Imć Abelard?

ABELARD: To ja.

Goniec oddaje mu list. Abelard czyta. Heloiza czyta przez ramię.

ABELARD: Była to na pewno wola Boga. Bądź wola twoja.

HELOIZA: Szybko to powiedziałeś: wola Boga. *(Bierze list).* Ludzie mają nieszczęsne przyzwyczajenie przypisywania Bogu cierpień, o których wiedzą za mało, albo są zbyt lękliwi, aby odkryć ich przyczynę. *(Pokazuje palcem część listu).* Widzę, że

wyrok, który nas skazywał, został uchylony... prawie dwadzieścia cztery godziny... dokładnie osiemnaście godzin... wieczór, noc i poranek przed odjazdem zwykłego gońca... który tu przybył przedwczoraj. Anjou był uprzedzony, że nie będziemy czekać dłużej niż na przybycie tego gońca. Na pewno leżało mu na sercu, aby się nie spóźnić. Chciałabym znać imię Boga, który mu kazał o tym zapomnieć. Bóg wybiera często bardzo szczególne twarze, aby objawić przez nie swoją złą wolę. *(Patrzy uważnie na list)*. Ten list był przerwany w połowie. To bije w oczy. Tutaj pismo pośpieszne, litery niedokończone, tam pismo staranne, powolne, zmienia się styl, wszystko świadczy, że miał dużo czasu... Założę się, że goniec tu miał wyruszyć i że tam już było za późno... Zresztą, nawet pióro nie jest to samo. Pierwsze rysowało łepiej majuskuły. Wieczne męki! Jeśli istnieje piekło, jego imię jest niewiedza. Oddałabym całą wieczność, aby znać imię tego, który stanął pomiędzy tą stroną a tamtą stroną. Wiedziałam o tym dobrze, Abelardzie, że nasza przygoda nie skończy się przez: „pobrali się i mieli dużo dzieci“. Śpieszmy do Paryża. Wrócisz do swojej pracy. Anjou i ja odkryjemy na pewno jakiś sposób na fatalne skutki tego małżeństwa. I będziemy czuwać, żeby żaden cień nie padł na twoją chwałę. Palę się do walki. Do nas, bogowie przewróconych kałamarzy, zagubionych listów, skradzionych wieści, spóźnionych gońców, bogowie szyderstwa! Ty nic nie mówisz?

ABELARD: Myślę o szczęściu tych, którzy mówią amen, nie pytając, jaka twarz posłużyła do zamaskowania woli Boga.

HELOIZA: Czy naprawdę wierzysz w ich szczęście?

ABELARD: W rzeczywistości nie. Nierozbudzeni, odrętwiali i boleśni są jak gałąź, która wyrywa się do słońca i spoczywa jeszcze w śnie zimowym.

HELOIZA: A gdyby trzeba było zaczynać, czy raz jeszcze wybrałbyś poszukiwanie prawdy?

ABELARD: Tak samo nie wybierałem miłości prawdy, jak miłości Heloizy, jak tego, że jestem Abelardem. Tak jest. Tak być musi.

Pijacy i chłopi otaczają Abelarda i Heloizę i porywają ich krzycząc:

— Niech żyją państwo młodzi!

KONIEC AKTU DRUGIEGO

AKT TRZECI

Scena I

Ta sama dekoracja, co w akcie pierwszym, tylko skomplikowany mechanizm zamka jest już niepotrzebny. Druty zwisają i przewrócony mechanizm leży na stole.

Fulbert śpi w alkowie. Widać jego nogę. Na dwóch zaimprowizowanych posłaniach, na prawo i lewo od wielkiego stołu, śpią w ubraniach kanonik kapituły Notre Dame i majster prowadzący budowę katedry.

Świta.

Na stole dzbanki i kielichy, jeszcze pełne wina, widoczny nieporządek po nocy spędzonej na pijaństwie.

Turkot przejeżdżającego wozu, zgrzyt kół, uderzenia bicza, pokrzykiwania woźnicy. Z daleka uderzenia młotów i dźwięk piły. Majster budzi się, przeciąga, podchodzi do okna i rozgląda się.

KANONIK *(budząc się):* Jeśli dobrze słyszę, już pracują na waszych rusztowaniach, majstrze.

MAJSTER: Od pierwszego brzasku do późnego zmierzchu.

KANONIK: Będziesz dzisiaj zachrypniętym głosem krzyczał na swoich czeladników.

MAJSTER: Wino mszalne dobrze ci zrobi na zgagę, księże kanoniku, po napojach bardziej pieprznych.

KANONIK: Fulbert uraczył nas dzisiejszej nocy jak oberżysta, który chce opróżnić swoje piwnice przed zajęciem.

MAJSTER: Nigdym się tego nie spodziewał. *(Rzuca spojrzenie na nieruchomą nogę Fulberta).* Zawsze skąpił wina.

KANONIK *(półgłosem):* Jego kielichy były słynne w całej kapitule. Czy zauważyłeś, jaki mają kształt? Udają, że się w nich wiele zmieści. *(Patrzy na nogę Fulberta).* Mówią, że aby je napełnić, wystarczy łza kata.

MAJSTER: Tej nocy kat był skłonny do płaczu. Za każdym razem, kiedy chcieliśmy odejść, nalewał nam podwójną miarkę, jak gdyby chciał nas zwalić z nóg.

KANONIK: Upijał nas z takim zapałem, jak zakochany, który chce zatrzymać dziewczynę.

MAJSTER: Na honor, coś mi się widzi, że o drugiej z rana odgrywaliśmy romans Abelarda z Heloizą.

KANONIK: Sza!... Po przebudzeniu może mu się to mniej podobać niż w oparach wina.

MAJSTER: Ksiądz kanonik ustroił się w czepek i wdzięczył się jak dziewica, która szuka nabywcy.

KANONIK: Tyś był Abelardem. Wygłosiłeś bardzo piękną przemowę o prawach rozumu do rozstrzygania o wszystkim... nawet o zadku.

MAJSTER: Ksiądz kanonik pamięta? Nasz gospodarz właśnie wtedy objaśniał świece, a Fulbert — pytałem — jaką rolę odegra? Swoją własną — ksiądz odpowiedział — wystarczy, że będzie dalej trzymał świecę. Ha, ha, ha!...

KANONIK: Cicho! Mówię ci, że na czczo może go ta cała historia mocno urazić.

MAJSTER: Nie ma już powodu, ponieważ winny naprawił szkodę. Abelard uwiódł jego siostrzenicę, poślubił ją i znowu jest wszystko w porządku. W końcu tym Fulbertom wszystko się zawsze udaje. Posag nie musiał być wielki, ale szkoła Abelarda jest kopalnią złota.

KANONIK: A teraz turkaweczki przysięgają, że nie było nigdy ślubu.

MAJSTER: Abelard nie chce sobie zamykać drogi, która prowadzi do Rzymu.

KANONIK: Przyznaj, że to jest bardzo dziwne. Jednego dnia są po ślubie, nazajutrz już nie są. Dziś odbywa się ślub w Nantes z wielką ceremonią, jutro jest odprawiony potajemnie w małej wiosce bretońskiej. Pojutrze, ślubu w ogóle nie ma i Heloiza gotuje się wstąpić do klasztoru.

MAJSTER: To zupełnie jasne. Abelard jest żonaty dla Fulberta, kawalerem dla arcybiskupa.

KANONIK: Warto byłoby jednak wiedzieć, gdzie zamieszkała prawda — u Fulberta, czy u arcybiskupa.

MAJSTER: A dlaczego ma być tylko jedna prawda?

KANONIK: Nie można być jednocześnie kawalerem i żonatym.

MAJSTER: Widać, że ksiądz kanonik nie jest teologiem. Skoro można być jednocześnie dziewicą i matką, ojcem, synem i w dodatku jeszcze gołębiem, czemużby Abelard nie mógł... Dziwisz się, że udało mu się tak łatwo oszukać naszego gospodarza. Mówiąc filozoficznie, co się stało? Pojęcie człowieka we-

szło na pojęcie dziewicy i poczęło pojęcia dzieci. Otóż pojęcia są tylko *flatus vocis*, falą głosu, a więc Fulbert...

FULBERT *(wyskakując z alkowy):* ...widział w nich tylko wiatr. Taki już ma zwyczaj. Nie czerwień się, bracie. Nie blednij, majstrze. Przysięgam wam, że słyszałem tylko ostatnie słowo. Co to zresztą ma za znaczenie. Czy można upokorzyć cień cienia? Za życia stałem się... alegorią. Fulbert nie jest już imieniem własnym, panowie. Wszedł do języka. Można mówić do wyboru: Fulbert albo rogacz, Fulbert albo ślepiec i jeszcze Fulbert albo poczciwina. Dziewczyna chodzi z brzuchem i przysięga, że to przepuklina; mówią jej: „powiedz to Fulbertowi". Strażnik przyjmuje garniec wina: „dziękuję — mówi — nie krępujcie się, będę prawdziwym Fulbertem". Architekt wykrywa fuszerkę: „Proszę mi darować — mówi murarz — myślałem, że pracuję u Fulberta". Mieszczanin spostrzega, że oszukał go kupiec: „Czy pan mnie ma za Fulberta".

KANONIK: Nie bluźnijcie.

FULBERT: Już nie gra się w ciuciubabkę, ale w „wujaszka Fulberta", a dziewczynka, której chcą zawiązać oczy, protestuje: „nie, już nie chcę być Fulbertem". Nie krępujcie się, panowie. Jestem do tego przyzwyczajony. Kiedyś byli ślepi ojcowie, wyrozumiali mężowie, wywiedzeni w pole małżonkowie i ofiarne kozły; teraz są tylko Fulberty. *(Wiatr trzaska drzwiami jak kilkakrotnie przedtem, zanim Fulbert się obudził)*. Kto tam? Proszę wejść. Nie, nie! nie wchodzić, nie wchodzić. Proszę zaczekać, już idę.

KANONIK: To wiatr. Ale ksiądz jest nerwowy. Za wiele ksiądz pił tej nocy.

MAJSTER: Nazajutrz po pijaństwie bierze się zmartwienia zbytnio do serca.

FULBERT: Fulbert nie ma zmartwień. Zmartwienia to zbyt szlachetne dla Fulberta. Postać z farsy może mieć tylko boleści.

MAJSTER: Wszystko zależy od humorów. W tym usposobieniu całe życie jest tylko farsą.

FULBERT: Może uda mi się zrobić z tej farsy dramat.

Wiatr znowu trzaska drzwiami.

FULBERT *(podskakując):* Idę, czekajcie na mnie!

KANONIK: To tylko wiatr, mój bracie.

MAJSTER: Wydawałoby się, że to kochanek czekający na dziewczynę.

FULBERT: To, coś powiedział, jest bliższe prawdy niż myślisz.

KANONIK: Jesteś bardzo dziwny tego ranka, mój bracie. Na waszym miejscu nie dodawałbym tyle przypraw do wina. Pobudza to humory we krwi i do głowy uderzają siarkowe wapory, które z materią mózgu tworzą związki kwaśne i duszące.

MAJSTER: To prawda. Miał koszmarne sny przez całą noc.

FULBERT: Ja? Sny? Nigdy mi się nic nie śni.

MAJSTER: Przewracałeś się na pościeli, wzdychałeś, krzyczałeś...

FULBERT: Czy coś powiedziałem? Coście usłyszeli?

MAJSTER: Było to bardzo niewyraźne. Zdawało się, że bierzesz udział w jakiejś wyprawie. Biłeś się z kimś, szamotałeś się z pościelą jak z przeciwnikiem... to znów krzyczałeś: „Trzymajcie go! Trzymajcie"...

FULBERT: Co jeszcze powiedziałem?

MAJSTER: Mnie się także w głowie kręciło. Niedobrze pamiętam.

FULBERT: Czy nic nie pamiętasz?

MAJSTER: Nie. Jakbym wodę chciał zatrzymać między palcami.

FULBERT: Ani jednego słowa?

MAJSTER: Jedno słowo, tak. Teraz sobie przypominam, ponieważ zacząłem się śmiać, to było bez sensu. Nie było żadnego powodu do śmiechu. Jakżeż można się śmiać z jednego słowa, nawet nie z jednego słowa, ale z jednej sylaby. Jedna sylaba, samiuteńka, to zupełnie jak jedna nuta, to jeszcze nie tworzy melodii. „D o" *(śpiewa)* w każdej gamie będzie zawsze tylko: d o, d o, d o.

FULBERT: Ale słowo — jakie to było słowo?

MAJSTER: Czyż było to chociaż słowo? Raczej dźwięk, dźwięk, nic więcej: maleńki skurcz gardła, drżenie języka, nieznaczna fala powietrza wyrzucona z gardła, nic. A jednak, jeśli sędzia powie to do kata, głowa spada.

FULBERT: Głowa spada, głowa spada... Cóż to za dźwięk, który strąca głowy?

MAJSTER: Wyszeptane przez śpiącego jest niczym. Niczym, niczym, niczym!

FULBERT: „Nic" nie strąca głów.

MAJSTER: Nie powiedziałem, że to było nic...

FULBERT: Sędzia mówi do kata...

MAJSTER: Nie musi koniecznie spaść głowa. Może to być ręka, ucho, członek...

FULBERT: Sędzia mówi do kata...

MAJSTER: Tnij!

ŻOŁNIERZ *(otwiera drzwi i krzyczy)*: Księże kanoniku...

FULBERT: Och! *(Podnosząc głowę)*. Czekać tam, idę do was. *(Do swoich gości)*: Mam jedną sprawę z tym człowiekiem. Chwileczkę. Zostańcie tutaj, zaraz wracam.

Fulbert wychodzi.

KANONIK: Coś w trawie piszczy.

MAJSTER: Jego coś gryzie.

KANONIK: Żal mi go bardzo.

MAJSTER: Już się z tego wszystkiego nie wygrzebie.

KANONIK: To zacny człowiek.

MAJSTER: Człowiek jak wszyscy inni.

KANONIK: W kapitule chętnie słuchaliśmy jego zdania.

MAJSTER: Dawał swoim życiem dobry przykład.

KANONIK: Zdawało się, że ma mocną głowę.

MAJSTER: Mógłby być z niego uczciwy kupiec, sędzia, który by budził posłuch dla prawa, albo dobry majster murarski.

KANONIK: Ludzie tacy, jak on, są potrzebni królestwu.

MAJSTER: Ale królestwo istniałoby równie dobrze, gdyby nie było Abelarda.

KANONIK: Tacy są zawsze przyczyną zamieszek. Wystarcza, że przeszedł tędy Abelard, aby całe życie uczciwego człowieka zostało wstrząśnięte.

MAJSTER: Przydałyby się prawa, aby nas uchronić od tych uczonych gadaczy. *Flatus vocis, flatus vocis*, nic tylko dmuchnięcie głosu. Ale to maleńkie dmuchnięcie wywraca wielkie budowle.

KANONIK: Zwykły rozpustnik nie dokonałby tylu spustoszeń. Heloiza straciła dobrą opinię. To nieszczęście zdarza się w najlepszych rodzinach. Fulbert by ją wyklął albo przebaczył i dałby sobie jakoś radę.

MAJSTER: Rozpustnika okrywa hańbą jego rozpusta. Ale Abelard umie mówić tak pięknie, że w końcu cnota jest zhańbiona przez rozpustę.

KANONIK: W końcu można by cieszyć się z nieszczęścia Fulberta, jeśli pozwoliłoby to zacnym ludziom uzyskać zamknięcie szkoły Abelarda.

MAJSTER: Rzeczywiście, jego rozpusta zrujnowała tylko jedną rodzinę, ale jego nauczanie jest klęską publiczną.

KANONIK: Sprawa poszła dalej, niż się myśli.

MAJSTER: Ja widzę w tym bezpośrednie wdanie się diabła. Uczyć, że rozum może być sędzią wszystkiego! To podszept samego szatana.

KANONIK: To w końcu prowadzi na stos.

MAJSTER: Nic dziwnego, że młodzież tłoczy się na jego wykłady. Zło zawsze jest bardziej kuszące niż dobro. To znane.

KANONIK: Słyszałem, że Bernard de Clairvaux składa na niego skargę na najbliższym soborze. Czytałem akt oskarżenia: „Abelard — pisze Bernard — jest człowiekiem, dla którego nie ma nic świętego, który nie szanuje żadnej tajemnicy, który wszystko chce oglądać twarzą w twarz“.

MAJSTER: „Który wszystko chce oglądać twarzą w twarz“ — W tym jest sedno sprawy.

KANONIK: Sprawa potoczyła się dalej niż myślicie.

Wraca Fulbert.

FULBERT: Panowie... moi przyjaciele... kamraci... moi bracia, stało się coś strasznego... Jakie szczęście, żeście nie wyszli stąd tej nocy... Nieszczęśliwego Fulberta chcą oskarżyć o straszne rzeczy... Kamraci, zaświadczycie, że nie wychodziłem stąd przez całą noc...

KANONIK: Co się dzieje?

MAJSTER: Stało się coś strasznego?

FULBERT: Nie opuściliście mnie ani na chwilę... Tyś widział, jak spałem, obserwowałeś, jak się miotam, słyszałeś, jak krzyczę... Choćby Abelard miał za sobą najwyższe osoby... wy jesteście świadkami. Nawet książę krwi tu nic nie może... Będziecie świadczyć, nieprawdaż?

KANONIK: Co się stało Abelardowi?

MAJSTER: Podejrzewałem, że coś będzie.

FULBERT: Nie pozwolicie na skazanie niewinnego. Będziecie świadczyć, prawda, że nie opuściłem tego pokoju przez całą noc...

KANONIK: Mów wreszcie...

MAJSTER: Co się stało?

FULBERT: Przyrzeknijcie mi naprzód, że będziecie świadczyć.

KANONIK I MAJSTER: Będziemy świadczyć, będziemy, ale powiedz...

FULBERT: Tej nocy, o drugiej nad ranem, w swoim pokoju Abelard poniósł karę, na którą zasłużył.

KANONIK: Został zabity?

MAJSTER: Zasztyletowany?

KANONIK: Poderżnięto mu gardło?

MAJSTER: Uduszony?

FULBERT: Byłby szczęśliwy, gdyby zginął na miejscu. Żyje... aby odpokutować.

KANONIK: Ach, jeśli jest tylko raniony...

MAJSTER: Bydlę zostanie groźne.

FULBERT: Został ukarany w samym instrumencie swojego grzechu.

KANONIK: Jak to?

MAJSTER: Nie mogę sobie tego wyobrazić...

FULBERT: Kiedy koń jest zbyt narowisty i nie da się ujeździć...

MAJSTER: Ach, ach, ach!... jest skastrowany!

KANONIK *(żegnając się)*: Chwała niech będzie Bogu.

FULBERT *(żegnając się z kolei)*: Chwała niech będzie Bogu.

MAJSTER *(klepiąc Fulberta po ramionach, po plecach, po brzuchu)*: Ach, ach, ach!... To mi się podoba, stary przyjacielu... „W samym instrumencie"... Świetny dowcip. Nie będzie nawet mógł wnieść skargi. Cała Europa będzie ryczeć ze śmiechu... Nasz wielki Abelard, chwała Sorbony, światło królewskie, nasza narodowa sława!... Światło zostało zdmuchnięte, skończyła się sława.

KANONIK: Zgodnie z rytuałem, nie będzie mógł nawet zostać księdzem. Napisane jest w księgach Deuteronome: „Eunuch nie wejdzie do świątyni pańskiej", a Rzym utrzymał anatemę Jeruzalem. On, który ukrywał swoje małżeństwo... małżeństwo może zostać rozwiązane przez papieża albo przez śmierć, ale to...

MAJSTER: Szach królowi i królowej i mat. To najpiękniejszy cios, jaki widziałem.

KANONIK: Gdyby trybunał skazał go choćby na najlżejszą karę, doszłoby do zamieszek w jego obronie. Tym razem... ale któż będzie protestował... Śmiech przytłumi krzyki.

MAJSTER: Jesteś wielkim człowiekiem, Fulbercie.

FULBERT: Nie zapomnijcie, przyjaciele, że ja nie brałem w tym udziału. Dowiedziałem się o wszystkim przed chwilą od przyjaciela, który to usłyszał na ulicy; już całe miasto o tym mówi. O drugiej nad ranem...

MAJSTER: Ty byłeś tutaj i raczyłeś nas winem.

FULBERT: Będziecie świadczyć?

KANONIK: Będziemy świadczyć.

MAJSTER *(klepiąc go po plecach):* Będę świadczył, będę; podobasz mi się, mój kuzynie.

KANONIK *(z okna):* Zdaje mi się, że widzę waszą siostrzenicę.

FULBERT *(wyglądając przez okno):* To ona — czyżby już wiedziała?

MAJSTER: Będzie cię skarżyć o kradzież: „Wujaszku, skradziono mi, skradziono mi mego...“ Ach, ach, ach, jakże to ona powie.

KANONIK: Wolę tego nie słyszeć. Samice są groźne w takich chwilach. Uciekam, Fulbercie, bez pożegnania. Zawsze jestem gotów świadczyć.

MAJSTER: Ja także idę. Zanadto lubię dziewczęta, aby słuchać, jak skarżą się na takie rzeczy... słowo honoru! Niczego sobie dzierlatka, milutka, w sam raz... Chętnie bym się ofiarował na zastępcę. Nie żegnam się. Nic się nie bój.

Scena II

Heloiza i Fulbert.

Heloiza wchodzi i powoli zbliża się do Fulberta. Fulbert udaje, że pisze.

HELOIZA: Piękny mamy dzisiaj poranek, mój wuju.

FULBERT: Heloiza...

HELOIZA: Ptaki śpiewają nad brzegami Sekwany.

FULBERT: Nie oczekiwałem...

HELOIZA *(zbliżając się do Fulberta):* Czy wiesz, co widziałam przed chwilą wśród bluszczu na stokach Saint-Michel? Parę zakochanych szczygłów. Wabiły się, uderzały się dziobkami jak w czasie naszej podróży poślubnej po drogach Bretanii. *(Staje tuż przed Fulbertem).* Ach, wujaszku, skakały na

siebie. *(Pochyla się nad Fulbertem).* Czy nie czujesz, ile dzisiaj miłości jest w powietrzu? Wszystko jest dzisiaj miłością.

FULBERT *(odsuwa się, ale nie wstaje ze stołka)*: Heloizo...

HELOIZA *(cofa się)*: Słowo „miłość" przeraża cię dzisiaj, Fulbercie. *(Mierzy go wzrokiem).* Przebacz mi, wuju. Jestem wzruszona widząc to miejsce. Tutaj zaczęłam kochać mojego męża. Młode kobiety nie zapominają łatwo takich wspomnień. Pierwsze pocałunki...

FULBERT: Czy uważasz, że jest na miejscu...

HELOIZA: Ale jak teraz wygląda ten pokój? Jak w nim duszno. Oczywiście, ty w nim żyjesz. Puszczyk zajął nasze dawne gniazdo. *(Pokazuje na zwisające druty po zamku).* Śpiąca królewna odeszła ze swoim księciem i po powrocie znalazła swój pałac w ruinach *(wskazując na Fulberta)* i puszczyka tam, gdzie stało łóżko. Jesteś naprawdę podobny do puszczyka. *(Zbliżając się).* Odezwij się. Jaki masz głos? Czy puhukujesz? Czy może kraczesz? *(Znowu się w niego wpatruje).* Jesteś smutny tego ranka, Fulbercie. Musiałeś zrobić coś bardzo złego.

FULBERT: Nie pozwalam ci...

HELOIZA *(znajduje kapelusz majstra i podnosi go)*: Czyżbym ci przeszkodziła? Jeden z was nie miał odwagi spojrzeć w twarz Heloizie. Coś wstrętnego musiało się tutaj dziać, kanoniku. *(Znajduje kapelusz kanonika).* Ale was było trzech! Kruki zawsze zlatują się stadami. Już wiem, co tu było. Układaliście się, ile zapłacić za wasz niecny postępek. Nic nie mówisz, mój wuju? Kiedyś byłeś bardziej rozmowny. Lubiłeś się chwalić. Więcej miałeś wzniosłych słów w ustach niż książę ma piór na swoim kapeluszu. Jeżeli czołgasz się teraz jak zbity pies... chociaż nie mam kija — to co zrobiłeś, musiało być wstrętne.

FULBERT: Mam tego dość... *(Heloiza odwraca się do niego plecami i podchodzi do krucyfiksu).* Winnaś mi przynajmniej szacunek.

HELOIZA: Zastanawiałam się często, na ile szczere są modlitwy, których twój zawód wymaga.

FULBERT: Ona teraz bluźni!

HELOIZA: Co może pokochać w Chrystusie człowiek taki jak ty? Chrystus rozmnożył chleby. Ludzie tacy, jak ty, wolą, żeby zboże spaliło się na pniu albo żeby skisła mąka, ponieważ głód innych dodaje im apetytu. Chrystus zmienił wodę w wino.

Wino każe kochać miłość, dodaje chłopcom śmiałości i dziewczęta popycha w ich ramiona. Ach, mój wuju, chrześcijanie twojego gatunku zawsze zamieniali wino w wodę. Chrystus przebaczył kobiecie cudzołóstwo. Was podnieca kara, tak jak prawdziwych mężczyzn podnieca kobieta. Chrystus uczył przebaczać zniewagi. Obmyślać zemstę jest twoją jedyną rozkoszą. W tym jednym zgadzam się z tobą. Czuję, że mamy wspólną krew. Gdybyś wiedział, jaką zemstę obmyślam w tej chwili.

FULBERT: Ona jest szalona!

HELOIZA: ...już wiem, Chrystusie, czemu ten człowiek przyznał się do ciebie i nosi twoją suknię. To dlatego, że zostałeś ukrzyżowany. Podnieca go twoja cierniowa korona, podnieca go, że byłeś bity, opluty i znieważony.

FULBERT: Ona zwariowała i bluźni!

Heloiza podchodzi do Fulberta, który ucieka za stół. Siada na jego miejscu.

HELOIZA: Tutaj pracował mój Abelard. Kiedy przyszedłeś, udawałam, że jestem na pokucie. Ty to lubisz. W ten sposób udało nam się ciebie oszukać. Przypominasz sobie, wujaszku *Bachtugulu buflu*, hebrajskie deklinacje, przebaczyłeś nam chyba? Jesteś zbyt rozumny, aby nam mieć za złe tę psotę? Niewinną psotę zakochanych. Byłam wtedy bardzo płocha. Wyobraź sobie, mój wuju, że byłam zazdrosna o jego pracę. Abelard siedział na tym samym stołku. Podnosił swoje piękne, myślące czoło. Czatowałam na jego twarz napiętą, jak gdyby coś ścigał. Byłam wściekła, że na mnie nie patrzy. Wbiegałam pod pozorem, że chcę wziąć jakiś rękopis albo podnieść pióro, które umyślnie zrzucałam na ziemię. Zmuszałam go, aby usłyszał szelest mojej sukni, który drażni mężczyznę, ponieważ przypomina mu szelest innych sukni, które darł, miął i rozrywał. Ale o czym mówię tobie, mój wuju. Jest to dla ciebie, jakbym mówiła po hebrajsku. O miłości wiesz tylko to, co szepczą w konfesjonale. Suknie kobiece są dla ciebie nieme. Mój biedny wuju! Czerwienisz się? Tak, czerwienisz się. A jednak chciałam ci zadać jedno pytanie, ale przedtem przebacz mi, jeżeli przed chwilą obraziłam cię moimi słowami. *(Podnosi się)*. Mam dzisiaj trochę gorączki. *(Zbliża się do niego)*. Chciałabym, zanim postawię ci to pytanie, uzyskać twoje przebaczenie. Przebaczasz mi, wuju?

FULBERT: Nie rozumiem cię, Heloizo.

HELOIZA: Nie chcesz mi przebaczyć?

FULBERT: Chętnie ci wybaczę, moje dziecko, ale...

HELOIZA: Przebaczyłeś mi. A teraz moje pytanie. *(Zbliża się do Fulberta, siada na brzegu stołu, kładzie mu poufale rękę na ramieniu)*. Spędziłam u ciebie, nieprawdaż, najszczęśliwsze lata mojego dzieciństwa?

FULBERT: Mam nadzieję, że były dla ciebie szczęśliwe.

HELOIZA: Widziałeś, jak dorastałam.

FULBERT: Oczywiście.

HELOIZA: Nie opuszczałam tych miejsc. Słyszałeś mój śmiech przez cały dzień, miałeś mnie ciągle przed oczami, byłam chyba radością twojego domu.

FULBERT: To prawda, moja córko.

HELOIZA: Chcę, abyś był ze mną zupełnie szczery. Przysięgnij, że będziesz szczery.

FULBERT: Przyrzekam ci z całej duszy.

HELOIZA: Przysięgnij, wuju.

FULBERT: Ksiądz, Heloizo, nie może sobie pozwalać na takie głupstwa.

HELOIZA: Nie jest głupstwem przysięgać, że powie się prawdę.

FULBERT: Ale po co?

HELOIZA: Czy tak bardzo boisz się prawdy?

FULBERT: Przysięgam, że powiem prawdę.

HELOIZA: Chciałam wiedzieć... Ach! jakże jesteś zmieszany. Ale nie, to nie to pytanie, którego się boisz. Jeszcze nie. Chciałabym wiedzieć... Młoda siostrzenica w twoim księżym domu, uczennica, która nagle dorosła... czy widziałeś w niej kiedy kobietę?

FULBERT: Heloizo...

HELOIZA: Chciałabym wiedzieć, jakie miejsce zajmowałam w twoich marzeniach, które snułeś, zanim zasypiałeś.

FULBERT: Zabraniam ci...

HELOIZA: Powiedz mi, czy nie miałeś kiedy ochoty dotknąć ręką tej piersi, która w twoich oczach z dnia na dzień stawała się coraz pełniejsza?

FULBERT: Zaprzestań tej niecnej zabawy!

HELOIZA: Przysięgnij, że nie miałeś nigdy ochoty żyć z tą młodą dziewczyną, która mieszkała pod twoim dachem.

FULBERT: Ladacznico!

HELOIZA: Ach! wiedziałam, wiedziałam, że nie jesteś mężczyzną.

FULBERT: Do czego zmierzasz?

HELOIZA: Czemu ci tak pilno dowiedzieć się, do czego zmierzam?... W tej chwili patrzę na ciebie. Próbuję sobie wyobrazić, w jaki sposób to by się odbyło, gdyby natura uczyniła z ciebie pełnego mężczyznę. Ale nawet we śnie pewne obrazy nie mogą się ze sobą sparzyć. Patrząc na ciebie, nic więcej tylko patrząc na ciebie, odczuwa się wstręt. Chuda brzydota czasami przeraża. Twoje obwisłe policzki budzą mdłości, torby pod twoimi oczami są lepkie jak gdyby poplamione oliwą. Dotykając ich bałabym się, że sobie potłuszczę palce. Od jak dawna nosisz tę swoją brudną sutannę? Widziałam cię w niej przez tyle lat, że wydawało mi się, iż to twoja własna skóra. W końcu zapomniałam, że możesz mieć coś pod spodem.

FULBERT: Ladacznica!

HELOIZA: Co za głupiec powiedział, że ladacznice wybrały najłatwiejszą drogę. Przecież dziewka, której zapłacisz, musiałaby zmusić swoje ciało, aby się ocierało o twoje i zachować jeszcze dosyć wielkoduszności, aby stłumić czkawkę. Ladacznice są święte. Powinny dziękować Bogu, że nie jesteś zdolny do tej roboty.

FULBERT: Wynoś się stąd!

HELOIZA: Łagodniej, Fulbercie. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia... Ten pokój spustoszony jakoś dziwnie na mnie działa. Czyżby mi się kręciło w głowie od tego, że na ciebie patrzę? Chcę przed tobą otworzyć moje serce, wujaszku.

FULBERT: Uciekaj stąd, diablico!

HELOIZA: Bardzo byś żałował, Fulbercie, gdybyś mi nie pozwolił skończyć tego, co chcę powiedzieć. Ale naprzód zmuszę cię, kanoniku, abyś wysłuchał mojej spowiedzi. Tutaj znajdował się Abelard, zatopiony w swoich myślach, kiedy nagle na szelest mojej sukni fala krwi uderzała mu do głowy. Ten płomień zapalał mnie z kolei, ale udawałam, że uciekam, aby jego poryw stał się gwałtowniejszy. Jakżeż przejmująca była ta gra, jakżeż bolesne jest jej wspomnienie. Czułam, jak mnie nakrywa fala, stawałam się coraz bardziej pusta, aby lepiej czuć ocean, jaki mnie ogarniał i wypełniał. Ten zawrót nie da się opisać. Trzeba go przeżyć, wuju. Mój wzrok przez ten czas go nie opuszczał. Czatowałam na odbicie w jego oczach przepaści,

która otwierała się we mnie i mnie unosiła. Opierałam się uderzającej fali i dopiero, kiedy on się zapadał, poddawałam się i ja z kolei i ta sama fala zabierała nas dwoje; zapadaliśmy się w tę samą przepaść szczęścia i odnajdowaliśmy się potem płynąc obok siebie na uspokojonym oceanie. Co ci jeszcze powiedzieć? Miłość, jaką potrafił we mnie wzbudzić, wystarczała nieraz samej sobie. Jakżeż ci to wytłumaczyć? Byłoby to ślepemu mówić o kolorach. Wysil swoją wyobraźnię. Prosiłam go, jakby dla żartu, aby zapominał o mnie. Zakazywałam mu oddawać pieszczoty. Czatowałam na jego spojrzenie i tak go umiałam kochać, że kiedy oczy jego zalewała fala, czułam, jak i mnie ona drąży i staczaliśmy się w tę samą przepaść. Tak był kochany Abelard. Tego doświadczył, Fulbercie. Twój niecny postępek dzisiejszej nocy nie potrafi niczego zmienić.

FULBERT: Nie rozumiem cię.

HELOIZA: Nic na to nie poradzisz, Fulbercie. Twoja zbrodnia nie zrobi z ciebie mężczyzny. Ale Abelard, choć okaleczony najokrutniej, będzie zawsze kochankiem, jakiego ci opisałam, i był kochany, jak ci to opowiedziałam.

FULBERT: Moja zbrodnia?

HELOIZA: Przyznałeś się, Fulbercie. Całe twoje zachowanie jest wyznaniem.

FULBERT: Do jakiej zbrodni się przyznałem? Jakie nieszczęście zdarzyło się Abelardowi?

HELOIZA: Nie potrafisz oprzeć się torturom, biedny wujaszku. Wystarczyło, że przyszłam, i jesteś zmieszany jak uczeń złapany na gorącym uczynku.

FULBERT: Nie ruszałem się stąd ani na krok przez całą noc. Mam świadków.

HELOIZA: Cóż ci pomogą świadkowie, kiedy zbrodnia jest podpisana. Równie haniebnego czynu mógł się dopuścić tylko Fulbert.

FULBERT: Jestem pewny sędziów, moja mała. Ja to także przewidziałem.

HELOIZA: Czy i mnie uwzględniłeś w swoich obliczeniach?

FULBERT: Przewidziałem wycie opuszczonej samicy.

HELOIZA: Ale jeszcze pięknej. Spójrz, czy nie jestem piękna? Nienawiść, jestem tego pewna, jeszcze podnosi moją piękność. Cała moja piękność, cała moja młodość w zamian za wyrok, który jednego kanonika, za którym nikt się nie ujmie,

skaże na obdarcie ze skóry, rozerwanie końmi i wbicie na pal. Czy znasz choćby jednego sędziego, który by nie przystał na tę zamianę? Chociaż jesteś tak mało mężczyzną, konfesjonał musiał cię niejednego nauczyć. Jakżeś był szalony, aby młodość moją pozbawiać miłości i uczynić z niej narzędzie twojej zguby. Przeliczyłeś się, Fulbercie.

FULBERT: Są jeszcze prawa w królestwie. Intrygi dziewki, którą pozbawiono samca, nie potrafią zgubić niewinnego. Cały Paryż będzie się natrząsał z twoich wrzasków. Dwóch znamienitych obywateli zaświadczy zresztą, że nie opuszczałem tego domu przez całą noc.

HELOIZA: Odnajdę twoich zbirów. Oni wszystko wyśpiewają. Wyznają, żeś ich opłacił. Uzyskają przebaczenie jedynie wydając ciebie. Jeśli ciebie obciążą, otrzymają prócz łaski, pieniądze. Wszystko, co kocha Heloizę, będzie pracować nad ich odnalezieniem. Ach, aby ciebie zgubić, stanę się dopiero dziewką. Sprawiedliwość i podstęp, wszystko jest przeciwko tobie.

FULBERT: Jestem niewinny.

HELOIZA: Tchórzu!

FULBERT: Przysięgam ci, że jestem niewinny.

HELOIZA: Przestałeś być pewny siebie. Już utraciłeś połowę rozkoszy, jaką ci dawała ta zbrodnia. Już się nie przechwalasz nią przede mną. Boisz się, Fulbercie.

FULBERT: Przysięgam ci, że jestem niewinny. Bóg cię ukarze okrutnie, jeśli do całej niewdzięczności dodasz jeszcze oskarżenie niewinnego.

HELOIZA: Ach, ach, ach! Boisz się, Fulbercie. Do tego wszystkiego tacy jak ty się boją. Jesteś obrazem strachu, Fulbercie, strachu, który ucieka przed samym sobą i buduje swoje królestwo. Fulberty budują świat oparty na strachu. Wyście wymyślili szatanów, z których każdy nosi imię jednego z waszych strachów. Pożyczyliście sobie ich twarzy, aby męczyć ludzi i mścić się na nich za wasz strach. Strachem jesteś ty, Fulbercie. Jesteście podli, obłudni i fałszywi. To jest droga strachu. Chrystus przynosił dobrą nowinę, że szczęście jest tutaj, że trzeba je brać. Zagłuszyliście jego głos gąbką umoczoną w waszej żółci. Potem wybraliście za wasze godło ohydny krzyż jego męki i aby objąć panowanie nad światem, umieściliście go na każdym skrzyżowaniu dróg. Wyście zmusili przestraszone narody do budowania katedr. Spotkałam przed chwilą wyrobni-

ków, którzy wyciągali z brzegu kamienie. Widziałam zręczne ręce rzeźbiarzy, jak odłupują skorupę z twarzy zaklętych w kamieniu. Szerokie są rusztowania i murarze lubią budować. Dziwiłam się, że nie są radośni. Zamiast swobodnych pieśni rzemieślników słyszałam żałobne psalmy. W niektórych twarzach odkrywałam błędny wzrok somnambulików, w innych chorobliwą gorączkę wizjonerów, u większości martwe otępienie niewolników. Oto zamiast budować dla chwały i na miarę człowieka, zmusiliście ich do wznoszenia hymnu na cześć strachu. Dwie wieże ogołocone jak szkielety. Kamienie wypolerowane przez rzeźbiarza zamieniły je w dwa wielkie ciała żywcem obdarte ze skóry. Jakżeż mały poczuje się przechodzień! Jak bezbronne poczuje się miasto skulone w cieniu tych dwóch umęczonych olbrzymów. Wielka mroczna nawa, gdzie wiosenny wiatr przenika lodowym dreszczem. Z Boga uczyniliście ogromny cień strachu. We wnęce portalu jakaś postać uśmiecha się zagadkowo. „Kto to? — będą pytać przyszłe wieki. — To anioł szyderstwa, to duch mistyfikacji. Cieszy się widząc, jak praca, która ma zaspokajać potrzeby człowieka, służy ku chwale strachu". Abelard odkrywa wasze kłamstwa i dlatego go nienawidzicie. Uczy ludzi, że nie powinni stać się niewolnikami wytworów własnej myśli. „To są — mówi im — tylko fale głosu, stworzone przez was samych, aby wam służyły". Uczy odwagi, uczy, że nasz los zależy od nas samych. Okaleczyliście go za zbrodnię obrazy majestatu waszego władcy, którym jest strach. Tyś go skastrował, ponieważ jego szczęście było obelgą dla twojego upodlenia.

Niewyraźne okrzyki na ulicy, które przechodzą we wzrastający ryk. Słychać:

— Śmierć Fulbertowi! Sprawiedliwości, sprawiedliwości! Pod pręgierz Fulberta!

HELOIZA: Słyszysz? Jeszcze nie zaczęłam podburzać ludu, a już powstaje przeciwko tobie. Wielkość twojej zbrodni obudziła sprawiedliwość. Obudziłeś głuchych. To więcej, niż mogłam marzyć. Ten lud umie się oburzać. Jest jeszcze nadzieja na ziemi. *(Nowe krzyki)*. Co za cudowna niespodzianka! Nie będę musiała przekupywać sędziów. Oburzenie ludu zmusi ich do spełnienia obowiązku. Czy widzisz, Fulbercie? Zbłądziłam nie mając zaufania do ludu. Zbłądziłam nie wierząc ani w lud, ani w prawdę. Wypowiedziałam wojnę całemu światu. Sądziłam,

że wielkość — to być samą przeciwko wszystkim i w potrzebie posłużyć się podstępem jak marynarz, który wykorzystuje wiatr, aby iść pod wiatr. To dlatego, że dorastałam u twojego boku i przeciwko tobie. Abelard mówi prawdę. Żyje w domu ze szkła. Powierza się sądowi ludu. Jest wielki. Twoja nędzna zemsta uczyni jego życie jeszcze bardziej sławnym. Będą o nim mówić jeszcze w przyszłych wiekach, kiedy uczniów będą prowadzić do katedry, jak do muzeum, aby pokazać, w jakich kształtach ludzie ucieleśniali strach. *(Nowe krzyki)*. Żegnaj! Idę podburzać ich przeciwko tobie. Już cię nie zobaczę. Ale pamiętaj, że każdy z ciosów, który cię spotka, będzie nosił moje imię. Żegnaj! Nędzo ludzka!

Scena III

Margot, Książę, Garlande, młodzi dworacy.

Przedsionek pałacu.

MARGOT: Wycofuję się, odwołuję, wyrzekam. Chwalę to, co znieważałam. Byłam, widziałam, zostałam pokonana. Wyznaję mój błąd. Uwielbiam to, co chciałam zniszczyć.

KSIĄŻĘ: Czy była piękna nasza Heloiza?

MARGOT: Jak płomień, Książę. Piękna, prosta, dumna, wzorowa, nieugięta i gorejąca jak płomień. Aby ci sprawić przyjemność, poprosiłam ją przed uroczystością do rozmównicy klasztoru. Powiedziałam jej o twoich życzeniach. „Spójrz na mnie — powiedziała — moje powieki są suche i nie spuszczam oczu. Powiedz księciu, że to nie pokutująca grzesznica składa dzisiaj śluby. Powiedz mu, jak wyglądam. Że nic nie żałuję, że gdyby można było zacząć na nowo, zaczęłabym na nowo. Że Abelard zostanie moją jedyną miłością i że tylko, aby jemu się podobać, wkładam czarny welon benedyktynek“. Zaprowadziła mnie potem w głąb klasztoru. Pokazała mi potem kapliczkę Matki Boskiej. „Tutaj przyjmowałam mojego męża — opowiadała mi. — Prosiłam przeoryszę o schronienie. Było to jeszcze w okresie, kiedy niepotrzebny podstęp kazał nam udawać, że nie jesteśmy małżeństwem. Ale rozdzielenie było ponad nasze siły. Abelard przeskakiwał przez mur ogrodu albo w przebraniu dostawał się do klasztoru. Tutaj wziął mnie w swoje ramiona. Było to bez wątpienia świętokradztwem. Ale nie wierzę — dodała — że nasze nieszczęścia są karą nie-

bios. Abelard nauczył mnie patrzeć na wszystkie rzeczy bez lęku. I po cóż okrywać boską maską podłość, zazdrość, niegodziwość i zawiść. To są nasi prawdziwi wrogowie. Potrzebna jest broń, a nie modlitwa, aby z nimi walczyć. I o jednym jeszcze pamiętaj — powiedziała mi potem — że miałam rację, kiedy nie chciałam, aby nasz związek był pobłogosławiony. Prawdziwe nieszczęścia zaczęły się dopiero po naszym ślubie. Nasza miłość powinna była pozostać sprawą nas dwojga". Takie były mniej więcej jej słowa. W tej chwili zawołano ją i poszłam do kaplicy. Byli tam wszyscy, którzy mają jakieś znaczenie na dworze. Staliśmy potwornie stłoczeni. Z tyłu i w bocznych nawach cisnął się lud. Zauważyłam wielu studentów. Było nieznośnie gorąco. Biskup siedział w prezbiterium, z pastorałem w ręku, na wprost ołtarza, w asyście infułatów, mnichów i księży w komżach. Na prawo i na lewo mniszki w czarnych habitach, z pochyloną głową, ze świecami w rękach. Heloiza klęczy samotna pośrodku prezbiterium. Twarz jej jest bez wyrazu. Nie płacze. Śpiewają *Veni Creator*. Podają biskupowi welon, który miał pobłogosławić. Biskup wypowiada formułę przysięgi. Heloiza podchodzi, aby przyjąć welon. Nagle podnosi głos. Czy wypowie modlitwę? Nie, Książę. To były wiersze pogańskiego poety, przeznaczone dla Abelarda. W jak głębokiej ciszy jej słuchano i jak pobledli wszyscy, słysząc wiersze Lukana, wypowiedziane przez tę młodą, szczupłą dziewczynę, w habicie zakonnym, w kaplicy benedyktynek z Argenteuil. Powtórz je, Wielki Sędzio!

GARLANDE: Tak, Wasza Miłość. Była to skarga Kornelii, widzącej Pompejusza po klęsce pod Farsalos i oskarżającej się, że go zgubiła. Znasz ją, Książę?

...O maxime coniunx,
O thalamis indigne meis, hoc iuris habebat
In tantum fortuna caput? cur impia nupsi,
Si miserum factura fui? nunc accipe poenas,
sed quas sponte luam....[1]

KSIĄŻĘ: „O nieporównany małżonku, ty, którego nie byłam godna poślubić. Czyż aż taką władzę miał nad tobą los? Dlaczego poślubiłam cię bezbożna, jeżeli miałam uczynić cię nieszczęśliwym? Teraz ukarz mnie, a karę zniosę chętnie".

---

[1] Lucanus, *Pharsalia* VIII 94—98.

MARGOT: Czy to nie piękne, Książę?

KSIĄŻĘ: A biskup?

MARGOT: Podał jej welon, świecę i złożył sakralny pocałunek.

KSIĄŻĘ: Lukan czy psalmy — jedno i drugie po łacinie. Lud nie rozumie łaciny. Wszystko było w porządku. Bardzo mi się ten biskup podoba. Muszę poradzić mojemu ojcu, aby go wysłał z misją pokojową do króla angielskiego. Czy Abelard wie, że to dzisiaj...

GARLANDE: Tak. Byłem u niego wczoraj w opactwie Saint-Denis. Mówiłem już o tym księciu. Nie przyszedł jeszcze zupełnie do siebie. Widziałem, jak w ciągu jednej godziny przechodził kilkakrotnie od najwyższego podniecenia do najgłębszej rezygnacji.

KSIĄŻĘ: Nawet w normalnych czasach był taki. Jest to okup, jaki płaci swemu geniuszowi. Tworzy w odrętwieniu, a wypowiada się w gorączce.

DWORZANIN: Bardzo się niepokoi o swoją opinię. „Historia mojej bezprzykładnej hańby musiała się już rozejść po całym świecie. Dokąd iść teraz? Jak pokazać się publicznie? Będą mnie pokazywać palcami, wezmą mnie na języki. Stanę się dla wszystkich potwornym widowiskiem...“

KSIĄŻĘ: Dzięki swojemu talentowi widzi znacznie ostrzej wszystko, co nas porusza.

DWORZANIN: Chwilę potem pocieszył się. Porównywał się do Orygenesa, który pozbawił się męskości, aby uwolnić się od pokus cielesnych. Szczęśliwszy od aleksandryjskiego mnicha, nie musiał sam siebie okaleczyć. „To było grzechem. Fulbert przyjął na siebie ciężar winy. Niech będzie błogosławiony! Będę mógł odtąd w całości oddać się filozofii. Już nic na świecie nie przeszkodzi mi w moich rozmyślaniach“. I w ciągu kilku chwil wyliczył mi tytuły dziesięciu rozpraw, których plan powziął w ciągu tygodnia.

KSIĄŻĘ: Boję się dla niego gorzkich rozczarowań. Kiedy wiek osłabia ciało mężczyzny, nie tworzy on już wielkich rzeczy. Lękam się, czy nie stanie się to z tym, który został dotknięty w pełni swoich sił.

DWORZANIN: On o tym wie, bo zaraz potem zaczął wyrzekać: „Klerycy — mówił — a zwłaszcza moi uczniowie, dręczą mnie swoimi lamentami. Bardziej cierpię od ich współczucia

niż od mojej rany; bardziej odczuwam hańbę niż moje okaleczenie..."

MARGOT: To woła o pomstę... Nie będzie sprawiedliwości w królestwie, jeśli ta zbrodnia pozostanie bez kary.

KSIĄŻĘ: Mów, Wielki Sędzio.

GARLANDE: Dwóch z tych zbrodniarzy zostało przez nas schwytanych. Byli to dezerterzy z regimentu króla. Dwaj łajdacy, jakich pełno w oberżach na Górze Św. Genowefy, a którzy za parę talarów gotowi są zamordować człowieka. Kiedy zostali zatrzymani, nie znali jeszcze imienia swojej ofiary. W asyście innych zaprowadzeni zostali w nocy przez zdradzieckiego sługę do pokoju Abelarda. Ten, zaskoczony we śnie, nie mógł nawet się bronić...

MARGOT: O hańbo!

KSIĄŻĘ: Czy wydali tego, który ich opłacił?

GARLANDE: Znali tylko służącego, który uciekł.

KSIĄŻĘ: Trzeba, żeby wydali Fulberta.

MARGOT: Tylko Fulbert mógł zdobyć się na równie ohydną zbrodnię.

GARLANDE: Gdybyśmy chcieli, wydaliby swojego ojca i matkę. Ich świadectwo pozwala nam sto razy oskarżyć kanonika. Ale tutaj sprawa się komplikuje. Arcybiskupstwo, w którym Fulbert ma wielu przyjaciół, twierdzi, że zbrodnia popełniona została w domu, który podlega jego sądownictwu. Łucznicy kapituły schwytali dwóch pozostałych zbrodniarzy. Łamano ich kołem, skastrowano i rozdarto końmi. Arcybiskup uważa sprawę za załatwioną i odmawia wydania Fulberta, który się do niego schronił.

KSIĄŻĘ: Trzeba go stamtąd zabrać siłą.

GARLANDE: Nie pozwala na to nowa sprawa. Dwaj łucznicy, poddani torturom przez ludzi arcybiskupa, oskarżyli zaufanego dworzanina J.K.M., waszego ojca, o zamordowanie pewnego księdza w oberży w Etampes. Udało się nam schwycić łuczników. Łamano ich kołem, skastrowano i wydarto im mózg. Ale arcybiskup uwięził naszego dworzanina. Jeśli porwiemy Fulberta, ryzykujemy, że zostanie on w odpowiedzi na to...

KSIĄŻĘ: ...skastrowany, łamany kołem i wypatroszony.

GARLANDE: Nie będą mieli śmiałości, Wasza Miłość. Szacunek dla jego przywilejów wymaga, aby go po prostu ścięto.

MARGOT: Widzę z tego, że Fulbert nam się wymknie.

GARLANDE: Nie uszło mu to zupełnie na sucho. Rankiem w dniu zbrodni lud i uczniowie wdarli się do jego domu. Schowek, w którym trzymał swoje talary, został wykryty i opróżniony w jednej chwili. Bardziej dbał o swój skarb niż o życie. Poza tym sprawa stała się głośna i nigdy nie będzie mógł on zająć żadnego poważniejszego stanowiska. W nędzy i pogardzany przez wszystkich, zestarzeje się na jakimś wiejskim probostwie.

MARGOT: A jednak chciałabym zobaczyć, jak go obdzierają ze skóry.

GARLANDE: Niech się panienka pocieszy. Jutro na placu de Grève będzie się mogła pani przyjrzeć egzekucji dwóch zbrodniarzy. Będą łamani kołem, potem zostaną skastrowani i w końcu rozdarci końmi.

KSIĄŻĘ: Czy nie uważasz, Wielki Sędzio, że zbyt surowo karze się w tym królestwie?

GARLANDE: Ach, Wasza Miłość, ludzie są teraz tak niesforni!

KONIEC AKTU TRZECIEGO

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ JAN KOTT

WANDA ROSZKOWSKA

EMANUEL GRIM

18 października 1950 r. zmarł w Istebnej na Śląsku Cieszyńskim ks. Emanuel Grim, epigon pisarstwa ludowego tej ziemi. Osobistość istebniańskiego proboszcza, popularna w kręgu regionalnym, dla tego kręgu kulturowego bardzo typowa i w pewnym sensie wybitna, domaga się uważniejszego wspomnienia już choćby z tego względu, że wraz z nią odpływa w przeszłość zamknięty okres historii ziemi cieszyńskiej.

Urodził się ks. Grim 1 stycznia 1883 r. w Karwinie jako syn tamtejszego robotnika. „Do szkół" oddano go w Cieszynie, gdzie skończył polskie gimnazjum Macierzy Szkolnej. Seminarium duchowne w Widnawie to druga faza studiów. Wyświęcony w r. 1908, wraca w r. 1911 do swego gimnazjum jako katecheta, by tu uczyć przez dwa lata cieszyńską młodzież. Z katechety wikary w Brennej zostaje przeniesiony na parafię w Istebnej w r. 1917; „Istebna koło Wisły", o którą miejscowy nauczyciel, Franciszek Sikora, toczyć będzie zapamiętały bój przeciw konkurentce — Wiśle [1], a w czym zapewne niemały będzie udział proboszcza. Pracę pedagogiczną zamienia Grim na duszpasterską i widocznie czyni to z przekonaniem, skoro dopiero okupacja wypędzi go na długie pięć lat najpierw więzienia, potem tułaczki. Wróci tu jednak, by na swoim probostwie do śmierci pozostać.

Lata szkolne, a potem nauczycielskie, liczą się w życiu ks. Grima do najważniejszych. W nich bowiem kształtuje się oso-

[1] *Gwiazdka Cieszyńska* przechowała dokumenty tych batalii, zabawne a przecież nie pozbawione racji. Przodująca w okresie międzywojennym Wisła podkradała niechcąco folklor istebniański kokietując nim zjeżdżających tam turystów. Powiedzenie użyte przeze mnie „Istebna koło Wisły" stanowiło jedną z najcięższych obelg, bo przecież to Wisła leżała koło Istebnej! (Por. roczniki 89 i 91 z lat 1936 i 1938).

bowość twórcza i światopogląd, od którego już nie odstąpi. Okres młodości przypada na czasy bardzo czynnego działania cieszyńskiej grupy katolickiej, wspartej o młode jeszcze a świetne tradycje walki Stalmacha i Miarki. W grupie tej przewodzi ks. Józef Londzin, różniący się od znakomitych swych poprzedników wyraźnym, programowym żądaniem przyłączenia Śląska do Polski. Ten — w oczach dzisiejszych — katolicki ludowiec (chociaż w Cieszyńskiem ma to swoje specjalne znaczenie, odmienne niż np. w Galicji) koncentruje w zręcznych, stanowczych dłoniach pracę polityczną, organizacyjną, wychowawczą i wydawniczą. Przez niespełna 40 lat redaktor Gwiazdki Cieszyńskiej, właściwy twórca polskiego gimnazjum, założyciel Związku Śląskich Katolików i szeregu organizacji oświatowych i gospodarczych, założyciel Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, a ponadto historyk ziemi cieszyńskiej i jej wytrwały bibliograf, zaważył w sposób istotny na rozwoju życia narodowego, społecznego i kulturalnego środowiska. Grim, jego późniejszy biograf, związany jest z wieloma agendami londzinowskiej „ekspansji", jak np. ze Związkiem Śląskich Katolików, i przede wszystkim z Gwiazdką Cieszyńską, jako jej długoletni współpracownik. Myślę, że nie skrzywdzę indywidualności Grima, jeśli nazwę go „londzinowskim ludowcem", choć tytuł wyda się na jego miarę zbyt obszerny. Skromne notki biograficzne, zaczerpnięte z Z. Hierowskiego *25 lat literatury na Śląsku*, nie pozwoliły na ustalenie, czy i w jaki sposób ks. Grim dawał wówczas praktyczny wyraz swoim przekonaniom. Dostępne mi źródła i jego twórczość literacka wskazują, że chyba politykiem-działaczem, *sensu stricto*, Grim nie był, a tylko dążenia swego środowiska w swojej twórczości obficie propagował, wielokrotnie im ją podporządkowując. Grim żąda wyraźnie włączenia Śląska do Polski, propaguje zgodę narodową, bez względu na orientację czy przynależność wyznaniową. Ucisk społeczny, jeśli jest o nim mowa, identyfikuje się zwykle z uciskiem narodowym. Dlatego hasła Grima stawiają po jednej stronie lud śląski i ojczyznę, po drugiej — Cieszyńską Komorę Książęcą i renegatów. Wysoko ceni sobie znaczenie Koła Polskiego w Wiedniu, piętnuje zaś germanizatorskie zapędy swojej zwierzchności kościelnej, rezydującej we Wrocławiu.

Nie potępiajmy braku sprecyzowania i nie odmawiajmy słuszności postulatom ubranym w szatę literacką.

Środowisko cieszyńskie cechowała intensywna i samorodna aktywność kulturalna. Zapotrzebowanie na sztukę, zwłaszcza na sztukę słowa było wielkie. Dyktował je moment historyczny, konieczność zdobycia własnych treści i przeżyć. Poczucie odrębności narodowej i świadomość izolacji sprawiły, że wyspa cieszyńska postarała się o własną publiczność literacką i odrębne pisarstwo ludowe. Oto bardzo wyraźny przykład zamówienia społecznego. Źródłem natchnienia jest przeszłość regionu, bogaty folklor i uroda ziemi. Przetworzenie dokonywa się — jak mówi Hierowski — „bez świadomych założeń artystycznych, siłą samego talentu“ i spontanicznej potrzeby. Szczególnie natarczywe jest pragnienie słowa żywego; stąd obfitość utworów dramatycznych.

Jako pisarz, Grim nie występuje odosobniony. Przed nim piszą już górale cieszyńscy: Adam Sikora z Jabłonkowa, Kubisz, którego twórczość pięknie służy ludowi cieszyńskiemu i jest przez szerokie rzesze przyswojona. Postać Grima znaczy się bezkompromisową postawą narodową, postawą walczącą, tendencją dydaktyczną (znać na niej wpływ wyznawanej doktryny) i świadomą dążnością do utrwalenia odrębnego świata zwyczaju i obyczaju górali cieszyńskich, świata, który w niedługim czasie, jeszcze na oczach Grima, zaczął ginąć bezpowrotnie. I to wyodrębnia Grima z cieszyńskiego grona literackiego. Te szlachetne i szczere intencje, przy niewielkim talencie, niezbyt rozległej wyobraźni i mimo ciężkich uchybień artystycznych, uczyniły z jego twórczości produkt dla tamtych czasów społecznie użyteczny.

Chronologiczne zestawienie pozycji literackich pisarza wskazuje, że jego najlepsze rzeczy powstały w latach młodzieńczych. Znalazły się one w obszernym tomie poetyckim *Znad brzegów Olzy*, wydanym w r. 1913 jako rezultat współpracy z Zaraniem Śląskim, literackim kwartalnikiem regionu, i Gwiazdką. Z późniejszej twórczości dramatycznej ostały się częściowo krytyce *Jasełka śląskie* (1919). Z późniejszych — w wydaniu *Znad źródeł Olzy* (tak! „znad źródeł“, inwencja literacka, jak widać, niewielka) odnajdzie się jeszcze parę wierszy i to będzie wszystko, co przy łagodnej nawet

ocenie można za poezję uważać. Ks. Grim przeżył swój talent. Gładkość i świeżość pierwszych utworów zostanie zastąpiona przez niezgrabne i sztuczne rymotwórstwo, rytmika wiersza przypominać będzie podskakiwanie wozu na wyboistym bruku, rażąc uszy życzliwego nawet czytelnika. Zostanie już tylko owa szlachetna intencja i miłość do Ziemi Cieszyńskiej.

Najbardziej interesującą pozycją jest opowieść poetycka o Ondraszku Szebescie. Opublikował ją Grim w Zaraniu, potem włączył do zbiorku *Znad brzegów Olzy*. Literacki motyw Janosika znalazł w tym eposie udatny odpowiednik, a romantyczne dzieje beskidzkiego zbójnika zyskały w Grimie zręcznego piewcę. Talent epicki wyładował się w nich z całą pasją i temperamentem. Oparł się autor na bogatej „wieści gminnej", opatrując tekst odsyłaczami, potwierdzającymi autentyczność materiału archiwalnego. Główny wątek fabularny nie gubi się w rozwlekłości opisów, wiersz toczy się potoczyście (wzory romantyczne bardzo wyraźnie przejęte) sprawiając czytelnikowi sporo przyjemności. Powstaje przed nami uroczy pejzaż śląski, żywy i barwny obraz wsi beskidzkiej. Poznajemy wierzenia i fantazję twórczą, która w Ondraszku ucieleśnia poczucie mocy, piękna, namiętności i znajduje w nim niekiedy rzecznika sprawiedliwości społecznej. Nie jest on odpowiedzialny za awanturniczy żywot; winę ponoszą złe siły: diabeł, czarownica, wreszcie zły pan. Fatalizm ciąży nad Ondraszkiem: nie pomoże zmazanie grzechu przez spowiedź ani postanowienie poprawy — musi zginąć.

Wszystkie te tezy przeprowadza autor konsekwentnie i zgodnie z wierzeniami, dając naiwną i uroczą opowieść o nieszczęśliwym zbójniku. Nie uniknie ks. Grim tonu kaznodziejskiego, co na szczęście nie razi na tle całości [2].

Resztę tomu *Znad brzegów Olzy* zajmuje liryka. I tu też najlepsze siły oddaje poeta pejzażowi beskidzkiemu. W tych wierszach jest szczery, miłość do ziemi przekonywa i wzrusza, chociaż środki wyrazu poetyckiego czerpane są z uznanych wzorów romantyzmu i Młodej Polski dość niewolniczo. Oto próbka poezji inspirowanej przez tęsknotę do rodzinnych stron:

---

[2] Opis namiętnej miłości Ondraszka do hrabiny Prażma kończy się niefortunnymi słowami: „w błocie zdrożnej miłości utonęli cali".

To samo niebo,
te same drzewa,
tak samo góry
ciągną się w dali...
tak samo ptaszek
w gaiku śpiewa,
tak samo słońce
promieniem pali...
a jednak smutno,
tęsknota gniecie,
bo to nie u nas,
to w cudzym świecie...

Nie umie się uchronić autor od ckliwości, psującej nastrój nieoczekiwanym wtrętem. Tak jest w *Westchnieniu wychodźcy:*

Kiedy ja wrócę do Ciebie,
Luba ma Olzo?
czy pierwej cudza ziemia mię zagrzebie,
czy rozłączony morzem tak szerokiem,
już Cię nie ujrzę mojem łzawem[3] okiem,
Luba ma Olzo?

Chwyta się też Grim przekładu tekstów poetyckich, przywiezionych z pobytu w Kroacji. Są to wiersze Karola Kuzmany, Iva Rody i Vladimira Nazora.

Drugi zbiór, wydany w dwóch tomikach w r. 1935, pod często używanym pseudonimem „Ślązaka", jest niepomiernie słabszy. Znajduje się tu dośpiew do Ondraszka — *Ondraszkowe ostatki*, który najdobitniej świadczy przeciw autorowi. Jeszcze ciekawi *Mieszanie owiec*, ale to znowu obrazek rodzajowy, tematyka, w której autor czuje się najpewniej i najlepiej. Jest też i typowe *Pożegnanie Istebny*, którego fragment przytaczam dla ilustracji. Byłby ten wiersz i szczery, i bezpretensjonalny, gdyby nie młodopolski „czerep":

Sprzeniewierzyłem się tobie, Istebno...
— — — — — — — —
Lecz kiedyś, gdy się wyczerpię,
przyniosę w ciała czerepie
duszę zbolałą...
wtedy za wyrokiem Bożym
na schyłku życia gniazdko założę
na twej nalepie,
złożę me ciało...

---

[3] Podkreślenie moje.

Dużo miejsca poświęca Grim tępionemu z pasją renegactwu i tzw. Ślązakowcom [4]. Dawnych renegatów tropi wśród karierowiczów epoki międzywojennej, nawołuje słabszych do jedności i zgody, podsuwając stale wizję zjednoczonego w całości Śląska, Śląska niezbicie polskiego. Śledzi pilnie tok wydarzeń politycznych pod kątem ich przydatności dla sprawy.

Trzeci zbiorek, *Baśnie z Podbeskidzia,* umieszczam na końcu tego działu twórczości Grima, ponieważ nie podano nigdzie daty ani miejsca jego wydania. Forma wiersza zemściła się na podaniach i legendach ludowych. Sztucznie przez autora przetworzone, utraciły swój wdzięk i świeżość. Przed surowym sądem obroni się tylko opowiadanie o *Kubie szłaśniku.*

Pozostały jeszcze, poza zamkniętą w książkach produkcją poetycką, drobne wierszyki publikowane prawie do samej wojny r. 1939 pod pseudonimem „Ślązaka“ w Gwiazdce Cieszyńskiej.

Twórczość dramatyczna Grima obejmuje kilka pozycji, wszystkie artystycznie chybione: *Dwa orły śląskie* (1924), obrazek sceniczny z życia Stalmacha i Miarki; już wspomniane *Jasełka,* uzupełnione w wydaniu drugim (1932); *Kwiat paproci* (1926), sztuczka dla dzieci śląskich, ukazująca miłość do ziemi jako cudowny kwiat; *Wanda,* śląska legenda o Wandzie, która miała zginąć w wodach Wisły pod Skoczowem (wydana przez Jana Kuglina w r. 1932, z jego przedmową); *Wesele śląskie (gadu... gadu...)* (1928) i *Dla Ciebie, Polsko* (1934).

Przewodnią myślą tych „sztuczek“ jest idea wolnego Śląska stojącego wiernie przy Polsce. Inspirację swą czerpie autor z uwielbienia dla Stalmacha i Miarki. Zwłaszcza Stalmacha, którego dwukrotnie wprowadza na scenę. Do pomocy Stalmachowi dodaje jeszcze symboliczne postaci Ziemi Śląskiej i Księcia — Ducha Opiekuńczego Śląska (w którym można dopatrzyć się legendarnego księcia piastowskiego). Z wyjątkiem utworu *Dla Ciebie, Polsko* tekst jest wszędzie wierszowany. Niestety, spotkamy tu wszystkie błędy rymotwórstwa i dziwacznego słownictwa. Brak kompozycji, wyczucia sceny i nieznajomość praw nią rządzących sprawia, że czujemy się tu jak w lichym teatrzyku amatorskim.

---

[4] Odłam ewangelików śląskich, sprzyjający polityce proniemieckiej.

Najciekawsze są *Jasełka*. Widoczna bliskość tematu i ludowy charakter jego ujęcia ułatwiły autorowi zmontowanie widowiska miejscami interesującego. Postacie Heroda i jego zausznika, Mudraja, a także Matki Boskiej, niekiedy ożywają. Kukiełkowy Herod jest dość bogato wyposażony w cechy ludzkie. Oczywiście, i tu natrafiamy na ideowy szablon zgody ojczyźnianej i wiarę w zjednoczenie. Problematyka aktualna to bezrobocie. Występujący w szopce Górnoślązak skarży się na przymusową bezczynność, prawi o zdrowych rękach, czekających nie na jałmużnę, ale na pracę. Nieporadnie wyklina Grim skarby ziemi, „czarne diamenty", które przynoszą korzyść jedynie wrogom, „dla Śląska skarb to przeklęty". Na wszystkie te kwestie patrzy oczami współczesnego mu biedaka śląskiego. W objaśnieniach podtekstowych, zbudowanych na solidnie opanowanym materiale historycznym, zaznacza się erudycja autora.

Oto i cały chyba dorobek grimowski. Nazwałam Grima pisarzem ludowym z uwagi na świadome założenia jego pisarstwa: tworzenie dla prymitywnego odbiorcy swych okolic. Ludowy jest w widocznej na każdym kroku tendencyjności, w dydaktyzmie, w prymitywnej uczuciowości. Obraca się, jak to podkreślił Hierowski, w świecie wrażeń, a nie idei, umie wykorzystać materiał konkretny, który zna z otoczenia. Gorzej jest, gdy przychodzi mu chwytać za pióro w sprawach, w których materiał realny nie wystarcza. Źle wychodzi na tym autor i czytelnik. Słownictwo, a zwłaszcza jego dziwolągi i podkreślany już patos, mocno ludowość podkopują.

Pochlebne dla Grima głosy krytyki miejscowej, a zwłaszcza Zarania, grupy znającej dobrze potrzeby terenu i mocno w nim osadzonej, każą — mimo ostrego sądu — uznać i ocenić pozytywnie społeczny sens tej twórczości.

*

Ks. Grim jest autorem szeregu artykułów i artykulików dotyczących folkloru cieszyńskiego, a szczególnie istebniańskiego. Publikował je przede wszystkim w Zaraniu i nieco w Gwiazdce. Są to przyczynki, ale przyczynki cenne, bo przed Grimem, o ile wiem, nikt się specjalnie Istebną nie zajmował, a teren zasługiwał na to od dawna. Podaje więc „parę ciekawych dat z przeszłości Istebnej", zajmuje się cechami gwary istebniańskiej, pisze o „przełomowych chwilach" swojej

ulubionej wioski, a wreszcie zwierza się w Zaraniu z miłości do niej [5].

Zamknijmy ten pobieżny przegląd jednym uzupełnieniem: bibliografia Grima obejmuje także pozycje pomocne dla historyka Śląska Cieszyńskiego, a więc w kolejności chronologicznej: dwie broszury o Pawle Stalmachu, jego życiu i pracy (1910 i 1924); szkic biograficzny o ks. Józefie Londzinie, ogłoszony w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Katowice 1930, i ciekawy szkic dziejów polskiej książki na Śląsku Cieszyńskim, zatytułowany *Siedemdziesięciolecie pierwszej polskiej książki do nabożeństwa na Ziemi Cieszyńskiej* [6].

---

[5] Por. Zaranie, 1938, z. 2., Gwiazdka Cieszyńska, 1936 nr 42; Brygada Śląska, r. 1, 1935, nr 21; Beskid Śląski, r. IV, Cieszyn 1933.

[6] Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk, Katowice 1931.

JAN KUGLIN

ZE WSPOMNIEŃ UCZNIA

Wielkie zapanowało wśród nas, uczniów trzeciej klasy gimnazjum cieszyńskiego, podniecenie. Katachetą naszym będzie od nowego roku szkolnego ks. Grim, który dopiero co ukończył studia teologiczne, a o którym starsi koledzy z klasy siódmej i ósmej szeptali, że był „socjalistą".

Młody katacheta, syn robotnika karwińskiego, z miejsca podbił nasze serca swoim spokojem, koleżeńskim do nas podejściem, odbieganiem w czasie lekcji od tematów religii, a przechodzeniem na rozmowy o Śląsku, o Polsce, o naszych w stosunku do niej obowiązkach.

Przede wszystkim jednak wzbudził ks. Grim wśród nas podziw swoją poezją. W rozpoczętym wówczas Zaraniu Śląskim, w Gwiazdce Cieszyńskiej i w Dzienniku Cieszyńskim ukazywały się stale jego wiersze czy inne utwory literackie. Śląsk Cieszyński stanowił wówczas, do czasu wybuchu pierwszej wojny światowej, pewien zamknięty dla siebie region, żyjący własnym życiem kulturalnym, posiadający własne dzienniki, tygodniki, miesięczniki, a nawet pisma humorystyczne. Mieliśmy własnych uczonych, historyków, ekonomistów, literatów, artystów sceny, artystów malarzy i rzeźbiarzy, dramaturgów i poetów. Wszyscyśmy ich wszystkich znali i otaczali czcią. Do tego to wysokiego areopagu wkroczył także ks. Grim. Zapomniano o jego radykalizmie, rósł natomiast urok jego poezji przesiąkniętej miłością do Śląska, do jego przeszłości, piękna przyrody i do jego ludu, a szczególnie do tych, którzy krwawym trudem borykali się w szybach kopalń, w żarze hut lub na groniach beskidzkich walczyli z przemocą wszechwładnej komory arcyksiążęcej.

Mała grupka uczniów czwartej klasy została wtajemniczona i wciągnięta do pracy tajnej organizacji młodzieżowej. Po

uzyskaniu pierwszych instrukcji zdawało się nam, że starsza generacja przestała się nami interesować, że pracujemy samodzielnie. A jednak gdzieś jakieś obce wpływy do nas przesiąkały. Zaczęła się wśród nas walka między narodowcami a socjalistami. Na jakimś zjeździe młodzieży w Krakowie, który zaszczycił swą obecnością także Bolesław Limanowski, zgłosiłem akces naszej grupy cieszyńskiej do „Promienistych". Po wielu latach miałem się dowiedzieć, że jednym z moich inspiratorów był dawny członek „Promienistych", ks. Grim.

Z szóstej klasy gimnazjum zostałem wydalony. Przeprowadzona u mnie rewizja domowa wykazała, że czytuję dzieła Marksa i mowy Jarzyńskiego, a większa ilość zeszytów czasopisma Promień świadczyła, że zajmuję się kolportażem tego światoburczego pisma wśród młodzieży gimnazjalnej. Doniósł o tym zresztą anonim, nadesłany do dyrekcji gimnazjum.

I znów po latach dowiedziałem się, że na konferencji nauczycielskiej, która zadecydowała o moim wydaleniu, obrońcą mym był poza prof. Fr. Popiołkiem także ks. Grim. Obaj obrońcy zwichnęli przez tę obronę swoje kariery. Profesorowi Popiołkowi wytknięto mnie przy obsadzaniu stanowiska dyrektora gimnazjum, a ks. Grim poszedł na wikariat do najzapadlejszej wsi na Śląsku, do Brennej, a następnie do odciętej od świata, prawie półdzikiej wówczas Istebnej.

Spotkaliśmy się po pierwszej wojnie światowej w Istebnej. Znikł dystans wieku między dawnym nauczycielem a uczniem. Istebna zamieniła się dzięki ofiarnej pracy ks. Grima w wybitny kulturalny ośrodek wiejski, letniskowy i sanatoryjny. Rok rocznie jeździłem w Beskidy Śląskie, by ze zbocza Kubalonki sycić oczy jednym z najpiękniejszych widoków w Polsce — panoramą Istebnej, by w Istebnej odpocząć patrząc zawsze z podziwem na pracę poety, kapłana, działacza społecznego, a przede wszystkim — Człowieka.

Wydrukowałem mu dwie książki. Do utworu scenicznego *Wanda* napisałem przedmowę *Od typografa.* W jej krótkich słowach chciałem złożyć hołd swojemu nauczycielowi. Niechże i to wspomnienie ucznia uzupełni myśli, których w przedmowie nie wyjawiłem, niech będzie wyrazem cichego hołdu nie tylko mojego, ale i dawnych towarzyszy pracy podziemnej.

K R O N I K A

PISARZE WROCŁAWSCY DO ALEKSANDRA FADIEJEWA
DELEGATA NA II KONGRES OBROŃCÓW POKOJU

Szanowny i Drogi Kolego!

Dwa lata temu, w sierpniu 1948 r. słyszeliśmy Wasze przemówienie na Kongresie Intelektualistów w obronie pokoju. Słowa Wasze zmobilizowały wtedy pisarzy do jeszcze silniejszej i bardziej świadomej pracy i walki w obronie pokoju, w obronie tych wszystkich wartości, którym powinni służyć pisarze na całym świecie, a które w Waszych książkach i w książkach innych radzieckich pisarzy znalazły najlepszy wyraz.

Wiekowe dziedzictwo kulturalne, dorobek pracy milionów ludzi na całym świecie, dzieciństwo i starość, wszystko co drogie jest każdemu człowiekowi, zostało zagrożone. Wojna zagraża ludzkości i już dziś w stosunku do miłującego pokój narodu koreańskiego podjęto pierwszą próbę imperialistycznej zbrodni i zniszczenia. Ale równocześnie z rozpętaniem przez podżegaczy wojennych perfidnej i nieludzkiej propagandy mającej na celu masowe zniszczenie, wzrastają z każdym miesiącem, z każdym dniem i tygodniem siły pokoju, wzrasta i potężnieje ruch obrońców pokoju.

Dwa lata, które minęły od Kongresu Wrocławskiego, przyniosły nowe spotkania awangardy obrońców pokoju w Pradze i w Paryżu, a potem w Sztokholmie, skąd padły słowa historycznego apelu podpisanego przez 500.000.000 ludzi wszystkich ras, religii i przekonań.

Dziś już wiemy: pokój zwycięży wojnę, jeśli będziemy dostatecznie czujni, jeśli naszą walkę w obronie pokoju będziemy prowadzić z coraz większym zdecydowaniem, aż zagarnie ona jak lawina całą ludzkość i zmiażdży podżegaczy wojennych.

Wasze przemówienie na Kongresie Warszawskim, Szanowny i Drogi Kolego, jest właśnie wezwaniem do tej nieustępliwości i konsekwencji w walce i dlatego my, wrocławscy pisarze, przyłączymy się do Waszego wniosku, aby warszawski kongres pokoju zwrócił się do ONZ z żądaniem rzetelnego wykonywania nałożonych na nią przez narody obowiązków umacniania pokoju i organizowania pokojowej współpracy krajów, narodów i państw.

Jesteśmy całkowicie przekonani o konieczności rozszerzenia bezwarunkowego zakazu broni atomowej i bezwarunkowego zakazu użycia broni chemicznej i bakteriologicznej.

My, za Waszym głosem, głosem radzieckiego pisarza i naszych radzieckich przyjaciół, domagamy się, aby Kongres uchwalił zwrócenie się do wielkich mocarstw z wnioskiem o przeprowadzenie w ciągu lat 1951 i 1952 równomiernego i progresywnego ograniczenia wszystkich sił zbrojnych, włączając w to siły lądowe, powietrzne i morskie, w granicach od jednej trzeciej do połowy obecnego ich stanu oraz zorganizowanie przy Radzie Bezpieczeństwa międzynarodowego organu kontroli, posiadającego własną autorytatywną inspekcję kontrolującą ograniczenia zbrojeń jak i zakaz broni atomowej, bakteriologicznej i chemicznej.

Walki i nieustępliwości w obronie pokoju uczą nas ulice dźwigającego się z gruzów miasta młodzieży i robotników.

Robotnicy wrocławscy przekraczają normy, robotniczy Wrocław bohatersko wypełnia swoje zadania pierwszego roku Planu 6-letniego, który założy fundamenty socjalizmu w naszym kraju. Fabryka Wodomierzy wykonała już swój plan roczny, w tych dniach wykonywa plan kopalnia im. Thoreza.

Szkoły wrocławskie dają budowniczych nowego życia, budowniczych pokoju. Literaci nadodrzańskiego miasta, w oparciu o wielkie wzory realizmu socjalistycznego piszą nowe książki o walce i pracy, o pokoju, który jest umiłowaniem ludzi wolnych, o naszej rosnącej sile i wytrwałej dążności polskich mas ludowych do szczęścia.

Z miasta, które leży nad Odrą, tak pięknie i słusznie nazwaną granicą pokoju, przesyłamy najlepsze pozdrowienia i nasz płomienny okrzyk: „Pokój zwycięży wojnę!"

1 XII 1950.

MARCIN BUKOWSKI

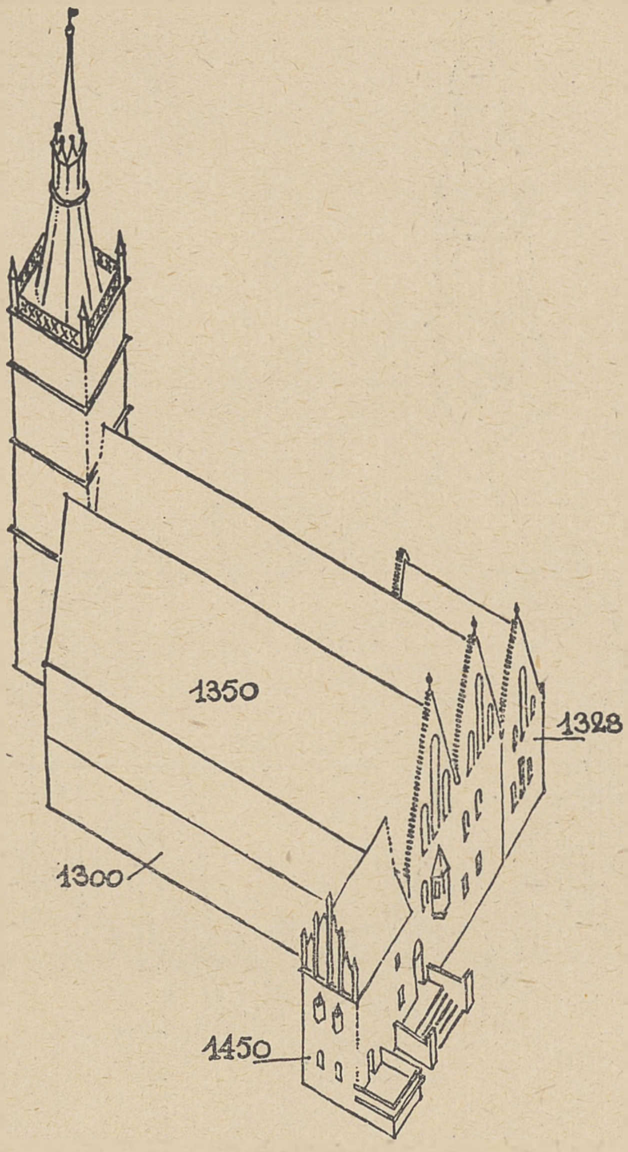
RATUSZ WROCŁAWSKI W ROKU 1950

Aprobata architektury historycznej nie ma nic wspólnego z apoteozą całokształtu minionych epok.

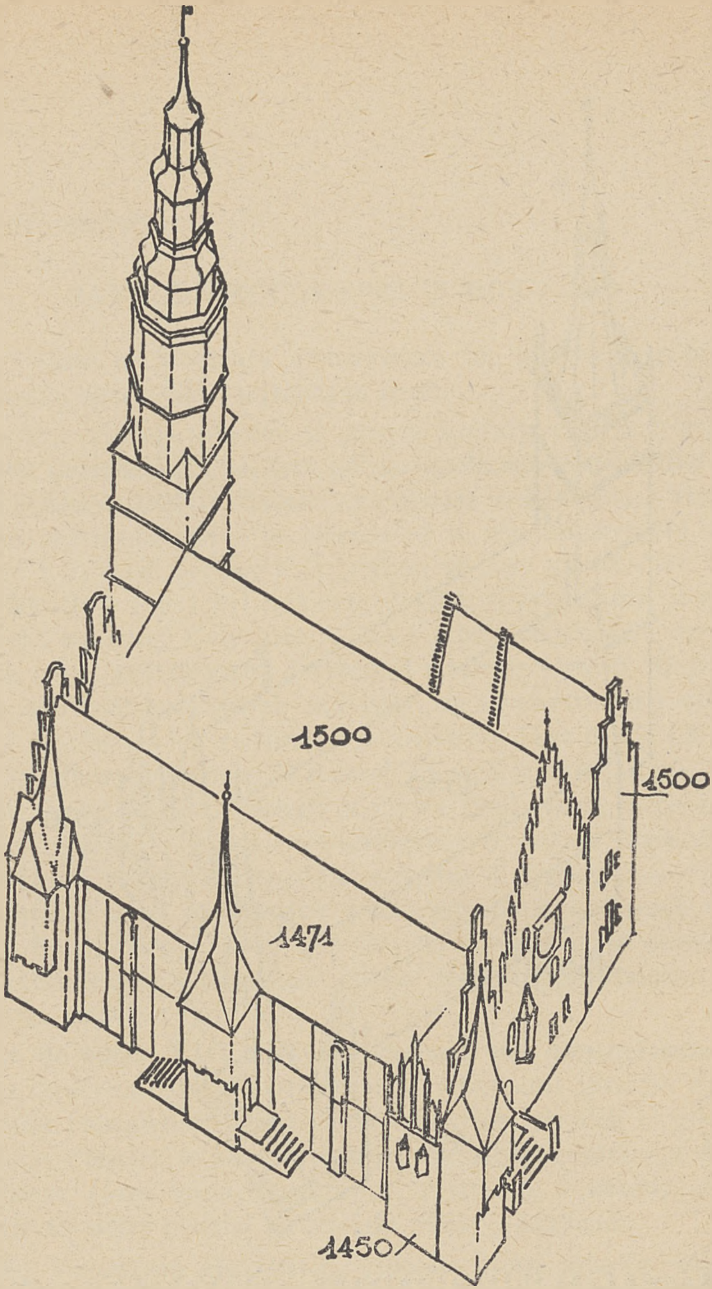
Należy właśnie włączyć w gmach kultury cały pozytywny dorobek przeszłości. I na tym polega społeczno-gospodarcze zadanie konserwatorskie. Ratusz wrocławski w dzisiejszym kształcie ma zademonstrować te przesłanki w ich historycznej dialektyce i wyrazić pewien etap piękna w jego nieskażonej formie. Wrocław jest i był miastem dużym, o przeszłości dramatycznej i barwnej. Cały jego wyraz i sens wyczytamy z utrwalonych przez architekturę dotknięć i uderzeń historii. W przekroju zaburzeń wojennych odsłoniły się nawarstwienia obwałowań murów od ich rodzimych początków. Jako osada i węzeł dróg handlowych powstał Wrocław już w X wieku, jednak jako pojęcie organizmu miejskiego zdobywa swój wyraz w średniowieczu. Narastające klasowe antagonizmy okresu feudalnego, głębokie tło religijne, anegdota wojenna i dynastyczna często przesłaniają sens społecznych i artystycznych wydarzeń tego czasu. Dzięki echom, tym oddolnie zorganizowanym samorządom rzemiosła artystycznego, sztuka staje się zjawiskiem społecznym, kolektywnym.

Aż do końca XIII wieku, w cechach nie uzewnętrznia się walka klasowa. Między uczniami a mistrzami istnieje różnica wieku i sprawności. Pracą rąk wznosi się człowiek ku wiedzy o sztuce. Później, w parze z dekadencją całego feudalnego średniowiecza (jego życia, zwyczajów, rzemiosła i sztuki), zarysowuje się ostry podział na miejski plebs i patrycjat.

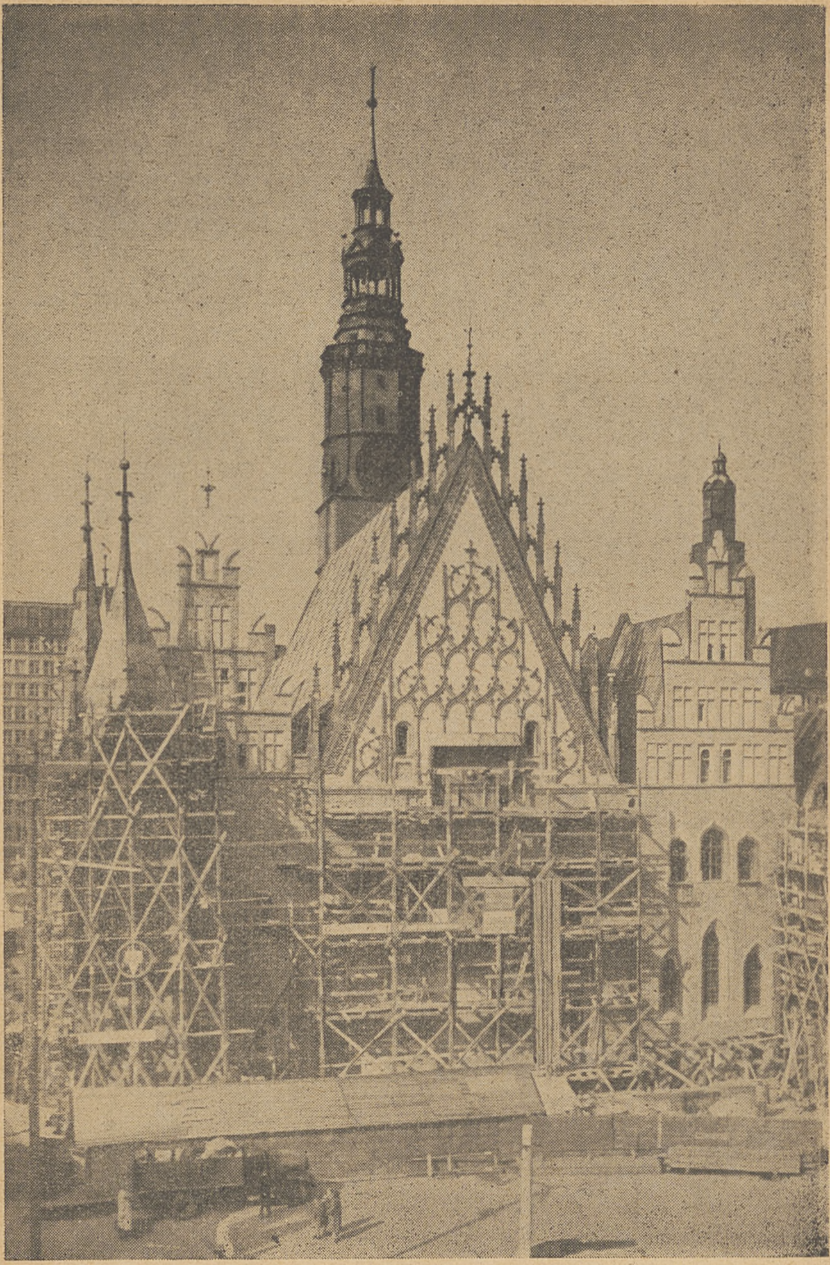
We Wrocławiu elementem, protestującym przeciw włączeniu miasta w lenno feudalne Luksemburgów, są polscy rzemieślnicy. W roku 1333 buntują się cechy przeciw niemieckiemu patrycjatowi. W kilka lat później wstrząsa Wrocławiem zryw



Rozwój architektoniczny ratusza do r. 1450



Po roku 1450



Fasada wschodnia ratusza w czasie robót 1950 r.

pod wodzą Nankiera. Rok 1418 zaznacza się znowu smugą niepokoju, gdy wyzysk ekonomiczny, jakiego dopuszczali się niemieccy patrycjusze, doprowadził do zamordowania w ratuszu siedmiu z nich, najbardziej znienawidzonych przez lud. Bunty tłumiono, przywódców ścinano. Patrycjat wychodził z nich za każdym razem silniejszy i ufniejszy w swe siły. W sklepionych salach ratusza sądzono buntowników, przyjmowano cesarza, królów, poselstwa, książąt duchownych i świeckich. Wzmacniano miejskie mury i bramy, aby je zamykać przed niemiłym patrycjuszom królem i księciem. Potęga wojskowa husyckich braci czeskich, groźna atrakcyjność ich haseł społecznych, ogarniająca część słowiańskich mas ludowych, trzymała Wrocław patrycjuszowski w zbrojnym pogotowiu, jednając mu w zamian cesarską łaskę i przywileje.

Miasto rośnie, pęcznieje. Duma patrycjuszowska domaga się czegoś więcej niż skromny budynek ceglany, zlepek kilku hal, wójtostwa i kramów. Trzeba uczcić pamięć lat tłustych: dźwignąć wieżę, podnieść dachy, wzbogacić i ozdobić budowlę.

Schyłek średniowiecza: skłócona, przełomowa, pełna konfliktów i mozaikowej barwności epoka rodzącego się kapitalizmu, odkryć zamorskich i wielkiego handlu. Razem z nim rośnie miasto i duma patrycjuszowskich kosmopolitów, tworzy się miejski i hanzeatycki patriotyzm, orientujący swą politykę ku Niemcom, Polsce, Czechom lub Węgrom w ślad za kierunkiem interesów handlowych, tendencji kościelnych i intryg dynastycznych.

W XIII wieku, gdy piętno życiu miasta nadawał wspólny interes walczącej z feudałem gminy, zdobywającej nową lokację w roku 1242, po mongolskim najeździe, czworoboczny rynek wrocławski przedstawiał obraz wielkiego placu targowego. Stanął zatem pośrodku wielki trójkątny bazar, o czterdziestu składach sukiennych hurtowników. Pomiędzy tymi podłużnymi budynkami przebiegały wąziutkie miedzuchy raczej niż uliczki. Do Wysokiej Sukiennicy przylegała trzecia ulica bogatych kramarzy, którym oddano wyłączność sprzedaży niektórych towarów, jak żelazo i korzenie, zaznaczając początek klasowych zróżniczkowań. Od północy doszedł jeszcze ostatni rząd kramów szewskich, piekarskich i innych, tak zwany „Bazar Gwarny".

Właściwego ratusza tam nie było. Do końca XIV wieku mieściła się skromna siedziba władz gminnych we wschodniej

części rynku, pomiędzy wylotami ulic Oławskiej i Kurzy Targ. O dzisiejszym ratuszu słyszymy dopiero około roku 1300. Jest to dzisiejsza środkowa część, zakończona od zachodu trzonem wieży zegarowej. W roku 1326 dochodzi nawa południowa, w latach pięćdziesiątych XIV stulecia nadbudowuje się górne piętro części środkowej, z wielką, sklepioną na słupach salą i kaplicą. W sto lat później powstaje od północy sala radna, przy narożniku wschodnim zaś — wójtostwo. To wszystko ulegnie gruntownej przebudowie i rozbudowie w ostatniej ćwierci XV wieku. Od południa dochodzi jak gdyby trzecia nawa korpusu. Front południowy otrzymuje charakterystyczny podział dekoracyjny, w całości zamierzenia artystycznego już niegotycki. Trzy alkierze o strzelistych hełmach dachowych, rytmiczny podział pionowych filarów i dwa poziome gzymsy, okapowy i międzypiętrowy, regularny układ okien — to wszystko stanowi kanwę dla bogatej ornamentyki roślinnej i figuralnej. Kilkanaście lat później, w roku 1500, decyduje późnogotycki architekt połączenie dwóch środkowych szczytów wschodnich w jeden, wysoki, górujący nad dachami domów rynkowych, odpowiadający znaczeniu i potędze władzy patrycjatu miejskiego. Na tym smukłym, trójkątnym licu rozpięto ostatni refleks gotyckiej *flamboyant* koronki. Jest w tym wszystkim jakaś płynność, zwiewność, rozigranie, obraz uchwyconych na gorąco przeobrażeń. Kamienne ściany alkierzy pokryły się bujnym ornamentem. Na fryzach i gzymsach kłębią się sploty roślin, motywy zwierząt i ludzi. Ceglane są mury i gzymsy starszych części ratusza, ceglany jest wielki, niespokojny *maswerk* środkowego szczytu od wschodu. Kamienne są wszystkie gzymsy i obramienia otworów fasady południowej, oraz obramienia okienne, drzwiowe, gzymsy i rzeźby całej ceglanej reszty ściany wschodniej.

Śląsk jest już wtedy krajem bogatym w kamień i posiada świetną twórczość ceramiczną. Ta mozaika szczegółów stanowi odpowiednik ówczesnej różnorodności narodowościowej, spraw społecznych i krótkotrwałych wpływów artystycznych ówczesnego Śląska.

Na widownię występują i znikają postacie Piastów śląskich, mówiących po polsku, po niemiecku i po łacinie. Husycki utrakwista, Jerzy z Podiebradu, ustępuje przed sojuszem Macieja

Korwina z Niemcami. Po nim znowu panuje nad Śląskiem Jagiellończyk, Władysław, jako czeski król z Pragi.

Procesarski, prorzymski patrycjat Wrocławia, ten sam, który wkrótce przyjmie skwapliwie tezy Lutra, twardo broni się przed herezją husytów. Równocześnie jagiellońska polityka nie widzi, że na rdzennie polskim organizmie występują coraz nowe, przez feudałów kierowane osiedla i miasta niemieckie.

Patrycjat wrocławski funduje sobie ratusz, ale twórcami są architekci i rzeźbiarze z różnych ziem, korzystający ze świetnej okazji wsławienia się i zrealizowania nurtujących ich pasji artystycznych. Ostatnie i mocne słowo na przełomie wieków XV i XVI wypowiedział architekt, rzeźbiarz, malarz Stefan Briccius, przelotny ptak ze słonecznej Italii, nie zrzeszony w miejscowych cechach, pracujący we Wrocławiu z przerwami — pod koniec wieku XV. Autor fragmentów kościoła św. Barbary w czeskiej Kutnej Horze, gdzie zlecono mu dalszy ciąg prac po wielkim Piotrze Parlerze, twórca rzeźb w pogranicznym Zgorzelcu, we Wrocławiu wykonał również emblematy nad bramą Mikołajską, obok arsenału. Przy samym ratuszu wrocławskim pracuje z przerwami przez ostatnie 25 lat wieku piętnastego. Właściwymi, bezpośrednimi wykonawcami są sprawne zespoły murarskiej braci cechowej i sezonowej z Opolskiego i Kluczborka, podobnie jak dzisiaj.

Rozkwitający asymetrią i bogactwem ozdobnych szczytów ratusz nie zaspokoił jeszcze spragnionego chwały patrycjatu. Miejsca wolne od rzeźb i profilów pokryła od wschodu i południa błyskotliwa, groteskowa polichromia, tępiąc konsekwentnie każdą piędź wolnej powierzchni ścian. Pod nią to, dla stworzenia tła, zatarto wapnem ceglany, barwny wątek ściany wschodniej. Resztki tej nie dającej się utrzymać polichromii usunięto w latach 1885—1890. Tynk zostawiono. Ten zlepek różnych części, ujętych sztucznie w całość, ozdobiony i zwieńczony hełmem wieży, tak niepodobny do ratuszów miast północnych, ulega z czasem licznym choć niewielkim przeróbkom i uzupełnieniom. Czasy baroku nie dodają na zewnątrz prawie nic. Lata około 1800 dorzucają szczegóły szczytów wschodnich, strojąc je w akcesoria klasycystyczne. Już w dziewiętnastym wieku znika pawilon straży miejskiej i część kramów. Znika śródrynkowe miasteczko kramarzy i rzemieślników, wyrasta rząd kamienic mieszczańskich o wysokich, ciasnych fasadach,

własność drobnych kapitalistów, trzymających się kurczowo śródmieścia. Zaczyna się wizualne rozbicie rynku.

Fala zachwytu dla wszystkiego, co średniowieczne, z tak charakterystycznym dla epoki romantyzmu gubieniem się w akcesoriach, przysłoniła właściwy sąd o istocie, wartości i znaczeniu sztuki gotyckiej. Na pierwszy plan wystąpiły wtedy postacie trubadurów, rybałtów, mnichów, rycerzy i innych reprezentacyjnych feudałów. Stąd wywodzi się sztuczna groza i przesada. Następstwem tego była szeroko zakrojona akcja ratowania katedr gotyckich, ale też i neogotyk. Ten sam neogotyk, który we Wrocławiu objawił się w arogancji czerwonych, w żołdackim guście utrzymanych gmachów z klinkierów i emalii. Toteż gruntowna w latach 1885—1890 odbudowa zaniedbanego ratusza musiała być wyrazem ówczesnych pojęć. Pozostały z niej klinkierowe okładziny fasad, wieży i zachodnich szczytów. Odtąd co parę lat prowadzono roboty adaptacyjne i konserwatorskie. Głównie wewnątrz ratusza: w sali książęcej, w kaplicy, w sali dolnej, w klatkach schodowych i piwnicach. Roboty wykonywano na dobrym technicznie poziomie, z dużym nakładem kosztów. Popełniono przy tym szereg błędów konserwatorskich, wywołanych bezradnością techniczną. Powleczono wszystkie części kamienne i tynk ściany południowej czarną farbą bitumiczną, co dało efekt ponury i obcy zamierzeniom twórców budynku. Także w kilku innych wypadkach wyraża się intencja prac konserwatorskich, idąca po linii interesów i gustów mocodawców, aktywu wielkiej burżuazji niemieckiej. Na tym tle zupełnie zrozumiały jest fakt usuwania w latach 1934 i 1935 starych zworników gotyckich ze sklepień pierwszego piętra. W ich miejsce osadzono nowe, z emblematami swastyki i „esesu“, pod kierunkiem ówczesnego kierownika odbudowy, Steina, konserwatora rządu Grundmanna, a pod patronatem ostatnio przyjętego do Wiedeńskiej Akademii Nauk osławionego z czasów drugiej wojny światowej Dagoberta Freya.

Bezpośrednio po ustaniu działań wojennych, wiosną 1945 roku, prowizorycznie zabezpieczono poważnie uszkodzony gmach. Ten pierwszy okres wymagał dalszych robót konserwatorskich. Stan całości, poza usterkami czysto budowlanymi, utylitarnymi, wymagał szerzej zakrojonych, programowych robót konserwatorskich. Z funduszów Rady Państwa i Prezydium Rady Mini-



Przy odbudowie

strów rozpocząłem roboty wiosną 1950 r. Należało przedsięwziąć szereg prac problemowych. W czasie ich trwania odsłaniały się wciąż nowe fragmenty, które na gorąco wymagały decyzji oraz rozwiązania, zgodnie z logiką architektoniczną i konserwatorską. Niemieccy konserwatorzy działali według metody ideologicznej, a więc dążąc bezwzględnie do realizacji jakiegoś założenia, powziętego przeważnie bez znajomości wszystkich szczegółów. Natomiast metoda naukowa w architekturze zabytkowej wymaga dokonania szeregu prób i robót wstępnych, przy bezpośredniej obserwacji obiektu. Przykładowo przyjmijmy występy kamiennych bloków fasady południowej o 1—3 centymetrów poza lico cegieł. Dowodzi to, że ta strona ratusza była w założeniu swym projektowana pod tynk. Na ścianie zaś wschodniej, znacznie starszej, bo z XIV wieku, kamienie i cegły sąsiadują z sobą w tym samym licu. Tam tynk nie miał występować, fasada była postawiona z miejsca w żywej cegle gotyckiej, z częściami kamiennymi. Systematyczne badanie odsłoniętych murów daje możność wniknięcia w zamierzenie twórców, rozwiązanie problemów i oddanie budowli w jej nieskażonej formie. Wymiary cegły gotyckiej, tak charakterystycznej w swym stopniowym rozwoju, dają możność uzupełnienia danych historycznych i wytyczają chronologię budowy.

Na metodycznych przesłankach oparty program tych robót problemowych, przywraca dziś ratuszowi wygląd zgodny z zamierzeniami jego średniowiecznych twórców. W ślad za tym usunąłem tynk z tych ścian, gdzie służył on za podkład dla polichromii, powstałej w końcu XV wieku. Dwubarwny układ żywego wątku gotyckiego, oczyszczonego i uzupełnionego w zestawieniu ze stonowaną popielą części kamienia i rzeźby, jasnością tynku wapiennego pozostałego we wnękach szczytów, jest tą właściwą, architektoniczną polichromią, rzetelnym wyrazem właściwego tworzywa. Front południowy, ozdobiony rzeźbami, pozostał w szarym, zgrzebnym tynku wapiennym. Jak już wspomniałem, wynika to z zamierzeń lat 1470—1475. Na jasnym tle wyprawy występują, sczerniałe od starości i farby (niestety!), kamienne sploty rzeźb. Obecnie nie ma już klinkierowych okładzin, oblepiających od lat części wieży, murów i szczyty zachodnie. Ustąpiły miejsca właściwej, gotyckiej, ręcznie robionej cegle, wydobytej z ruin, o pierwotnym polskim układzie w „głowę i wóz". Tak były kładzione lat temu sześć-

set. Nieuchronny proces zniszczenia rzeźb fasadowych przez erozję i kwasy oraz położenie farb na kamieniach bitumicznych i fluatowych, stawia przed nami zadanie technicznie najtrudniejsze, jeszcze nie rozstrzygnięte.

Cały tegoroczny program — dachy, fasady, rzeźby i niektóre zabytkowe piwnice — dobiega końca. Lecz samo odnowienie ratusza sprawy nie rozwiąże. Wymaga on należytej oprawy. Średniowiecze wrocławskie określa plan, rzut poziomy, podobny w wielu miastach niżowych Europy środkowej owych czasów. Malowniczość planu podkreśla układ brył, harmonijna sylweta gotyckiego miasta, z symbolem-dominantą ówczesnego ustroju: motywem wież kościelnych, bram i murów obronnych oraz siedzibą miejskiej władzy — ratuszem. Nie można zatem zostawić dominanty ratuszowej bez tła. Tym tłem jest rynek, całe śródmieście, zespół. W ciżbie skupionych razem dodatnich i ujemnych elementów, wszelkie poczynania pójść winny z należytym umiarem i ostrożnością. Troski o całość zespołu i nowego w nim życia nie może przesłonić troska o szczegół, zwłaszcza o szczegół wywiedziony niejednokrotnie z rekonstrukcji przedwojennych, drobiazgowych a dowolnych i budzących już przed kilkunastu laty poważne zastrzeżenia. Nie drobny detal z okresu secesji czy eklektyczne skrzyżowanie form historycznych, lecz zepsuty w XIX wieku i początkach XX układ wrocławskiego rynku jest tym cieniem w zespole. Narosła wokoło ratusza kolonia czteropiętrowych gmachów, trzyma się wprawdzie przebiegle średniowiecznej linii zabudowania dawnych niewielkich hal i kramów, lecz wysokością masywu rozcina rynek na strzępy. Tę przestrzeń trzeba ująć w ład nowy a historycznie wierny. To stanowi główny problem, zadanie i sens.

Wachlarz zagadnień i różnorodność prac łączą się ze sprawą realizacji. Zadania te ułatwiają mi bezpośredni wykonawcy — między innymi: mistrz-murarz Alfons Gacmanga, kamieniarz Józef Hutnik i student architektury Politechniki Wrocławskiej, Edmund Małachowicz. Dotychczasowe wyniki osiągnięto dzięki współzawodnictwu całej grupy roboczej II Oddziału PPB.

WYSTAWA MICKIEWICZ — PUSZKIN NA DOLNYM ŚLĄSKU

W związku z akcją umasowienia kultury pojawiła się potrzeba stworzenia takiej formy pracy kulturalno-oświatowej, która by trafiła do szerokich mas w sposób najbardziej pedagogiczny i przystępny.

Tak powstała wielka akcja wystaw objazdowych. Rozpoczęta w r. 1948, objęła niebawem wszystkie dziedziny nauki i sztuki.

Wystawy te, przewożone samochodami, mogły dotrzeć do najdalszych zakątków Polski. Dzięki atrakcyjnemu charakterowi i pedagogicznemu opracowaniu zbliżyły one mieszkańców miast i wsi do postaci wielkich uczonych, artystów i do ich twórczości.

Najbardziej rozbudowana i na wielką skalę pomyślana była Wystawa Objazdowa Mickiewiczowsko-Puszkinowska, poświęcona tym poetom z okazji 150 rocznicy ich urodzin. Organizował ją Związek Historyków Sztuki i Kultury w porozumieniu z Komitetem Obchodu 150-lecia urodzin Mickiewicza i Puszkina, z funduszów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ze względu na powszechny charakter tej akcji przygotowano trzy typy wystawy.

Pierwszy typ, to centralna wystawa warszawska, która zgromadziła wszystkie dostępne w Polsce „Mickiewicziana". Odwiedziła ona ośrodki uniwersyteckie: Warszawę, Kraków, Wrocław i Poznań. Z tych miast wyruszyły w teren do miast i miasteczek małe wystawy, przewożone samochodem, miniatury wystawy centralnej. Po wsiach, gdzie trudno nieraz o odpowiednią salę wystawową, jeździły wystawy, mieszczące się wewnątrz autobusu. W ten sposób zaplanowana akcja wystawowa objęła cały obszar Polski: i miasto, i wieś.

Zorganizowaniem drugiego typu Wystawy Mickiewiczowsko-Puszkinowskiej, wystawy mającej wyruszyć do miast i miasteczek Dolnego Śląska i Opolszczyzny, zajął się Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. W historii Ossolineum pojawiła się zupełnie nowa możliwość kontaktu zakładu naukowego z czytelnikiem, po raz pierwszy Ossolineum wyrusza w teren, włączając się do ogólnopolskiej akcji umasowienia kultury.

Na eksponaty Wystawy składały się ekrany z fotokopiami rękopisów, pierwodruków i obrazów, przedstawiających w układzie chronologicznym życie i twórczość obydwu poetów. Mapki, kalendarzyki podróży z poszczególnych okresów twórczości, napisy objaśniające, przeważnie cytaty, rozmieszczone umiejętnie, dawały pełny i łatwo uchwytny dla pamięci obraz

całości. Kilka ekranów problemowych, jak *Pomniki Mickiewicza, Przekłady dzieł Mickiewicza na język rosyjski, Przekłady dzieł Puszkina na język polski*, dwie gabloty z oryginałami pierwodruków dzieł Mickiewicza i przekładów *Pana Tadeusza* na języki obce — uzupełniały i podkreślały chronologiczny układ eksponatów. Całość, mieszcząca się w 4-tonowym samochodzie ciężarowym, łatwa do ustawienia, usuwała w znacznym stopniu trudności transportowe i montażowe podczas stałych wędrówek.

W objazdach Wystawy możemy wyróżnić trzy okresy. Od 15 listopada do 21 grudnia 1949 r. objechała ona południowo-zachodnią część Dolnego Śląska: Dzierżcniów, Bielawę, Wałbrzych, Kamienną Górę, Jelenią Górę i Świdnicę. W terminie zimowym od 15 lutego do 31 marca 1950 r., w porozumieniu z Referatem Kultury przy ORZZ, odwiedziła fabryki wrocławskie. Trzeci, najdłuższy okres, od 1 maja do 13 października 1950 r., to Katowice, Śląsk Opolski, Ziemia Kłodzka i północna część Dolnego Śląska.

Kiedy członkowie ekipy wystawowej dnia 15 listopada 1949 r. wyruszali samochodem, załadowanym eksponatami, w teren, odczuwali pewien niepokój, jaki towarzyszy zwykle organizacji nowych form pracy. Doświadczenia wyniesione z objazdu wykazały jednak już w pierwszym etapie, że na prowincji istnieje wielki głód wiedzy i że forma pracy, jaką obrano, jest najwłaściwsza. Dowiodła tego duża frekwencja, osiągająca nieraz cyfrę 1500 zwiedzających dziennie. Samorzutne urządzanie imprez artystycznych na otwarcie Wystawy przez młodzież szkolną i robotniczą, trzy grube tomy książki pamiątkowej, zapełnione uwagami, musiały być wynikiem głębokiego zainteresowania.

Środki propagowania Wystawy były bardzo proste: estetyczne afisze, transparent z napisem „Wystawa Mickiewicz-Puszkin, wstęp bezpłatny", komunikat radiowy i prasa. Prócz tego otwarcie imprezy odbywało się każdorazowo uroczyście, przy współudziale miejscowych zespołów świetlicowych. W celu skoordynowania odwiedzin grupowych, inspektorat szkolny i referat kultury przy ORZZ układały kalendarzyki zwiedzania. Każdą grupę oprowadzali prelegenci z ekipy wystawowej. Objaśnianie Wystawy przez prelegentów zamieniało się często w dyskusję, która przyczyniała się do istotnego zrozumienia postępowego nurtu poezji Mickiewicza i Puszkina. Dyskusje z młodzieżą szkolną odbywały się na poziomie odpowiedniej klasy. I tu nieraz padały wypowiedzi, świadczące o tym, że forma, w jakiej opracowano wystawę, pozwala na głębsze utrwalenie nabytych wiadomości wśród młodzieży. Bronisława Dutkówna z I Lic. Koed. Handl. w Wałbrzychu tak wpisała się do książki pamiątkowej: „Wystawa dała mi więcej niż cały rok suchej nauki o Mickiewiczu i Puszkinie w szkole. Zobrazowała dokładnie ich życie i walkę".

Pytania robotników były proste i konkretne. Chcieli oni poznać poetów jako ludzi walczących o sprawiedliwość społeczną. Odczytanie i skomentowanie kilku fragmentów utworów zachęciło ich do bliższego zaznajomienia się z twórczością Mickiewicza i Puszkina. Jeden z nich napisał w książce pamiątkowej: „W imieniu robotników PZPB Oddz. I w Dzierżoniowie wyrażam głębokie zadowolenie z obejrzenia Wystawy Mickiewicz-Puszkin. My, robotnicy, na takich wystawach dochodzimy do wnio-

sku, że już dawniej wielcy ludzie, jak ci dwaj poeci, dążyli do zbratania obu narodów i służyli sprawie wolności ludów.“

Spośród miast, w których się zatrzymano w pierwszym okresie, największym powodzeniem cieszyła się Wystawa w Wałbrzychu, Dzierżoniowie i Bielawie. Ogółem podczas pięciu tygodni odwiedziło ją około 33 tysięcy osób.

Drugi etap — to fabryki wrocławskie. Świetlice Państwowej Fabryki Sztucznego Jedwabiu, Browaru Piastowskiego, „Pafawagu“ itd. — to punkty, które Wystawa odwiedziła. Cieszyła się gorącym poparciem Rad Zakładowych, które wykazywały zrozumienie jej roli w pracy kulturalno-oświatowej. Tu działalność Wystawy wiązała się ściśle z pracą świetlic fabrycznych. Zespoły świetlicowe starały się nadać jej otwarciu uroczysty charakter przez urządzanie imprez artystycznych. Na wielką skalę zorganizowano to w Domu Kultury „Energetyk“. Obok występów baletu, chóru rewelersów, zespół dramatyczny wystawił *Maskaradę* Iwaszkiewicza. W stosunku do pracy świetlicowej Wystawa spełniała podwójną rolę. W świetlicach postawionych na wysokim poziomie włączała się w ogólny nurt pracy. W innych, walczących z trudnościami, spełniała pionierską rolę „orki na ugorze“, ściągała ludzi do świetlicy, przez ciekawy dobór eksponatów i odpowiednie prelekcje przyzwyczajała robotników do wielkiej poezji.

W okresie objazdów po fabrykach wrocławskich zwiedziło Wystawę ok. 12.528 robotników.

Wędrówki po Ziemi Kłodzkiej przypadły na lipiec i sierpień, w okresie największego nasilenia ruchu wczasowego. W miejscowościach zdrojowych umieszczano eksponaty w pijalniach wód, w najbardziej atrakcyjnym punkcie uzdrowiska. Wczasowicze z całej Polski spędzali tu chwile kulturalnego wypoczynku.

W drugiej połowie sierpnia wyruszono w północną część Dolnego Śląska. Teren ten, mniej nasycony imprezami tego rodzaju, wymagający specjalnej opieki w sprawach pracy kulturalno-oświatowej, był wdzięcznym polem działania.

Jak ocenili i zrozumieli rolę Wystawy ludzie pracy, świadczy o tym wypowiedź pracownika PKP w Legnicy: „Po przyjeździe z Tarnopola osiedliłem się w Legnicy i pracowałem tu jako robotnik kolejowy. Obecnie, w drodze awansu społecznego, zostałem kierownikiem jednego z działów. Wiele czasu wolnego od pracy zużywam na dokształcanie się. Zwiedzając Wystawę Mickiewicz-Puszkin przekonałem się, że nasze państwo ludowe nie tylko buduje szkoły i daje wszystkim możność kształcenia się, ale polnymi drogami dociera do miast i miasteczek z wystawami o wielkich poetach i zapoznaje szerokie masy z ich życiem i twórczością“.

Osiem tomów w okresie prawie rocznej wędrówki zapełniło się tego rodzaju wypowiedziami. Są to oczywiste dowody celowości takiej akcji. Wprowadzenie wystaw objazdowych jako stałej formy pracy kulturalno-oświatowej przyczyni się w wielkim stopniu do pełnej realizacji planu umasowienia kultury.

Mieczysław Klimowicz

N O W E   K S I Ą Ż K I

TEKSTY LITERACKIE

NOWELE GRECKIE W WYBORZE. Przełożył i wstępem poprzedził S e w e r y n   H a m m e r. Warszawa 1950. B i b l i o t e k a   M e a n d r a, 14.

Długa i imponująca jest literacka kariera małych form prozy epickiej. Nie tylko sekundują one formom większym, ale również — myślę np. o noweli renesansowej, o powiastce filozoficznej i o znacznej części nowelistyki dziewiętnastowiecznej — potrafią wyprzedzać romans czy powieść w sięganiu po nowe treści, dystansować te formy w ich funkcji społecznej. Historia małych form pokazuje wielki ich rozkwit w pewnych szczególnie okresach: ich właściwości kompozycyjne, dające pisarzom określone sposoby obrazowania życia ludzkiego, decydują o ich przydatności i roli w odpowiednich fazach rozwoju społecznego. Lecz sugestia terminologii jest silna. Mówiąc o noweli konkretyzujemy sobie pojęcie nazwiskami Maupassanta, Turgeniewa, Prusa, Cervantesa, Boccaccia czy nawet Arystydesa z Miletu — a przecież nie położymy znaku równości między utworami tych pisarzy na zasadzie ich rzekomej tożsamości gatunkowej. Efektowne jest odnajdowanie tysiącletnich tradycji, ale zapomina się przy tym często o historii.

Kwestie te aktualizuje obecnie ukazanie się zbioru nowel antycznych w wyborze S. Hammera. Antologia ta, wydana w niewielkim nakładzie przez zasłużone w krzewieniu kultury klasycznej wydawnictwo M e a n d r a, jest pozycją potrzebną i cenną, bo uprzystępnia w języku polskim szereg utworów mniej znanych, a interesujących. Obejmuje ona kilkadziesiąt krótkich utworów prozaicznych dwudziestu starożytnych autorów greckich, względnie hellenistycznych (stąd obecność Apulejusza, Lukiana czy anonima żydowskiego). Antologia określa je w tytule wspólnym mianem nowel, lecz już we wstępie autor się zastrzega, że „sam czytelnik łatwo odróżni nowele od fraszki, baśni, podania i legendy". Nie miejsce tu na dyskusję, czy słuszne jest rozróżnianie odrębnych typów wśród małych form epickich i traktowanie noweli jako osobnego gatunku, niemniej wszakże sądzę, iż jakaś konsekwentna klasyfikacja zawartych w antologii utworów byłaby we wstępie zupełnie na miejscu. Gdyby przyjąć cytowaną wyżej propozycję i szukać w antologii właściwej noweli, to właśnie jej znalezienie nie przyszłoby bez trudności. Trzon materiału antologii stanowią bowiem legendy i baśnie, w moim pojęciu bynajmniej nie tożsame z nowelą, w większości „wykro-

jone“ z dzieł starożytnych historiografów, jak Herodot, Ktezjasz czy Ksenofont, a także z romansów Petroniusza i Apulejusza czy z dialogów Lukiana. Metoda ta przywodzi nieco na myśl formalistyczne katalogi wyciętych z kontekstu metafor czy motywów. Potwierdzenie obaw daje wstęp do antologii, w którym autor, w poszukiwaniu motywów nowelistycznych w różnych rodzajowo utworach, znajduje nawet jedną nowelę w *Odysei* i uznaje ją za „najdawniejszą zachowaną nam nowelę jońską w stylu dworskiej epiki“. Z równym powodzeniem, jak sądzę, można by się pokusić o wyprowadzenie polskiej nowelistyki od Galla i Kadłubka, czy wykroić kilka ładnych „nowel“ z przygód hidalga z Manczy lub kapitana Gulliwera (jakże przypominają Swifta pomieszczone w antologii oddzielnie niesamowite przygody z *Vera historia* Lukiana!).

Prezentowana w antologii metoda wyboru jest wszakże tylko konsekwencją stanowiska wobec zagadnienia powstania noweli. Przyjęcie pewnego stałego wzorca formalnego noweli i założenie jej zasadniczej niezmienności (gdyż „odzwierciedla uczucia i namiętności ogólnoludzkie, które są zawsze niezmienne“, s. 30.), dostrzeganie noweli w każdym dostatecznie rozwiniętym, odpowiadającym wzorcowi i dającym się wyodrębnić motywie — prowadzi do formalistycznej koncepcji romansu jako zbioru nowel i pozwala na ich odnajdowanie w dowolnie wybranych utworach epickich. Rzecz oczywista, że najdawniejsze twory tzw. literatury ludowej zawdzięczamy właśnie ich zapisowi późniejszemu w kronikach, romansach i in., że jakaś legenda u Herodota, poza swą funkcją teologicznego komentarza do historycznej relacji w dziele, w które ją wkomponowano, może mieć drugą, osobną wartość poza tym dziełem. Większą jeszcze autonomię można przyznać baśniom i nowelom wyjętym z romansów Apulejusza i Petroniusza, których fabułę romansową można traktować jako opowieść ramową, typową nawet dla utworów bardzo dużych, jak w staroindyjskiej powieści Gunadhji *Brihatkatha*, gdzie opowieść ramowa ciągnie się przez osiemnaście ksiąg.

Z drugiej strony — nie usprawiedliwia to jednak ustawienia na jednej platformie, pod obowiązującym określeniem gatunkowym, utworów tak odmiennych, zebranych z różnych źródeł, sytuacji geograficznych, środowisk społecznych i momentów historycznych — jeszcze w oparciu o formalistyczne w swej istocie kryterium wyboru.

Powstania noweli nie wyjaśnia związanie zagadnienia z początkami prozy. Fakt pojawiania się w handlu greckim w pierwszej połowie VII w. przed Chr. pierwszych zwojów papirusu (S i n k o, *Literatura grecka*, I, 1, s. 305) i w konsekwencji powstanie pierwszej greckiej książki, która „nie wyparła jeszcze przez cały wiek ustnego rozpowszechniania utworów, ujętych w wierszu, pierwotnie dla celów mnemotechnicznych, ale zmonopolizowała dla siebie to, co było trudniejsze do spamiętania: prozę“ (S i n k o, *tamże)* — miały oczywiste znaczenie dla historiografii, a pośrednio — dla zapisu literatury ustnej, prowadzi nas to wszakże z powrotem do Herodota i kłopotów wyżej już omówionych.

Arystoteles z zakresu prozy wymienia w swej poetyce jedynie trzy kategorie retoryki. Nie mógł on zresztą legalizować gatunków plebej-

skich, które kłóciły się z normatywną poetyką literatury dworskiej, zawdzięczającej bujny rozwój ustrojowi niewolnictwa, który pozwolił klasie panującej poświęcać się całkowicie poezji, sztuce i spekulacjom filozoficznym. Oficjalna literatura dworska objaśnia teologicznie los ludzki i kultywuje te normy moralne, które utrzymują trwałość korzystnego ustroju. Bogowie strasznie karzą występki przeciwko obowiązującej moralności, ale ich wyroki dla hojnych ofiarodawców świątyń są zazwyczaj łaskawe. Niepowodzenia dobrodziejów można ewentualnie wyjaśnić sprzeczką na Olimpie.

Pierwszy zbiór nowel greckich dał Arystydes z Miletu na przełomie II i I w. przed Chr. Pozostały z tego zbioru zaledwie fragmenty i tradycja u naśladowców z Petroniuszem na czele. Nowele te, które mówiły przeważnie o zwykłym człowieku w naturalnych sytuacjach życiowych, ulegającym różnym namiętnościom, tworzące nowe normy moralne w miejsce starych — są w istocie nowym gatunkiem literackim. Społeczna baza literatury dworskiej chwiała się już przy odgłosach pierwszych buntów niewolników. Teatr grecki, swą organizacją masowego odbioru najbardziej sprzyjający demokratyzacji, opanowała już była nowa, mieszczańska komedia attycka, która jeszcze przed oficjalnym pojawieniem się noweli wyzyskiwała jej typowe motywy. Sama nowela wchodzi do literatury jako kryjący się dotąd w formie ustnych opowieści helleńskich rzemieślników, drobnych kupców i rozmaitych włóczęgów plebejski gatunek literacki. Właściwa nowela nie jest zbyt dawna swym powstaniem, jest ona bowiem produktem okresu nadchodzącego kryzysu ustroju niewolnictwa, zmierzchu bogów olimpijskich i starego porządku. Zrodził ją Milet, potężny ośrodek handlowy w Małej Azji, gdzie krzyżowały się w starożytności najważniejsze szlaki handlu światowego. I później forma nowelistyczna wykwitnie właśnie w kupieckiej Florencji — w jednej epoce da to miasto Europie *Dekamerona* i pierwsze papierowe banknoty.

W antologii S. Hammera znajdujemy właściwe nowele dopiero pod nazwiskami literackich spadkobierców milezyjskiego Arystydesa. Pierwszą tu nowelą jest słynna *Matrona z Efezu* Petroniusza, przedstawiająca miłosne igraszki „cnotliwej“ wdowy z szelmą-żołnierzem — w grobowcu, przy zwłokach zmarłego małżonka. W noweli *Żołnierz wilkołak* narratorem jest niewolnik pewnego kupca, utrzymujący — na zdrowych podstawach gospodarczych — miłosne stosunki z szynkarką Mellisą pod bokiem jej męża. „Nie dla dogodzenia chuciom cielesnym z nią przestawałem — wyznaje niewolnik-narrator — lecz raczej dlatego, że miała zacny charakter. Jeżeli ją o co prosiłem, nigdy mi nie odmawiała; jeżeli zarobiła asa, moja była połowa; cokolwiek ja uciułałem, wędrowało do jej kieszeni, a nigdy mnie nie oszukała“.

Wśród utworów Apulejusza wyróżnia się tu jeden, przypominający najbardziej typowe nowele Boccaccia; tytuł w antologii — *Zdradzieckie buciki*. „Sokołem“ tej noweli — że użyję umownego wzoru z przykładu Boccaccia dla podstawowego w strukturze utworu motywu — są zapomniane nieostrożnie w sypialni niewiernej małżonki sandały gacha, który

wszakże potrafił nie tylko uchronić się przed zemstą zdradzanego męża, ale naiwnego wystrychnął na dudka.

Nieliczne są te utwory, które chcę tu wydzielić z całości antologii, ale za to wyraźnie się one wyodrębniają jako osobna grupa gatunkowa. Wspólna im jest prosta, ludowa bezpośredniość i swoboda, frywolność zabarwiona humorem, niewątpliwa tradycja opowieści milezyjskich, ulubionej lektury „frontowej" żołnierzy rzymskich. Cechuje tę grecką nowelę realizm, ale już nie mitologiczny realizm literatury dworskiej. Rzecz oczywista, daleko noweli antycznej do perfekcji krytycznego realizmu literatury nowożytnej. Przyczyną tego oporu wobec metody realistycznej jest między innymi — wyraźny spadek po literaturze baśniowej — stała predylekcja wczesnej nowelistyki do szukania zdarzeń i sytuacji charakterystycznych, w przeciwieństwie do konsekwentnego dążenia większych form ku typowości. Wszelako w dobie największego rozwoju noweli antycznej właśnie romans tonął w idealizmie, nowela zaś, zdobywszy sobie pełne prawo do istnienia, wyzwalała się coraz skuteczniej z różnych elementów baśni, z której wyrosła.

Baśń i legenda, stanowiące większość w antologii, są utworami o funkcji moralnie pozytywnej, jeśli nie budującej. Nasza grupa nowel i na tym punkcie przedstawia się nieco inaczej. Człowiek występuje tu przeważnie w dwóch rolach: bywa albo spryciarzem, albo naiwniakiem. Są tu również i cnoty: chytrość (o ile jest skuteczna), sprytne łgarstwo i umiejętność oszukiwania. Bohaterowie tych nowel noszą imiona, ale równie dobrze mogliby ich nie mieć, bo nie są to głośne imiona wielkich ludzi z baśni i legend historiografii okresu dworskiego. Dał im te imiona autor dla uprawdopodobnienia opowieści, lecz żywość i typowość postaci czyni to zbędnym.

Nie chwieje realistycznymi zrębami noweli antycznej dość częsty element fantastyczny, bo znajduje on tu inne miejsce niż w baśni czy w dworskim eposie. Pozycja strzyg i wilkołaków jest wyraźnie określona i ograniczona: są to już tylko motywy literackie, senne widzenia i lokalne tradycje zabobonnych prostaków, skarlałe potomstwo wielkiej, arystokratycznej mitologii epoki bohaterskiej. Kariera fantastyki ma tu i dalsze ogniwo. Fantastyka staje się przedmiotem parodii; taki sens mają np. fantastyczne awantury w *Vera historia* Lukiana, który to dzieło poświęcił popularnej naówczas, choć dziś nie zachowanej literaturze podróżniczo-fantastycznej z Antoniuszem Diogenesem na czele. Parodia służy noweli w uśmiercaniu mitologii. Znana scena mitologiczna sądu Parysa została zamieniona pod piórem Aristajnetosa we wcale realistyczną awanturkę miłosną pewnego młodzieńca z dwoma dziewczętami dość lekkich obyczajów.

Sekundują noweli w jej funkcji społecznej i popularności pokrewne formy prozaiczne. Zapełniają one wraz z nią wielką próżnię, jaka powstała w życiu literackim narodów helleńskich po upadku poezji dworskiej, gdy nie zdołały podtrzymać dawnych tradycji cyniczno-stoickie gatunki — moralizująca jambografia i satyra menipejska. Anegdota, fraszka, bajka Ezopowa, diatryba, sięgające po realistyczny obrazek

z życia, po satyrę i pieprzne kurioza erotyczne, tworzą wspólnie z nowelą jeden nurt nowej greckiej literatury jej schyłkowego okresu. Tu też jest miejsce dialogów Lukiana i tym tylko chyba tłumaczyć sobie można ich obecność w antologii Hammera. Znalazł się tu też prozaiczny list literacki Pseudo-Ajschinesa; opowiada on o pewnym młodzieńcu, który wyzyskał religijny zwyczaj kąpieli dziewic w Skamandrze i — porzuciwszy recytację Homera z przyjaciółmi — dla rozrywki jedną z nich pozbawił cnoty. Szelma takie przyjacielowi daje wytłumaczenie: „...Wydało mi się wskazane poigrać i coś w rodzaju komedii nad Skamandrem zainscenizować, abyśmy się w straszliwej tragice *Iliady* z kretesem nie zagubili".

Sens tych słów wychodzi znacznie poza przygodę spryciarza Kimona. Jest w greckiej literaturze antycznej wyraźny przedział między dworskim eposem, liryką pień religijnych i arystokratyczną mitologią na koturnach tragedii a plebejską literaturą schyłku okresu niewolnictwa — nowelą i jej gatunkowymi krewniakami. Nowe te gatunki, o dużej ostrości widzenia świata, na oglądaniu najbliższej rzeczywistości i obrazowaniu jej w formie fragmentarycznej, w relacji odrębnych faktów, najchętniej bez komentarza, oparły swą funkcję artystyczną. Wyniosły one do godności bohaterów „cnotliwą" wdowę z Efezu i sprytnego niewolnika pewnego kupca, postawiły na piedestale cnót bezkarne przyprawianie rogów naiwnym mężom.

Szelmowski sobowtór Skamandra recytował z przyjaciółmi całe pieśni z *Iliady*, a ludzie w kapuańskich czy milezyjskich kantorach handlowych opowiadali sobie być może „nowele" o niejakim Odyseuszu, lecz nie Homer był ich literaturą. W życiu literackim greckiej starożytności tu jest właśnie miejsce noweli antycznej, po bujnym żywocie (którego nieliczne tylko owoce do naszych czasów przetrwały) zamarłej z końcem starożytności, która ją do życia powołała z okresem zmierzchu swych bogów. Związana z twardym doświadczeniem życiowym swego plebejskiego środowiska, trochę cyniczna lub przynajmniej obojętna moralnie, nie dająca oceny ludzkiego postępowania i nie szukająca jego przyczyn, ginie nowela antyczna z ugruntowaniem się chrześcijaństwa, nowej, idealistycznej filozofii życia.

Pragnę jeszcze wrócić na zakończenie do wspomnianej na wstępie terminologii. Powstać może pytanie, czy wolno w ogóle doszukiwać się noweli w starożytności. Termin *novella* pojawił się dopiero w średniowieczu we Włoszech, lecz przyjął się później powszechnie jako swobodne określenie licznej grupy małych prozaicznych form epickich. Wydaje się jednak, że w antologii Hammera, zamykającej tak różnorodny, skrzętnie pozbierany materiał (choć w przekładzie nie zawsze szczęśliwy), zastosowanie tego terminu jest zbyt swobodne.

Nie szukam w antologii noweli „jako takiej", bo nie wiem, jak ona wygląda. Szukam greckiej noweli antycznej, którego to terminu wolno użyć dla określenia typu utworów, nie tylko podobnych formalnie i funkcjonalnie do późniejszej nowelistyki europejskiej, ale i stanowiących jej żywotne tradycje i wzorce literackie. Tak pojęta nowela antyczna,

o własnych, historycznie uwarunkowanych znamionach i funkcji społecznej, ma swe określone miejsce w literaturze starożytnej. Za jej wyodrębnienie w antologii Hammera trzeba jednak zapłacić opuszczeniem wielu lat i wieków historii. Ale ostatecznie nie wszystko można wywodzić od Homera, bo choć efektowne jest odnajdowanie tysiącletnich tradycji, to przecież często zapomina się przy tym o historii.

Stanisław Jan Pietraszko

Adam Korczyński, ZŁOCISTA PRZYJAŹNIĄ ZDRADA. Z rękopisu Biblioteki Narodowej wydał Roman Pollak przy współudziale Stefana Saskiego. Kraków 1949. Polska Akademia Umiejętności. Biblióteka Pisarzów Polskich, nr 89.

Adam Korczyński, FRASZKI. Z rękopisu po raz pierwszy wydał i opracował Roman Pollak. Wrocław (1950). Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Biblioteka Narodowa, seria I, nr 134.

Odkrycia biblioteczne Romana Pollaka rozszerzyły bardzo znacznie i w punktach szczególnie istotnych naszą wiedzę o literaturze wieku XVII. Z tego połowu tekstów wspomnijmy znaleziska najważniejsze: poszukiwania w zakresie tzw. (nie dość słusznie) literatury mieszczańskiej (wczesne ogniwo tej twórczości, *Rozmowę plebanową z panem o wojnie* z r. 1594, można znaleźć w wydaniu Pollaka w „Pamiętniku Literackim", XLI, 1950, zeszyt 2); poemat Walentego Roździeńskiego *Officina ferraria* z r. 1612, unikat Biblioteki Kapitulnej w Gnieźnie, ale także unikat w literaturze ziemiańskiej, o tematyce rewelacyjnej, nie na próżno — jako opis „szlachetnego dzieła żelaznego" — wprowadzony obecnie do lektury szkolnej; wreszcie poemat opisowy Marcina Borzymowskiego *Morska nawigacya do Lubeka* z r. 1662, unikat Biblioteki Załuskich i znowu unikat w literaturze osiadłej, szlacheckiej, trzymającej się pola, wioski, pasieki... Liczbę tych odkryć literackich, dokonanych szczęśliwą ręką Romana Pollaka, pomnożyła dziś twórczość Adama Korczyńskiego.

Nieznanego pisarza ze schyłku wieku XVII uratował dla potomności Załuski. W jego zbiorach ocalał rękopis Korczyńskiego, najwyraźniej przeznaczony do druku, jak o tym świadczą umieszczone na marginesach wskazówki dla zecera i taki np. tytuł jednej fraszki: *Do edycyi cenzora* (to jest krytyka). Ale szczupłe pisarstwo Korczyńskiego: romans wierszowany *Złocista przyjaźnią zdrada* i cykl fraszek, pisanych przy swobodnej, myśli, „mozgownica *serena*", nie doczekało się druku za życia poety. Mogła sprawić to treść romansu, w którym zdrada małżeńska pokazana jest wesoło, w epizodach drastycznych, bynajmniej nie dla przestrogi, raczej jako nauka taktyki miłosnej, prawdziwa „lekcja Kupidynowa". W epoce saskiej, pełnej „obroku duchownego", romania Adama Korczyńskiego nie znalazła drukarza. Rękopis odszukał Załuski w czasie jakiejś wędrówki po kraju i wrzucił dzieło na furkę, ładowaną — dla Biblioteki Załuskich, „Rzeczypospolitej zwanej" w Warszawie. Uczony bibliograf odczytał jeszcze nazwisko autora, wyrażone przy pomocy szarady dość łatwej do odcyfrowania. Po latach miał w rękach teksty Kor-

czyńskiego Aleksander Brückner, ale przebiegł je pośpiesznie, zaledwie kartkując rękopis. Dopiero Roman Pollak ocenił pisarstwo Korczyńskiego na miarę zjawiska literackiego, które istotnie stanowiło. Sam autograf, w Bibliotece Narodowej w Warszawie, spłonął w r. 1944 w czasie okrutnego pożaru Biblioteki Krasińskich. Ale szczególnym dobrodziejstwem losu zostały uratowane odpisy prof. Pollaka i one to — na prawach autografu — pojawiły się obecnie drukiem z pieczołowitością edytorską, na jaką zasłużyły.

Złocista przyjaźnią zdrada ukazuje w 9 pieśniach („punktach") intrygę miłosną, w którą uwikłali się potajemnie piękna Włoszka i ochoczy junak polski w mieście nienazwanym, nad Adriatykiem. Jest to intryga co się zowie. Bowiem Włoszka ma męża, zazdrosnego starucha, który osadził żonę pod kluczem, w zamkniętej szczelnie kamienicy. I właśnie starego rajcę włoskiego wywodzi się tutaj w pole całym pasmem przemyślnych fortelów, zgrabnie i potoczyście opowiedzianych. Żywa akcja miłosna toczy się przejściem podziemnym między dwoma domami, przy usłużnej pomocy sługi włoskiego, eunucha, który sprawnie występuje w roli „wiernusia", powiernika miłości. Wreszcie ku końcowi intrygi rajca włoski odprowadza na okręt panicza polskiego i jego żonę, nie domyślając się nawet, że to jego własna żona, wiarołomna. Autor (a i powiedzmy prawdę, czytelnik) nie odczuwa zgorszenia na widok owej „zdrady" małżeńskiej. Sam Korczyński jest rad najwyraźniej, że to właśnie Polak spłatał taką sztukę cudzoziemcowi (por. zakończenie opowieści). Co do nas, jeśli nawet nie podzielimy dumy narodowej pisarza z powodu zręczności figla, zatrzyma nas i zabawi żwawa akcja noweli, pełna dowcipu, rozbudowana w szczegółach, gdzie piosenka (nieraz wielkiej sztuki) łączy się z facecją, a „zdrada" jest „przyjaźnią złocista".

Korczyński nie nazwał miasta włoskiego, w którym rozwija się intryga, przemilczał imoina bohaterów — z poczucia dyskrecji (cóż to za motyw osobliwy!) i ostrzegł czytelnika poszukującego skandalu, że „Żadnej się nie doczyta wyraźnej persony" (I, w. 224). W ten sposób zwiódł wszystkich — tylko nie Brücknera. Ten ostrowidz szczegółu literackiego dojrzał bohaterów Korczyńskiego w noweli średniowiecznej, włożonej do *Poncjana* (Inclusa, siódma powieść Cesarzowej). Znając stan romansu polskiego w tym okresie, podobną zależność od beletrystyki zachodniej, widoczną w pismach Twardowskiego, Potockiego, Drużbackiej, przyjmujemy z góry bez zdziwienia. Ale motyw *Poncjana,* powieści moralnej z głębi średniowiecza — pod piórem Adama Korczyńskiego? Trudno taką konstatację zostawić bez dyskusji historycznej.

Poemat polski nie nosi daty powstania. Ledwie z tytułu jednej z fraszek, które towarzyszą *Zdradzie,* możemy doczytać się wieku utworu: „Moda teraźniejsza *anni* 1698-*vi*". Oto jedyny, wyraźny element chronologii dzieła, który wyziera z tekstu.

Któż zacz Adam Korczyński? Wydawca *Fraszek* z wielką starannością poszukiwał wiadomości o autorze, określając jego środowisko społeczne i kulturę literacką. Uzyskał maksimum informacji, jakie dawał tekst. Ale tekst dawał niewiele. Adam Korczyński, z drobnej szlachty, utrzymuje

swoją twórczość „w kręgu życia miejskiego", ma zapewne urząd w palestrze, w sądzie grodzkim czy innym, zbyt dużo jego fraszki mówią o wymiarze sprawiedliwości, o działaniach sądowych. W przypisie do *Zdrady* cytuje napis na ratuszu samborskim, który można „w rynku stojąc, przeczytać" (s. 14). Oto i wszystkie, jak dotychczas, elementy biograficznej hipotezy. Lokalizacji tej nie podważa fakt, że napis z samborskiego ratusza pojawia się także i gdzie indziej (niemal w identycznej wersji na ratuszu w Brunsberdze, dzisiejszym Braniewie, według notatki Mieczysława Orłowicza, *Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii*, Lwów — Warszawa 1923, s. 258). Korczyński zapamiętał go i zapisał w Samborze. Miał zresztą skłonność do podobnej maniery składniowej, wedle której zbudowany jest tekst napisu, jak o tym świadczy fraszka 21, *Uxor viri corona*.

Tak właśnie w promieniu kulturalnym Sambora, ku schyłkowi wieku XVII, czytało się w Polsce nowele ze średniowiecznego *Poncjana!* Anachroniczność literacka romansu wierszowanego, który rozwija się bujnie w wieku XVII, nie została jeszcze ani razu z taką jaskrawością potwierdzona. Zapewne, Korczyński nie oparł się bezpośrednio na *Poncjanie*, zbyt akcja *Zdrady*, skomplikowanej w szczegółach, odbiega od prymitywnej akcji pierwowzoru. Badacz jego dzieła domyśla się oryginału *Zdrady* w nowelistyce włoskiej, „wśród późnego potomstwa powiastki z *Poncjana*", i właśnie od prof. Pollaka, który przygotowuje o romansie studium osobne (dotychczas znane ze streszczenia w Sprawozdaniach PAU, 1946, nr 8), oczekujemy ze zrozumiałym zaciekawieniem określenia tego pokrewieństwa literackiego. Ale rodowód zasadniczy już dzisiaj jest jasny: Adam Korczyński opracował z niemałą sztuką literacką, w której dykcja staropolska łączy się z kunsztem baroku, przesiedziawszy połowę życia gdzieś „na małej wsi" (VI, w. 156), a drugą „na ratuszu" (o którym wzmianka wielokrotna w romansie) — motyw nowelistyczny sprzed kilku wieków, bez poczucia anachroniczności tematu, bez obawy, że nie znajdzie dla niego — w ziemi samborskiej — czytelników. I jakże się przy tym zabawił!

Gdy tak rozważamy gust prowincji sarmackiej w roku 1698 na tekście dzieła, które powstało najpewniej w ostatnim dziesiątku XVII wieku, uderza nas jeszcze jedna konfrontacja historyczna: toż to czasy Marysieńki! *Złocista przyjaźnią zdrada* została napisana w epoce Astrei i Celadona. Gdy Adam Korczyński, „nie mając roboty" (wiersz wstępny: *Czytelniku*, w. 30), siedzi sobie pilnie nad *Poncjanem*, którego tłumaczył przed nim Jan, bakałarz z Koszyczek, na dworze królewskim w Jaworowie, w Wilanowie inna lektura: *Kleopatra* La Calprenède'a, *Wielki Cyrus czyli Artamenes* panny de Scudéry, *Astrea* Honoriusza d'Urfé. Potrzeba dobrze zaostrzyć wzrok, by w wierszach *Zdrady* dopatrzyć się wskazówek czasu, w którym powstała, czasu Marysieńki. Wyłowimy tych świadectw bardzo niewiele: tytulaturę francuską w listach, jakie wymieniają kochankowie, aluzje do wydarzeń krajowych w korespondencji, która rzekomo dochodzi panka polskiego nad Adriatykiem: „komu teraz sprzyja / I komu jest przeciwna francuska fakcya" (francu-

skie stronnictwo w Polsce, stronnictwo Marysieńki!), „Bisurmańskie też dokąd zmierzają księżyce"... (VI. w. 323—325). I chyba jeszcze ten „szelwacht" w wierszu *Zdrady* (II, w. 13, „szeltwachty" IV, w. 170), który zajmuje tyle miejsca w swawolnej wyobraźni króla Jana... (zob. książkę Boya o Marysieńce). Poza tym — daleka droga od Wilanowa do Sambora, od Celadona do Poncjana. Powieść Adama Korczyńskiego pozwala nam wymierzyć wiek XVII, od stolicy do prowincji, miarą historyczną, bardzo pouczającą.

Pieśni *Zdrady przyjaźnią złocistej*, owych „punktów dziewięć", przedzielił autor, by dogodzić szlachcie, cyklami fraszek, które potraktował niby *intermedia*. Tę zasadę kompozycji dzieła potwierdza bardzo obszernie karta tytułowa książki, wystylizowana starannie przez pisarza. Roman Pollak wyłączył fraszki do publikacji osobnej. Jeśli uczynił tak, by napisać do *Fraszek* (w tomiku Biblioteki Narodowej, gdzie po raz pierwszy publikuje się *inedita* rękopiśmienne!) doskonały wstęp literacki, który daje rodowód i charakterystykę rodzaju, pełna zgoda! Ale naszym zdaniem fraszki Korczyńskiego powinny były pozostać tam, gdzie położył je autor. Istotnie, nie łączą się z akcją romanii. Ale zostawione między pieśniami *Zdrady*, zgodnie z wolą poety spod Sambora, objaśniają dość ciekawie rolę *intermedium* (w utworze epickim! przeniesioną niejako z komedii) i dają mimowolne świadectwo, że romans wierszowany wieku XVII nie jest rodzajem pisarstwa w pełni autonomicznym, że musi on sobie szukać podpórek literackich. I oto podpórką romansu, nie dość łatwo jak widzimy zdobywającego rynek księgarski i czytelniczy, staje się, przynajmniej w doświadczeniu Adama Korczyńskiego, fraszka sarmacka, rodzaj wielkiej popularności w epoce.

Fraszki Korczyńskiego, dochowane w rękopisie Załuskich w liczbie 159 (ale brakowało paru kart w tym skrypcie), żywe, pełne notatek ze świata obyczaju i kultury współczesnej, pisane z niemałą inwencją językową (por. np. zdrobnienie wyrazu „roztropnie", zapewne najdłuższe słowo polskie: „Roztropniusiuchniutenieczenniusienienko", o którym pisał R. Pollak w *Języku Polskim*, XVII, 1947 nr 6), dowcipnym makaronem, kalamburem „dla nietęsknice czytelnika" — zostały w przedruku dość surowo przycięte. Wydawca proskrybował zrazu trzy utwory (dla ich treści nieprzystojnej, s. XX), później odnotował „kilka fraszek plugawych", którym zostawiono tylko tytuły (s. XXVI). Ale w tomiku brak ich znacznie więcej, brak 20 utworów! Nie pociąga nas dzisiaj krzepa staropolska według starej recepty kulinarnej: „Pieprzno i szafranno, moja Mościa Panno". Ale integralność tekstu jest troską filologa, którą redakcja Biblioteki Narodowej mogła była zapewne posunąć nieco dalej — przy trzech tysiącach nakładu (*Świńska plebania* M o r s z t y n a, finezyjna, pełna perwersji, ukazała się niedawno w nakładzie 3.500 egzemplarzy, w „Książce i Wiedzy"!). Zresztą odczytajmy list Jana Kochanowskiego do drukarza fraszek czarnoleskich (według wyciągu Jana Januszowskiego): „Wyrzucać co z fraszek nie zda mi sie, bo to jest jakoby dusza ich [...]. A tak proszę, przepuść im teraz, Wasza Miłość *etc.*, te są słowa jego".

Tadeusz Mikulski

Julian Niemcewicz, DWAJ PANOWIE SIECIECHOWIE. Powieść. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Jan Dihm. Wrocław (1950). Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Biblioteka Narodowa, seria I, nr 135.

Udział Niemcewicza w rozwoju nowożytnej powieści polskiej jest znany ciągle jeszcze bardzo ogólnie. *Jan z Tęczyna* (1825) przyniósł pisarzowi nie tylko wielkie honorarium Glücksberga, za które Niemcewicz przyozdobił sobie rezydencję literacką w Ursynowie. Za cenę tego dzieła został także założycielem polskiej powieści historycznej. Jego poprzednia twórczość beletrystyczna pozostała w cieniu, z którego tylko czasem dobywali ją historycy literatury.

Któż czytał *Dwóch panów Sieciechów*, powieść roku 1815, wydaną pod przejrzystym kryptonimem J.U.N.? Konstanty Wojciechowski przekonywająco, choć zbyt ogólnikowo, mówił o tej książce, że „tu po raz pierwszy spotykamy się z utworem powieściowym, w całym tego słowa znaczeniu oryginalnym“. Jest to wysoka kwalifikacja, na którą w pełni nie zasłużył żaden beletrysta wieku Oświecenia ze szkoły Krasickiego.

Dwaj panowie Sieciechowie, zapomniane wydarzenie literackie roku 1815, otwierają polską powieść tradycyjną. I to im nadaje walor zupełnie szczególny w historii rodzaju. Pomysł książki należy całkowicie do Niemcewicza. Zestawia ona fragmenty diariusza dwu panów Sieciechów, z których jeden, Wacław Sieciech, opisuje dzień po dniu swoją młodość, gnuśną i pijacką, z epoki saskiej, drugi, Stanisław Sieciech — swoją młodość żołnierską i obywatelską, na usługach Księstwa Warszawskiego. Niemcewicz uzyskuje wyrazisty kontrast pokoleń, zestawiając ze sobą dwie epoki i — dwa diariusze. Czyni to z wielkim taktem literackim, nie wtrącając (poza ekspozycją i zakończeniem powieści) żadnego słowa od siebie, samą wymową dokumentów rodzinnych, przechowanych w bibliotece Sieciechów. Pisarz próbował już poprzednio mistyfikacji literackiej, wcale udatnie, ale tym razem dał apokryf historyczny bardzo czysty, niezamącony w języku i realiach, przeniknięty ideologią postępu społecznego. U Niemcewicza, urodzonego publicysty, każde zdanie służyło potrzebom czasu. *Dwaj panowie Sieciechowie* kontrastują Polskę za Sasów i zwycięską Polskę spod Raszyna. W istocie książka przedstawia społeczeństwo z epoki Księstwa Warszawskiego, w którym autor zwalcza brawurowo relikty sarmackie. Tak więc historyzm tej powieści jest pozorny, chociaż Niemcewicz buduje go ze starannością antykwarza czy archiwisty. W istocie, przez ukazanie kontrastu pokoleń, przez naganę, jaką otrzymuje tutaj sarmatyzm, i żywą aprobatę wartości postępowych, Niemcewicz bierze udział w walce społecznej swojego czasu, nie zaś — w katalogowaniu i odczytywaniu dokumentów sprzed stulecia.

To talent literacki pisarza sprawił, że *Dwaj panowie Sieciechowie* nie są broszurą polityczną, ale właśnie „powieścią“, zgodnie z podtytułem książki. Powieść J. U. N. wprowadza do piśmiennictwa rodzaj zupełnie nieznany w literaturze polskiej, z którego wyrośnie niebawem „historia szlachecka we 12 księgach, wierszem“, jak to wyprowadził Stanisław Pigoń w książce o *Panu Tadeuszu* (1934, tutaj rozdział o *Sieciechach*, ustawiający powieść Niemcewicza w bogatym kontekście literackim).

Wszystkie te sprawy, nie zawsze rozpoznane w szczegółach, przypomina nowe wydanie *Dwóch panów Sieciechów*, opracowane w Bibliotece Narodowej przez Jana Dihma. Po raz pierwszy dziełko Niemcewicza otrzymało równie staranną oprawę edytorską, która służy do należytego określenia elementów historycznych i aktualnych książki.

Komentarz *Sieciechów* wyszedł tutaj spod pióra historyka, który zabiegał przede wszystkim o poprawne oznaczenie realiów. Jan Dihm ponazywał wydarzenia, ustalił ich chronologię, poprawił w tym zakresie dość liczne błędy wydań poprzednich, wprowadził do zapisek obu Sieciechów ład i sens historyczny, jakich dotychczas nie miały. W ten sposób z aluzyj, z odsyłaczów w tekście wyłoniła się bardzo precyzyjnie konkretna rzeczywistość historyczna — z doby saskiej i Księstwa Warszawskiego — którą Niemcewicz zaktualizował. Podobnie pojął wydawca obszerny wstęp monograficzny. Studium to osadza *Dwóch panów Sieciechów* w materiale epoki Niemcewiczowskiej, wiążąc dzieło z biografią autora i warunkami społecznymi, które je zdeterminowały. Spostrzeżenia szczegółowe, nieraz zupełnie świeże (np. w rozdziałku „Aktualizacja“) sprawiają, że uwagi autora przyjdzie nierzadko cytować w monografii o powieściopisarstwie Niemcewicza (któż z nas wreszcie do niej zasiądzie?).

Ze stanowiska filologicznego dostrzegamy rzeczy, które historyk pominął. Ekspozycja *Dwóch panów Sieciechów* wprowadza turystę, który wędruje po kraju w same żniwa. Zdarzyło mu się napotkać przy gościńcu „sędziwego obywatela“, wśród „porządnej bardzo wioski“. Autor nie zostawia nas długo w niepewności co do jego osoby. To Florian Sieciech, który zaprosi przechodnia do swojego domu, aby pokazać gościowi diariusze — dziada i syna. Właśnie nad tą lekturą spędzi J. U. N. całą noc — i przepisze z dzienników, ile tylko zdoła „wraz z sługą moim, który wyborną miał rękę“. (Te to okoliczności zakreślają prawdopodobnie rozmiary dziełka: podróżny i jego służący nie mogli przepisać więcej w ciągu nocy nad tych pięćdziesiąt stronic, chociaż żałujemy prawdziwie, że Niemcewicz nie zasiadł do pracy jeszcze na noc następną...).

Jeśli odrywamy się od diariuszy, to dlatego, by popatrzeć na Floriana Sieciecha. „Był to mąż lat 60 z górą mający, lecz czerstwy, z rumianą twarzą i siwym wąsem: miał żupan popielaty kamlotowy, spięty pąsowym pasem ze srebrną klamrą, słomiany duży kapelusz na głowie, kij dębowy w ręku...“ Skądże znamy tego dobrego gospodarza, napotkanego w czasie żniw, jego biały żupan, słomiany kapelusz, pogwarki z gościem przy miodzie? Jan Dihm domyśla się w przedmowie, że może tak żył i wyglądał p. Rembieliński, którego Niemcewicz odwiedzał w r. 1809, udając się w strony rodzinne (s. XXXII). Ale to nie jest p. Rembieliński! To Pan Podstoli Krasickiego, niemal w tym samym żupanie i kapeluszu, z tym samym gestem gospodarskim, w czasie żniw, w otoczeniu tych samych spraw i zatrudnień, w atmosferze ładu domowego — jak go poznajemy w romansie biskupa warmińskiego. Ustalenie rodowodu Floriana Sieciecha łączy bardzo ciekawie powieść Niemcewicza z najlepszymi tradycjami beletrystyki Oświecenia. (Cały ten kompleks zagad-

nień, historycznych i literackich, mających swoją bazę gospodarczą, zamierzam przedstawić w pracy *Potomstwo Pana Podstolego*).

Pomijając drobne uwagi, które wywołuje aparat edytorski Jana Dihma, trzeba upomnieć się o identyfikację końcowej cytaty — z herbarza Hieronima Spiczyńskiego *O ziołach tutecznych i zamorskich i o mocy ich, a k temu księgi lekarskie* (Kraków 1542). Cytat ten, zawierający pochwałę mowy polskiej, jakże musiał brzmieć wymownie w okolicznościach politycznych roku 1815! Tym bardziej wymagał konfrontacji z oryginałem, bodaj przy pomocy przedruku Gustawa Zielińskiego w *Bibliotece Warszawskiej*, 1879, I, s. 310-311, dla usunięcia kilku usterek językowych, dla przywrócenia archaicznej polszczyzny.

Tadeusz Mikulski

Adam Mickiewicz, KORYBUT, KSIĄŻĘ NOWOGRÓDKA. (GRAŻYNA). Podobizna autografu ze zbiorów Przezdzieckich. Wydał Julian Krzyżanowski. Warszawa 1950. Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Dochowane rękopisy Mickiewicza, przynajmniej dzieł najważniejszych, przeszły już przez wydania faksymilowane. Publikacje te uzasadniają nie tylko względy pietyzmu dla twórczości wielkiego poety, ale także liczne potrzeby naukowe, których nie ma powodu tutaj wymieniać. Serię tych wydań rozpoczął przed laty Józef Kallenbach, ogłaszając drukiem podobiznę autografu części III *Dziadów* (Kraków 1925, PAU). Dotkliwa lekcja ostatniej wojny została udzielona także edytorom dzieł literackich. Zrozumieliśmy, że należy wydać drukiem najcenniejsze rękopisy pisarzy, ocalone z pożaru Warszawy 1944 r. W ten sposób rozwinął się ruch wydawniczy w zakresie edycji faksymilowanych, na które Państwo Ludowe łoży z jasnym zrozumieniem roli, jaką w badaniach naukowoliterackich spełniają autografy pisarzy. Program ten powstał najwcześniej w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, gdzie wypracował go z argumentacją szczególnie przekonywającą Julian Krzyżanowski.

Rękopisy Mickiewicza idą w tych wydaniach przed innymi. Ku końcowi 1949 r. Zakład Narodowy im. Ossolińskich ogłosił wydanie autografów *Pana Tadeusza* (ze zbiorów Ossolineum, Biblioteki Polskiej w Paryżu i fragmentów pomniejszych), wiążąc tę edycję z ustawieniem pomnika Mickiewicza w Warszawie na zakończenie uroczystości Roku Mickiewiczowskiego. Ostatnio, w listopadzie 1950, Towarzystwo Naukowe Warszawskie wydało drukiem podobiznę autografu *Grażyny* w pierwotnej wersji poematu *Korybut, książę Nowogródka*, zaniechanej później przez Mickiewicza w związku ze zmianą imion bohaterów. Okazałe to wydanie, podjęte z wielką troską typograficzną, pojawia się w 150. rocznicę założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Epigraf dedykacyjny na czele księgi przypomina Adama Mickiewicza jako członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. (Istotnie, Mickiewicz został powołany na członka korespondenta Towarzystwa 3 maja 1831, gdy walka klasyków z romantykami już wygasła i kiedy, według metafory romantycznej Aleksandra Chodźki, „Słowo stało się ciałem, a Wallenrod Belwederem"). Towarzystwo Naukowe Warszawskie, które wzięło spadek kulturalny po

Towarzystwie Przyjaciół Nauk sprzed stulecia, uczciło tym wydaniem swojego członka korespondenta, zaprawdę najznakomitszego.

Rękopis *Korybuta (Grażyny)*, powielony obecnie w nakładzie dwu tysięcy egzemplarzy, ma za sobą historię, którą w paru szczegółach należy wyjaśnić i sprostować.

Mickiewicz „przed odjazdem z Litwy", a więc jesienią 1824 r., darował autograf Ignacemu Chodźce. Juliusz Kleiner w dziele *Mickiewicz* (t. I. Lublin 1948, s. 347, przyp. 3) notuje, że właścicielem autografu był zrazu Jan Chodźko, Jan ze Świsłoczy. Odsyła przy tym do wspomnień Gabrieli Puzyniny z Güntherów, *W Wilnie i w dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815—1843*, Wilno (1928), s. 306. Ale to pomyłka uwagi. Puzynina nie mówi nic, jakoby Jan Chodźko posiadał kiedykolwiek rękopis *Grażyny*. Był on własnością autora *Brzegów Wilii* — a więc Ignacego Chodźki. I tę poprawkę proweniencyjną należy zgłosić do dziejów rękopisu.

Ignacy Chodźko przekazał autograf *Grażyny* Aleksandrowi Przezdzieckiemu. Na pierwszej karcie rękopisu, na marginesie, który pozostawił tekst poematu, Ignacy Chodźko położył notatkę następującą:

> Ten autograf Adama Mickiewicza, darowany przez iego (!) przed odjazdem z Litwy — Autorowi *Obrazów Wołynia i Podola* — Autor *Obrazów Litewskich*, właściciel dotychczasowy, na pamiątkę ofiaruie — Dziewiętnie 1841 r. Ignacy Chodźko.

Aluzje bibliograficzne w tym zapisie pokolenie współczesne rozumiało bezbłędnie. Ignacy Chodźko, autor *Obrazów litewskich* (seria I, 1840) przemawiał na marginesie *Grażyny* do Aleksandra Przezdzieckiego, autora książki *Podole, Wołyń, Ukraina. Obrazy miejsc i czasów* (t. I—II, 1841), jak dobry towarzysz literacki. Rosnąca sława bibliofilska Przezdzieckiego usprawiedliwiała całkowicie podobny upominek.

Okoliczności wręczenia daru zapamiętała Gabriela Puzynina. Latem 1841 r. Aleksander Przezdziecki z Podola znalazł się w dworach litewskich, rozrywany przez gościnnych gospodarzy.

> Przez całe lato trwały jazdy tu i tam, przyjęcia w Bólkowie i w Postawach, a autor *Obrazów litewskich*, chętny poznać autora *Obrazów Wołynia i Podola* [i *vice versa*], przybył na czas bytności Przeździeckich do Bólkowa.
>
> Pisały się wiersze francuskie i polskie, zakończone bytnością Aleksandra w Dziewiętni, gdzie poznał Jana ze Świsłoczy, gdzie gospodarz [Ignacy Chodźko] czytał mu ustępy z *Brzegów Wilii*, a na oznakę swej przyjaźni podarował podolskiemu bratu po piórze to, co miał najdroższego, bo rękopism *Grażyny*...

Notatka Puzyniny, nie wyzyskana dotąd uważnie dla historii autografu, przedstawia wydarzenia z lata 1841, po 15 lipca. Przy tym tak ściśle (aż do niedokładności bibliograficznych) powtarza frazeologię Chodźki, że trudno przypuścić, by autorka nie miała przed sobą dedykacji rękopisu. Puzynina wymienia jako lekturę wakacyjną obu pisarzy *Brzegi Willi* Ign. Chodźki (z rękopisu autora; *Brzegi Willi*, ukończone w r. 1842, pojawiły się drukiem w serii drugiej *Obrazów litewskich* z r. 1843).

Chronologię daru Chodźki ustalamy z pewnym naciskiem, ponieważ nie była ona odczytywana dotychczas bezbłędnie. Wilhelm Bruchnalski, który pierwszy opisał zabytek z detalicznością filologiczną, widział w zapisie Chodźki datę roczną „1842" („Pamiętnik Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza", III, 1889, s. 216). Bruchnalski poczytał zapewne cyfry końcowe „41" za znak „4", szczególnie ornamentacyjny, zaś literę „r" — za cyfrę „2". W komentarzu Juliana Krzyżanowskiego, wyraźnie przez pomyłkę drukarską, data ta jest transliterowana jako „1847" (Od wydawcy, s. 7). I dlatego chcemy stwierdzić stanowczo, że należy ją czytać „1841 r.". Świadectwo Puzyniny potwierdza dodatkowo tę lekcję, do której przyjęcia wystarcza przecież — świadectwo autografu.

Musimy jeszcze rozważyć, w jakim stanie znajdował się autograf *Korybuta (Grażyny)*, gdy Chodźko darował go Przezdzieckiemu. Rękopis liczy dzisiaj kart 17 — i ta ich właśnie liczba nieparzysta usprawiedliwia w pełni przypuszczenie, że poszyt miał zrazu parzystą liczbę kart, kart 18.

Stan tekstów w rękopisie domysł ten potwierdza. Obecna karta ostatnia, 17, mieści po stronie *recto* końcowe wiersze Epilogu *Korybuta*, mianowicie wiersze 1155—1177 i słowo „Koniec", położone na zakończenie poematu obyczajem Mickiewiczowskim. Pozostała część karty 17, pas szerokości ok. 8 cm poniżej owej notatki „Koniec", jest dzisiaj obcięty.

Po stronie *verso* znajduje się bajka *Baran* (!) *i wilk*, pisana również ręką Mickiewicza, pierwotna redakcja bajki *Pies i wilk*, naśladowanej z La Fontaine'a. Tutaj nożyce przecięły tekst bajki, po wierszu 15, liczonym według wersji przyjętej za ostateczną: „A kark jaki, a brzuch jaki". Bajka *Pies i wilk*, mająca w całości 50 wierszy, nie mogła się kończyć na skrawku ok. 8 cm szerokości, który odcięto od karty 17. Wychodziła wyraźnie na kartę następną, 18, której brak dzisiaj w rękopisie.

Tak zatem autograf *Korybuta* jest zdefektowany dwukrotnie: przez oddarcie karty ostatniej, 18, i odcięcie skrawka dolnego karty 17. Pytamy z ciekawością, kiedy nastąpiły te bolesne amputacje rękopisu. I mamy za złe Przezdzieckiemu, że pietyzm dla zabytku — obyczajem współczesnym — wyraził z nożycami w ręku.

Wspomnienia Puzyniny pozwalają ustalić chronologię pierwszego okaleczenia. Opisawszy przekazanie rękopisu Przezdzieckiemu, autorka dodała: „na którego ostatniej stronie była własnoręczna bajka Mickiewicza pt. *Brytan i wilk* (przekład z Lafontaina) i ta się dostała Dobrowlanom" (*ibid*, s. 306). Informacja ta jest niesłuszna od razu w jednym punkcie. Część początkowa bajki, wypełniająca kartę 17 po stronie *verso*, pozostała w autografie *Korybuta*. Dobrowlany zatem, majątek rodzinny Güntherów, nie otrzymały jej w całości. Tak więc pierwsze cięcie rękopisu nastąpiło wkrótce po otrzymaniu cennego daru, przed wyjazdem Przezdzieckiego z Litwy, gdzieś ku schyłkowi lata 1841.

Wydawcy pamiętnika, Adam Czartkowski i Henryk Mościcki, poszli śladem Puzyniny, poszukując rękopisu bajki Mickiewicza w papierach Güntherów (w bibliotece Przezdzieckich). Ale bez rezultatu. „Rękopisu bajki *Brytan i wilk* nie udało się nam odszukać — zanotowali skru-

pulatnie — w spuściźnie pogüntherowskiej, na ogół dobrze zachowanej" (*ibid.*, w przypisie do s. 306). Tak więc luźna karta rękopisu, owa karta 18, z końcową partią bajki *Pies i wilk* nie została do dziś odnaleziona i uległa zapewne zmarnowaniu.

Kiedyś później, w okolicznościach nieznanych, Aleksander Przezdziecki odciął część dolną karty przedostatniej, 17. Po słowie „Koniec", zamykającym tekst *Korybuta*, miał znajdować się jeszcze podpis Mickiewicza. I ten właśnie podpis poety — jak relacjonował Bruchnalskiemu Konstanty Przezdziecki, syn Aleksandra („Pamiętnik Tow. Lit. im. Mickiewicza", III, 1889, s. 215, przyp. 1) — Aleksander Przezdziecki „darował na pamiątkę jakiejś pani do albumu". Skrawek karty 17 zawierał na odwrocie kilka wierszy bajki *Pies i wilk*, tyle właśnie, ile mogło się zmieścić na pasku papieru, szerokości ok. 8 cm, od wiersza 16. Dla jakiej pani Przezdziecki uszczuplał rękopis po raz drugi — tego już nie dojdziemy. Może w którymś sztambuchu epoki romantycznej znajduje się ten strzęp autografu, na świadectwo barbarzyńskiego obyczaju.

Tak wygląda prawdopodobna historia kaleczenia rękopisu *Korybuta*, jak ją staraliśmy się tutaj odczytać z jego stanu dzisiejszego.

Jeszcze chwila uwagi należy się tekstowi bajki *Baran i wilk*. Bo taki tytuł — oczywiście błędny, wynikły z omyłki pióra samego poety — czytamy w rękopisie. Puzynina spostrzegła błąd Mickiewicza i mówi poprawnie o bajce *Brytan i wilk*. (Większe roztargnienie okazali w tym miejscu badacze rękopisu, którzy bajki *Baran i wilk* nie umieli powiązać ze znanym tekstem Mickiewicza! Zob. Bruchnalski, o. c., s. 215 i 216, gdzie mówi się o utworach *Baran i wilk* i *Pies i wilk*, jako o wierszach różnych! co cytuje się tutaj na dowód, że i taki *philologus* czasem „drzymie").

Dając swoją tytulaturę bajeczce *Brytan i wilk*, Puzynina miała oparcie w tekście samym, gdzie wiersz 9 (w redakcji rękopiśmiennej, tej właśnie, którą rozrywał Przezdziecki) brzmiał: „Wtem Hajduk brytan, zufały bo krzepki". Inne oparcie dla takiej stylizacji tytułu mogła znaleźć Puzynina (jeśli szukała dość pilnie) w pierwodruku bajki *Wilk i brytan* (w almanachu Józefa Krzeczkowskiego, *Biruta*, cz. 2, Wilno 1838, s. 209—211, gdzie tekst naśladowany z La Fontaine'a ukazał się pod przejrzystym, ale jedynie wówczas cenzuralnym kryptonimem A. M., w spisie rzeczy: M. Adam). Pierwodruk bajki w almanachu Krzeczkowskiego nie opierał się na rękopisie Chodźki, jak to wynika zupełnie jasno z zestawienia redakcyj. Brulion *Barana i wilka* w autografie *Korybuta* stanowił najwcześniejszą — spośród znanych — wersję utworu. (Możemy przypuścić, że nieoczekiwana tytulatura *Baran i wilk* jest notatką jakiegoś wcześniejszego pomysłu fabularnego, który Mickiewicza, ucznia Trembeckiego, przelotnie zatrzymał). Redakcja *Wilk i brytan*, ogłoszona w *Birucie* J. Krzeczkowskiego, powtarza na ogół stan poprzedni tekstu, różniąc się od niego szykiem wyrazów i drobnymi wariantami stylistycznymi. Ostatecznie Mickiewicz ustalił redakcję *Pies i wilk* (w wydaniu Al. Chodźki: *Pisma*, t. IV, Paryż 1844, s. 114—116) i w tej właśnie wersji znana bajka Mickiewiczowska dźwięczy nam w pamięci. Autograf *Korybuta* zachował jej stan pierwotny, pierwszą próbę adaptacji La Fontaine'a.

W obecnym stanie swojego dochowania rękopis *Korybuta (Grażyny)* znalazł się w Warszawie, w bibliotece Przezdzieckich. Tutaj pierwsze czynności naukowe odprawił nad nim, co prawda dość nieporadnie, Władysław Kazimierz Wójcicki w r. 1858, przygotowując wydanie warszawskie *Pism* Mickiewicza. Amatorską tę filologię zastąpił opis zabytku (nie we wszystkim dokładny), jaki dał Wilhelm Bruchnalski w „Pamiętniku Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza", III, 1889 (wraz z przedrukiem rękopisu). W roczniku następnym „Pamiętnika", IV, 1890, Bruchnalski ogłosił notatkę *Autograf bajki „Pies i wilk"*, korygując w milczeniu niedokładność poprzedniego opisu. Później autograf *Korybuta* czytał raz jeszcze Henryk Życzyński (w komentarzu do Biblioteki Narodowej, seria I, nr 74) i poprawiał przygodnie lekcje Bruchnalskiego. Ponownie badał rękopis Stanisław Pigoń (dla wydania *Dzieł wszystkich* w edycji tzw. sejmowej, gdzie *Grażyna* miała ukazać się w tomie II, ale wojna 1939 r. udaremniła publikację). Studiów nad autografem *Korybuta* St. Pigonia nie znamy, niestety, z druku.

Odtąd historia zabytku stała się szczególnie patetyczna. Biblioteka Przezdzieckich w Warszawie spłonęła już w r. 1939, ale rękopis *Korybuta* uszedł wówczas zniszczeniu, znaleziony przypadkiem wśród gruzów spalonego pałacu na Foksalu. Po raz drugi, jesienią 1944 r., przeszedł próbę swojej trwałości: wyniesiony z Warszawy, staraniem Zygmunta Wdowiszewskiego, kustosza biblioteki Przezdzieckich, trafił w przygodzie wojennej do Milanówka, gdzie czyjeś dobre ręce umiały zachować dzieło Mickiewicza. Te frontowe epizody w historii rękopisu przedstawia relacja Z. Wdowiszewskiego (cytowana w dużych fragmentach przez J. Krzyżanowskiego na czele obecnego wydania) w sposób szczególnie przejmujący.

Z dziejów autografu Julian Krzyżanowski wyprowadził wniosek najsłuszniejszy, uznawszy, że *Korybut, książę Nowogródka*, opalony unikat biblioteczny, powinien utracić cechy unikatu, a więc ukazać się drukiem w edycji fototypicznej. Tą właśnie drogą poemat członka korespondenta Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie znalazł się w chemigrafii i drukarni.

Korybut, książę Nowogródka stanowi pierwotną redakcję *Grażyny*, o dużym walorze naukowym, który raz jeszcze ukazał wstęp do zabytku, pióra Juliana Krzyżanowskiego. Spośród kilku brulionowych redakcyj *Grażyny* ta jedna ocalała dla filologa. Czy było ich istotnie pięć, jak dość dowolnie obliczył Bruchnalski („Pamiętnik Tow. Lit. im. Mickiewicza", III, 1889, s. 217, przyp. 1), tego wolelibyśmy nie twierdzić. A w każdym razie nie można tu powoływać Odyńca, zaprawdę złego świadka! W książce Odyńca *Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie* (Warszawa 1884, s. 196), dokąd Bruchnalski odsyła swojego czytelnika, nie ma wcale mowy o autografach *Grażyny*, które z rąk poety mieli otrzymać — każdy dla siebie — Czeczot i Odyniec. Jest jedynie mowa, że Czeczot i Odyniec przepisują *Poezje* Mickiewicza dla drukarni Zawadzkiego, bo przepisywanie rękopisów było dla poety pracą „najcięższą i najprzykrzejszą". Przy takiej okazji Mickiewicz wyrzekł swoje pamiętne: „z wierszami jak z dziećmi; najtrudniej jest myć je i czesać". Można doczytać się z tej

relacji, że właśnie Odyniec przepisywał *Grażynę*, że Mickiewicz miał ją jeszcze w odpisie Odyńca poprawiać. I tylko tyle! Z domniemanej liczby pięciu stanów poematu należy skreślić egzemplarze Czeczota i Odyńca, które są nieporozumieniem Bruchnalskiego.

Rękopis Przezdzieckich ukazuje dzieło w momencie, kiedy Korybut nie jest jeszcze Litaworem (po raz pierwszy nowe to imię zabrzmi w w. 788), a Karyna — Grażyną (tak przezwał ją poeta dopiero w epilogu *Korybuta*, w. 1166). Poemat jest w stadium, nieznacznych zresztą, kreśleń i poprawek, stanowi nieuporządkowaną formację stylistyczną. Być może, tę właśnie postać dzieła — w rękopisie legowanym później Ignacemu Chodźce — miał przed sobą Mickiewicz, kiedy pisał z Kowna, 4/16 grudnia 1822 do Czeczota: „Skończyłem powieść i dzisiejszej nocy (bezsennej!) trochę przepisałem". Może ten właśnie rękopis zapowiadał w liście następnym do Czeczota, 18/30 grudnia 1822: „Powieść wiozę". Od ukazania się *Grażyny* w druku (w tomie II *Poezyj*, Wilno 1823) dzieli jeszcze poemat kilka etapów: redakcja ostateczna dzieła, kopia Odyńca, poprawki Mickiewicza nanoszone na ten odpis Odyńca w osobnej stancyjce, w Zaułku Bernardyńskim.

Patrzymy ciekawie, czy w w. 368 autografu Przezdzieckich, po słowach „przez Tatry" znajduje się istotnie przecinek, którego nie postawił Bruchnalski — znak graficzny, na poparcie przenikliwej interpretacji Juliusza Kleinera (*Mickiewicz*, t. I, Lublin 1948, s. 354—355, przyp. 3). Wszak tym przecinkiem Kleiner obronił pomysłowo Mickiewicza przed zarzutem ignorancji w geografii! Przecinek jest wyraźny, postawiony bez wahania. Niechże rehabilituje geografię poetycką. Właśnie z powodu *Grażyny* Mickiewicz napominał Czeczota (w liście z Kowna, 23 marca/4 kwietnia 1823): „zachować ściśle eksklamacje, interrogacje i pauzy". A więc i przecinek — na sto z górą lat przed artykułem Boya Żeleńskiego *Prawo do przecinka*.

Tadeusz Mikulski

August Wilkoński, RAMOTY I RAMOTKI. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył W. L. Brudziński. Biblioteka Szpilek, nr 4. „Czytelnik", 1950.

Rodoć (Mikołaj Biernacki), SATYRY I FRASZKI. Wstęp napisał Jan Szeląg. Biblioteka Szpilek, nr 3. „Czytelnik", 1950.

Powojenny ruch wydawniczy przynosi dużo nieprzypadkowych wznowień z historii literatury polskiej i obcej. Wydania klasyków zbliżają się coraz bardziej do poprawnej wersji tekstu. Najlepiej chyba wygląda Żeromski wychodzący spod starannej ręki Stanisława Pigonia, popularne a staranne wydanie Mickiewicza, bardzo nierówny pod względem poprawności Słowacki w wydaniu Ossolineum, z odkrywczym, ale nie pełnym tomem Władysława Floryana, wreszcie pisarze pozytywizmu, Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, by pozostać przy najważniejszych.

Obok wydań pełnych w katalogach wydawnictw pojawia się stale druga kategoria wznowień, mająca pretensje do reprezentowania oblicza ideowo-artystycznego pisarza, mianowicie: dzieła wybrane. Ta forma

wydawnicza zawsze nosi charakter drugorzędny i budzi ostrożność odbiorcy świadomego, że wyboru nie dokonywa sam autor, ale wydawca według pewnych ustalonych przez siebie kryteriów ważności. Dążąc do tego, aby odbiorca oglądał prawdziwe oblicze pisarza, należałoby podjąć rewizję zasad stosowanych przy wyborze tekstów, które przecież nie powinny w swym sumarycznym wyrazie dawać nowej, fikcyjnej, literackiej postaci pisarza. Kruchego kryterium gustu „jako takiego“ można nie brać tu pod uwagę ze względu na dawną jego dyskwalifikację i zarzucenie w praktyce. Nie wchodząc w umacnianie oczywistej zależności gustów od estetyki jako działu filozofii i stwierdzając ich zależność od ideologii możemy przypuścić, że kanonem będzie postępowość i wsteczność pisarza na tle jego epoki. Jeśli to jest istotnym i słusznym rozwiązaniem najważniejszego problemu, nie budzącym wątpliwości, to kiedy zapytamy: czy należy wybierać tylko postępową część literackiego dorobku, odpowiedź nie będzie prosta.

Np. wszelkie formy mistycyzmu, wiara w istnienie pozamaterialnego, duchowego świata, czy to śmierci-trupa w średniowieczu, czy strzygi, szatana w romantyzmie, nie są czczym ornamentem i wiążą się ściśle z aktualnym stanem wiedzy, z świadomością społeczną, mogą nawet przetrwać mimo przemian w bazie i nadbudowie.

„Z chwilą gdy nadbudowa zostaje zlikwidowana wraz z bazą, której służy i przestaje istnieć jako zespół poglądów i instytucji, poszczególne jej elementy mogą istnieć dalej w tej czy innej postaci, zwłaszcza jeśli następna formacja jest również formacją o klasach antagonistycznych, a mogą nawet wejść w skład nowej nadbudowy, w innej rzecz jasna konstelacji, np. jeśli chodzi o poglądy i instytucje religijne“ [1].

Artystyczna twórczość ludzka odbija rzeczywistość wraz z istniejącymi w niej sprzecznościami, jest jednym z najważniejszych odcinków poznawania świata, a poznanie, podobnie jak cała natura, rozwija się drogą nieprzerwanego powstawania i zanikania przeciwieństw. Prawdziwa i fałszywa strona poznania jest wynikiem sprzeczności realnego życia. Sięgnijmy po dowód do najbardziej osławionego dzieła epoki saskiej: Apellesowi Pustelnikowi czart dawał się widzieć w osobie urodziwej panny. Ten przykład z *Nowych Aten* kryje w sobie swoistą problematykę, spostrzegamy tu, jak się splatały naturalne popędy człowieka z wierzeniami religijnymi jego epoki. Sposób tłumaczenia zjawiska fizycznego przy pomocy ciemnego alfabetu inkwizycji jest próbą cofania się na drodze wiedzy. Przykład przeciwny znajdziemy w dramacie fantastycznym Romana Zmorskiego *Lesław*. Obok całego zespołu cech, które chętnie nawiązują do wierzeń ludowych, w kreacjach całej plejady istot napowietrznych, filozofia dramatu obala podstawę patriarchalizmu — miłość i solidaryzm, wyprowadzając z perypetii dramatu wnioski o konieczności walki, która istnieje i jest podstawą rozwoju, a takie stanowisko miało swą niezaprzeczoną wartość w latach czterdziestych ubiegłego wieku.

---

[1] Berman, *Baza i nadbudowa w świetle prac towarzysza Stalina o językoznawstwie*. Referat wygłoszony na publicznej sesji teoretycznej w dniu 4 bm. „Nowe Drogi“, 1950, nr 6.

Wobec owych silnych powiązań prawdy z fałszem, powiązań charakterystycznych dla pewnego etapu w rozwoju ludzkiej wiedzy o świecie, zmieniających się historycznie, czy można dokonywać i jakich wyborów edytorskich w tekście? Ogólnie biorąc, dzieła w wyborze mają charakter popularyzatorski, adresowane są nie do historyków literatury, oświaty, ale do człowieka o nieznanym zawodzie, który z nich poznaje dzieje myśli ludzkiej. Nie wznawiamy pisarzy obskuranckich, nikt nie myśli o nowym wydaniu Baki, chyba jako *exemplum*. Nowe wydania otrzymują pisarze, którzy w swoich epokach postąpili naprzód na drodze zdobywania wiedzy i walki o sprawiedliwość społeczną. Unikajmy mitów o pisarzach odbierając im ich własne mity, błędne strony poznania są zawsze historycznymi wskaźnikami jakiegoś bezdroża. Oczywiście książka nie powinna wychodzić bez krytycznego wstępu, który czytelnika wprowadzi w problematykę autora i jego czasów; tak samo czas już chyba przezwyciężyć przypiskofobię, bowiem czym innym jest odsyłacz w typowo burżuazyjnych opracowaniach, gdzie służy do bibliograficzno-estetycznych akrobacji, które w końcu przesłaniają sobą właściwą wymowę tekstu, a czym innym jest możliwie najdokładniejsze objaśnienie tekstu, mające na celu uwypuklenie treści utworu. Niestety opracowania wciąż jeszcze ustępują rozmachowi naszej akcji wydawniczej. Np. cała „Biblioteka Boya" do dziś wychodzi z jego wstępami, przeciw czemu już protestowali recenzenci. Studia Boya posiadają dzisiaj wartość historycznoliteracką, nie noszą już znamion współczesnej interpretacji tekstu. Historyk literatury dla swych celów odnajdzie je w wydaniach przedwojennych i w *Szkicach*.

Najgorzej, gdy coś staje się frazesem, a prawie frazesem stało się już nawoływanie do pilniejszego studiowania rękopisów i pierwodruków. Sięgnijmy do najbardziej jaskrawych wypadków: studium rękopisu paryskiego *Pana Tadeusza* przynosi nowe lekcje, mimo że rękopis znajdował się już pod lupą Pilata i Pigonia. U Słowackiego rewelacją była nowa wersja wiersza *Wyjdzie stu robotników*... Spór Juliana Krzyżanowskiego z Wiktorem Dodą o Sienkiewicza również stąd się wywodzi. Jak wyglądają wydawcy niższego lotu, zobaczymy na przykładach „Biblioteki *Szpilek*".

Na zakończenie tych kilku wstępnych uwag chcę dodać, że oczywiście nie uważam za słuszne robienie różnicy w wydaniach popularnych i naukowych, jeśli chodzi o poprawność tekstu, różnica leży w aparacie krytycznym.

„Biblioteka *Szpilek*" jest wydawnictwem specjalnym o słusznych założeniach historycznego ujęcia postępowej satyry polskiej. Jak dotąd, z historii literatury polskiej ukazały się w niej cztery wznowienia: Antoni Gorecki, *Diabeł i zboże*, August Wilkoński, *Ramoty i ramotki*, Rodoć (Mikołaj Biernacki), *Satyry i fraszki*, Michał Bałucki, *Pan Burmistrz z Pipidówki*, *Dwie wizyty*, *Jego Ekscelencja*. Przygotowywali wydania Jan Szeląg i W. L. Brudziński. Dla obejrzenia techniki wydawniczej wystarczy wziąć po jednym tekście w opracowaniu obu wydawców.

Wilkoński przygotowany został przez W. L. Brudzińskiego. Wybór nie objął wiersza i dramatu, tylko ramoty w formie opowiadania i listu. Wśród wybranych ramot niestety nie znajdziemy najbardziej ciekawej, która zamyka w sobie pozytywny program warszawskiego literata, *O potrzebie założenia u nas bibliotek i stowarzyszeń agronomicznych w każdym powiecie*. Trzeba dodać, że rzecz ta, jedyna w twórczości Wilkońskiego ze względu na całokształt ujętego w niej programu nie pozbawiona typowego humoru ramociarza, doczekała się nawet przedruku w *Silva Rerum*, nr 4, 1939, przez Józefa Serugę pod charakterystycznym tytułem: *August Wilkoński, chirurg filozofii i krzyża naturalnego kawaler, jako propagator wiedzy agronomicznej*[2].

Poważne pretensje wypływają z innego materiału. Wydawca z dadaistycznym temperamentem używa nożyc. W *Spostrzeżeniach nad moralnymi chorobami XIX stulecia* wycina ustęp „Kołowacizna księgarzy". Nudne. W *Szkicach psychologicznych niektórych ludzi zwierząt* odpadają: Lwice, Lamparty, Gęsi, Gawrony, Marmurek, Lis, Pies i Pies z ogonem, to znaczy m. in. złośliwe aluzje do entuzjastek, drwiny ze zdegenerowanej młodzieży arystokratycznej, a prócz powyższych ulega tu skreśleniu Wstęp I, a Wstęp II nazywa się po prostu Wstęp. A wszystkie te opuszczenia ani zaznaczone kropkami, ani wspomniane.

W *Listach Jana Skórczykiewicza*, list I, zginęły 4 strony (według wydania z roku 1873, na którym najprawdopodobniej wydawca się opierał). Sprawa tu jest nieco inna. W akcji występują Żydzi. Ale zwróćmy uwagę na to, że w *Ramotach* pojawia się Żyd kapitalista. Magenfisch, którego nazwisko pojawia się w drugiej serii *Ramot*, według relacji W. Szymanowskiego, był jednym z lichwiarzy, którego dziedziną była literatura. Próbujemy nawet na podstawie korespondencji Wilkońskiego z Kraszewskim tę postać zidentyfikować z szybko rosnącym kapitalistą Merzbachem. Konflikt ziemianina z lichwiarzem jest typowym konfliktem lat czterdziestych. Tym bardziej, że Wilkoński niedługo żyje z uprawy ziemi, a oddając się „św. Łazarzowi patronowi literatury" prowadzi ciężkie życie zarobkującego pisarza. O wielkości jego zadłużeń wobec lichwiarzy świadczy fakt zrzeczenia się przez Wilkońską praw do zysków z wydania pośmiertnego na rzecz wierzycieli. Jest to typowa rozgrywka między żydem-kapitalistą a inteligencją, konflikt ekonomiczny i społeczny silnie osadzony w problemach epoki. Pominięcie typowego antagonizmu jest historycznym fałszem. Jest to parodia wyzysku i lichwy wśród wyrastających kupców. Jeśli przeciw jej zamieszczeniu znajdziemy decydujące argumenty, to czy można w taki sposób zmieniać autorowi utwór, zamiast na jego miejsce wybrać inny, pełny? Niestety, w wybranych ramotach nie znajdujemy śladów walki z szarlatanerią rosnącego kapitalisty.

W zakresie słownictwa „ramot" pojawia się modernizacja; np. zamiast „w ciasnych położeniach" mamy „w trudnych położeniach", w zwrocie: „ja (...) niektóre rodzaje o*szkicuję*", dostajemy poprawnościową formę „naszkicuję" itp., mimo że nie bardzo rozumiemy, po co zacierać charak-

---

[2] Osobna odbitka (Kraków) 1939.

terystyczny i zrozumiały dziś język Wilkońskiego, tym bardziej, iż do wyjaśnień dość rzadkich służą przypisy. Ale to już sprawa następna. Jeśli czytelnik nie musi się biedzić nad zrozumieniem słowa: *dozupełnię*, które wydawca zmienia na *uzupełnię*, to na darmo wszelkie domysły przy historycznych nazwiskach i terminach obcych. Przypiski posłużyły wydawcy do przekładu tekstów obcych, czasem niezbyt poprawnie: ...„unsere Stallmeister reiten lange nicht so gut, als diese Ulanen-Race" — w przekładzie: „nasi stajenni nie jeżdżą tak dobrze".

Szczęśliwiej wygląda Rodoć w ujęciu Szeląga. Utalentowany poeta-satyryk nie znalazł dotąd właściwej oceny w historii literatury, nieznany jest jego związek z ruchem socjalistycznym, specjalnie z Bolesławem Czerwieńskim, współpracownikiem pisma zakupionego przez Rodocia, *Tydzień Polski, Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny*, nie wiadomo wreszcie bliżej, w jakich okolicznościach nastąpiła tragiczna śmierć poety, poprzedzona ostatnimi pełnymi pesymizmu utworami. Jak wyglądało niszczenie Rodocia, zobaczymy we wstępie H. Biegeleisena przy wydaniu z r. 1899. Łowca filiacji zabija cały urok świeżości i społeczną wartość satyr razem z indywidualnością talentu poety. Oto cytaty brzmiące jak parodia wpływologii: „...Owóż Beranger swoją zwięzłością wycisnął wybitne piętno na fizjognomii literackiej Rodocia (...) ze swojskich poetów Kochanowski dał mu pogodę, Syrokomla prostotę i serdeczność, Pol i Pasek fantazję szlachecką, którą zresztą miał już w sobie, od Lama nabrał chęci zjeżdżania tego, co mu się złem wydało". „Ma coś z Paska i Falstafa (...) Główny wpływ na twórczość Rodocia wywarł Mickiewicz. Z pisarzów ideałem Rodocia jest Dickens. Te wpływy w połączeniu z jego nerwowo-sangwinicznym charakterem zrobiły go poetą". Na tym tle nabiera pełnej treści jeden z ostatnich utworów Biernackiego dedykowany M. Barańskiemu jako wstęp do jego poezji [3].

Wiersze Twoje czytałem. Cóż Ci Bracie powiem?
Chyba, że gdy krytyka weźmie Cię w obroty,
Nie bierz tego do serca zbyt mocno, albowiem
Na to są, by mruczały i drapały, koty.
Zresztą, musi znieść burzę, kto rusza na morze,
Więc, skoroś postanowił, marsz w świat! Szczęść Ci Boże!

Tego ostatniego Rodocia nie mamy już w wyborze *Szpilek* dającym tylko jego twórczość satyryczną.

Szeląg często wraca wierszom Rodocia kształt pierwotny, wydobywa z pierwodruku obcinane w wydaniach warszawskim (1879) i późniejszym Biegeleisena „pamflety na ultramontanów i stańczyków", jak pisze o części satyr niezadowolony P. Chmielowski [4]. Ale i tu wiele przykrych niespodzianek: W *Dr Skubackim* w pierwszej zwrotce wypada wiersz, zaznaczony tu kursywą:

...spada na mnie po dziadku.
Mówią: bez adwokata
odbierzesz za dwa lata ...

---

[3] M. Barański, *Bezładne kartki. Fraszka*, Lwów 1901.
[4] P. Chmielowski, *Współcześni poeci polscy*, Petersburg 1895.

Nie brak przekręceń w tekście, które czasem psują dokładność rymu i rytmu (*Pan Astolf, Ten ... tego*), czasem sens odmieniają (*Pesymista:* zamiast „szczegółów mi brakuje do tego obrazu" jest u Szeląga „szczegółów nie brakuje do tego obrazu"), w fraszce *Zasady* znana zjadliwa zwrotka opuszczona przez Biegeleisena, zrekonstruowana została niezupełnie ściśle: w wydaniu *Szpilek* „Nie wierzy w Boga! Kata!" gdy właściwe brzmeinie: „nie wierzy w Boga-Kata".

Nie biorę pod uwagę wypadków, kiedy wiersz pojawia się w kilku pełnoprawnych wersjach, bowiem ostateczne ustalenie tekstów da się zrobić dopiero po zbadaniu całej twórczości. Jeśli chodzi o technikę przedruku, można chyba żądać dwu rygorów: pozostawienia wierszom formy zwrotkowej, a nie łączenia ich w całości, jak to kilkakroć ma miejsce przy omawianym przedruku, i chyba słuszne żądanie jednolitego systemu modernizacji pisowni. Jedno *curiosum* dla ilustracji: Tytuł jednego z wierszy podaje Szeląg w tej formie: *Pessymista.* W wydaniu z roku 1894 [5] jest po prostu *Pesymista.* Skąd ta archaizacja? W innych wypadkach tekst ulega modernizacji.

W ostatnich uwagach ogólnych chcę jeszcze sformułować postulaty wydawnicze, jakie powinny moim zdaniem obowiązywać kategorie dzieł wybranych: ukazanie prawdziwego oblicza pisarza, przez dobór tekstów reprezentujących rozwój ideologiczny i odpowiedni komentarz („Biblioteka *Szpilek*" generalnie zaniedbuje objaśnienia tekstu), w zasadzie poprawność tekstu zgodna ze zdaniem autora, w wyjątkowych wypadkach ukazywanie wersji wcześniejszych, z różnych względów zmienionych, jednolity system przedruku, zasadniczo w swych zmianach nie wychodzący poza ortografię, wprowadzający objaśnienia nieżywotnych dziś form gramatycznych oraz wszelkich wyrazów niezrozumiałych dla przeciętnego czytelnika, zaznaczania wszelkich opuszczeń w tekście i komentowania ich w przypisku, wreszcie ostatnie żądanie pełnych praw dla tekstów popularnych.

Czesław Hernas

Stefan Żeromski, GRZECH. Dramat w 5 aktach. Pisma pod redakcją Stanisława Pigonia, t. XXII. Dramaty, 3. Zeszyt 1. Spółdz. Wyd. „Czytelnik", 1950.

W roku 1897 zorganizował Kurier Warszawski konkurs na sztukę dramatyczną. Do sądu konkursowego należał m. in. Bolesław Prus, poeta F. Faleński, słynny wtedy krytyk A. Sygietyński, czołowy niebawem teoretyk „Młodej Polski" Ignacy Matuszewski i inni. Pierwszą nagrodę otrzymał radykalny pisarz, Andrzej Niemojewski za sztukę *Familia.*

Stefan Żeromski nadesłał na ten konkurs utwór pt. *Grzech.* Nie otrzymał jednak nagrody ani nawet wyróżnienia. Zdaje się, że przyszły twórca *Przepióreczki* doznał głębokiej przykrości z powodu tego pierwszego niepowodzenia. „Dziedzinę twórczości dramatycznej na lata całe zostawił odłogiem" — stwierdza o Żeromskim w obecnym wydaniu *Grzechu* St. Pi-

---

[5] *Satyry i fraszki*, XII, Lwów 1894.

goń. Sam *Grzech* zagrzebał gdzieś w szafie, jakby nie chcąc patrzeć na nieszczęsny ten utwór. Tylko pierwszy akt ukazał się w r. 1899 drukiem w książce zbiorowej, wydanej na cześć Świętochowskiego. Dopiero w roku 1918 wygrzebał ten utwór syn pisarza, Adam, „ze szpargałów szafy". Wygrzebał, ale już niecały. Przy jakiejś przeprowadzce albo podczas — niebezpiecznych zawsze dla literatury — „porządków domowych" wyrzucono zapewne do śmieci dużą część aktu piątego, ostatniego. W ten sposób utwór został zdekompletowany — brak mu zakończenia. Nie po raz pierwszy los taki spotyka polską literaturę dramatyczną!

Grzech Żeromskiego, o ile można sądzić na podstawie czterech aktów, nie jest arcydziełem. Niemniej może nas zainteresować. Odsłania on nowego Żeromskiego, którego znaliśmy mało: Żeromskiego naturalistę. *Grzech* należy bowiem do tych demaskatorskich utworów, których funkcję społeczną wkrótce potem określił Wacław Nałkowski jako odkrywanie i piętnowanie skandalów. („Każde... zdemaskowanie, zdyskredytowanie, skandal w łonie reakcji jest niezmiernie ważny jako wyłom w tamie; szereg takich skandali to szereg wyłomów — zerwanie tam" — cytuję za wstępem J. Z. Jakubowskiego do *Pism wybranych* Zapolskiej). A więc *Grzech* jest utworem zbliżającym Żeromskiego do Zapolskiej, jako autorki *Żabusi*, *Moralności pani Dulskiej* czy *Panny Maliczewskiej*, oraz do Perzyńskiego, autora *Lekkomyślnej siostry* czy komedii *Uśmiech losu*.

Środowisko *Grzechu* — to charakterystyczne dla owych lat pogranicze zbankrutowanego ziemiaństwa i bogatego mieszczaństwa. Przedstawicielami pierwszej z tych klas są: „eks-obywatel" (jak to określa Żeromski), Henryk Jaskrowicz i jego dwie córki. Mieszczaństwo — to bogata starsza panna Zofia Parmen i pragnący się wybić za wszelką cenę (tj. za cenę przede wszystkim pieniężną) młody adwokat Piotr Bukowicz. Zarówno mieszczanie jak i byli ziemianie myślą o wszystkich sprawach kategoriami czysto finansowymi. Bogata panna Zofia (według ówczesnych pojęć już stara, bo ma... 36 lat) chce sobie kupić urodziwego, młodego adwokata. Zmierza do tego (w myśl zasad obłudnej moralności, którą Żeromski demaskuje) nieco okólnymi drogami, poprzez odsunięcie groźnej konkurencji, jaką jest droga sercu adwokata młodsza córka Jaskrowicza, Anna. To odsunięcie miałoby się odbyć w formie bardzo obłudnej: Anusia posiada ładny głos i zdolności muzyczne, bogata „dobrodziejka" chce ją zatem wysłać do Włoch, na studia operowe. Liczy oczywiście na to, że młodzi, w ten sposób rozdzieleni, powoli zapomną o sobie i wtedy adwokat „jak dojrzały owoc" wpadnie w ramiona Zofii Parmen. Gdy zawodzi realizacja tego planu, finansistka pcha swego ukochanego w ramiona innej dziewczyny: biednej nauczycielki, którą specjalnie w tym celu wyposaża. Nie będzie już miała adwokata dla siebie, ale przynajmniej odbierze go znienawidzonej Anusi. Zemsta jest rozkoszą zawiedzionej miłości.

Widzimy, że akcja utworu jest nieco sztuczna. Myślę, że to było celowe. Żeromskiemu chodziło o to, by udowodnić wszechwładzę pieniądza we współczesnych mu stosunkach społecznych. Pieniądz może zaspokoić każdy kaprys człowieka, który nim rozporządza. Pieniądz umożliwia wszelkie posunięcia na szachownicy wydarzeń. Tylko pieniądze się liczą. Kto ich nie posiada, jest skazany na bierność, absolutnie bezbronny i bez-

radny. Starsza córka eks-obywatela Jaskrowicza gotowa jest do wszelkich szacherek hipotecznych, byle tylko ocalić część swego mienia. Młody adwokat porzuca dla pieniędzy dziewczynę, którą kochał i uwiódł, która poza nim świata nie widziała; nie przeżywa ani chwili wahania, nie próbuje się nawet oprzeć pokusie. Nauczycielka, z której sobie kpił, której nie lubił, do której czuł niechęć, staje się dla niego w jednej chwili ponętna, gdy — otrzymała posag od panny Parmen. Nawet stary „obywatel ziemski" porzuca zasady honoru i miłości rodzicielskiej, gdy mu zajrzy w oczy niebezpieczeństwo nędzy. Uzależnienie obyczajowości od kryteriów materialnych jest w tym utworze tak wyraźne jak w komedii Włodzimierza Perzyńskiego, w niesłusznie zapomnianym *Uśmiechu losu*. Jest jednak u Żeromskiego jedna postać zbuntowana przeciw dyktaturze pieniądza. To Anusia, odrzucająca najpierw propozycję wyjazdu do Włoch, a potem uciekająca z domu, ostatecznie — w dochowanym fragmencie aktu piątego — zarabiająca na życie jako pomocnica murarska. Jak pisze St. Pigoń i St. Knauff, zakończenie dramatu według informacji osób, które je czytały, wyglądałoby tak: „oburzone robotnice, dowiedziawszy się, że ów wytworny pan (tj. adwokat Bukowicz) jest przyczyną nieszczęsnej doli Anny, obrzucają go śmiechem pogardy i drwinami, piaskiem i odłamkami cegieł". Ten akcent odróżnia utwór Żeromskiego bardzo wyraźnie od pozostałej literatury naturalistycznej. Jakże odmienna jest postawa Anny np. od postępowania Marii w *Lekkomyślnej siostrze* czy Hanki w *Moralności pani Dulskiej*. Tym bardziej należy żałować, że nie zachował się ów ostatni akt zapomnianego dramatu.

Wojciech Natanson

Stefan Żeromski, UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA. Pisma pod redakcją Stanisława Pigonia, t. XXIII. Dramaty, 4. Zeszyt 2. Spółdz. Wyd. „Czytelnik", 1950.

Mówiąc o *Przepióreczce*, zapominaliśmy często o jednym z najistotniejszych problemów tego utworu: o sprawie wychowawczej, o idei nauczycielskiej. Jaki istotny motyw kieruje postępowaniem Przełęckiego i decyduje o jego losie? Masochizm, dążność do samoudręczenia, cierpiętnictwo, wyczulone poczucie honoru, przekonania etyczne? Nic nie wskazuje na to, aby główny bohater *Przepióreczki* był człowiekiem skłonnym do zadawania sobie cierpień i lubowania się w nich. Jest ambitny, młody, pełen zapału i niezwykłej żywotności, nie brak mu sprytu, nie gardzi wesołością i dowcipem. Gdy w sławnej rozmowie z Dorotą w akcie drugim mówi z pozorną niechęcią o kobietach i o miłości, nie trudno w tych słowach dosłuchać się własnych, gorących jego pragnień; świadczy o tym najlepiej pytanie Przełęckiego w rozmowie ze Smugoniem: „Ja się pana zapytam jak mężczyzna mężczyzny: czy na pana nigdy nie wywarła wrażenia cudna, obca kobieta, nieznajoma przechodząca ulicą? Czy pana nigdy nie kusił diabeł, żeby się obejrzeć, przypatrzeć się jej, a potem myśleć sekretnie, a nawet nie myśleć, lecz tajnie chcieć zaznajomienia się, rozmowy, zabawy z taką kobietą?" Taka postawa docenta Przełęckiego nie przeszkodziłaby mu pójść za głosem miłości: „Panie Smugoń! — mó-

wi w tej samej scenie — A na to nie mógłbyś się zdobyć, żeby na grę uczuć kobiety męską grą odpowiedzieć? Ona ci odebrała swoją duszę, rozwiodła swoją duszę z pańską duszą. Odbierz jej pan swoją!" „Ażeby ona z pańską duszą się złączyła, w pańskie ręce przeszła" — płacze Smugoń. Na co odpowiada Przełęcki całkiem wyraźnie: „Skoro sam pan mówisz, że dusza jej od pana odeszła, a przeszła do mnie, to pewnie, że w polu mojej logiki tak być powinno". W każdym razie, gdyby nawet Przełęcki nie zdecydował się na inicjatywę w tej sprawie, samo cierpienie Smugonia nie mogłoby go skłonić do tego, by się zdobył na heroiczny akt samooczernienia i zdeptania swojej „złotej sławy" w obliczu kolegów i ukochanej kobiety.

Gdzie więc szukać rozwiązania tej zagadki? Sięgnijmy po tekst utworu, po zdania, o których zapominali niektórzy komentatorowie. W rozmowie ze Smugoniową mówi Przełęcki, że ucieczka Doroty do niego mogłaby spowodować rozbicie kursów, „gdyż powiedziano by nie bez słuszności, że to ja sobie tutaj romansidło ufundowałem". Jeszcze wyraźniej przebija ta prawda poprzez niesłuszne oskarżenia Smugonia: „Pan tu przyszedłeś (...) ze wzniosłymi ideami? Prawda? Z całą torbą wzniosłych haseł! Z całym worem zasad, prawd, nakazów (...) A poza tymi wszystkimi ideami, maksymami i pewnikami kryło się jedno: szukanie miłosnych przygód!" Jako przykład podaje Smugoń swą Dorotę: „Była najlepszą żoną, najtkliwszą matką naszego dziecka, najżarliwszą nauczycielką, pracownicą w naszym twardym zawodzie, jakiej ze świecą nie znajdzie! Od zeszłego roku, skoro tylko pan zjawiłeś się ze swymi wykładami, ta kobieta przepadła!"

Sprawa jest zatem jasna i wyraźna. Przełęcki nie poświęca się jako cierpiętnik, ani nawet z litości dla Smugonia. Działa dlatego, by ratować swą ideę, swe dzieło wychowawcze. *Przepióreczka* jest sztuką o wpływie, jaki wywiera człowiek promieniując na otoczenie swą indywidualnością, zapałem, swoją wiedzą; jest sztuką o wychowaniu w najszerszym znaczeniu tego słowa, jako formie ludzkiej solidarności i społecznego współdziałania. Pokazując piękno i siłę zawodu nauczycielskiego, nie mógł Żeromski zapomnieć o tym czynniku, który w wychowaniu musi odgrywać rolę niezmiernie ważną: o poczuciu odpowiedzialności. Za każdy czyn, za każdy swój odruch, za możliwość interpretowania tego odruchu przez wychowanków, za nie przewidziane, nawet i nie zamierzone skutki działalności pedagogicznej jest wychowawca odpowiedzialny.

„Ja tu mam lekcję"... — mówi Przełęcki, bezpośrednio przed spełnieniem swego aktu poświęcenia — „...mam tu rozmówić się z duszami moich uczniów".

Śmiałym ujęciem sprawy Przełęckiego wyprzedzał pisarz swoją epokę, punkt widzenia otaczającego go środowiska. Z początkiem r. 1949 minęła dwudziesta piąta rocznica napisania tej sztuki. Można stwierdzić, że nie straciła swego blasku i swojej siły, że centralny jej problem może nas wzruszać i dodawać nam sił.

Wojciech Natanson

PROZA WSPÓŁCZESNA

Teodor Parnicki, SREBRNE ORŁY. Powieść z przełomu wieków X i XI. Wydanie drugie. Wrocław 1949. Książnica-Atlas.

Są książki nowatorskie — te specjalnie cenimy i opłacamy dobrze, choćby darowaniem drobniejszych uchybień w pisarskim rzemiośle — są książki spóźnione. Dla powieści Parnickiego, ukończonej w roku 1943, można było napisać entuzjastyczną recenzję, ale datować jakieś piętnaście lat wstecz. A drukować, powiedzmy, w Pionie.

Bohaterem pokaźnego tomu jest polityka. Założenie ciekawe, konsekwentnie przeprowadzone, wartościowe — zdecydowało o wartości książki. Teatr opowieści maluje czytelnikowi pierwszą scenę w Tyńcu, ostatnią na Wawelu, ale najciekawsze kwestie słyszymy w Rzymie, Rawennie, Arecji. Trzy powieści powojenne wykorzystywały materiał historyczny czasów Bolesława Chrobrego: Bunsch nie przekroczył klasy prostej fabuły, Grabski próbował przybliżyć czytelnikom problemy „bałtyckie" poprzez łatwo zbeletryzowane biografie, Gołubiew pokusił się o odtworzenie szerokiego krajobrazu problemów, ludzi, języka, realiów. Parnicki zrezygnował z tworzenia fikcyjnych postaci, odmówił sobie przyjemności malowania wielkiej dekoracji — skupił uwagę na samej kronice wydarzeń. Zwięźle opisywane wnętrza, skąpe i z kronik tamtego czasu przypomniane przedmioty, bohaterzy wreszcie (prawie wszyscy są postaciami historycznymi) przywoływani są tylko w tym celu, aby wypowiedzieć skąpe zdania, także w źródłach historycznych zaświadczone. Przed zbyt suchą schematycznością takich wypisów historycznych obronił się autor i wyborem narratora, poczciwego mnicha Arona, w miarę gadatliwego, i wyborem tematu. Rozwiódł szeroko niejasną sprawę srebrnych orłów, uzasadnia z rozmachem — co wolno literatowi — zamiary Ottona III, który jakoby chciał uczynić Chrobrego swoim następcą, imperatorem różnoplemiennego imperium rzymskiego. Przenosi potem Parnicki swój obiektyw nad Wisłę i opisując układ sił między Italią, Niemcami, papiestwem, Rzymem samym, Konstantynopolem, Anglią, Danią, Słowianami Nadłabskimi, Polską — sam rozbija ów mit złotych orłów cesarskich (srebrne orły były znakiem patrycjusza rzymskiego!) ukazując słabość, nieaktualność mocarstwa europejskiego. Ale ta sprawa układa się w kształt doskonałej sceny, na której odgrywa swój bolesny dramat Przedziwny, Jego Cesarska Wieczność, Otto III. Ten więcej zabiera uwagi i serca widza niż Bolesław.

Książka dostarcza przeciętnie wykształconemu czytelnikowi kilka ciekawych interpretacji procesów historycznych. Układ stosunków i sił między Rzymem a jego niemieckimi, saskimi protektorami przedstawiony jest w formie żartobliwej, jako wojna piwa z winem. Sascy zdobywcy Italii muszą pijać wino, aby udawać Rzymian, wino zalewa Europę, bo potrzebne jest dla celów sakralnych, dla klasztorów, legatów — a winnice tuskulańskie dają ogromne dochody... ich dzierżyciel, Jan Teofilaktos, niejeden raz wpływa na losy Wiecznego Miasta, a w końcu sam zostanie papieżem.

Kilkakrotnie wraca w powieści ironiczne określenie margrabiego Ekkeharda, jakoby książę Bolesław jeździł na drewnianym patyku, bo tylko Niemcy nad Łabą i na wschód od niej decydują o marionetkowych władcach. W końcowych rozdziałach rozplątujemy rozmaite kłamstwa i naiwności i dowiadujemy się, kto hasa na drewnianych konikach, a kto na prawdziwych. Książę Bolesław drogą przeciwstawień nabiera mitologicznych rozmiarów, jest doskonały, mądry i silny, niewzruszony — ze szkodą dla wartości książki!

Z kulis polityki niemieckiej ciekawy fragment odsłania czytelnikowi choroba rzymskości Longobardów i Sasów, a zwłaszcza samego Ottona. Aureola siły i chwały Rzymu starożytnego przesłaniała bardzo często ludziom tamtego czasu najbardziej oczywistą prawdę, że Rzymu nie uda się wskrzesić.

Ciekawa jest także próba wyjaśnienia patologicznych reakcji i dziwacznych decyzji Ottona urazami o charakterze kompleksów. Cesarz jest dla autora przede wszystkim nieszczęśliwym młodzieńcem. Jako dziecko przeraził się opowiadania o śmierci dziadka, jako chłopiec czuł się już wydzielony poza gromadę rówieśników z powodu oliwkowej cery, którą odziedziczył po matce Greczynce. Jako młodzieniec bał się kobiet, a gdy jedna, chytra i mądra, Teodora Stefania, zbliżyła się do niego z kłamaną miłością, uwierzył jej i zaufał na swoją zgubę.

Za takimi problemami rozsnuwa się przez całą książkę obraz rosnącego w potęgę papiestwa. Oto nikną złote orły cesarstwa, a zabłysną złote klucze Namiestnika Piotrowego. Dzieje się to metafizycznie: tak musiało się stać. Równie metafizycznie ukazani w powieści papieże są mądrzy i dobrzy. I surowy Grzegorz V Bruno, i wykształcony Gerbert Sylwester II, i handlarz win, Jan; i ten zapomniał o interesie, a mówi o Niemcach i Słowianach jako o dzieciach swoich, jednako potrzebujących dobroci i miłości.

Skupienie uwagi czytelnika na zespole kilkunastu osób działających tłumaczymy i materiałem, który ze średniowiecza pozostał taki skąpy, i bardzo jasnym wyborem typu powieści: dzieje się ona w duszach bohaterów. Powieść psychologiczna o tematyce historycznej już w swoim założeniu jest fałszywa lub przynajmniej niepełna. Nie potrafi bowiem ukazać tego układu sił społecznych, który określa rolę jednostek, a przypisuje (lub przynajmniej stwarza taką sugestię) wybranym, czołowym osobnikom moce zgoła nadzwyczajne. Parnicki stwarza takie mity — dla czytelnika mniej krytycznego; czytelnika uważniejszego — nuży nieco wieloma białymi plamami nieodpowiedzialnej historii. Wydobędziemy wprawdzie z książki zarys sytuacji, jaką stwarzają wspaniale zorganizowane klasztory wspólnoty kluniackiej, rosnąca potęga papiestwa, przykłady bezpośredniej ingerencji papieży przez spowiedników i biskupów na decyzje panujących; szukając prawdziwych Rzymian dowiemy się, że i Krescencjusze są właściwie Longobardami, a o ich rzymskości decyduje nie krew czy rasa, ale środowisko, w którym wzrastają — ale te rozrzucone noty nie zastąpią istotnych braków. Zaledwie raz dowiadujemy się o losach wykupionych z niewoli hiszpańskiej chrześcijan, którzy popadają w gorszą niewolę u dobrych biskupów, ale arcyciekawe

czasy powstawania ustroju feudalnego i jego przekształcenia, wzory feudalne wynikające z organizacji wojska Germanów, powstawanie norm prawnych i form państwowych na płaszczyznach krzyżujących się interesów rodów panujących i organizacji kościelnej — to wszystko, zamilczane przez autora, zawiesza w próżni jego ciekawą konstrukcję.

Postawę ideologiczną pisarza odczytuje się najdokładniej z wyboru narzędzi. Wzory powieści burżuazyjnej, prócz sensacyjnie pomyślanej fabuły i pewnych charakterystycznych przydatków (choćby jako owe kompleksy Ottona), podsunęły Parnickiemu postać Arona, świadka wszystkich ważniejszych wydarzeń i opowiadacza, i formę wypowiedzi: dramatyzowane dialogi. Autor nie wkracza nigdy bezpośrednio, Aron jest członkiem wielkiego międzynarodowego bractwa ludzi uczonych, a jest Irlandczykiem z pochodzenia. Dzięki temu Parnicki zwalnia się od komentarza, oceny, jest doskonale „obiektywny", jak by się to powiedziało kilkanaście lat temu w kawiarni literackiej!

Pomysł ukazania skomplikowanego biegu historii przez wspomnienia wędrującego Arona jest z punktu widzenia sprawności techniki pisarskiej koncepcją świetną. Pozwoliło to przenosić akcję do rozmaitych środowisk — w różnym czasie — zupełnie swobodnie i bez naruszania realności wydarzeń. Jednocześnie książka jest zwarta, jednolita, bliska czytelnikowi. Parnicki bardzo swobodnie operuje czasem, łamiąc chronologię zupełnie dowolnie, lecz celowo. Najjaskrawszym tego przykładem jest scena ujęcia Teodory Stefanii przez żołnierzy margrabiego Ekkeharda. Opis na stronie 135 rozpoczyna się *ex abrupto*, potem odczytujemy informację, że opowiadał to Tymoteusz, późniejszy biskup poznański, Aronowi. Kilka stron dalej jesteśmy świadkami scenki dramatycznej: Tymoteusz u Ekkeharda słucha opisu zajścia z jego ust; na stronie 150 jeszcze inaczej ułożony jest stosunek czasowy do tego samego zdarzenia, a pamiętać trzeba, że mieści się ono w ramach wielkiej retencji, niejako w pamiętniku Arona; pięć razy zmienia autor kalendarz, co mogłoby być naganne, gdyby nie doskonała swoboda w wykonaniu zabiegów wcale nie najłatwiejszych. Podobnie: naprzód opisane jest święto Romulusa, a potem spowiedź Ottona, która je poprzedzała. Takie przemieszanie czasu dało dwa pożytki literackie: umożliwiło swobodne poruszanie się po rozmaitych wątkach oraz ułatwiło stawianie zagadek, posianie wielu pytań, zamotanie tajemnic. (Mamy żal do autora, że najciekawsze pytania rozwiązuje jakiś anonimowy Grek, a nie któraś z postaci bardziej znanych). Podkreślmy jeszcze raz, że mimo naplątania całej sieci spraw, wprowadzenia licznych postaci, przenoszenia czasu i miejsca — książka nie nuży, jest jasna, nie wymaga encyklopedii. Podając imię wprowadzanej postaci, autor dodaje krótką informację o niej, gdy wywoła ją drugi raz, przypomina, kto to był. Są to drobiazgi, maleńkie narzędzia warsztatu pisarskiego, ale narzędzia cenne. Dzięki nim powieść stała się interesująca, bo mogła co kilka stron wprowadzić zupełnie nową scenkę, z innego klimatu, z innymi napięciami uczuciowymi. Taka ruchliwość obiektywu, kierowanego na coraz to nowe wydarzenia, pokrywa pewne braki warsztatu: brak wyobraźni plastycznej, naiwności w rysunku psychologicznym niektórych postaci. Chwalimy żywość w przed-

stawianiu tragicznych i szarpiących sytuacji, oszczędny wybór realiów, bardzo delikatnie zaznaczany humor, przede wszystkim zaś ambitne przybliżenie czytelnikowi bardzo bogatego zespołu obrazów dawnych czasów. Tym większa szkoda, że nie układają się one w jakąś ideologię działającą.

Julian Lewański

W i l h e l m M a c h, RDZA. Warszawa 1950. Spółdz. Wyd. „Czytelnik". B i b l i o t e k a w P r e n u m e r a c i e.

„Opowiadałem tu dzisiaj o czymś, co mi się przytrafiło. Dwie skrzynki narzędzi miałem w ziemi schowane. I co? Rdza zjadła. O, tacy o n i [1]. Od dawien dawna. Tak n a r ó d od wierzchu przysiedli. Szczęściem naród od żelaza wytrzymalszy. Aaaa, mocny Boże, zeskrobać toto byłby już czas..." (s. 351). W ten sposób, ustami tzw. pozytywnego bohatera, ujawniony został zasadniczy wniosek debiutu powieściowego Wilhelma Macha, znanego w pierwszych latach powojennych krytyka literackiego.

Utwór pisarski może być rozumowaniem skończonym lub nie skończonym. Powieść Macha należy do typu pierwszego, zawiera bowiem wyraźną, od autora pochodzącą „naukę moralną". Przy typie drugim czytelnik, mając lepiej lub gorzej zestawione przesłanki, wniosek wyciągać musi sam. Zostawiam na boku sprawę, jak właściwie należałoby komponować powieści: z wnioskiem czy bez. Bardziej istotne wydaje mi się to, że nie należy — i to z żadnych względów — brać wniosków spoza tej rzeczywistości, jaką autor chciał lub potrafił w powieści narysować.

Jeżeli o n i są rdzą, a n a r ó d żelazem, jeżeli ta rdza zasługuje na wyrok, jaki tu odczytujemy, to nie ulega wątpliwości — powie każdy, nim jeszcze zajrzy do książki — że powieść wypełniona jest obrazami i c h niszczącej działalności. Nic przecież bardziej logicznego niż konieczność postawienia takich przesłanek, z których założony z góry wniosek (a tak chyba winno być z wnioskami u pisarzy) będzie wypływał bez żadnych zastrzeżeń.

Oto główne postacie *Rdzy:* despotyczna młynarka, babka Rotterowa; jej zięć, były major i łapownik, Kajetan Osiecki; syn Osieckiego, tchórz, pozer i sybaryta, Andrzej; druga córka Rotterowej, kochanka majora, Julia. To o n i. Swój wysiłek twórczy skupił autor na zobrazowaniu wewnętrznego kiszenia się tej czwórki. Trudno nazwać inaczej owo wprost chorobliwie drobiazgowe analizowanie własnego postępowania i własnych przeżyć. Materiał do analizy płynie przeważnie z wzajemnych stosunków między tymi osobami lub też z przypomnienia popełnionych świństw i świństewek. Owszem, w kręgu tych świństewek wspomina się i o ludziach, których można by z grubsza nazwać „narodem" lub — według terminologii Julii — chamstwem. Julia ma nawet wobec tego narodu swoje normy postępowania: „Chłopa zbądź byle czym, i t a k s i ę n i e p o z n a" (s. 156). Lecz to nie są przesłanki do wniosku, który przytoczyłem na początku recenzji. Któż zresztą wniosek wypowiedział? Da-

[1] Wszystkie podkreślenia w tekście pochodzą od autora recenzji.

wny parobek Rotterowej, obecnie działacz konspiracyjny, Jasiek Adamiec. Opiszemy pokrótce okoliczności, w jakich to się stało. One nam wiele wyjaśnią.

Adamiec durzy się w Joasi, niegdyś wychowanicy, a potem służącej Osieckiego. Dziewczyna była kochanką Andrzeja. Gdy się przekonała o niewierności młodego sybaryty, pomyślała: „Nie ma co, nic już dla (...) (mnie) lepszego na tym świecie". Lepszego oczywiście, od ożenku z Jaśkiem, którego nie kocha. Zwłóczy jednak z ostatnim słowem, więc ślamazarny w miłości Adamiec labiedzi: „Jak ci oni tutaj milsi i lepsi od kogo innego..." Na to Joasia, w obawie przed zbyt szybką utratą drugiego kawalera, staje się bardziej zdecydowana: „Już ty mnie, Jasiek, nie truj. Milsi, lepsi. Sama dobroć. No, to ci powiem: taka dobroć, jakbyś se ostrężnicami chciał pojeść. Jesz i jesz; słodkie i słodkie, aż mdli, a głodnyś. Takie to jest tutaj wszystko". Ta filipika ożywia Adamca: „Wiem, wiem. Dobrze wiem. Przez ciebie, dla ciebie, wszystko, co o nich wiem, dusiłem w sobie, żeby na wierzch nie wyszło, w myśli się nawet nie gnieździło. Bo jakeś ty z nimi trzymała, to i ja nie chciałem wbrew. Oni myślą sobie, że delikatni. Nas za chamów mają. Ale broń Boże od takiej, jak ich, delikatności. Czego się tkną — marnieje. Widziałaś jemiołę na dębie, pleśń na chlebie? Tacy oni". Po tym wstępie Adamiec dodał owe zdania o rdzy i konieczności jej zeskrobania z narodu.

Zauważmy, jak to oskarżenie krytykowanej klasy brzmi werbalnie i mdło. Joasia właściwie nie oskarża. Ona się żali, bo zwiódł ją kochanek. Odwołałaby wszystko, gdyby tylko Andrzej chciał się z nią żenić. Jej niechęć, i na razie nic więcej, ma podłoże miłosne i towarzyskie. Wypowiedź Adamca to gaworzenie zakochanego a niezbyt wymownego poszukiwacza porównań, dziwne w ustach młynarskiego parobka, żenujące zaś w ustach niby świadomego rzeczywistości klasowej konspiratora. Pomijam prawdę psychologiczną. Dobrze by jednak odgadnąć, na jakiej podstawie, po tak sielankowo-ckliwej rozmówce, Adamiec chce aż likwidować różnych Osieckich. Cóż zawinili na serio wobec narodu? Dowody? Co Adamiec „dusił w sobie", czytelnik przecież nie wie. A jeśli dodać, że skłonność do „duszenia" okazał i autor, o zasadniczym wniosku *Rdzy* trzeba powiedzieć, że jest naciągany. Wzięto go spoza powieści. Wypłynął z jakiegoś drugiego, dosyć późno powziętego planu utworu. Te dwa plany są główną wadą książki Macha. Spłycają rzecz. Plan drugi przewidywał zapewne zdecydowane podkreślenie konfliktu klasowego. Skończyło się na wybuchu sentymentu. Plan pierwszy widoczny jest w powieści aż nadto. Zgodnie z nim chciał autor pokazać (wbrew dorobionemu wnioskowi Adamca), że nie oni przysiedli naród, lecz ich właśnie jakaś rdza przykryła i zżera. Że są to ludzie skończeni, bo mieli „miłostki", którym czas przyniósł zdecydowanie kres. Rotterowa wierzyła tylko w swoje pieniądze i w swoją zaradność. Osiecki — w wygodę i zgrabne nóżki podstarzałej kochanki. Poza tym uwielbiał w sposób bałwochwalczy syna. Syn, dla odmiany, jak Narcyz, zajęty był wyłącznie sobą. Julia znalazła busolę w przykazaniach swoiście pojmowanego dobrego tonu. Krótko mówiąc czciciele „idealików". Nie chodzi specjalnie o tę czwórkę. Andrzej pięć minut przed końcem swego płaskiego istnie-

nia przeżywa chwilę skruchy: „W sobie samym; w rodzinie; w tej czy innej Olchówce; w tym czy innym powiecie, kraju, na ziemi całej. Pleni się olbrzymie kłamstwo. Osobnicze zakochanie w doskonałości własnej daje prawo do najbardziej bezwzględnego egoizmu...'" (s. 380). O jakiej doskonałości mowa, informuje dalszy ciąg refleksji: „...ciemne instynkty zwie się miłością czy obowiązkiem, czy setką innych, równie obłudnych imion, by je uchwalebnić (...) powstają przeciw sobie ludzie— wrogowie i mianują wrogość słusznością". Kropką nad „i" jest aforystyczna pointa. „Człowiek — rdza ziemi" (s. 381). Tego właśnie człowieka pragnie napiętnować autor; człowieka, odstępcę od zasad pewnej moralności (moralność nie zdaje się tu być klasowa).

Owo piętnowanie wykonano — tego trzeba żałować — w sposób trudny i trochę zmanierowany. Trudność widzę w języku często nazbyt rozwlekłym (na s. 36 jedno zdanie wypełnia 14 wierszy), w emocjonalnym a nie racjonalistycznym traktowaniu materiału, w skojarzeniach, które obficie przeżywają bohaterowie książki, a których — wcale lub przez długi czas — nie może zrozumieć czytelnik, a wreszcie w tzw. dzieleniu włosa na dwoje, czyli w zbyt drobiazgowym, naturalistycznym opisie rzeczywistości, i to w opisie od strony fakcików, a nie od strony faktów (np. scenka z wymiotami). Zmanierowanie znów polega na próbie sztucznego podniecania ciekawości czytelnika. Robi się to przez rozsypanie w tekście licznych niedomówień, przez przerywanie akcji w momencie, za którym winno przyjść coś rozstrzygającego. Zabieg normalny, Mach go jednak trochę nadużył. Książka musi intrygować problemami, które porusza, a nie chwytami, jakie autor stosuje przy opisie, nie... sztuczkami. Sztuczką tymczasem nazwać można np. dzielenie słowa między dwa sąsiadujące rozdziały.

Mimo istotnej wady konstrukcyjnej, mimo niedomagań drobniejszych, utwór Macha zapowiada pisarza, który ma coś do powiedzenia. Świadczą o tym trafnie zarysowane sylwetki psychologiczne (szczególnie babki Rotterowej), świadczy umiejętność oddania atmosfery powolnego rozpadu i beznadziejności, a wreszcie obiektywizm w traktowaniu bohaterów. Akcja *Rdzy* obejmuje fragment listopada roku 1939 i fragment czerwca 1941. Był to czas grozy i niejednemu pisarzowi dostarczył materiału do scen, obfitujących w skondensowaną potworność (np. Nałkowskiej w *Medalionach*). Mach ominął drogę potworności, drogę patologii jaskrawej, łatwiejszej do uchwycenia. Pokazał ludzi przeciętnych. Ich wadą jest nie tyle bezwzględne działanie na szkodę społeczeństwa, ile — przez powolne zdradzanie obowiązującej moralności — całkowite zobojętnienie na interesy grupy. Gwiżdż na dobro ogólne, będziesz miał spokój i pełną spiżarnię — mówią miłośnicy błogostanu i mamony. Kto izoluje się od spraw zespołu ludzkiego, kto zdradza jego moralność, kto go ignoruje, ten ginie — pokazuje natomiast Mach na przykładzie swoich bohaterów. Czas, którego nadejście (jakkolwiek pod piórem autora nie wypadł on od strony pozytywnej zbyt wyraźnie) obserwujemy w powieści, nieubłaganie wypłukuje z życia mierzwę ludzką, zapatrzoną, jak w środek świata, we własny pępek. Chciałbym jeszcze raz podkreślić obiektywizm, z jakim autor ów proces pokazał. Stanowi on dla mnie gło-

wną zaletę *Rdzy*, a polega na tym, że Mach, unikając komentarzy, zaznacza u swych bohaterów wszystkie drgnięcia „sumienia“, wszystkie podświadome próby oporu przed oczekującym ich losem. Andrzej, nim zostanie „wypłukany“, nieraz będzie myślał o poprawie, będzie sobie wypominał tchórzostwo i egoizm. Osiecki współpracuje z Niemcami, ale nikomu osobiście nie szkodzi, piecze go trochę odgrywana rola. Julia niechętnie przyjmuje „folksdojczów“, myśli o tym, by się ustatkować. Rotterowa odczuwa czasem skurcz żalu z powodu zmarnowanego życia, pomaga znajomym a szczutym Żydom. Ciążący nad tymi ludźmi fatalizm przyzwyczajeń i bezwładu spycha ich jednak na dno rzeczywistości.

Jan Kott powiedział niedawno z przekąsem, że debiuty powieściowe przypominają ostatnio seminaryjne prace studentów polonistyki. Debiutu Macha ta opinia obejmować nie może. Wprawdzie jako obrachunek powojenny jest *Rdza* utworem w chwili obecnej trochę spóźnionym, a przerzucenie rzeczywistości na tło refleksji bohaterów czyni ją powieścią niełatwą do czytania, równocześnie jednak stanowi pracę pisarza, którego aktualne wady pochodzą, zdaje się, z nadmiaru koncepcji, nie zaś z anemii myślowej, tak często niestety typowej dla prac seminaryjnych.

Jan Gawałkiewicz

HISTORIA LITERATURY

Stanisław Rospond, STUDIA NAD JĘZYKIEM POLSKIM XVI WIEKU (JAN SEKLUCJAN, STANISŁAW MURZYNOWSKI, JAN SANDECKI-MALECKI, GRZEGORZ ORSZAK). Wrocław 1949. Wrocławskie Towarzystwo Naukowe.

Na krawędzi dwóch półwieczy XVI stulecia rozgorzał między innowiercami w protestanckim Królewcu srogi spór. Odbija się on donośnym echem o dwór książęcy Albrechta, patrona protestantów polskich. Nie o kwestie religijne idzie tym razem szermierzom polskiego protestantyzmu, chociaż niepoślednim powodem i tłem szesnastowiecznego starcia były właśnie książki religijne. W poszukiwaniu dróg ku głębszemu i szerszemu szerzeniu nowej wiary za doskonały środek wiodący nieomylnie do celu uznano rodzimy język polski, którym mówią szerokie masy. Inaczej jednak posługuje się nim Jan Seklucjan, zapobiegliwy wydawca królewiecki, i jego mimowolni satelici. Stanisław Murzynowski i Grzegorz Orszak; w innej znów szacie chce go widzieć Jan Sandecki-Malecki, sądeczanin, co od podhalańskiego Sącza w długiej peregrynacji *via* Kraków i jego ośrodek literacko-drukarski zamierzył aż do Królewca. Spotkanie ich na terenie wydawniczym w Królewcu stanęło pod znakiem poważnienia na temat języka wydawanych i kolportowanych przez nich pism religijnych: *Nowych Testamentów, Katechizmów, Pieśni* itp. Wcale namiętne to spięcie posłużyło autorowi *Studiów nad językiem polskim XVI wieku* za punkt obserwacyjny badań nad przełomowym okresem rozwoju języka polskiego, który w XVI wieku, po nagromadzeniu średniowiecznych doświadczeń i zdobyciu rozpędu, rewolucyjnym odruchem otrząsnął się ze średniowiecznego skostnienia na korzyść nowożytnego systemu. Pierwsze stadium tego epokowego przeobrażenia z wy-

twornego, ale klasycznie unieruchomionego i pozbawionego polotu języka średniowiecza w początkowo „gruby“, lecz nowożytny twór o pełnych barwach życia, nie mogło obyć się bez walki starych z młodymi. Echa tej szermierki słownej o język niejednokrotnie dosłyszymy w czasie lektury omawianej pracy.

Przegląd twórczości i dane personalne o bohaterach sporu daje rozdział pierwszy, omawiający autorów i ich dzieła. Jest ich czterech: Jan Seklucjan, Stanisław Murzynowski, Jan Sandecki-Malecki i Grzegorz Orszak. Różne są miejsca ich pochodzenia i niejednakie koleje losu, który ich krokami na spotkanie królewieckie w okolicach połowy XVI wieku pokierował. Jan Seklucjan, były mytnik poznański, *baccaleraus* ze szkoły lipskiej, dawny introligator, mnich, potem apostata i duchowny protestancki, wreszcie obrotny wydawca swoich i cudzych dzieł, przewodzi obozowi „młodych“, niosących nowy język ze swych miejsc rodzinnych. Już na samym wstępie odziera go autor z niezasłużonej sławy autorstwa 20 dzieł, w które przybrał się dyskretnym przemilczaniem rzeczywistych autorów, jak np. syna ziemi dobrzyńskiej, zdolnego, młodziutkiego humanisty, Stanisława Murzynowskiego. To, co autor ukaże w szczegółowej analizie językowej z różnych stanowisk, zapowiada od początku: Jan Seklucjan jest w małej części autorem przypisywanych mu dzieł. Natomiast jest przeważnie wydawcą, któremu autorstwo dostało się nieraz przez nieporozumienie badaczy i brak studiów szczegółowych nad jego językiem. Zagadkę niewytłumaczonego pomieszania ortografii i języka Seklucjana, uznaną za nierozwiązalną, autor po gordyjsku rozcina przy pomocy szczegółowej analizy ortografii i grafiki, do każdego z systemów dobierając odpowiedniego autora, którym przeważnie nie okazuje się Seklucjan. Tak został pozbawiony niezasłużonej sławy ten nie zawsze uczciwy wydawca, który sprytem nadrabiał brak należytego wykształcenia i zdolności. Ofiarą oprócz Murzynowskiego padł też, na rzecz Seklucjana, pierwszy postyllograf polski, Grzegorz Orszak, rektor szkoły w Pińczowie, Małopolanin. Przeciwnikiem Seklucjana, a więc i innych z obozu „młodych“, był znany nam już samotny Jan Sandecki-Malecki, dawny drukarz krakowski, wychowanek krakowskiej „szkoły“ literackiej, założyciel pierwszej drukarni polskiej na Mazurach, czechizator, obrońca archaicznej szaty języka polskiego, wróg prowincjonalizmów, latynizmów i germanizmów. Do Królewca przyniósł go rok 1536. Z chwilą rozpoczęcia przez Seklucjana roboty wydawniczej, żadne z ich wydawnictw nie zazna spokoju, kreślone ręką przeciwnika, pomawiane o niedopuszczalne uchybienia językowe. W tej walce Seklucjan odniósł zwycięstwo nie dzięki własnym zasługom, lecz ustalonej już tendencji do przeobrażania języka książkowego w żywy, gdyż pierwszy nie odpowiadał już szesnastowiecznym wymaganiom.

W analizie graficznej i ortograficznej wykazuje autor, że Seklucjan mimo wszystko na zarzuty Maleckiego zasłużył przez swój niechlujny i niekonsekwentny system ortograficzny, przez trzymanie się pisowni fonetycznej i popełnianie stałych błędów, będących reminiscencją ortografii średniowiecznej; te błędy zresztą służą znakomicie do wyróżnienia od innych roboty tylko Seklucjanowej. Między Maleckim a Murzynow-

skim panuje poważna różnica w ortografii. Malecki, drukarz krakowski i literat, w tych samych warunkach typograficznych podaje system graficzno-ortograficzny o wiele staranniej wykończony. Nic dziwnego: u podstaw jego umiejętności stoi „szkoła" krakowska i „czeska", którym do końca wierny pozostał. Z ortografii Orszaka przegląda Seklucjan, aczkolwiek postęp tu w stosunku do ostatniego zaobserwować można łatwo.

Rozpatrując fonetykę w oparciu o drobiazgową analizę ortograficzną, autor zatrzymuje się uważniej nad dwoma skrajnymi zagadnieniami: archaizmami i modernizmami fonetycznymi. Z materiału przytoczonego wynika jasno, że Murzynowski jest tu największym nowatorem, podczas gdy Seklucjan dorównywa mu w połowie. Malecki i tu stoi po stronie przeciwnej: jest nie tylko wybitnym konserwatystą, lecz również czechizatorem fonetycznym, jakkolwiek po odbiciu się od środowiska południowo-polskiego wielu czechizmów w Królewcu się wyzbył. Używane przez niego ściągnięcia form zaimka *mój, twój, swój* w przypadkach zależnych są — jak to już twierdził K. Nitsch — pochodzenia czeskiego. Używa ich też Małopolanin Orszak. Seklucjan stoi natomiast na stanowisku pośrednim: w tekście swoim używa form pełnych, w modlitewnych zaś — ściągniętych. Nowatorem jest Murzynowski, prawie wyłącznie używając form pełnych.

„Młodzi" w zakresie słowotwórstwa są indywidualistami, co oznacza swobodę w tworzeniu nowych wyrazów. Malecki, przedstawiciel epoki mijającej, zajmuje stanowisko odmienne. Murzynowski np. poluje na *intensiva* prefiksalne. Nic więc dziwnego, że wyrazy typu *przepowiadać* (= opowiadać), *przeminął go* (= minął go) Malecki grubo podkreśla. Pokrzywił się i Seklucjanowi za dłuższe *nadaremnie* (= daremnie). U Orszaka upodobaniem cieszy się prefiks *z-: zoglądać* (= oglądać). Podobne skłonności wynajduje autor w gwarach. Murzynowski lubuje się także w deminutywach wszelkiej kategorii: *żonka, owieczki, skromniuczko.*

Wśród zagadnień fleksyjnych również specjalną uwagą darzy się w rozprawie neologizmy i archaizmy fleksyjne, co jest pociągające z uwagi na stadialny obraz ówczesnych fluktuacji w tej dziedzinie gramatyki. Płynność form fleksyjnych wyłoni niedługo już system nowopolski. I tak: Seklucjan reprezentuje po rozpatrzeniu materiału stan z pierwszej połowy XVI wieku, wykazując o wiele mniej innowacyj niż np. Murzynowski, który ich ma już spory zasób. Malecki tutaj nie tylko archaizuje, lecz czechizuje, a nawet używa form dialektycznych, broniąc ich zaciekle i powołując się na autorytet gramatyki czeskiej. Umiarkowanie przedstawia się Orszak, który ma już wiele nowości fleksyjnych, a choć mniej niż Murzynowski, to przecież więcej niż Seklucjan.

I składnia przedstawia moment otrząsania się z zawiłej nieporadności średniowiecznej. Jednym z przykładów tego zjawiska jest użycie coraz częstsze konstrukcji przyimkowej z *do* w miejscu dawniejszej z *ku* na oznaczenie kierunku. Używa jej często Murzynowski i Orszak w przeciwieństwie do Maleckiego, który nie zamierza naruszać dawnych przyzwyczajeń. U Maleckiego daje się zauważyć już wyraźna różnica pomię-

dzy składnią przestarzałą, książkową, szkoloną, a nowoczesną, ubogaconą w pismach „młodych“ nabytkami z języka mówionego.

Dynamizm w słownictwie języka XVI wieku, wybujały nad wyraz, jest zrozumiały przy podatności jego na wpływ tak rodzimy jak i obcy, zewnętrzny. Obserwujemy usuwanie świadome archaizmów i ich zamieranie; i na tym punkcie wadzi się Malecki z Seklucjanem i Murzynowskim. Natrafia jednak na ostrą obronę inicjatorów nowatorstwa słownikowego. W związku z tym postrzegamy pojawianie się nowych znaczeń wyrazów. Archaizowanie i posługiwanie się czeszczyzną w zakresie słownictwa są przedmiotem szyderstwa obozu „młodych“. W usuwaniu czechizmów pomocniczy udział wzięła łacina i od czasów reformacji szerzące się germanizmy. Malecki, święcie przekonany o pochodzeniu języka polskiego z czeszczyzny, zawzięcie krytykuje tak latynizmy jak i germanizmy. W zakresie nowotworów pojawianie się neologizmów właściwe i semantyczne; dialektyzmom także nie trudno wówczas było przeniknąć do języka książkowego, gdyż równały się prawie językowi potocznemu, używanemu szeroko i „grubo“ przez „młodych“. Za tę grubość miał Malecki pretensje do Seklucjana. W tym zakresie materiał został ułożony alfabetycznie, tworząc oddzielny słownik dla każdego autora, co daje możliwość natychmiastowej komparacji i wglądu. Jak należałoby tego oczekiwać, słownictwo Maleckiego odbiega od innych autorów, najbardziej zaś od Murzynowskiego. Jest konserwatywne i czechizujące. Toteż nie dziwota, że Malecki w tym względzie oszczędził Murzynowskiemu swojej korekty. Orszak większymi skłonnościami archaizatorskimi i konserwatyzmem nieco przypomina Maleckiego, co zresztą legitymuje jego pochodzenie małopolskie.

Wiele uwag poświęcono frazeologii i stylowi, które w drugiej połowie XVI wieku z ubóstwa średniowiecznego ożyły pod wpływem języka żywego. Tak szkoła ośrodka krakowskiego jak i środowisko królewieckie doskonaliły język polski pod tym względem. Malecki daleki od Krakowa, z którym w niezupełnej zgodzie z tamtejszymi drukarzami się rozstał, poważniony z literatami królewieckimi, tkwi jeszcze głęboko w średniowieczu, w przeciwieństwie do Murzynowskiego i Seklucjana. Przekreśla ich śmiałe konstrukcje, boć i rubaszność Seklucjanowa, zwiastunka Rejowskiego stylu, ucho i oko jego raziła. Źródłem szesnastowiecznej frazeologii jest język mówiony i bogactwo humanistyczne, ostro więc rysuje się ona na tle średniowiecznej monotonii.

Nie pominął także St. Rospond dialektologii historycznej, dorzucając do tej młodej nauki kilka cennych przyczynków. Otóż stwierdza między innymi, że polemiki językowe tego okresu są wynikiem różnych poglądów na strukturalne cechy języka, a także różnic dialektycznych, a nie tylko skutkiem tendencji nowatorskich czy konserwatywnych. Cechy dialektyczne omawianych autorów przeniknęły do ich druków i pozwalają na wyraźne wyróżnienie w ogniu dyskusji dwóch środowisk językowych: południowo-polskiego (małopolskiego) i północno-polskiego. Każdy z omawianych autorów wnosi swoje cechy regionalne w dzieło. Za tym śladem dochodzimy do miejsca przybliżonego pochodzenia Seklucjana, do Siekluk radomskich. Murzynowski wskazuje różnego typu

dialektyzmami na północ Polski, Jan Malecki bardzo wyraźnie oznacza swoją rodzinną Sądecczyznę. Orszak prowadzi nas do Małopolski północnej.

Po tamtych rozważaniach stwierdza się, że polski język literacki nie powstał nagle w XVI wieku jak za poruszeniem różdżki czarodziejskiej, lecz jest wynikiem roboty poprzednich stuleci, które wypracowały w najdawniejszych zabytkach staropolszczyzny podwaliny pod jednolity język literacki, i to na długo przed drugą połową szesnastego wieku, na którą wykreśla czas powstania języka literackiego W. Taszycki. Ale średniowieczny język kościelny, mało dostępny dla dialektyzmów i ograniczony ortodoksyjnością, długo opierał się kształtującym wpływom języka mówionego. Zbadać pod względem leksykograficznym zabytki tego typu, co *Psałterz floriański*, *Psałterz puławski* i *Biblia Królowej Zofii*, znaczy tyle, co rzucić niemały strumień światła na genezę i czas powstania języka literackiego.

Ostatni rozdział, o artyzmie i kulturze językowej XVI w., ilustruje troskę o poziom języka i jego rozwój na tle życia politycznego, religijnego, gospodarczego. Kult dla mowy ojczystej pielęgnowali przede wszystkim drukarze i zarazem literaci krakowscy, bakałarze i wydawcy. Troskali się oni nie tylko o rozpowszechnienie języka ojczystego, lecz także polerowali go i pielęgnowali. Świadczą o tym pomysły ortograficzne Jana Kochanowskiego, Orzechowskiego, Górnickiego. Reformacja wzbogaca język nowymi zasobami, używając go jako broni w walce z przeciwnikami. Rola pracy nad językiem ojczystym w ośrodku krakowskim była przodująca. Tradycjonaliści bronią jego archaiczności, zwycięscy zaś nowatorzy sięgają po bogactwo mowy potocznej, górując nad przedstawicielami starych poglądów językowych przede wszystkim wykształceniem humanistycznym. Robota średniowieczna i praca XVI w. stworzyły podstawę, na której dopiero w całej krasie wyrosła poezja Jana Kochanowskiego i proza Górnickiego, Orzechowskiego i Reja.

Jak wynika z problemów poruszonych w *Studiach nad językiem polskim XVI wieku*, gdzie problematyka ściśle językowa łączy się z zagadnieniami z zakresu stylistyki, autor ich stoi na stanowisku powiązania zagadnień kulturalno-literackich z językowymi. Praca kładzie główny nacisk na obserwacje języka w momencie jego przeobrażania się w system nowożytny, a za widome oznaki tego przeobrażania uważa spory językowe autorów szesnastowiecznych. Przejściowość języka uchwycił St. Rospond przede wszystkim pod względem fleksyjnym, słowotwórczym, składniowym, a zwłaszcza słownikowym. Nie pominął także zaniedbanej i uznanej za zagadkę nie do rozwiązania chaotycznej pozornie ortografii i grafiki, wykazując, że może ona być doskonałym narzędziem w pracy badawczej. Zebrany materiał—o wiele większy niż tego wymagały poruszane zagadnienia — reprezentuje dwie wyraźne grupy językowe: małopolską i północno-polską, a pod względem stosunku do języka — dwa obozy: konserwatywny i nowatorski. Podany i opracowany jest z metodyczną jasnością i celowością: na terenie jednego pisarza nie przechodzi się wszystkich zagadnień gramatyki, lecz odwrotnie: w poszczególnym zagadnieniu mieści się wszystkich autorów, dając możność natychmia-

stowej konfrontacji. Z obfitości materiału, wyrażającej się 84 pozycjami źródłowymi, wynika mnogość problemów pobocznych, nadających się do osobnych opracowań; autor jednak przedstawia je w taki sposób, że nie spychają go z jego głównej drogi badawczej.

Stefan Reczek

M. Morozow, SZEKSPIR. Przekład Wł. Everta. Spółdz. Wyd. „Czytelnik", 1950.

Szekspir M. Morozowa jest książką interesującą, inteligentną i jasną. A zadanie autora nie było bynajmniej łatwe; i to z paru przyczyn. Pierwszą z nich jest niezmiernie szczupła ilość wiadomości, jakie posiadamy o twórcy *Hamleta* i *Otella*. Nie tylko biografia Szekspira obfituje w trudności i zagadki. Nawet jego twórczość (tj. trzydzieści siedem sztuk teatralnych, dwa poematy i liczne sonety), nie jest wolna od znaków zapytania. Nie mamy rękopisów szekspirowskich, tekst znanych obecnie utworów to najczęściej egzemplarze suflerskie, rekonstrukcje pamięciowe aktorów albo stenogramy, pozbawione prawdopodobnie aprobaty pisarza. „Drogą porównania starych wydań wiele pokoleń szekspirologów ustalało ten tekst, który obecnie jest ogólnie przyjęty" — pisze M. Morozow. — „Zrozumiałe jest jednak, że wybierając jeden z kilku wariantów, redaktorzy tekstu nierzadko kierowali się subiektywną oceną. Poza tym przygniatająca ilość przypisów i uwag, istniejących w powszechnie przyjętym tekście Szekspira, pochodzi od redaktorów z wieku XVIII, a nawet i XIX... Niedawno uniwersytet w Cambridge podjął przejrzenie szekspirowskich tekstów i obecnie ukazuje się pod redakcją znanego angielskiego szekspirologa, Dover-Wilsona, nowe wydanie, w wielu szczegółach różniące się od ogólnie przyjętego".

Odwrotnie proporcjonalna do tej szczupłej stosunkowo ilości sprawdzonych danych o Szekspirze jest ilość i waga obserwacji o wielkim dramaturgu, nagromadzonych przez naszą kulturę od lat trzystu pięćdziesięciu. Któż nie pisał o twórcy *Burzy*? Diderot i Voltaire, Goethe i Heine, Puszkin i Bielinski, Stendhal i Victor Hugo, France i Lew Tołstoj, Marks i Engels, Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Wyspiański... Szekspir jest już dziś jednym z zagadnień naszej kultury, odczuwanie jego dzieł rozrasta się i zmienia wraz z postępem cywilizacji. Słusznie więc przytacza Morozow efektowne zdanie Heinego, który, odpowiadając przedstawicielom klasycyzmu, oskarżającym Szekspira o brak „trzech jedności" (miejsca, akcji i czasu), napisał: „Szekspir posiada te 3 jedności: jedność miejsca u niego — to cały świat, jedność czasu — wieczność, jedność akcji — ludzkość. Szekspir był i pozostaje przyjacielem postępowej ludzkości".

Morozow pokazuje nam najpierw dzieciństwo i młodość pisarza, w rodzinnym jego miasteczku, Stratfordzie, nad rzeką Avon. Przypomina chłopskich przodków pisarza, szkicuje portret ojca, który jest już mieszczaninem, garbarzem i handlarzem, a nawet burmistrzem. „Stratford— pisze autor książki — silnie zaważył na twórczości Szekspira. Wielki dramaturg był znawcą ludowego języka swojej epoki, ludowych ballad i pieśni, historycznych legend i czarodziejskich bajek. Mówią o tym jego

utwory. Znaczną część tego bogactwa zdobył niewątpliwie w okresie swego dzieciństwa".

Następnie przenosimy się z osiemnastoletnim Szekspirem do Londynu, poznajemy życie ówczesnych teatrów i atmosferę literacką, przesiąkniętą duchem patosu i przesady. Interesująco opisuje autor spotkanie i przyjaźń młodego Szekspira z hr. Southampton, miłośnikiem sztuki, a zwłaszcza teatru. Była to przyjaźń przelotna: „...Hrabia Southampton zapomniał o Szekspirze. W listach hrabiego, które się zachowały, Szekspir nie jest wspomniany ani razu. Nic dziwnego: spotkania ze skromnym, początkującym poetą i dramaturgiem były dla tego pana zaledwie przemijającym wrażeniem".

Coraz jaśniej i coraz wyraźniej, dzięki stosowanej przez autora metodzie umieszczania Szekspira na tle prądów epoki, ukazuje nam się postać poety. Morozow szkicuje nam wygląd Szekspira na podstawie jedynego wiarogodnego portretu (Dreshouta). Jest to portret bardzo marny, „mimo to nie można nie zauważyć wysokiego czoła i żywych, mądrych oczu." Poznajemy wkrótce życie dramaturga w Londynie. Widzimy go także na drodze ze Stratfordu do Londynu. Bardzo interesujący i ważny jest rozdział o epoce ówczesnej; epoce rozkładu ustroju feudalnego i narodzin kapitalizmu, gdy zerwał się, według słów Marlowe'a, „ten wiatr, który wprowadził w ruch cały świat: gorączka złota", a według Engelsa, „rozluźniły się wszystkie stare węzły społeczne i zachwiane zostały wszystkie odziedziczone pojęcia. Świat od razu stał się niemal dziesięć razy większy..." Nie zapomina też autor książki o poprzednikach Szekspira oraz o teatrach Anglii elżbietańskiej.

Analizą dramatopisarskiego dziedzictwa szekspirowskiego zajmuje się dwanaście rozdziałów książki przez nas omawianej. Morozow dzieli tę twórczość na trzy grupy, odpowiadające trzem okresom pisarskim: optymistyczną (1590—1601, od *Komedii omyłek* do *Wieczoru Trzech Króli*), tragiczną (1601—1608, od *Hamleta* do *Tymona Ateńczyka*) i romantyczną (1608—1612: *Cymbelin, Zimowa opowieść, Burza*). Niektóre omówienia utworów mają charakter popularny i ograniczają się do faktów znanych. Inne przynoszą uwagi oryginalne i nowe. Np. o *Poskromieniu złośnicy* czytamy: „Petruchio mówi, że węgorz jest pożyteczniejszy od jadowitego węża, choć ten ostatni ma piękną, pstrą skórę; skowronek piękniej śpiewa od sójki, choć sójka ma piękne pióra... Strój nie zawsze odpowiada naturze i Szekspir zdzierając zewnętrzne powłoki ukazuje nam prawdziwe wnętrze człowieka. Jest wielki w swym demaskowaniu." Albo o sztukach historycznych: „Bohaterowie historycznych kronik Szekspira, to ludzie Anglii elżbietańskiej. Tak samo w sztukach Szekspira z epoki starożytnego Rzymu... ukazują się przed nami ludzie zrodzeni pod niebem szekspirowskiej epoki... W *Juliuszu Cezarze* mówi się o biciu zegara. Cezar mówi o swym kaftanie. Rzymscy plebejusze wkładają kapelusze podobne do noszonych przez angielskich majstrów i czeladników XVI wieku. Niemniej jednak Szekspir z genialną przenikliwością przeczuwał znaczenie historycznych procesów... W *Henryku IV* zbuntowani lordowie ponoszą jedną klęskę po drugiej nie dlatego, że brak im odwagi... ale dlatego, że c z a s jest przeciwko nim." Niezmiernie interesująca jest również uwaga

o *Romeo i Julii* jako „hymnie na cześć stałości uczucia“, jak również i ta, że „w teatrze radzieckim podstawowe założenie tej sztuki polega na przeciwstawieniu rzeczywistego harmonijnego uczucia jej bohaterów dysharmonii otaczającego świata.“ Omawiając *Hamleta* podkreśla m. in. Morozow przemilczany przez innych szekspirologów uniwersytecki charakter utworu. Na karcie tytułowej pierwszego wydania z roku 1603 (a więc jeszcze za życia Szekspira) czytamy: „wydrukowana w tej wersji, w jakiej tragedia ta była grana... na uniwersytetach w Cambridge i w Oxfordzie, a również i w innych miejscach.“ Szekspir znał prawo krążenia krwi, odkryte przez Williama Harveya w r. 1609; znał je prawdopodobnie dzięki rozmowom ze studentami. „Nie jest też rzeczą przypadku — dodaje Morozow — iż w samej tragedii przyjacielem Hamleta, humanisty-myśliciela w stroju duńskiego księcia, jest biedny student Horacjo.“

„Zagadnieniu autorstwa“ Szekspira poświęca badacz radziecki rozdział bardzo przekonywający. Podobnie jak i nasi uczeni z Romanem Dyboskim na czele jest Morozow zdecydowanym przeciwnikiem fantastycznej hipotezy, przypisującej dzieła Szekspira Baconowi lub innemu pisarzowi arystokratycznemu. Trudno nie uznać trafności użytych przez Morozowa argumentów. Co prawda, sama lektura dzieł szekspirowskich wystarczy, aby wyczuć najsilniejszy związek tych dzieł z życiem poety-aktora. W postaciach błaznów ileż np. wyraźnych aluzji do ówczesnej doli i niedoli aktorów, a także i autorów dramatycznych. Zresztą faktem jest, iż twórca *Hamleta* wycisnął na wszystkim swe własne indywidualne piętno. Morozow, analizując język i styl Szekspira, przytacza wspaniałe powiedzenie Ryszarda II o Henryku Bolingbroke‘u, który starał się zdobyć serce ludu: „On, zdawało się, n u r k o w a ł w ich serca.“

Omówiliśmy tylko cząstkę spraw i zagadnień, poruszonych w książce M. Morozowa. Jej wielką zaletą jest ścisłość, konkretność, zupełne wyzwolenie się od frazeologii. Erudycja autora nie obciąża przy tym jego wywodów; przeciwnie, dodaje im barwności, wyrazistości, uroku. Ten sumienny i rzeczowy badacz umie nam pokazać Szekspira żywego, nie gardząc literackim obrazem i porównaniem. Jasny układ i kompozycja książki podnoszą jeszcze jej wartość, zwłaszcza że na zakończenie otrzymujemy dwa pożyteczne dodatki: *Podstawowe daty z życia i działalności Szekspira* oraz *Chronologiczną tablicę utworów Szekspira.*

Redakcja przekładu polskiego uznała zupełnie słusznie, że książkę trzeba uzupełnić krótką wzmianką o losach Szekspira w Polsce. Niestety, notatka ta jest zanadto zwięzła, a może i nieco dowolna w doborze przytoczonych faktów. Zaczynając np. od zdania, iż „znajomość dzieł Szekspira w Polsce datuje się od roku 1782“, od przeróbki *Wesołych kobiet z Windsoru* przez Zabłockiego, pomija fakt, że już w XVII stuleciu trupy wędrowne grały u nas niektóre utwory szekspirowskie. Szkoda też, że nie uwzględniono zupełnie głosów Mickiewicza, Słowackiego i Kraszewskiego o twórcy *Hamleta.* Czytelnik nie dowie się też nic o *Rozprawie* o *Hamlecie* Wyspiańskiego, ani o słynnych naszych wykonawcach ról szekspirowskich.

Wojciech Natanson

HISTORIA

Jerzy Manteuffel, ZE ŚWIATA PAPIRUSÓW. OBRAZKI Z ŻYCIA W EGIPCIE HELLENISTYCZNYM. Wrocław — Warszawa (1950). Książnica-Atlas.

Papirologia nie jest nauką o papirusach. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, nie jest też nauką o papirusach egipskich. Bo chociaż ta najmłodsza z gałęzi filologii opiera się na materiale papirusowym, nie zajmuje się samym tylko materiałem, a papirusy egipskie pozostawia egiptologom. Nie znaczy to, by nie były ważne żmudne i ciężkie pierwsze stadia pracy papirologa: odszukanie, wydobycie, oczyszczenie i odczytanie, a nieraz rekonstrukcja strzępu papirusu czy ułamka naczynia glinianego. Jednak dopiero z chwilą uzyskania treści, która może być najróżniejsza — od kwitu podatkowego czy kontraktu kupna osła do urywku Homera i zagubionego od wieków pisma Arystotelesa — zaczyna się najcenniejsze i najciekawsze zadanie uczonego. Tysiące urywków, części poszczególnych zwojów czy tomów (kodeksów), tabliczek i ostraków pozwoliły w ostatnim, z grubsza biorąc, sześćdziesięcioleciu na odtworzenie obrazu życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego Egiptu greckiego czy, dokładniej, zhellenizowanego pod rządami Ptolemeuszów i za czasów rzymskich. Obraz ten jest dokładniejszy niż wszystko, cośmy do tej pory z życia antyku klasycznego z innych źródeł mieli. Pozwala nam po prostu wejść w samo życie, do izb szkolnych, gdzie dzieci piszą (z okrasą błędów) karne wypracowania, do kancelarii notarialnych, gdzie się sporządza z dbałością o interesy obojga małżonków intercyzy ślubne, do kantorów bankierskich, sal sądowych; daje wreszcie zajrzeć przez ramię niejako ludziom i wiekom i czytać intymne listy rodzinne. Papirologia jest więc nauką o kulturze materialnej i duchowej Egiptu hellenistycznego, rzymskiego i bizantyńskiego.

Od czasu wielkiej fali odkryć w osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku, która przez udostępnienie zatraconych pism (jak dzieła Arystotelesa: *Konstytucja Aten*) i zapomnianych pisarzy (jak Bakchylides i Herondas) wywołała zainteresowanie uczonych i właściwie zbudowała papirologię jako naukę, poświęcają się temu studium szczególnie dwa rodzaje badaczy: historycy starożytnej literatury i kultury oraz znawcy antycznego państwa i prawa. Wyniki nowych odkryć są dla wspomnianych gałęzi wiedzy wprost nieocenione. Zapełnienie wielkich luk w historii rozwoju gatunków literackich, postawienie na innej płaszczyźnie podstaw starożytnego prawa, oto wciąż rozszerzane dzieło papirologii. Nauka polska — mimo trudności, jakie w tej dziedzinie musiała napotykać, zarówno z powodu odległego terenu badań jak kosztowności ich przeprowadzania i małej stosunkowo liczby specjalistów — od razu stanęła w tej kompetycji narodów Prace prawnicze Waszyńskiego i Taubenschlaga, edycje literackie Witkowskiego i autora omawianej tu książki, trzy kolejne sezony wykopaliskowe polsko-francuskie w Edfu (1937—1939), założenie zbioru papirusów w Warszawie, trzy już tomy (czwarty na ukończeniu) ukazującego się obecnie w Polsce Rocz-

nika Papirologii Prawniczej (Journal of Juristic Papyrology), który jest w tej chwili jedną z nielicznych międzynarodowych trybun tej nauki, organizujący się, a właściwie istniejący już od r. 1946 Instytut Papirologii w Uniwersytecie Warszawskim — to etapy badawcze i wyniki. Nauka o kulturze nie może jednak pozostać własnością uczonych. Popularyzacji wyników i badań, wprowadzeniu w „świat papirusów“ służy właśnie omawiana książka.

Nie jest to pierwsza w literaturze polskiej pozycja z tego zakresu. Autor dał już, wspólnie z nieżyjącym dziś Franciszkiem Smolką, wprowadzającą w studium, zarysową *Papyrologię* (Lwów 1933), a jeśli idzie o książkę antyczną, w olbrzymiej mierze papirusową, niejedno znajdziemy i w Manteuffla *Książce w starożytności* (1 wyd. Lwów 1937, 2 wyd. Warszawa, 1947). Ta jednak książka wyznacza od razu treść podtytułem: *Obrazki z życia w Egipcie hellenistycznym.* Po rozdziale wstępnym, który wychodząc od obrazu obozu ekspedycji polsko-francuskiej w Edfu wprowadza w technikę wykopalisk papirusowych, szkicuje zawartość „zdobyczy“ i historię odkryć, cztery następne malują administrację i ekonomikę kraju, życie rodzinne i społeczne, kulturalne, wierzenia. Układ, zdawałoby się, prosty, nie jest — jak to stwierdzi każdy, kto stykał się z surowym materiałem — łatwy do zrealizowania. W fragmentarycznej, choć obfitej masie odszukać teksty wyjątkowo wymowne, wyjątkowo pełne, a nie wymagające zbytnio rozbudowanego komentarza, nie było zadaniem łatwym. Autor stara się przy tym dać dojść do głosu przede wszystkim samym papirusom, rzuconym na tło dyskretnego, kompetentnego i rzeczowego „słowa wiążącego“, co daje czytelnikowi specyficzną przyjemność czynienia na tym materiale odkryć „dla siebie“. Książka staje się sensacyjna przez swój, by tak powiedzieć, bliski egzotyzm. Wycinki z historii tych dawnych ludzi podane w znajomych niejako kontekstach — czy to będzie zbiorowy protest uciskanych drobnych dzierżawców przeciw latyfundyście, czy zgłoszenie kradzieży z włamaniem (i wskazanie przypuszczalnych sprawców), czy list gończy wyznaczający nagrodę za schwytanie i doprowadzenie zbiegłego niewolnika — „biorą“ czytelnika w sposób, w jaki nie weźmie ani współczesna „sprawa“ odpowiedniego rodzaju, ani spokojnie obiektywna strona podręcznika historii starożytnej. Książeczka dzięki tej zawartości staje się jeszcze jednym uderzeniem w zakłamane, mimo pięknych intencyj, „marmurowe“ widzenie starożytności. Nie zapomnę, jak na własne moje patrzenie na studium wpłynął zupełnie niepozorny fakt: to, że przy podanych cyframi kwotach pieniężnych dodawano w papirusach, odpowiadającą naszemu „słownie“, formułkę „to jest“ i powtarzano cyfrę słowami. Trwałość pewnych urządzeń w rzeczach drobnych silniej działa na wyobraźnię niż zakładana niejako z góry tradycja w rzeczach wielkich. Zwykle też dłużej trwają właśnie te drobne rzeczy.

Rozdział o życiu rodzinnym i społecznym opiera się głównie na listach. Zamiast charakterystyki, parę wyrwanych zdań. Z czyjegoś listu do matki: „I raz, i powtórnie, i częstokroć pisywałem do Ciebie przez wielu ludzi, abyś wstąpiła do mnie i abym ucałował Twe śliczne oblicze“; z innego, podobnego: „Wstydziłem się przybyć do Karanis, gdyż

chodzę w brudach. Napisałem do Ciebie, że jestem goły... Błagam Cię, matko, przebacz mi.“ Znajdziemy tu i listy kondolencyjne, i gratulacje, i zaproszenia, i typowe akty urzędowe: kontrakty ślubne, świadectwa urodzenia i zgonu.

W rozdziale o szkole i życiu kulturalnym, po zapoznaniu się z kursem nauk w szkole greckiej, czytamy korespondencję wyjeżdżających na studia młodych ludzi, dalej — szczególnie ciekawe umowy o naukę rzemiosła, zawierane między mistrzami a rodzicami uczniów. Kilka tekstów zapozna nas z troskami organizatorów zabaw ludowych, jeden da wykaz akcesoriów potrzebnych do przedstawienia. Znów wyjątek: „3. Do scenki «Obejdzie się bez słów» — gitara, prosię, szczeniak, mała warząchew... 6. Do sceny «Po co zmagać się z ciałem» — nie potrzeba niczego...“ Słusznie nie włącza autor w ramy książki omówienia znalezisk literackich dając natomiast krótką charakterystykę poczytności poszczególnych pisarzy. Za to mamy szereg charakterystycznych przykładów z literatury ludowej, odpowiadających bądź to naszej literaturze rozrywkowej, bądź też produkcji kabaretowej: więc krótkie, prymitywne scenki mimiczne, sławną *Arię opuszczonej dziewczyny*, dalej kontynuujące rodzimą egipską tradycję proroctwa i opowiadania cudowno-fantastyczne. (Autor wyzyskał tu własne wydanie zbioru tekstów tej literatury pt. *De opusculis Graecis Aegypti e papyris, ostracis lapidibusque collectis*, Warszawa 1930).

Rozdział o wierzeniach składa się z dwu wyraźnie oddzielonych części. Pierwsza daje ciekawsze teksty synkretyzmu religijnego epoki hellenistycznej (tu słynna skarga Artemizji błagającej bogów o ukaranie męża, który pod zastaw długu dał mumię zmarłej córeczki), opowiadania o cudach, przepisy magiczne, amulety. W drugiej — teksty wczesnochrześcijańskie z słynnymi *Przypowieściami Jezusowymi* i piśmiennictwem wczesnych sekt. Są tu i świadectwa „prawomyślności“ z okresu prześladowań — dowody złożenia przepisanych ofiar, chroniące od podejrzenia o chrześcijaństwo.

To jeden tok książki: blisko setka tekstów prowadzących przez Egipt tamtych czasów, połączonych wyjaśniającym słowem znawcy. Jeśli po przeczytaniu książki zwrócimy baczniejszą uwagę na wspomniane już „słowo wiążące“, zobaczymy, że od tekstu do tekstu przemycono cały wykład o ustroju, organizacji rodzinnej, obyczajach monarchii hellenistycznej. Odbiegając od zwyczaju na ogół w książkach tego typu stosowanego, autor zatroszczył się o podanie przy każdym tekście źródła, a w zakończeniu — także wykazu publikacyj, z których teksty pochodzą, wykazu obejmującego właściwie wszystkie ważne serie edycyj papirusów. Jeśli idzie o teksty wydobyte czy opublikowane przez naukę polską (listy prywatne z wydania Witkowskiego, zdobycze z Edfu i egzemplarze kolekcji warszawskiej), to zamieszczono w książce chyba wszystko, co może być bardziej interesujące dla niefachowego czytelnika. Krótka bibliografia dobrze posłuży i temu, kto zajmie się głębiej tematem, i temu, kto by się chciał w studium wprowadzić fachowo.

Mówiliśmy o jednym toku książki. Drugi stanowi prawie pół setki ilustracyj. Z nich kilka bardziej charakterystycznych, jak piękny portret kobiecy z Fayum na frontispisie i kilka zdjęć ilustrujących materiał (papirus, ostrakon) oraz teren i prace wykopaliskowe, pozostaje w ścisłym związku z tematem książki, reszta wprowadza w krajobraz i życie współczesnego Egiptu. Krajobraz ze stałym tłem pomników świetnej przeszłości, a życie współczesne przez zacofaną strukturę tego półkolonialnego kraju nie tak znów bardzo od czasów opisywanych odległe. Wzmacnia powiązanie ilustracyj z treścią bliskie osadzenie tematyczne, jak np. zdjęcie tej młodej Egipcjanki współczesnej w jej „biżuterii" obok spisu kosztowności posażnych Dionizji z w. II w papirusach Uniwersytetu Warszawskiego, czy obrazki zabaw fellachów obok troszczących się o zabawy ludowe zapisków i akt sprzed wieków siedemnastu. (Czytelnikowi ciekawemu wyglądu autora możemy tu zdradzić tajemnicę: ryc. 39 przy s. 134 podpisana tylko „...fragment świątyni....").

Myślę, że z tego, cośmy dotąd powiedzieli, wniosek jest jasny. Ciekawa, treściwa, interesująca a bardzo rzetelna naukowo książka może służyć za wzór wydawnictwa popularnonaukowego. Więcej takich z dziedzin pokrewnych, więcej przede wszystkim dopuszczania do głosu samej starożytności, a może zaczniemy ogólniej, właściwiej i bardziej historycznie antyk rozumieć.

Jerzy Łanowski

Władysław Smoleński, PRZEWRÓT UMYSŁOWY W POLSCE WIEKU XVIII. STUDIA HISTORYCZNE. Wyd. 3. PIW, 1949.

O ile dawniej wznowienia naukowych prac historycznych należały u nas do rzadkości, to obecnie na brak ich nie można narzekać. Szukając postępowego nurtu w naszej historiografii, zwrócono się do Świętochowskiego, Limanowskiego, a zwłaszcza do Smoleńskiego. Dzięki temu na półkach księgarskich i bibliotecznych ukazało się kilka częściowo już zapomnianych, a przynajmniej trudno dostępnych prac, które mimo swej pozornej „wiekowości" mogą wlać jeszcze niejedną ożywczą myśl i pobudzić tak miłośnika przeszłości, jak i zawodowego historyka (druga kategoria nie zawsze się z pierwszą pokrywa) do ponownego przepatrzenia ustalonych już, zdawałoby się, poglądów. Inaczej bowiem czyta się i rozumie Smoleńskiego dzisiaj, a inaczej czytało się go i rozumiało lat temu, powiedzmy, jedenaście.

Praca Smoleńskiego o przewrocie umysłowym w Polsce wieku XVIII stanowiła w pewnym stopniu dzieło pionierskie. Wprawdzie badania nad dobą stanisławowską już poprzednio pociągnęły wielu nieprzeciętnych historyków — Schmitta, Kalinkę, Korzona — mimo to żaden z nich nie zajął się tak wyraźnie i wyłącznie stosunkami panującymi w dziedzinie kultury umysłowej. Jest też zasługą Smoleńskiego nie tylko nagromadzenie olbrzymiej ilości faktów z tej dziedziny, wydobycie ich z pożółkłych kart skrzętnie przejrzanych źródeł, ale przede wszystkim skierowanie uwagi na wewnętrzne konflikty, dzielące ówczesne społe-

czeństwo Rzeczypospolitej, które z całą ostrością rysowały się w walkach ideologicznych drugiej połowy XVIII stulecia. Oczywiście, że dzisiaj niektóre poglądy Smoleńskiego wymagają sprostowania, pewne fakty uzupełnienia — przecież chodzi o książkę w zasadniczej swej osnowie napisaną przeszło pół wieku temu. I mimo wszystko ciśnie się wyrzut na usta: jak niedaleko posunęła się w tej dziedzinie wiedza historyczna poza kręgi zatoczone przez Smoleńskiego; jak wiele zagadnień czeka jeszcze na swego badacza.

Przewrót umysłowy doczekał się już kilku wyczerpujących omówień na łamach czasopism (St. Arnolda w Myśli Współczesnej i A. Korty w Nowych Drogach). Sama książka zaopatrzona jest również w przedmowę Wł. Bieńkowskiego, która ma wprowadzić czytelnika w problematykę okresu. Dlatego też sądzę, że tym razem wolno będzie recenzentowi ograniczyć się do kilku tylko kwestii, które warto jeszcze poruszyć z okazji nowego wydania tej książki.

Problematyka XVIII wieku w Polsce to problematyka rodzącego się kapitalizmu. Wprawdzie ustrojem panującym jest nadal feudalizm, a najbardziej typowa jego cecha, praca pańszczyźniana, utrzymuje się do końca istnienia szlacheckiej Rzplitej, mimo to widać wyraźnie nie tylko zalążki kapitalizmu oraz rozpoczynający się rozkład feudalnego sposobu produkcji, ale w końcu stulecia powstaje już układ kapitalistyczny. Jest to więc jeden z okresów krytycznych, kiedy walka między starym a nowym osiąga punkt szczytowy. Te przemiany przejawiają się przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, ale odbijają się również na terenie walk ideologicznych. Dotychczas uwaga badaczy XVIII wieku zwrócona była głównie na drugą połowę tego stulecia. W okresie tym bowiem już wyraźnie rysowały się zarówno w dziedzinie gospodarczej jak ideologicznej te przemiany, które były zapowiedzią nowych czasów, a więc rozwój manufaktur, ożywienie handlu, wprowadzanie czynszów w gospodarce rolnej, a z drugiej strony przebudowa oświaty i rosnące wpływy nowych prądów.

Te zainteresowania dla drugiej połowy wieku oświecenia miały przecież fatalne skutki, jeśli chodzi o naszą znajomość doby saskiej. Fanatyzm, zacofanie, ciemnota, dewocja przykryły tak grubą pleśnią społeczeństwo tej epoki, stanowiły tak jaskrawy i wygodny kontrast w stosunku do następnego okresu, że nikomu niemal nie chciało się zajrzeć pod tę powłokę. Tymczasem wydaje się, że bez znajomości procesów, jakie zaszły w społeczeństwie polskim przynajmniej od chwili zakończenia wojny północnej, wszelka nasza wiedza o dobie stanisławowskiej będzie niepełna i niekompletna. Nie można bowiem wyrywać pewnych okresów z dziejów i łączyć je tylko hipotetycznie z przeszłością. Uwagi te nasuwają się zwłaszcza przy czytaniu pierwszego szkicu Smoleńskiego o umysłowości w dobie reakcji katolickiej. Szkic ten, napisany bardzo żywo i ciekawie, zawiera wiele faktów demaskujących obłudę i zacofanie ówczesnej szlachty. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przytoczone przez Smoleńskiego fakty prawdziwie i bez osłonek charakteryzują poziom społeczności szlacheckiej. Mimo to nie można powstrzymać

się od zarzutu, że obraz ten jest nieco skrzywiony. Oczywiście, nie chodzi tu o jakieś rozdzieranie szat, o zarzuty warcholstwa stawiane Smoleńskiemu przeszło pół wieku temu przez Korzona i innych jego naśladowców. Chodzi jednak o to, że o ile w stosunku do okresu późniejszego, okresu drugiej połowy XVIII wieku, Smoleński potrafił dać pełniejszą charakterystykę społeczeństwa, przedstawić wyraźny podział na zwalczające się postępowe i konserwatywne ugrupowania, o tyle w poprzedniej epoce przedstawia to społeczeństwo jako niezróżnicowane. Tak prosto sprawa się nie przedstawia. Czas by już był, po pierwsze, odrzucić te liczne formy komedianctwa religijnego, które zamazują obraz pierwszej połowy XVIII wieku. Nikt chyba nie wzrusza się pobożnością Augusta II, który tak składnie umiał łączyć praktyki religijne ze zmianą wiar i kochanek; cały jego dwór nie przedstawiał się o wiele lepiej — studium o moralności tej epoki wypadłoby bardzo ciekawie. Zresztą to rzeczy znane. Jeśli chodzi o postawę ogółu szlacheckiego, to i tu różnie bywało: przeglądając szereg *silva rerum* z tej epoki, dziwnym trafem prawie nie spotykałem wierszy religijnych, za to świeckich, i to dobrze świeckich, niejeden. Walka z innowiercami toczyła się głównie na pozycjach wewnętrzno-szlacheckich albo między szlachtą a zamożnym mieszczaństwem (w Prusiech), przy czym czynnik rywalizacji ekonomicznej odgrywał tu niepośledną rolę. Czynnik ten zaważył niemało i na stosunkach między średnio zamożną szlachtą a duchowieństwem. By nie być gołosłownym, powołam się na wypadki, jakie rozegrały się na sejmie 1719/1720 roku. Odbywał się on w tymże samym składzie, w którym rok przedtem usunięto ostatniego innowiercę z izby poselskiej. Otóż gdy biskupi nie chcieli się zgodzić na pociąganie dóbr duchownych do obowiązku pospolitego ruszenia na równi ze szlacheckimi, na sejmie wybuchła burza. W dyskusji wołał z emfazą pisarz gr. lubelski: „Biskupi księży i ubogich zakonników... do hiberny pociągają, swym dobrom folgują"; a Niemira, chorąży drohicki, drwił z miłości bliźniego: „Cóż to za miłość, pójdź ty świecki, giń za ojczyznę, a ja zostanę". Wysłano natychmiast delegację do biskupów i nuncjusza z długą 15-punktową instrukcją, w której wyłożono wszelkie bolączki szlacheckie, zaczynając od spraw dziesięciny i sądów kościelnych, a kończąc na kwestii nabywania nowych dóbr przez duchownych i ściągania wysokich procentów od pożyczek. Nie brakło nawet punktu, w którym szlachta występowała przeciwko usuwaniu przez duchowieństwo innowierczych rzemieślników i rolników („*in simplicitate sua* mniej szkodliwych wierze katolickiej"). Biskupi i nuncjusz zaczęli sprawę przewlekać odwołując się do Watykanu; tymczasem zerwano sejm i cała rzecz upadła. Całe to zajście przypomina bardzo wyraźnie omawiany przez Smoleńskiego zatarg między szlachtą a duchowieństwem z lat 1752 — 1768. Oczywiście, byłoby absurdem twierdzić, że reakcyjna ideologia kontrreformacji nie ciążyła poważnie nad ówczesnym społeczeństwem szlacheckim. Chodzi jednak o to, że już wtedy przygotowywał się grunt, na którym później kiełkować będzie ziarno indyferentyzmu religijnego.

Podobnie jest i w dziedzinie myśli politycznej, gdzie epoka stanisławowska jest o tyle szczęśliwsza, że znajdzie w społeczeństwie siły zdol-

ne wprowadzić w życie, chociaż częściowo, program przebudowy państwa. Pod rządami saskimi dążenia do wzmocnienia władzy centralnej, reprezentowane przez otoczenie Augusta II, załamią się w walce z opozycją magnacką, na której stronę skłoni się i średnio zamożna szlachta. Podobnym niepowodzeniem zakończą się próby reform na sejmach 1744 i 1748, za następnego władcy. Inna rzecz, że w tym okresie obserwuje się już coraz wyraźniej wzrastające wpływy nowych prądów. Lata czterdzieste XVIII wieku to przecież początek działalności Konarskiego, J. A. Załuskiego, to pierwsze wystąpienie przeciwko scholastyce Antoniego Wiśniewskiego.

Wszystkie te, powyżej przytoczone fakty nie świadczą bynajmniej o tym, że epoka stanisławowska nie wniosła nic nowego, że rozwinęła tylko to, co już kiełkowało poprzednio; twierdzenia takie byłyby wyraźnie błędne. Wskazują one tylko na to, jak głęboko epoka ta tkwi w poprzedzającym ją okresie, jak kotłowały się i narastały te siły społeczne, które miały dokonać przewrotu umysłowego w drugiej połowie stulecia.

Pozostaje przecież sprawą zupełnie otwartą, jak rozwijały się te siły. Nie da się tego rozwiązać bez znajomości życia gospodarczego XVIII wieku, a jeśli chodzi o pierwszą jego połowę, to niestety dotąd skazani byliśmy na same niemal domysły. Wiadomo, że Rzeczpospolita została potwornie zniszczona przez swoich i obcych w czasie wojny północnej. Co się jednak z nią działo przez następne ćwierć wieku, to właściwie jest nadal zagadką. Wydaje się bowiem zupełnie nieprawdopodobne przyjęcie tych lat za okres całkowitej stagnacji. Przecież jakiś wpływ musiały wywrzeć choćby bliskie stosunki z Saksonią, która na terenie Niemiec stanowiła jeden z najbardziej rozwiniętych obszarów przemysłowych. Wszakże jednym z czynników, prowadzących Wettynów na tron polski, były widoki handlowe saskiego mieszczaństwa. Jakie możliwości niespodzianek kryją się w badaniach nad tym okresem, może świadczyć świeżo ogłoszona rozprawa A. Grodka o warszawskim domu handlowym z lat 1723—27 (Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych, tom XII). Okazuje się, że w tych latach działał w Warszawie poważny dom kupiecki, o kapitale zakładowym 120 000 złotych polskich, który prowadził rozległe operacje handlowe i bankowe. Klientami, a zwłaszcza dłużnikami jego była m. in. cała „śmietanka" ówczesnej magnaterii polskiej. Specjalnego przebadania wymaga wreszcie sprawa najważniejsza, kluczowa dla całego ustroju, sprawa antagonizmu między chłopstwem pańszczyźnianym a wykorzystującymi go feudałami. Dzisiaj, kiedy wreszcie zerwało się ostatecznie z pojęciem chłopa jako istoty biernej, trzeba koniecznie przeanalizować dokładnie jego czynną rolę w walce klasowej, przejawiającą się czy to w zbiegostwie, czy w zatargach prawnych z panami, czy wreszcie w powstaniach. Dopiero wtedy będzie można zdać sobie sprawę z tego, jak dalece czynnik ten zaważył na polityce szlacheckiej, i dopiero wtedy będzie można napisać prawdziwie nowoczesną pracę o przełomie umysłowym w Polsce XVIII wieku.

Jeszcze kilka uwag o stronie wydawniczej. Obecne wydanie ukazało się na podstawie drugiego wydania z roku 1923. Opuszczono jednak przedmowę autora z niewątpliwą szkodą dla czytelnika, gdyż rzucała ona pewne światło na sposób przyjęcia tej książki przez ówczesną naukę. Zachowano natomiast ściśle indeks osób, ale niestety nie rozciągnięto go na komentarze. Wprowadzenie tych uzupełniających komentarzy, które objaśniają rolę i znaczenie postaci, wypadków historycznych czy niektórych wyrazów, jest ze wszech miar słuszną innowacją. Może by jednak lepiej było nie dawać tych komentarzy w postaci odnośników do poszczególnych stron, ale stworzyć z nich rodzaj indeksu, co ułatwiłoby czytelnikowi poszukiwanie haseł.

J. A. Gierowski

T R E Ś Ć Z E S Z Y T U

SPIS ILUSTRACJI

REDAGUJĄ:

ANNA KOWALSKA TADEUSZ MIKULSKI

WYDAJE:

ZAKŁAD NARODOWY
IM. OSSOLIŃSKICH
WE WROCŁAWIU, PLAC SOLNY 13

DO NABYCIA W DOMU KSIĄŻKI

CENA EGZEMPLARZA 300 ZŁ